

# Kondor

Graham Masterton



calibre 0.9.43

**Graham Masterton**

**Kondor**

*(Condor)*

Przełożyła Małgorzata Cendrowska

*Du musst herrschen und gewinnen  
Oder dienen und verlieren,  
Leiden oder triumphieren  
Amoss oder Hammer sein.*

*Musisz wygrać i panować  
Albo przegrać, w nędzy żyć,  
Cierpieć albo triumfować  
Młotem lub kowadłem być.*

Goethe

(przekład: Leopold Lewin)



## Jeden

Jego najlepszy przyjaciel, Bernie, musiał pójść tego popołudnia na lekcję fortepianu, sam więc prawie przez godzinę odbijał piłkę o ścianę garażu, dopóki matka nie wychyliła się przez kuchenne okno i nie powiedziała mu, by, na litość boską, zajął się czymś pożytecznym: grabieniem trawnika lub czyszczeniem roweru. Postanowił jednak wziąć wiatrówkę i pójść do lasów położonych na odległym krańcu Conant's Acre, jak Indiana Jones w *Poszukiwaczach zaginionej arki*.

Zostawił rower oparty o drewniany płot oddzielający ulicę Webster Crescent – jej nowe, schludne domy z trzema sypialniami – od górzystego pustkowia Conant's Acre; potem w kaloszach pomaszerował przez zaoraną glinę – dziesięcioletni chłopiec z niesforeną blond czupryną, zadartym (odziedziczonym po matce) nosem i charakterystycznym (jak u ojca) mrużeniem oczu, kiedy chciał zobaczyć coś w oddali.

Był sam na całej rozległej planecie. Na południe od niego nie było nic, tylko pola i drzewa; na północy jedynie wiatr smagał pastwiska posiadłości Kellych, której najbardziej wysuniętą na południe część stanowił Conant's Acre. Przed nim, na wschód, ciągnęły się gęste i ciemne lasy, w których, jak uroczyście przysięgał Bernie, straszło.

– W tych lasach są duchy, wiedźmy i diabły – powiedział mu Bernie. – Jeśli kiedykolwiek się tam zapuścisz, obedną cię ze skóry i wyrzucą na pole sępom i hienom na pożarcie.

Zapewniał Berniego, że w New Hampshire nie ma sępów ani hien, ale przyjaciel nie dał się przekonać: czytał każdy horror, jaki mu wpadł w ręce, i wiedział wszystko o wiedźmach oraz diabłach. Bernie miał dziesięć lat.

Prawie dziesięć minut szedł przez pole. Wiosną było ono zazwyczaj obsiane jęczmieniem, teraz – zaorane i pokryte twardą skorupą, przez którą maszerował z trudem. Nagle przestraszyło go stado wzbijających się w górę kruków. Zakołowały nad nim i odleciały na zachód, wyraźnie odcinając się od nieba, zwiastującego rychłe nadejście zimy. Patrzył na nie przez chwilę, potem poszedł dalej, od czasu do czasu pociągając nosem z zimna.

Lasy były ciche, porośnięte wrzoścem bardziej, niż to sobie wyobrażał. Z uniesioną do strzału wiatrówką stał na polu i wpatrywał się w nie z przejęciem. Coś się poruszyło w chwastach na skraju lasu, pewnie jakaś mysz lub serek. Spojrzał za siebie i za polem zobaczył bezpieczne i schludne dachy Crescent. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić, ale zaraz pomyślał: Co powiem Berniemu? Że przeszedłem przez pole, popatrzyłem na lasy i nie chciało mi się iść dalej? Mógłbym udawać, że jednak wszedłem. Albo mógłbym powiedzieć, że robiłem coś innego, na przykład pojechałem rowerem do Winant Mall. Zawsze mówił Berniemu prawdę, nawet gdy była kłopotliwa lub bolesna. Bernie to jego najlepszy przyjaciel i do tej pory nie mieli przed sobą sekretów.

Niepewnie przekroczył porośniętą chwastami ziemię, odgarnął kolbą gęste krzewy jeżyn i skacząc z nogi na nogę, znalazł się w leśnych chaszczach. Stał cicho, nadsłuchując, ale doszedł go tylko szum wiatru, głosy ptaków i szelest suchych liści, pomyślał więc sobie: Nie ma się czego bać. Wiedźmy i diabły to tylko opowieści z książek. W każdym razie mam nadzieję, że to tylko opowieści.

Wyjął scyzoryk i wyciął nim znak na najbliższym drzewie. Trójkąt z kółkiem w środku. On i Bernie, gdziekolwiek byli, zawsze wycinali takie znaki, nawet na ścianach szkolnych korytarzy. W „Concord Journal”, w rubryce dla młodzieży, czytał, że dobry tropiciel zawsze nacina znaki. Pociągnął nosem i znów zrobił parę kroków do przodu.

W puszczy panowała cisza. Za lasem hulał wiatr. A tu czuł się prawie jak w kościele. Zrobił jeszcze jeden znak i zagłębił się w tę ciszę. Szedł, trzymając uniesioną strzelbę, na wypadek gdyby

jednak dostrzegł coś, do czego musiałby strzelić – wiedźmę czy diabła.

– W porządku, chłopcy – wyszeptał, kiedy przeszedł dwadzieścia, może trzydzieści kroków w głąb lasu. – Zatrzymamy się tutaj na mały posiłek. – Kucnął, oparł wiatrówkę o drzewo i z kieszeni kurtki wyjął paczkę gumy, chwycił kawałek z papierka, zgrzytając zębami, jakby gryzł suszone mięso. – Wygląda na to, że Japońce sobie poszli. Może powinniśmy zawrócić i wyruszyć do kwatery głównej.

Żuł gumę i zanim straciła smak, zdążył wyryć na drzewie swoje inicjały. Teraz będzie mógł przyprowadzić tu Berniego i udowodnić mu, że zupełnie sam zapuścił się w nieznane. Bernie, choć miał dziesięć lat, nigdy nie odważył się na samotną wędrówkę po lesie, nie mówiąc już o wycięciu na drzewie swoich inicjałów.

Podnosząc się, usłyszał tuż za sobą trzepot skrzydeł. Wiedział, że to nie mogło być nic naprawdę groźnego, ale przestraszony odwrócił się i wystrzelił między ciemne konary drzew. Mimo że był to tylko ptak lub wiewiórka, gorączkowo napompował powietrze do strzelby, odciągnął zamek i ponownie załadował ją śrutem. Serce waliło mu w piersiach.

Czekał, nasłuchując. Był zadowolony z tempa, w jakim załadował broń – bez wątpienia był doświadczonym myśliwym. Trzymając podniesioną strzelbę, cofał się powoli, krok po kroku, ze zmrużonymi oczami i groźnym wyrazem twarzy. Jedno spojrzenie na tę twarz i każdy duch będzie wiedział, że tu nie ma żartów.

Wciąż szedł do tyłu, kiedy pośliznął się i pokryta liśćmi ziemia zaczęła się pod nim zapadać. Odwrócił się, by odzyskać równowagę, ale było już za późno. Ziemia zapadła się pod nim i wpadł do dziury, głębokiej prawie na trzy stopy. Za nim posypały się spleśniałe liście i gałązki, niektóre upadły mu na twarz. Kaszłał i prychał, próbując się podnieść. W pierwszym nerwowym odruchu chwycił strzelbę i szybko rozejrzał się dookoła, w obawie, że wpadł w pułapkę. Musi być ostrożny, w przeciwnym razie zostanie naszpikowany włóczniami tubylców jak jeżozwierz, zanim zdąży oddać strzał.

– Alarm odwołany, chłopcy – powiedział. Wyrzucił wiatrówkę na brzeg dołu i sam chciał z niego wyjść. Ale gdy nogami szukał oparcia w glinie, usłyszał głuchy dźwięk, jak gdyby kopnął w rurę albo blaszaną puszkę.

Marszcząc brwi, spojrzał z wahaniem pod nogi. Znalazł długi kij i zaczął nim opukiwać boki dołu. Skarb? Skrzynka pełna złota? Możliwe. W czasach kolonialnych żyło tu wielu bogatych ludzi, a na drogach grasowały bandy rabusiów. Może przypadkowo znalazł miejsce, gdzie ukryto złote suwereny? Mógłby kupić ojcu srebrnego cadillaca, zajechać nim pod same drzwi i rzuciwszy nonszalancko: „Proszę, tato, jest twój”, wręczyć mu kluczyki. A mama dostałaby od niego białe futro.

Pochylił się i zaczął odgarniać ziemię. Wkrótce odsłonił duży, wygięty kawał metalu, przypominający bok pojemnika na śmieci czy coś podobnego, z tą różnicą, że z żelastwa wystawały główki nitów. Wyglądało to tak, jakby kiedyś było pomalowane na szaro lub zielono, ale cała farba już zesza. Może to był stary grzejnik wody?

Gdy odkopał jeszcze trochę gliny i listowia, szybko zorientował się, że nie jest to ani pojemnik na śmieci, ani piecyk – to było olbrzymie. Lekko sapiąc, wbijał kij tak daleko, jak się dało, we wszystkich kierunkach, przez oplatające metal korzenie drzew. Grzebał w ziemi prawie pół godziny, ale w dalszym ciągu nie mógł znaleźć ani początku, ani końca tego, co było tam zakopane. Miało cylindryczny kształt i metalowe boki, na górze i na dole biegły długie rzędy nitów.

Kapitalne, pomyślał, przypomina raketę. Może przyleciała tu którejś nocy z Marsa, wbiła się w ziemię i nikt o tym nie wie? A może to tajemny tunel, który biegnie pod lasami? A może samolot?

Ale jakim cudem samolot znalazłby się w lesie? Kto chciałby go tu zakopać? I po co?

A największa zagadka: w jaki sposób by go zakopano? Oplotły go już korzenie drzew. Cieńsze zapuściły się nawet pod główki nitów, a zatem musi już tu leżeć od bardzo wielu lat.

Zdawało mu się, że usłyszał trzask gałęzi; wyprostował się i zaczął nadśłuchiwać z nosem powalonym błotem i twarzą zarumienioną od kopania. Dźwięk jednak się nie powtórzył; dochodziły go tylko odgłosy lasu. Zastanawiał się, co powinien zrobić, czy o tym, co znalazł, powiedzieć Berniemu i nikomu więcej, czy powiedzieć też ojcu? Jeśli ktoś naprawdę zakopał tu samolot, policja chciałaby o tym wiedzieć, no nie?

Odrzucił jeszcze trochę ziemi i właśnie wtedy odkrył zabłocone, pokryte białym nalotem okno. Próbował przetrzeć je chusteczką, ale było tak poplamione, że nie mógł przez nie nic zobaczyć. Obok znajdowało się drugie, a gdy pogrzebał jeszcze trochę końcem kija, zobaczył następne. Były wymodelowane jak okna kabiny pilota w starych typach samolotów – w Dakocie albo może Lockheedzie Electrze. Wszystkie były matowe. Przypomniały mu pana Ferrisa, który sprzedawał gazety na dworcu Concord – pan Ferris i jego białe oczy ślepeca. Zawsze wyciągał rękę i mierzwił Michaelowi włosy, mówiąc do jego ojca: „Dobrego ma pan chłopaka, dobrego chłopaka”.

Zaczął odczuwać zmęczenie; robiło się coraz zimniej, zmrok zacierał cienie. Może powinien wrócić tu jutro z Berniem, żeby razem wybić te szyby i zobaczyć, co jest w środku. Ale wtedy jego sekret stanie się także tajemnicą Berniego – będzie się musiał podzielić swoim wielkim odkryciem. A chciał, by cała chwała spłynęła na niego, aby na nim skupiła się uwaga wszystkich, gdyż sam stawiał czoło wiedźmom i diabłom. Sam odkrył miejsce, w którym zagrzebano samolot, i sam go odkopał.

Przechylił głowę i spojrzał w górę, na niebo ponad wierzchołkami drzew. Na dworze nie było tak ciemno jak w lesie. Mogła być czwarta, nie później. Zdążyłby jeszcze wdrzeć się do samolotu i zbadać go w środku, zanim naprawdę zapadnie zmrok, a prawdziwe duchy i chochliki zaczną biegać między drzewami. W dzień to co innego, w ciągu dnia mógł lekceważyć takie rzeczy. Ale każdy wiedział, że noc jest niebezpieczna, nawet dorośli.

Niedaleko rowu, który wykopał dookoła okien samolotu, znalazł ciężki głaz osadowy. Podniósł go ostrożnie i słusznie, jak się okazało, ponieważ ziemia pod nim ruszała się od krocionogów; było ich tam całe gniazdo. Przekręcił głaz i czekał, dopóki krocionogi nie rozbiegły się pod leżące dookoła liście, po czym oczyścił kamień rękawem kurtki. Był dla niego za ciężki, ale jakoś udało mu się przetoczyć go na brzeg rowu i zostawić tam – czterdzieści fontów prawdziwego piaskowca z New Hampshire.

Wypluł wyżutą balonówkę i odgryzł nowy jej kawałek. Usiadł na chwilę, odzyskując oddech. Potem wskoczył do dołu obok kadłuba samolotu i obiema rękami chwycił głaz. Trzymając podniesiony kamień, musiał go teraz tylko rzucić do przodu, żeby trafić nim prosto w okno samolotu.

Zawahał się jednak. A jeśli w środku byli ludzie? Szkielety. Jeżeli samolot rozbił się tutaj przed wielu, wielu laty, jeśli pilot oraz załoga zmarli w środku i siedzieli tam teraz jak w pułapce, uwięzieni za tymi zabłoconymi, ślepyimi oknami, czekając po prostu, żeby chłopiec taki jak on rozwalil kabinę pilota i wypuścił ich stamtąd. Ich kościste palce, równie nieustępliwe jak korzenie oplatające samolot...

Bernie wiedziałby, co zrobić. Skończył już lekcję fortepianu. Michael puścił głaz i stanął w dole, zagryzając wargę i myśląc o Berniem. Dobry stary Bernie. Może powinien pobiec z powrotem przez pole, wskoczyć na rower i sprowadzić go tutaj; wtedy mogliby przynajmniej razem wdrzeć się do samolotu.

Ale kierowany jakimś wewnętrznym impulsem, szaleńczą zapalczywością odziedziczoną po rodzinie matki, chwycił znowu głaz i pomyślał: Co, do diabła? Sam to zrobię. Rozwalę okno tym



kamieniem.

Za pierwszym razem nie pękło. Ale uderzył w nie jeszcze raz, potem jeszcze raz, aż w końcu zaczęło odpryskiwać, pokrywać się siatką pęknięć i wreszcie wybił w nim poszczerbioną trójkątną dziurę. Odłożył kamień i pochylił się, ostrożnie zaglądając do środka, jakby spodziewał się zobaczyć samego diabła patrzącego mu w oczy. Ale nic tam nie było: tylko ciemność i dziwny zapach, przypominający woń zleżałych kurtek z baraniej skóry. Wepchnął koniec kija do dziury, poszerzając otwór, który w końcu osiągnął wielkość całego okna.

Znów zajrzał do kabiny pilota, ale ciągle było zbyt ciemno, żeby mógł tam cokolwiek zobaczyć. Gdyby tylko miał ze sobą rower; może udałoby mu się oświetlić przednią lampą wewnątrz samolotu i używając pedałów jako korbki, wyciągnąć ze środka skarby – jeśli w ogóle jakieś były. No dobrze jeśli nawet nie ma wewnątrz skarbów, musi tam być coś ciekawego.

Odgarnął ziemię z drugiego okna i także je wybił. W kabinie pilota wciąż było ciemno, ale kiedy trzymał głowę przechyloną na bok, mógł dojrzeć rząd odbijających się półksiężyców – tarcz, które musiały być wskaźnikami przyrządów kontrolno-pomiarowych. I było tam jeszcze coś ciemnego i poszarpanego, jak spalone straszdyło; coś w miękkim hełmie z nausznikami, i zrozumiał – z niemym okrzykiem, który uwiązł mu w gardle – że to był pilot. Naprawdę tam był, wciąż siedział na swoim miejscu.

– O Boże! – powiedział głośno i przysiadł na piętach. Cały drżał i nie mógł złapać powietrza, bardziej ze straszliwego podniecenia niż z przerażenia. W życiu tylko raz widział martwego człowieka: swego dziadka leżącego w trumnie, z woskową twarzą, różową jak krewetka – wcale nie jego dziadek, ale jakiś nadmuchany śmieszny dziadek ze sklepu z niespodziankami. Ten przerażający pilot był jednak śmiercią. Prawdziwą, nie maskowaną śmiercią. Zaglądając ponownie do kabiny pilota, zobaczył rękę w skórzanej rękawicy, spoczywającą na manetce, i jaśniejący guzowatymi kostkami nadgarstek.

Wiedział, że nie starczy mu odwagi, by przecisnąć się przez okno kabiny. A jeśli trup nagle się odwróci i chwyci go? Był dzielny i nieustępliwy, ale nie lekkomyślny. Musi wrócić tu z Berniem; wtedy wgramoli się do środka, a przyjaciel z wiatrówką będzie go osłaniał. Teraz, kiedy już całkowicie odsłonił samolot, włamał się do środka i zobaczył pilota, nie miał nic przeciwko temu, aby Bernie się o tym dowiedział..

Musiał jednak stąd zabrać jakiś dowód, który uwiarygodniłby jego opowieść. Nie ma sensu wspinać się na szczyt Everestu, jeśli nie zabierze się stamtąd czegoś, co udowodni, że się go naprawdę zdobyło; na dobrą sprawę można się przecież było ukryć w zaspie śnieżnej. A teraz, kiedy odkopał szczątki samolotu, ktoś może się na nie natknąć i rościć sobie do nich prawo. Jeśli Michael nie zabierze stąd jakiegóż pamiątki, nie będzie mógł udowodnić, że to on odkrył wrak. Może nawet wyznaczą nagrodę za jego odnalezienie. To na pewno samolot pasażerski – jest taki wielki. Musiał zagać wiele lat temu i nigdy nikomu nie udało się ustalić, co się z nim stało. Prawdopodobnie w dalszym ciągu jest pełen ludzi, wszyscy podobnie jak pilot wciąż siedzą na swoich miejscach – rzędy szkieletów w postrzępionych ubraniach, z walizkami, torbami, kapeluszami i płaszczami.

Zadrżał na myśl o tym. Nie miał pojęcia, w jaki sposób samolot pasażerski mógł zakończyć lot pod ziemią, w lasach za Conant's Acre; ale jest tutaj, on sam go odkrył i zamierza zabrać stąd do domu coś, co będzie tego dowodem.

Biorąc głęboki wdech, włożył rękę do kabiny pilota i pomacał dookoła. Były tam włączniki i drążki, których nie rozpoznał. Potem końcami palców dotknął brzegu siedzenia ze stali i materiału oraz wiszącego pasa. Miejsce drugiego pilota było puste. Albo udało mu się uratować, zanim samolot spadł, albo wyszedł z kabiny uspokoić pasażerów.



Szarpnął za pas, usiłując wyrwać sprzączkę ze zbutwiałej taśmy, ale szew nie puścił. Musiał tam być jakiś luźno leżący przedmiot, coś, co mógłby zabrać ze sobą i pokazać Berniemu. Włożył rękę głębiej, aż po ramię, modląc się, aby pilot nie zdecydował się nagle ożyć i wbić mu w nią zębów. Ostrożnie szukał po omacku dookoła siedzenia pilota – najpierw z przodu, potem z tyłu.

Właśnie wtedy wymacał skórzany uchwyt, przypominający rączkę skrzynkowego aparatu fotograficznego starego typu. Dotknął jej jeszcze raz i udało mu się ją złapać koniuszkami palców. Stękając z wysiłku, delikatnie wyciągnął skrzynkę zza siedzenia drugiego pilota i wreszcie przysunął ją do światła.

Z początku myślał, że to aparat fotograficzny. Skrzynka była prostokątna, z ciemnobrązowej skóry, miała zardzewiałą metalową klamrę z jednej strony i podnoszoną pokrywę. Nie było na niej żadnej nalepki, żadnych inicjałów, żadnej nazwy – niczego, co mogłoby wyjaśnić, jaka jest jej zawartość. Powąchał ją, ale pachniała starocia, jak skórzana walizka, którą jego babka przechowywała na szafie.

Klamra trzymała mocno; wyjął scyzoryk i stopniowo ją podważał, aż w końcu puściła. Nie chciał jej zniszczyć: skrzynka mogła mieć dużą wartość. Podniósł pokrywę i zajrzał do środka.

Z pewnością nie miała nic wspólnego z aparatem fotograficznym. Wewnątrz była podzielona zielonymi tekturowymi przegródkami na sześć części; w każdej znajdowała się mała szklana buteleczka ze szklanym korkiem. Wszystkie korki były zaplombowane czymś, co wyglądało jak biały воск.

Wyjął jedną buteleczkę. Nic na niej nie było – żadnej nalepki, żadnej instrukcji. Wykonana z przezroczystego szkła, zawierała niewielką ilość, może łyżeczkę od herbaty, czystego, lekko oleistego płynu, przypominającego dżin czy rosyjską wódkę, którą trzymali rodzice. Potrząsnął buteleczką, ale płyn ani nie zamusował, ani nie zbulgotał.

Może była to jakaś substancja chemiczna potrzebna pilotom tych przestarzałych samolotów pasażerskich; może lekarstwo drugiego pilota. Ale skórzana walizka tak bardzo przypominała skrzynkowy aparat fotograficzny, że był absolutnie pewien, iż płyn musi mieć coś wspólnego z fotografią. Wywoływacz, utrwalacz czy coś w tym rodzaju. Jego starszy kuzyn, Nat, sam wywoływał filmy; czasami pozwalał mu siedzieć na taborecie w ciemnym pokoju i patrzeć. Zawsze fascynował go widok uśmiechniętych twarzy, pojawiających się stopniowo na dnie kuwety.

Wydłubał воск najpierw paznokciem, później ostrzem scyzoryka. Nie był tak głupi, żeby spróbować nawet odrobinki tego płynu. Na butelce nie było co prawda żadnego oznaczenia, ale jej zawartość mogła być trująca. Chciał tylko powąchać i upewnić się, że miał rację. Pociągnął za korek i ze zgrzytem wyjął go z buteleczki.

Ostrożnie pochylił się nad nią i powąchał.

Płyn miał bardzo mdły zapach – jak posłodzona woda czy gotowany syrop – który w sumie nie był nieprzyjemny. Powąchał jeszcze raz, by lepiej uzmysłwić sobie, co przypomina mu ten zapach. Wylał kropelkę płynu na palec i dotknął jej koniuszkiem języka. Nie miała smaku trucizny. Nie paliła go, w ogóle jej nie czuł. Usiadł i czekał, aż wystąpią jakieś dolegliwości, ale kiedy po pięciu minutach nie odczuł żadnych przykrych skutków – doszedł do wniosku, że bez względu na to, co to jest, płyn nie może być szczególnie szkodliwy. Zakorkował ponownie buteleczkę, włożył ją do skrzynki i zamknął wieczko.

Zrobiło się zupełnie ciemno. W lesie zaczął hulać wiatr; w pobliżu rozległo się pohukiwanie sowy. Michael otrzepał się, stracił z kaloszy grubą warstwę gliny i zaczął się wdrapywać na górę.

Gdy wychodził z dołu, z kabiny doszedł go trzask, jakby odgłos upadku. Odwrócił się przerażony, oddech zamarł mu w piersiach. Martwy pilot przewrócił się na bok w swoim fotelu

i przez wybite okno patrzył teraz na niego, wykrzywiając usta w dziwnym, zastygłym uśmiechu mumii. Żółta i twarda, ale nie uszkodzona skóra, napięta na jego czaszce, przypominała skórę na wpół upieczonego kurczaka, a jego jasne wąsy, mimo że skręciły się i zbieleły przez te wszystkie lata, kiedy leżał tu pogrzebany, jakoś nadawały mu odrażający wygląd żywego człowieka.

Powoli, skamłając, starając się za wszelką cenę nie naruszać ścian dołu, chłopiec wspiął się na górę, wciąż ściskając skrzynkę, po czym podniósł wiatrówkę i zaczął się skradać przez las z czujnością przerażonego królika, który w pobliżu wyczuł wilka i wie, jakie mogą być skutki nagłej ucieczki. W końcu dotarł do krzaków jeżyn i zielska kichawców, sięgających kolan; wypadł na otwarte pole, z odrzuconą do tyłu głową, machając zaciekle rękami, i ze świszczącym w płucach oddechem popędził przez zaorane bruzdy ile sił w nogach.

Przeszedł przez płot z bali, wskoczył na rower i zawiesiwszy skrzynkę na kierownicy, pognął do domu. Gdy tylko dotarł na miejsce, wjechał do otwartego garażu, zahamował, zeskoczył z roweru i stanął z rękami na biodrach, z trudem łapiąc powietrze. Udało mu się bezpiecznie wrócić – szkielety go nie złapały. Udało mu się bezpiecznie wrócić.

Chodził po garażu tam i z powrotem, dopóki nie przestał dyszeć. Wtedy podniósł skórzaną skrzynkę i zaniósł ją na drugi koniec garażu, gdzie jego ojciec trzymał na półkach narzędzia. Przesunął na bok zatłuszczone szmaty, puszki z lakierem i miseczki ze śrubami. Ostrożnie podważył obluzowaną w murze cegłę; w dziurze leżały jego tajemne skarby: kilka jednodolarówek, ostry nabój kalibru 22, który kiedyś znalazł, notes zawierający tajny szyfr, którego obaj z Berniem próbowali się nauczyć w nadziei, że będą mogli porozumiewać się ze sobą tak, by nikt nie wiedział, o czym mówią. Udało mu się wepchnąć skrzynkę do skrytki; następnie włożył cegłę i z powrotem zasłonił ją szmatami i puszkami z lakierem.

Matki nie było w domu, mimo że zostawiła otwarte drzwi na podwórko. Na stole w kuchni znalazł kartkę: „Pojechałam po zakupy do Winant Mall. Weź sobie colę i placuszki”. Otworzył lodówkę i zaczął myskować w poszukiwaniu czegoś smacznego. Wziął z pojemniczka trochę bitej śmietany, i dla zabawy polizał ją, w końcu znalazł plastikowy kubeczek z serkiem śmietankowym. Naprędce zrobił sobie grubą kanapkę, rozrzucając okruchy po całym stole, otworzył puszkę bezalkoholowego piwa i poszedł do salonu, gdzie przewiesił nogi przez oparcie fotela ojca i włączył telewizor na *Star Trek*.

Matka wróciła z Winant Mall parę minut po piątej. Położyła torby z zakupami na stole w kuchni i pokręciła głową na widok bałaganu, jaki tam zostawił. Zawołała:

– Michael?! Jestem już w domu!

Nie było odpowiedzi, ale uznała to za normalne. Zdjęła czerwoną skórzaną kurtkę i powiesiła ją na oparciu krzesła.

– Ferdie był w Mall – powiedziała. – W przyszłym tygodniu ma urodziny. Jego mama chciała mu kupić zegarek z obrazkiem ET. Wiesz, taki cyfrowy.

W dalszym ciągu nie było odpowiedzi. Tylko Spock w telewizji mówił: „To mało prawdopodobne, żeby warany zaatakowały...”

Zmarszczyła brwi i poszła do salonu, podnosząc po drodze, odruchowo, jak każda matka, rzucony niedbale trampek. Michael wciąż siedział w fotelu ojca, ale piwo z puszki rozlało się na beżowy dywan, a na wpół zjedzona kanapka leżała na jego piersi. Miał szeroko otwarte oczy i niebieskie wargi; zanim zdołała wymówić jego imię, wiedziała już, że nie żyje.



Był to tak nieprawdopodobnie szczęśliwy zbieg okoliczności, że Humphrey niemal był gotów uznać istnienie Boga. Nigdy, co prawda, nie pozwolono mu tego kwestionować, przynajmniej otwarcie. Nawet w tych męczących, powojennych latach, kiedy zwątpił we wszystko – religię, rozsądek, seks, zasady socjalizmu, nawet w realność własnego istnienia – jego siostra prowadziła go w każdy niedzielny poranek do kościoła Świętego Botolpha; zaopatrzony w miętówki do ssania podczas nabożeństwa i pięć szylingów na tacę, musiał fałszować *O Boże, który byłeś nam podporą i Prowadź, laskawe Światło*.

Przez pięćdziesiąt trzy lata – z wyjątkiem czasu wojny (błogosławione wojenne lata!) – w każdą niedzielę chodził do kościoła Świętego Botolpha, czekając na znak od Pana.

I pojawił się znak. Wcale nie w kościele Świętego Botolpha, ale tutaj, w Sztokholmie – w kawiarnianym ogródku, w chłodne wrześniowe popołudnie, kiedy słońce, chowając się już za czerwona fasadą hotelu Sheraton, złościło szyby Pripps Fatoel, jakby to był święty Graal. Może ten znak nie był tak wyrazisty, jak płonący krzew czy plaga szarańczy, ale dla Humphreya prawie tak samo ważny. Kiedy z kanapką i piwem wyszedł z kawiarni do ogródka i usadowił się wygodnie przy stoliku, uświadomił sobie, że siedzi naprzeciwko najbardziej poszukiwanego – od czasu Josepha Mengele – zbrodniarza wojennego.

Oczywiście sprawił to przypadek. Humphrey nigdy przedtem nie był w Szwecji, przyjechał tu na pierwsze od blisko sześciu lat wakacje. Uznał to za jakieś cudowne zrządzenie losu, które miało posmak chrześcijańskiego przeznaczenia. Siedział z założonymi nogami, pił piwo, jadł kanpkę z krewetkami i koprem, zerkając od czasu do czasu przed siebie, na siedemdziesięcioletniego mężczyznę w ciemnobrązowym płaszczu ze skóry renifera, jakby był takim samym jak on turystą lub po prostu niedołęgą, który przyjechał do Szwecji zobaczyć saunę, wystawę komputerów, sex show i upewnić się, przynajmniej na jakiś czas, że nie jest jeszcze taki stary.

Wszystko stało się ostre jak skalpel; dziesięć minut temu Humphrey rozpoznał tego mężczyznę jako Klause Hermanna, alias Klause Schreiber, zwanego „Wampirem Herbstwaldu”, poszukiwanego przez siedem państw za zamordowanie jesienią 1943 roku ponad trzech tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci w obozie koncentracyjnym w Herbstwaldzie, w pobliżu Hoyerswerdy.

Humphrey popatrzył na Hermanna raczej z zaciekawieniem niż ze wstrętem. Mężczyzna wyglądał starzej, niż mógłby się tego po nim spodziewać: siwy, zgarbiony, z cerą koloru wątrobianki, wyróżniającą, jak się wydaje, starych Niemców. Ale mimo to nie był pozbawiony wigoru. Opowiadał z werwą, śmiał się często i wystarczająco głośno, aby Humphrey go słyszał. Co jakiś czas pochylał się, z dwuznacznym uśmiechem mówił coś do towarzyszącej mu kobiety w średnim wieku i dotykał jej ramienia, a nawet raz szybko pocałował ją w policzek.

Humphrey sądził, że dokonał niezwykłego wyczynu, rozpoznając tak znanego nazistę. Nie ucieszyłby się bardziej, nawet gdyby odkrył, że przy sąsiednim stoliku siedzi Hitler lub Martin Bormann. Tak niewiele sukcesów odniósł Humphrey w życiu, szczególnie po przejściu na emeryturę.

Podczas wojny pracował w południowym Londynie dla BDG7, znanego jako *budges*, niewielkiego zespołu prawników, którego zadaniem było przygotowanie materiałów niezbędnych do postawienia przed sądem setek nazistowskich zbrodniarzy wojennych na podstawie informacji przekazanych przez jeńców wojennych, którzy uciekli z niewoli, oraz raportów dostarczonych przez ruch oporu. Humphrey lubił tę pracę bardziej niż wszystko, co robił do tej pory. Na podstawie przypadkowo wykonanych zdjęć i portretów pamięciowych mógł już zidentyfikować dwustu do

trzystu nazistów; nauczył się także rozpoznawać twarze, nawet jeśli zostały zmienione przez sztuczne brody, peruki, okulary lub operacje plastyczne nosa.

Zdziwiło go, że Hermann nie zrobił nic, by zmienić swój wygląd. Oczywiście postarzał się, utył i przybyło mu zmarszczek; czas posrebrzył jego kruczoczarne, zaczesane do tyłu włosy. Ale pozostała charakterystyczna szrama na czubku nosa, końska szczęka oraz te blisko osadzone oczy, które nadawały mu wygląd człowieka wiecznie podnieconego, prawie szaleńca. Przez całe życie Hermann miał stereotypową twarz „nazistowskiego rzeźnika”. I teraz, choć minęło ponad czterdzieści lat, wyglądał tak samo.

Prawdopodobnie uważał, że w Szwecji nikt go nie rozpozna, tym bardziej że wojna skończyła się już tak dawno. Pewnie doszedł do przekonania, że u większości więźniów obozów koncentracyjnych pozostał tak głęboki uraz, iż będą chcieli jak najszybciej zapomnieć twarze swoich oprawców; mogą mijać ich na ulicy, jakby nigdy nawet nie istnieli. Spośród tysiąca ofiar, które uczyniły wszystko, by wymazać z pamięci tamte dni, tylko jedna nigdy nie zapomni. W szczególności o twarzy Hermanna żaden z więźniów obozu w Herbstwaldzie nie mógł nawet przez chwilę pomyśleć bez emocji. W pełni zapracował sobie na przydomek „Wampir”. Humphrey w 1947 roku przesłuchiwał w Sennelager kobietę – matkę trojga dzieci, które zginęły z rąk Hermanna. Kiedy Humphrey, jak zwykle w takich wypadkach, pokazał jej zdjęcie „Wampira”, osunęła się na podłogę w pokoju przesłuchań i długo nie mogła powstrzymać wymiotów. Działo się to pewnego popołudnia w marcu; nigdy tego nie zapomniał. Podobizna Hermanna wywoływała u ludzi fizyczne dolegliwości.

Humphrey wypił piwo i wytarł usta serwetką. Miał wrażenie, że Hermann zbiera się do wyjścia. Cały czas otwierał i zamykał szarą skórzaną dyplomatkę, opartą o białe, okrągłe nogi krzesła. Kobieta pochyliła się, pocałowała go i przez chwilę trzymali ręce na stole – brązowa skórzana rękawiczka przykrywała kolorową jak tęcza rękawiczkę z dzianiny, taką z lapońskiego trykotu, którą można kupić u Ahlensa lub w każdym innym domu towarowym.

Humphrey wszedł do środka i zapłacił rachunek. Kafejka była dość zatłoczona i kilkanaście osób przyglądało mu się bez najmniejszego zażenowania. Takie wpatrywanie się w nieznajomych jest chyba narodową cechą Szwedów i czasami Humphrey zastanawiał się, czy po to przyjechał tu na wakacje aby przyjrzeć się Szwedom, czy też po to, aby Szwedzi mogli przyglądać się jemu. On sam nie miał zwyczaju przyglądania się ludziom: jeśli kogoś naprawdę się lubi, to nie trzeba bez przerwy badać go wzrokiem, by się upewnić, że jest kimś bliskim, a jeżeli kogoś się nie lubi, to patrzenie na niego nie ma sensu. Matka zawsze go upominała: „Humphrey, przestań się gapić!” Ale gdy dziewczyna wydawała mu resztę, pozwolił sobie na luksus obejrzenia się w lustrze za kontuarem. Poprzez półki zastawione rolmopsami, solonymi śledziami, krewetkami i żółtym serem spoglądał na niego krępy mężczyzna. Nieźle, pomyślał, jak na sześćdziesiąt pięć lat: rumiana twarz, czysty kołnierzyk, staranny ubiór. Zupełnie jak James Mason, tylko z większym nosem. Wrażliwy, nawet wykształcony. I nikt nie mógł mieć do niego pretensji o wypucowane do połysku brązowe półbuty.

Przez okno kafejki Humphrey zobaczył, że Hermann wstaje, bierze kobietę pod rękę i razem idą wolno w kierunku Lilia Nygatan – wąskiej, handlowej uliczki z tyłu kawiarni.

Zatrzymali się na rogu. Hermann szepnął coś kobiecie do ucha i oboje się roześmiali. Potem, dość niespodziewanie, każde poszło w inną stronę.

Humphrey nigdy przedtem nikogo nie śledził. Pójście za Klausem Hermannem przez zatłoczony Sztokholm stało się swoistą próbą. Słońce schowało się już za wieżowcami centrum miasta, wypełniając ulice chłodem i oblewając domy dziwnym, czerwonym półświatłem. W kierunku mostów, łączących czternaście sztokholmskich wysp, sunęły saaby i volva. Ulica roiła się od samochodowych świateł jak od spadających meteorów. Humphrey zapiął dwa górne guziki płaszcza

i poszedł za Hermannem wąskim chodnikiem Lilia Nygatan do Kornhamnstorget, gdzie stanął przy krawężniku, tuż za nim, czekając, by przejść na drugą stronę jezdni. Młody mężczyzna obok niego głośno pociągnął nosem i odchrząknął. To był kolejny szwedzki zwyczaj, do którego Humphrey nie mógł się przyzwyczać.

Widoczne po drugiej stronie placu jezioro Maelaren miało taki sam jak niebo, zimny i niesamowity kolor. Pociąg odwozący pasażerów na przedmieścia Sztokholmu – Soedermalm i Hammarby – dudnił po opadającym moście; jego oświetlone okna odbijały się w wodzie.

Humphrey stał blisko Hermanna; czuł przenikliwy chłód i nadmierne podniecenie, ale także satysfakcję ze swojego zawodowstwa. Hermann kaszlnął i odchrząknął. Humphrey także zakaszał, dla dodania sobie odwagi.

Hermann, wymachując dyplomatką w rytm kroków, poszedł w górę wyboistej, brukowanej Fuenkens Grand, potem na skróty do Skeppsbroen, gdzie cumowały statki z Finlandii i ZSRR. Na przekór zimnemu wrześnieowemu wieczorowi w powietrzu unosiły się mydlane bańki puszczane z automatu przed sklepem. Hermann nie patrzył ani w prawo, ani w lewo, szedł prosto przed siebie, jak człowiek, który często przemierza tę trasę.

W pobliżu wędrowny grajek, uderzająco podobny do Bjoerna Borga, grał na skrzypcach ludowe piosenki, a grupa nastolatków w niebiesko – żółtych spranych kangurkach gwizdała i śmiała się, kopiąc na bruku puszkę po coli. Była dopiero piąta po południu, ale w restauracjach zapalono już światła. Wyczuwało się już bożonarodzeniową atmosferę, która Derbyshire ogarniała zazwyczaj w połowie grudnia, czasami później, jeśli nie było śniegu.

Humphrey widział, jak Hermann obszedł fontannę, znajdującą się na środku niewielkiego skweru przy końcu Fuenkens Grand, i poszedł dalej wąskim chodnikiem Oesterlanggatan. Po prawej stronie ciągnęły się wysokie, staroświeckie domy i czynszowe kamienice, przedzielone małymi, ciemnymi uliczkami biegnącymi w dół do Skeppsbroen – kiedy je mijali, Humphrey ujrzał jasną, zimną wodę Saltsoen, małej zatoki Bałtyku. Wysoko, na krawędziach dachów siedmio – oraz ośmiopiętrowych budynków, siedziały rybitwy, wrzeszcząc niczym rozżłoszczone eunuchy.

Hermann nagle skręcił w prawo, w jedną z najmniejszych i najciemniejszych uliczek. Po chwili zatrzymał się przed ukrytymi w cieniu drzwiami i pogrzebał w kieszeni płaszcza, szukając kluczy. Humphrey czekał na końcu ulicy, udając, że czyta reklamy tanich wycieczek do Danii. Zobaczył, jak Hermann wszedł do środka, i usłyszał trzask zamykanych drzwi. Ostrożnie poszedł spadzistą ulicą i zatrzymał się przed domem, w którym zniknął Hermann. Poligatan, numer 17. Spoglądając w górę, po paru minutach zauważył, że w oknie na trzecim piętrze zapaliło się światło i ktoś szybko zaciągnął beżowe, lniane zasłony.

No tak, jeśli Hermann ma klucze, pomyślał Humphrey, to musi tu mieszkać. Obok dzwonka znajdował się rząd tabliczek, ale tylko na dwóch widniały nazwiska: Lars Wahloeo – ginekolog, i jakiś Goesta Mokvist. Humphrey przeszedł na drugą stronę ulicy i przyjrzał się fasadzie budynku. Była popękana i ponura, pokryta śladami, jakie od dziesiątków lat zostawiał topniejący śnieg. Zardzewiała rynna zwisała spod okapu, skrzypiąc głośno w wieczornym podmuchu wiatru. Nie przypuszczał, że ukrywający się nazista może mieszkać w takim domu. Ale przypomniał sobie słowa jasnowłosego przewodnika, który oprowadzając go w poniedziałek po Gamla Stan, powiedział, że wielu starszych lokatorów czynszowych kamienic włożyło ciężkie pieniądze, czasami miliony koron, w przebudowę swoich mieszkań. Prawdopodobnie za tą obskurną, strindbergowską fasadą Klaus Hermann płacił się w skandynawskim luksusie.

Humphrey czekał na ulicy, dopóki nie zmarzły mu nogi. Dopiero wtedy ruszył z powrotem pod górę do Oesterlanggatan, skręcił w lewo, przez Stora Nygatan doszedł do mostu zwanego Vasabroen,

który doprowadził go do dworca kolejowego i do jego hotelu. Przeszedł znacznie dłuższą niż zazwyczaj trasę i kiedy dotarł na miejsce, był zziębnięty, a mimo to zlany potem.

Hotel Lantona mieścił się w nieciekawym, wzniesionym w latach czterdziestych budynku, który jakimś cudem uniknął rozbiórki, kiedy inwestujący w te tereny biznesmeni budowali obok, z jednej strony Stockholm-Sheraton i z drugiej „Elegant-80” – wytworny sklep ze szwedzkimi meblami. Stojący między nimi hotel wyglądał jak zaniedbana stara babcia Wśród swoich szykownych, młodych dzieci. W środku, za hałasującymi wahadłowymi drzwiami, znajdował się owalny hali z czerwoną marmurową posadzką i oświetleniem, które sprawiało, że już sam widok tego miejsca przyprawiał o ból głowy. W recepcji siedziała stara kobieta z białą czupryną; mrużąc i pociągając nosem, wręczyła Humphreyowi klucz. Trzęsącą się windą wjechał na górę i wszedł do swego pokoju.

Zwykle o tej porze wracał do domu, teraz poczuł się jednak dziwnie samotny w tym obcym mieście. Nie bardzo wiedział, co ma dalej robić. Może powinien zadzwonić do ambasady brytyjskiej i powiadomić o swoich podejrzeniach. A jeżeli pomylił się i mężczyzna wcale nie jest Klausem Hermannem, tylko niewinnym szwedzkim biznesmenem, przez przypadek podobnym do Hermanna? Jeśli ambasada brytyjska w ogóle nie zainteresuje się jego odkryciem – co wtedy? Zawiadomić Izrael? Tam muszą mieć kontakt z ludźmi takimi, jak Szymon Wiesenthal, którzy zajmują się ściganiem przestępców wojennych; będą wiedzieli, jak zaarrestować Hermanna i deportować go ze Szwecji. Humphrey zdawał sobie sprawę, że sam nie zdoła ująć Hermanna, mimo że jest co najmniej pięć lat od niego młodszy. Jeśli Hermann jest Hermannem, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że ma broń i zabije każdego, kto mógłby go zidentyfikować. Cóż znaczy jeszcze jedna śmierć, jeśli ma już ich na sumieniu trzy tysiące?

Humphrey zdjął płaszcz i marynarkę; powiesił je w szafie znajdującej się we wnęcie tuż obok umywalki, zapalił światło i przyjrzał się sobie w lustrze. Jeżeli Hermann jest Hermannem, to Humphrey ma szansę stać się sławny, prasa opublikuje jego zdjęcia, może wystąpi w telewizji – skromny mężczyzna, który przywiódł niebezpiecznego nazistowskiego zbrodniarza przed oblicze sprawiedliwości. „Aresztowanie groźnego nazisty dzięki urzędnikowi kancelarii prawnej z Derbyshire”. Palcem zadarł koniuszek nosa i sprawdził, czy z dziurek nie wystają długie włoski. Zawsze były dla niego objawem starzenia się i, nie zważając na ból, regularnie je wrywał.

Rozluźnił krawat i usiadł na brzegu łóżka. Pod oknem sypialni dwa autobusy jadące na lotnisko Arlanda zatrzymały się z warkotem dieslowskich silników, które podczas wsiadania pasażerów pracowały na wolnych obrotach. Humphrey usiadł wygodnie i, pogrążony w myślach, wsłuchiwał się w warkot autobusów, jakby oczekiwał od nich rady.

Może powinien stanąć twarzą w twarz z Hermannem. Poczekać na niego przed domem i gdy się pojawi, powiedzieć po prostu: *Hermann! Ich weiss wer Sie sind!* Ale oczywiście, jeżeli Hermann jest Hermannem, taka konfrontacja zaalarmuje go i da mu szansę ucieczki. To może być nawet niebezpieczne. A jeśli on nie jest Hermannem, to Humphrey tylko się ośmieszy.

Patrząc na to z innej strony – jaki właściwie obowiązek ścigania Hermanna ma po tylu latach? Czy w ogóle ma jakiś obowiązek? Wojna skończyła się czterdzieści parę lat temu i jeżeli ten siwowłosy, stary człowiek przeżył do dnia dzisiejszego, to czy teraz Humphrey ma prawo go zadenuncjować i posłać na pewną śmierć? Czy warto wskrzeszać tragiczną przeszłość? I cóż z tego, że tamten zawisnie na szubienicy u schyłku swego życia, skoro do tej pory nie poniósł żadnej kary za popełnione zbrodnie? Humphrey współczuł Żydom, ale nie działał ani z pobudek rasowych, ani religijnych.

Oczywiście, pracował dla BDG7, ale nikt z całej grupy przez wszystkie lata zbierania i opracowywania materiałów umożliwiających identyfikację nazistów, nie miał z nimi



bezpośredniego kontaktu. Z pogardą mówili o wszystkich zbrodniarzach wojennych „zasrańcy”, a niektórym wymyślili nawet przezwiska. Teraz wydaje się to w złym guście, ale podczas wojny wszyscy mieli do tego inny stosunek: musieli się tak ostentacyjnie zachowywać, bo inaczej dostaliby pomieszania zmysłów.

Tak naprawdę Humphreya pociągała świadomość, że tylko on zna miejsce pobytu Hermanna. Zachowując ten sekret dla siebie, miałby nad Hermannem niemal boską władzę. Po latach mógłby powiedzieć: „Kiedyś ocaliłem życie nazistowskiemu zbrodniarzowi wojennemu” – i to dopiero byłaby opowieść.

Niewątpliwie jego siostra byłaby z tego bardzo niezadowolona. Ona nie pochwałała nawet przystąpienia Wielkiej Brytanii do EWG, gdyż to oznaczałoby współpracę ze Szwabami.

Humphrey spojrział na kolorową fotografię zawieszoną u wezłowania łóżka. Przedstawiała młyny Gruvon nad jeziorem Vanern. Kiedy po raz pierwszy ją zobaczył, pomyślał, że nigdy w życiu nie widział tak nieciekawego zdjęcia.

Nagle podniósł słuchawkę telefonu znajdującego się obok łóżka i potrząsnął nią.

– Słucham – spytała stara kobieta z recepcji.

– Chciałbym zadzwonić do Cricklewood, w Anglii.

– Tak?

– Może mnie pani połączyć?

– Chce pan zamówić rozmowę telefoniczną?

– Tak, z Cricklewood, w Anglii.

– Krickelvo?

– Nie, nie, Cricklewood. Blisko Dollis Hill.

Rozległy się trzaski, potem dźwięk wykręcanego numeru, a później zapadła bardzo długa cisza. Humphrey odczekał chwilę, zanim znowu potrząsnął słuchawką i powiedział: „Halo? Halo?”, ale nie było odpowiedzi. Nie mógł się połączyć z recepcją, siedział więc ze słuchawką przyciśniętą do ucha, mając nadzieję, że kobieta w końcu odpowie.

Kiedy tak siedział, usłyszał ciche, delikatne pukanie do drzwi. Raz jeszcze powiedział do słuchawki: „Halo?”, a kiedy nikt się nie odezwał, położył ją na łóżku i podszedł do drzwi.

– Tak?! – zawołał. Ale ktokolwiek stał na zewnątrz, był albo głuchy, albo nie chciał się odezwać. – Tak? – spytał ponownie. Jedyłą odpowiedzią było powtórne, dyskretne pukanie.

Przekręcił klucz i otworzył drzwi. Na korytarzu, w kapeluszu z szerokim rondem, niemal całkowicie zasłaniającym twarz, stał mężczyzna, którego Humphrey wcześniej rozpoznał jako Klause Hermanna. Uniósł kapelusz, uśmiechnął się i mijając Humphreya, wszedł prosto do pokoju. Następnie odwrócił się, wskazał na drzwi i powiedział:

– Może je pan już zamknąć. – Po chwili dodał: – Proszę.

Humphrey spojrział na drzwi, potem na swoją rękę, którą trzymał klamkę. Nagle skojarzył jedno z drugim, przypominając sobie, do czego służy klamka; zamknął drzwi i stał, wpatrując się z lękiem w osławionego Klause Hermanna.

Hermann zlustrował pokój, popatrzył na swój kapelusz i w końcu powiedział:

– Nie jest to luksus, prawda, panie Browne?

– Wie pan, kim jestem? Hermann znowu się uśmiechnął.

– Pan wie, kim ja jestem, lub przynajmniej tak się panu wydaje.

– Jaaa... ja nie wiem. Wcale nie mam pewności. Chciałbym jednak wiedzieć, co pan tu robi. To jest mój pokój, nikomu nie wolno tu wchodzić.

– Tak – zgodził się Hermann. – Ale, wie pan, nie jesteśmy teraz w Anglii. Musi pan pamiętać,

że Szwecja była neutralna podczas pierwszej i drugiej wojny światowej. Jeśli więc narobi pan hałasu w Sztokholmie, to osiągnie pan zupełnie inny efekt, niż gdyby pan wywołał zamieszanie, dajmy na to, w Cricklewood.

Humphrey poczuł, jak przestaje mu bić serce, i pomyślał, że nigdy w życiu nie był tak bliski zawału.

– Muszę usiąść. Niech mi pan pozwoli – wydusił z trudem.

– Drogi panie Browne, to jest pański pokój. Może pan robić, na co ma pan ochotę.

Humphrey usiadł na łóżku i nagle uświadomił sobie, że nie położył jeszcze słuchawki na widełki. Podniósł ją i już miał powiedzieć starej kobiecie w recepcji, żeby wezwała policję, kiedy Hermann nakazał mu machnięciem kapelusza, aby ją odłożył. Potem usiadł obok niego tak blisko, że Humphrey czuł zapach jego gładkiego płaszcza ze skóry renifera, a także słodką, ostrą woń płynu po goleniu „Jacomo”.

– Przede wszystkim musi pan zrozumieć, że było już kilkunastu innych przed panem – powiedział Hermann. – Ostatnio rzadko przebywam w Szwecji, większość czasu spędzam w Związku Radzieckim. Ale pozwolili mi zatrzymać tutaj moje małe *pied-à-terre*, dzięki czemu mam kontakt z najnowszymi osiągnięciami Zachodu i, co najważniejsze, mogę widywać moją drogą Angelikę. Rosjanie doceniają potrzeby ducha, nawet u człowieka tak posuniętego w latach jak ja.

Hermann objął ramieniem Humphreya i uściśnął go z niespodziewaną siłą.

– Nigdy nie mógłbyś zostać szpiegiem, przyjacielu. Druga zasada, której każdy szpieg musi się nauczyć, brzmi: nawet obserwujący są obserwowani. Pierwsza zasada: nigdy nie idź do łóżka z Boliwijką. Pewnego dnia to zrozumiesz, a może i nie. Sądzisz, że cię nie zauważyłem, kiedy się we mnie wpatrywałeś w kawiarni? Myślisz, że od czasu do czasu nie zerkam przez okno mego mieszkania, by sprawdzić, czy ktoś podejrzany nie szwenda się przed domem? Starszy, kulturalny mężczyzna, taki jak ty, kręcący się przez ponad godzinę pod moimi oknami? Taak, to musiało wzbudzić moje podejrzenia. Czy ty na moim miejscu nie zacząłbyś czegoś podejrzewać?

– Muszę wytrzeć nos – powiedział Humphrey.

– Proszę – wylewnie odrzekł Hermann, jakby był ważną osobistością udzielającą pozwolenia na wytarcie nosa. – To twój pokój, rób, co ci się podoba. Musisz mi jednak powiedzieć, jak znalazłeś ten hotel.

– Ktoś mi go polecił.

– Polecił? Ale kto? Niemożliwe, żeby ktoś tak bardzo cię nie lubił.

Humphrey rozwinął chusteczkę ze swoimi inicjałami, dyskretnie wydmuchał nos i odpowiedział:

– Mój pastor. Zatrzymał się tu podczas zjazdu duchownych w 1955 roku.

Hermann pokiwał głową.

– Rozumiem. Chyba możemy mu wybaczyć. Hotel na pewno inaczej wyglądał w pięćdziesiątym piątym roku.

Humphrey nie wytrzymał.

– A więc to prawda? Kim pan jest?

– Czy jest prawdą to, kim jestem? Cóż za osobliwe pytanie. Oczywiście, to prawda. Jestem, kim jestem, i bez względu na to, kim jestem, dla pana jestem nikim, w każdym razie nie tym, kim mógłby się pan zainteresować, panie Browne. No i oczywiście dlatego tu przyszedłem: chciałem wyraźnie powiedzieć, że bez względu na to, co pan myśli, jest pan w błędzie, i usilnie nalegam, aby powstrzymał się pan od wyciągania pochopnych wniosków. Wzrok może nas wprowadzać w błąd, jak pan wie, nie tylko dlatego, że się starzejemy, ale i dlatego, że działamy pod wpływem emocji.

Widzimy to, co z całego serca chcielibyśmy zobaczyć. Jakże nasze oczy nas zwodzą!

Humphreyowi zaschło w ustach. Odezwał się tak spokojnym głosem, na jaki tylko mógł się zdobyć:

– Sądzę, że jest pan Klausem Hermannem, współpracownikiem doktora Josepha Mengele i lekarzem obozowym w Ravensbrueck, a następnie w Herbstwaldzie.

Hermann położył rękę na ustach i długo siedział pogrążony w myślach. W końcu spojrzął na Humphreya i uśmiechnął się.

– Oczywiście, myli się pan. Ale każdy może raz w życiu popełnić błąd.

Wstał i pracowicie zmieniał kształt swego kapelusza. Te blisko osadzone oczy były zadziwiające: kiedy Hermann patrzył na kogoś, nie było wiadomo, czy za chwilę wybuchnie śmiechem, czy rozwali mu toporem głowę.

– Przykro mi – powiedział – że zadał pan sobie tyle trudu i sprawił sobie tyle kłopotu, stojąc na zimnie na Pilogatan, a jedynym miejscem, do którego mógł pan wrócić, jest ten pokój. Straszny tu hałas, prawda? Po drugiej stronie jest Centralstationen? No tak, lepiej już pójdę.

– Zastanawiam się, czy nie złożyć raportu w pańskiej sprawie – rzekł Humphrey.

Hermann uśmiechał się w dalszym ciągu.

– Oznaczałoby to dwie pomyłki. Pierwsza to błędna identyfikacja. Druga – złożenie raportu. Na pana miejscu zastanowiłbym się nad tym jeszcze raz i nie popełnił żadnego z tych błędów.

– Ale pan jest Klausem Hermannem – zaprotestował Humphrey trochę śmieiej, widząc, że tamten nie ma zamiaru zastrzelić go, pobić czy też uprowadzić.

Hermann popatrzył na niego.

– Pan naprawdę wierzy, że jestem Klausem Hermannem? Czy jest pan do końca o tym przekonany?

– Nie mam wątpliwości. Podczas wojny pracowałem w BDG7. Wie pan, zbieraliśmy informacje na temat zbrodniarzy wojennych.

– Aha, stąd pańskie zainteresowanie moją osobą. Był pan prawnikiem.

– Właściwie urzędnikiem w kancelarii adwokackiej – poprawił go Humphrey.

– A zatem – powiedział Hermann i ścisnął Humphreya za ramię – wierzy pan zdecydowanie w to, że jestem Klausem Hermannem. Nie ma pan żadnych wątpliwości? Czy jest pan pewien do tego stopnia, żeby założyć się o wszystkie swoje pieniądze?

Humphrey pokiwał głową, nie bardzo wiedząc, co tamten ma na myśli.

– Jest pan pewny na tyle, by przysiąc, że to prawda, nawet gdyby pana poddano torturom? – spytał Hermann.

– Wydaje mi się – odpowiedział Humphrey – że pana groźby nie mają sensu. Może pan tylko pogorszyć tym sprawę.

– Ale powiedział pan, że jest zdecydowany.

– Jestem. Mam absolutną pewność.

Hermann zbliżył twarz i Humphrey poczuł od niego woń nikotyny.

– Tak pewny, że gotów jest pan umrzeć za to, co uważa pan za prawdę?

Humphreya przeszył chłód. Hermann stał blisko, budząc niepokój swą wielką twarzą. Nagle jednak, dość niespodziewanie, uśmiechnął się, założył kapelusz i otworzył drzwi.

– Na razie dziękuję panu – powiedział. – Ale pewnie znowu się spotkamy.

Zamknął cicho drzwi, jakby Humphrey był obłożnie chorym człowiekiem, któremu nie należy zakłócać spokoju. Humphrey usłyszał oddalające się korytarzem kroki, a potem stukot drzwi windy. Podszedł do okna i spojrzął na ulicę, by zobaczyć, jak Hermann opuszcza hotel. Czy zostawił tu

samochód, czy przyjechał taksówką? Ale daszek hotelu zaciemniał chodnik i przez niebieski neon Lantona trudno było cokolwiek zauważyć.

Kiedy Humphrey opuścił zasłony i wrócił na łóżko, zadzwonił telefon. Popatrzył nań przez sekundę, może dwie, następnie podniósł słuchawkę.

– Czy będzie pan jadł kolację w hotelu, panie Browne?

– Tak, dziękuję. Około ósmej, jeśli można.

– Aha.

Odłożył słuchawkę i natychmiast podniósł ją ponownie.

– Tak?

– Ten telefon do Londynu. Może mnie pani połączyć? Starsza kobieta nie odpowiedziała, ale zaczęła go łączyć; słyszał dźwięk nakręcanej tarczy. Nie dzwonił pod ten numer od jedenastu lat, ale przypomniał go sobie bez trudu – jak twarz Klausa Hermanna. Miał uporządkowaną pamięć urzędnika. Numer do Anglii – 44, do Cricklewood – 208.

Wydawało mu się, że upłynęły długie minuty, zanim usłyszał dość zirytowany głos:

– Milner.

Po czym jeszcze bardziej zgryźliwie:

– Milner.

– Major Milner? – spytał Humphrey. – Przepraszam, że niepokoję pana o tej porze, mówi Humphrey Browne.

Major zastanawiał się w milczeniu, zanim powiedział:

– Humphrey! Co za niespodzianka. To musi być... co... no, tak, lata. Mój drogi przyjacielu!

– Trafiłem właśnie na coś dziwnego – wyjaśnił Humphrey. Zerknął na drzwi; nagle przyszło mu na myśl, że pewnie Hermann wcale nie wyszedł z hotelu, tylko wrócił tu cichaczem, aby zobaczyć, co zrobi Humphrey. Może stoi teraz za drzwiami i podsłuchuje.

– Mam wrażenie, że jesteś strasznie daleko. Skąd dzwonisz? Chyba nie z Derbyshire?

– Nie, jestem w Sztokholmie.

– W Sztokholmie? Mój drogi przyjacielu! Cóż ty tam właściwie robisz? Ten telefon będzie cię kosztował fortunę.

– Istotnie, majorze, ale wydaje mi się, że odkryłem coś ważnego, co ma związek z naszą działalnością.

– Naprawdę? Dobry Boże, Sztokholm! Świetnie cię słychać, zważywszy, że dzwonisz ze Sztokholmu.

– Majorze – nalegał Humphrey. – Widziałem dziś mężczyznę, który odpowiada opisowi Klausa Hermanna.

– Kogo?

Znów zapadła cisza. Major widocznie zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Po chwili spytał:

– Hermanna? Jesteś pewien?

– Całkowicie pewien. Nawet z nim rozmawiałem, właściwie to on rozmawiał ze mną. Nie przyznał się, że jest Hermannem, ale dał mi do zrozumienia, że mogę mieć nieprzyjemności, jeśli z kimkolwiek podzielę się swoimi podejrzeniami. Nie powiedział tego tak dokładnie, ale zasugerował, że mnie sprzątnie, jeśli pan wie, co mam na myśli.

– Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę jest Hermann – stwierdził major Milner. – Po tylu latach. I co on robi w Sztokholmie? Z ostatniej informacji, jaką o nim otrzymaliśmy, wynikało, że jest w drodze do Ekwadoru. Do Ekwadoru? Czy do Nikaragui?

– Majorze, mogłem popełnić jakieś błędy w procedurze prawnej, ale nigdy nie pomyliłem twarzy „zasrańca”. Ani razu. Wie pan o tym. Wszyscy w biurze to wiedzą.

– Hmm – rzekł major Milner.

Humphrey wyobraził sobie, jak major wydyma górną wargę i jego wąsy stają sztorcem niczym igły małego jeża.

– Jak pan myśli, co powinienem zrobić? – spytał Humphrey. – Na Boga, nie chcę, żeby mnie zabił.

– Och, nie sądzę, żeby groziło ci jakieś niebezpieczeństwo. Na twoim miejscu zapomniałbym o całej sprawie. Ten facet jest prawdopodobnie zupełnie niewinny, ma po prostu pecha, że tak przypomina Hermanna. Dla mnie wszyscy Niemcy wyglądają tak samo; nie wiem, jak ich rozróżniasz. Wspomniałeś, że rozmawiał z tobą?

– Zgadza się. Poszedłem za nim do domu, ale później on przyszedł za mną do hotelu.

– Gdzie mieszka?

– Majorze Milner, jeśli nie wierzy pan, że to Hermann, to chyba nie ma znaczenia, gdzie mieszka.

Major odchrząknął.

– Chcesz mnie zdenerwować, Humphrey?

– Nie, majorze, ale...

– Zawsze byłeś trochę złośliwy, nieprawdaż, Humphrey? No, nic nie szkodzi. Gdybym był na twoim miejscu, zapomniałbym o całej sprawie. Korzystaj z wakacji, baw się dobrze.

– Martwię się, majorze. A jeśli Hermann dojdzie do wniosku, że stanowią dla niego zbyt duże ryzyko? Myślałem, że przynajmniej mógłby pan...

– Mógłbym co? Już nic nie mogę zrobić, Humphrey. Jestem na emeryturze. Nie mam już żadnych kontaktów z ministerstwem. W dalszym ciągu wszystko trzymają tam w największej tajemnicy – nie mam już naprawdę żadnych wpływów. Przenoszą cię na emeryturę, zamykają za tobą bramę i już dla nich nie istniejesz. Zajmuję się tylko ogródkiem i oglądaniem telewizji. Widziałeś kiedyś *Coronation Street*? Cholernie dobry program.

– Majorze...

– Powiedziałeś, gdzie mieszka? Hermann? – przerwał mu Milner.

– Nie – odpowiedział Humphrey.

– Aha – rzekł major. – No, dobrze. Nie chcę cię dłużej zatrzymywać. I tak słono zapłacisz.

Humphrey zawahał się. Major Milner nic nie powiedział. Kable telefoniczne śpiewały swoje tajemnicze i żałosne pieśni, jakby przekazywały wiadomości z odległych galaktyk – niezrozumiałe i nieskończenie smutne.

– Pilogatan siedemnaście, trzecie piętro – powiedział Humphrey i odłożył słuchawkę.



## Trzy

Już na nią czekał, kiedy podjechała pod frontowe schody swym purpurowym ferrari. Uniósł sztywno rękę w powitalnym geście i okrążywszy samochód, podszedł otworzyć jej drzwi. Stał chwilę, czekając, aż zgarnie torebkę, okulary słoneczne, szalik i wsunie pantofle na nogi. Dopiero wtedy obdarzyła go uśmiechem przypominającym wyciśniętą cytrynę i powiedziała:

– Witaj, Reynard. Przytyłeś.

Reynard schylił się, by ją pocałować w policzek, ale odwróciła głowę.

– Zawsze za dużo jem, kiedy doskwiera mi samotność. Pamiętasz ten okres, kiedy musiałem zostać w Brukseli? – spytał.

– W Brukseli wszyscy za dużo jedzą – ścięła go. – Tam nie ma nic więcej do roboty. I trudno mi uwierzyć, że jesteś samotny. Nie z Chiffon Trent, która kręci się wokół ciebie.

Reynard poszedł za nią przez wyłożony kamieniami podjazd i wszedł po półkolistych, marmurowych schodach. W otwartych drzwiach czekał na nich Dick Elmwood. Ukłonił się Grecie, kiedy mijała go dostojnym krokiem. Wykrzywiając się, rzucił spojrzenie na Reynarda.

– Odstaw samochód pani, Dick – powiedział Reynard. – To znaczy, jeśli pani zdecyduje się tu zostać.

– Pani przyjechała tu po prostu przeprowadzić pertraktacje – odcięła się z hallu Greta. – Możesz zostawić samochód tam, gdzie stoi.

Reynard zawahał się przez sekundę, potem wzruszył ramionami i powiedział:

– W porządku, Dick. Niech tam zostanie.

Greta – z rękami na biodrach, zadartym nosem, w kostiumie od Geoffreya Beene’a za 650 dolarów – rozglądała się dokoła, stojąc pośrodku dużego, okrągłego hallu z jasnozielonymi ścianami i białym, eleganckim, marmurowym kominkiem.

– Chyba nic się tu nie zmieniło. Ciągłe ten sam dawny zapach śmierci.

– Jedni go czują, inni nie – próbował żartobliwie odpowiedzieć Reynard, ale zabrzmiało to tak, jakby miał piasek między zębami. – Czy to Carl ci powiedział o Chiffon Trent?

– Carl? – powtórzyła Greta i przeszła do salonu, nie udzielając odpowiedzi.

– Chyba mi nie powiesz, że znowu nasłałaś na mnie Agencję Dyskretnej Informacji Nathana.

– Nathan zbiera informacje tylko w tych sprawach, które wymagają dyskrecji. – Spojrzała na niego z mieszaniną złości i politowania. – Ty i Chiffon Trent tak cholernie się afiszujecie, że równie dobrze moglibyście opublikować swoje zdjęcie w „People”.

– Jadamy razem kolacje, to wszystko – wyjaśnił Reynard. – Daj spokój, Greto, przecież to ty mnie porzuciłaś. Nie możesz mieć pretensji, że względy towarzyskie zmuszają mnie do pokazania się od czasu do czasu z jakąś damą u boku.

– Damą! – prychnęła pogardliwie. Po chwili krzyknęła: – Przewiesiłeś Troya! Co, do diabła, on tam robi?!

Chodziło jej o olejny szkic do obrazu *Estera mdlejąca przed obliczem Aswerusa* pędzla Jeana Francois de Troya. Ostateczna wersja tego dzieła znajdowała się w galerii Maurice’a Segoura w Nowym Jorku. Reynard przewiesił szkic znad kominka w nie oświetlony róg pokoju koło okna.

– Przewiesiłem go, ponieważ przypomina mi ciebie. Piękną – kobietę w sztucznym omdleniu.

Greta usiadła, zakładając nogę na nogę. Otworzyła torebkę i wyjęła złotą papierośnicę, Reynard podał jej ogień; zaciągając się dymem, spojrzała na niego.

– Wiesz, zmieniłeś się – powiedziała, wypuszczając dym. – stałeś się gruboskórny. A może



byłeś taki, a ja tego nie zauważyłam. Masz nawet grube rysy.

– Rysy? – spytał.

Odłożył ciężką, stołową zapalniczkę firmy Dupont i usiadł naprzeciw Greta.

– No cóż, to nie najlepsza wiadomość. Kto będzie głosował na mnie, jeśli mam tak grube rysy?

– Och, nie martw się, będą na ciebie głosowały miliony. – Greta uśmiechnęła się. – Amerykańskich wyborców zawsze najbardziej pociągali ludzie wulgarni, nadużywający słów i gestów. Jeśli naprawdę będziesz miał szczęście, to nie tylko zobaczą, że masz grube rysy, ale przypomną sobie, że byłeś jednym z najbardziej opluwanych współpracowników Lyndona Johnsona.

Reynard zabębnił palcami o pozłacaną poręcz krzesła.

– Co byś powiedziała na kieliszek wina? W dalszym ciągu pijesz Sancerre?

Tak bardzo starał się nad sobą panować, że nawet kiedy mówił, miał napięte mięśnie twarzy. Adwokat ostrzegwał go: „Bądź cierpliwy – to wszystko, co mogę ci poradzić. Nie narzucaj swoich opinii. I nie wpadaj w gniew”. Chciał, żeby Maurice był tutaj tego popołudnia, przynajmniej po to, by odparować uszczypliwe uwagi Greta, jej podchwytliwe pytania i bezlitosny sarkazm, ale ona nalegała, by spotkali się tylko we dwoje – żadnych prawników, żadnych pochlebców, żadnej obstawy. Zawsze nienawidziła otaczających go polityków, ludzi robiących mu reklamę, jego sekretarzy i księgowych. Znalazła dla nich zbiorową nazwę – „kłębowisko żmij”. Wierzyła, że kiedy Reynard jest sam, może mu sprawić większy ból, nawet jeśli jest od niej mądrzejszy. Cierpienie, zarówno jej, jak i Reynarda, odegrało dużą rolę w życiu Greta. Cierpienie dominowało w ich małżeństwie.

Żyli w separacji prawie od dziesięciu miesięcy, chociaż nikt, oprócz najbliższych im osób – dzieci, przyjaciół i adwokatów – nie wiedział, że rozstali się na dobre. Greta mieszkała w Newport – w białym, letnim domu zbudowanym w 1884 roku przez dziadka Reynarda – Leonarda, który dorobił się fortuny na kolei żelaznej. Dzieci wysłali do szkół w Anglii. Reynard spędzał większość czasu w Waszyngtonie lub Nowym Jorku i bardzo rzadko mógł przyjeżdżać na weekendy do rodzinnej siedziby w New Hampshire. Od trzech miesięcy była to jego pierwsza wizyta w Concord, ale już następnego ranka musiał wrócić pierwszym samolotem do Waszyngtonu.

Oboje byli bogaci, ustosunkowani i atrakcyjni, bez względu na jej kpiny z braku poloru Reynarda. Ich małżeństwo zgodnie z wszelkimi prawami natury i zasadami amerykańskich wyższych sfer powinno być trwałe i szczęśliwe. Greta, z domu Verrier, druga córka Pasquisea Verriera, była niską blondynką o twarzy delikatnej jak drezdeńska porcelana, o niebieskich oczach, którymi można by ciąć diamenty. Reynard, najstarszy z trzech braci Kellych – najbardziej wpływowych ludzi w kręgach towarzyskich i politycznych New Hampshire – był lepiej zbudowany niż John i Lincoln; od czasu, gdy został przewodniczącym Komisji Budżetowej, znacznie posiwiał, a jego włosy stały się sztywne niczym drut. Ale jak na człowieka po sześćdziesiątce wyglądał wciąż młodo; na zdjęciu w „Saturday Evening Post” z jego twarzy emanowała szczerłość, coś amerykańskiego, zdrowego i świeżego. Mógł przebiec dwie mile, nie tracąc oddechu, i przepłynąć trzydzieści długości basenu jak zawodowy pływak. Bez wątpienia był obdarzony największą charyzmą spośród wszystkich demokratów z Północy, chociaż jego zebrania przedwyborcze często kończyły się skandalem i rezygnacją z dalszej walki o prezydencki fotel. W 1984 roku jego nazwisko zostało wplątane przez „The Washington Post” w skandal z toksycznymi odpadami; niesłusznie, jak się później okazało, ale zbyt późno, by mógł zabiegać o prezydenturę. W 1980 roku powiązano go z Ellen Wangerin, byłą dziewczyną Sydneya „Świni” Mandello; i ta mała, brudna afera zmusiła go do podjęcia „swobodnej decyzji” wycofania się z walki i złożenia w telewizji publicznego oświadczenia, że on i Greta przechodzili „chwilowy kryzys małżeński, taki sam, jaki przeżywa osiemdziesiąt procent

Amerykańów”. Dodał jednak, że teraz jego więzy małżeńskie są silniejsze niż kiedykolwiek.

Nazwisko Kelly błyszczało jednak wystarczająco, by umożliwić Reynardowi przeżycie obu tych skandali, a co więcej, wyszedł z nich z honorem. Jego apetyt na piękne dziewczęta pozostał jednak nienasycony, nałogowe zamiłowanie do ruletki sprawiało zaś, że przebywał zawsze w towarzystwie ludzi, którzy nie cieszyli się zbyt dobrą reputacją, ludzi, którzy chętnie dostarczali mu wszelkich przyjemności życia – erotycznych, sensacyjnych i zaspokajających jego podniebienie smakosza. Nie był człowiekiem zepsutym, ale zbyt lubił przyjemności, jakie dawała władza, by pozostać absolutnie uczciwym.

Teraz jednak pragnął zostać prezydentem. Doradcy rozważyli wszystkie jego polityczne szanse i sprawdzili, co kryją przykre tajemnice rodzinne. Był gotów – jak nigdy. Osiągnął odpowiedni wiek – dojrzał do następnego posunięcia. Był demokratą, którego program polityczny uwzględniał sprawy rozbrojenia, ubezpieczeń społecznych i nowego, rewolucyjnego systemu obniżenia kosztów subwencjonowania lecznictwa. Sprawiał wrażenie człowieka, który może być orędownikiem bezrobotnych – nieustępliwy i życzliwy bohater z legendarnym nazwiskiem, którego musi okazać się godny.

Istniała tylko jedna bezpośrednia przeszkoda: Greta. Jeśli Reynard ma zamiar starać się o fotel prezydencki, będzie jej potrzebował. Dlatego poprosił ją o rozmowę w Colonnades. Chciał zostać prezydentem, a prezydent musi mieć Pierwszą Damę. Był przygotowany do rozmowy o pieniądzach, domach, jachtach i wyścigach konnych – wszystkim, co mogłoby zagwarantować, że Greta odegra rolę kochającej i wspierającej go żony, przynajmniej tak długo, jak długo będzie siedział za biurkiem w Gabinetcie Ovalnym.

Wiedział, że Biały Dom pociąga Gretę – w przeciwnym razie nie przybyłaby na to spotkanie. Nie wiedział jednak, czego zażąda w zamian za swój występ. Greta nie należała do kobiet, które wybaczą – nikt z rodziny Verrier nigdy nie wybacza – i zdążyła mu już zabrać dom, samochód i prawie pół miliona dolarów rocznej pensji. „Mój *pourboire*”, mawiała o tej pensji. „Mój napiwek”.

Tak więc w salonie w Colonnades, wśród starych mebli z matowego drewna, bezcennych dywanów i jasnoniebieskich, bogato wykończonych aksamitnych draperii z jedwabnymi frędzlami, znalazło się dwoje zamożnych i podejrzliwych ludzi. Na zewnątrz było zimno i niespokojnie, wokół, na obszarze 326 akrów leżała ich posiadłość, sięgająca aż po Dak Hill na północy i Conant's Acre na południu. Drzewa pastwiska, dzikie łąki i szumiące na wietrze pola kukurydzy Za mmi ciągnęły się Góry Białe, a na ich stokach wysokogórskie trasy narciarskie.

Spotkało się dwoje bogatych i podejrzliwych ludzi – od porozumienia między nimi mogła zależeć polityczna i społeczna przyszłość Stanów Zjednoczonych.

– Oczywiście będziesz musiał porzucić Chiffon Trent – odezwała się Greta.  
– Czy to naprawdę konieczne? Nikt nie musi o tym wiedzieć. Nie chciałbym zranić jej uczuć.  
– Dziewczyny, z którymi romansujesz, są wystarczająco nierozważne i zasługują na to wszystko, co je spotyka – odparowała zjadliwie Greta. – Chyba nie będziesz współczuł pogromczyni lwów, jeśli lew odgryzie jej głowę? To przede wszystkim ona ponosi winę za to, że, jej głowa utknęła w jego paszczy.

– Chiffon jest... inna – zaprotestował Reynard. – Rozumie mnie. Nikt do tej pory tak mnie nie rozumiał jak Chiffon.

– Chiffon to jej prawdziwe imię?  
– Oczywiście, że prawdziwe. Zresztą co to za różnica?  
– Nie wiem. Pomyślałam po prostu, że dziewczyna, z którą się spotykasz, nie powinna mieć na

imię Szyfon, raczej Perkal lub Juta.

Reynard zacisnął usta.

– Jesteś suką, wiesz o tym? – rzucił gniewnie. – Byłaś suką i nią jesteś.

– Czemu się tym martwisz? Masz Chiffon. Chiffon cię rozumie.

– Przejdźmy w końcu do rzeczy – zażądał.

– Chętnie – odpowiedziała Greta. – Uwielbiam z tobą rozmawiać, Reynardzie, ale nie po to przebyłam taki szmat drogi, żebyśmy opowiadali sobie dowcipy. Z tego, co mi powiedziałeś przez telefon, wnioskuję, że znów masz zamiar zgłosić swoją kandydaturę.

– Uwarunkowania polityczne są idealne.

– Chcesz powiedzieć, że Amerykę ogarnęła nieodparta chęć wyciągnięcia się z „Bagna Moralnego” i rzucenia się w „Otchłań Bezdennej Głupoty”?

– Wiesz co? – warknął Reynard. – Pamiętam, że kiedyś szanowałaś moje poglądy polityczne.

– Żeby szanować poglądy, trzeba szanować człowieka, który je głosi – wyjaśniła Greta.

– Ale wciąż jesteś w Partii Demokratycznej? W dalszym ciągu chcesz zobaczyć w Białym Domu prezydenta demokrate?

– Nawet gdybyś ty nim został? To masz na myśli? No cóż, chyba tak. Ale nie sądzę, żebyś miał duże szanse na nominację. Masz już za sobą dwie porażki. Dzięki tobie wybuchła afera z toksycznymi odpadami.

– Wiesz, że nie miałem z tym nic wspólnego.

– Wiem, że pokazano, iż nie miałeś z tym nic wspólnego.

Reynard wstał i podszedł do oszklonych drzwi. Spojrzał na wyłożone kamieniami patio, gdzie doniczkowe gerania drżały na popołudniowym wietrze.

– Do dnia wyborów, w listopadzie przyszłego roku, Ameryka będzie żyła w coraz większym strachu. Strachu o przyszłość, bezpieczeństwo i gospodarkę. Będzie się zbliżała zima, a to oznacza, że każdy bezrobotny zacznie się zastanawiać, jak zdobyć indyka na Boże Narodzenie. Starsi ludzie będą się martwili wysokimi kosztami ogrzewania mieszkań. Młodszy absolwenci szkół po raz pierwszy w życiu staną tej zimy w kolejce po darmową zupę. Strach, Greto. Wszystko do tego się sprowadza. Tylko strach. I w takiej sytuacji ja wkroczę na scenę.

Greta zgłotła na wpół wypalony papierosa.

– Chcesz powiedzieć, że zamiast kusić swoich wyborców, masz zamiar przestraszyć ich, by na ciebie głosowali? Myślę, że osiągniesz to bez trudu. Moja matka zawsze powtarzała, że Lon Chaney robi w portki ze strachu przed tobą, a cóż dopiero Lon Chaney junior. Twoje oczy, mówiła. Nigdy nie wierz człowiekowi, który świdruje cię wzrokiem.

– Twoja matka była arystokratką bez arystokratycznego rodowodu.

– Moja matka była wystarczająco dobra, żeby ci oddać swoją jedyną córkę.

– Oddać? Twoja matka nigdy niczego nie dawała. Pamiętasz ten szal, który twój ojciec tak bardzo lubił? Sprzedała mu go. Sprzedała za siedemnaście dolarów. Powiedział mi kiedyś o tym przy jakimś drinku. Sama widzisz, ile cię to kosztowało. Ręka, noga i przetrącony krzyż.

Greta milczała. Reynard patrzył na nią długo, aż w końcu powiedział:

– Staram się o prezydencką nominację, Greto, i tym razem mi się to uda. Ludzie w tym kraju boją się, a ja chcę uwolnić ich od strachu. Wiesz, co to oznacza? Koniec z bezrobociem, horrendalnymi kosztami leczenia, przestępstwami, korupcją i upadkiem miast. Chcę dać to, czego rozpaczliwie pragnie każdy wyborca.

– Zatem liczysz się z porażką? – zapytała Greta. – Nie sądzisz, że najpierw powinni zgłosić twoją kandydaturę? Będziesz miał twarde orzechy do zgryzienia: groźnych przeciwników z lepszą niż

ty przeszłością. – Po chwili dodała zirytowana: – Kazałeś przynieść to wino?

– To, czy wysuną moją kandydaturę, czy nie, zależy od partii – powiedział Reynard. – Ale to, czy zostanę wybrany na prezydenta, zależy od tego, ile osób odda na mnie głos. Oczekuję tylko jawnego i szczerego poparcia dla jawnych i szczerych przedsięwzięć.

– Jawne mogę ci zapewnić – obiecała Greta. – Czy będzie szczerze – nie jestem pewna.

Reynard odsunął się od szklanych drzwi i usiadł.

– Greto, ten kraj musi znowu zacząć żyć jak jedna rodzina; jedynym sposobem na osiągnięcie tego jest otoczenie opieką słabych, chorych i bezbronnych – tak jak robi to każda rodzina. Mój program polityczny przewiduje niezwykle rozbudowany system wydatków rządowych, znacznie udoskonaloną opiekę zdrowotną, nowoczesne budownictwo, pomoc dla ludzi pozbawionych środków do życia i bezrobotnych.

– Przypuszczam, że koszty tego wszystkiego pokryją wyższe podatki? – zapytała Greta.

Reynard spojrział na nią stanowczo i odpowiedział:

– Rząd jest po to, by pomagać i służyć ludziom, ale oni ze swej strony muszą przyjąć odpowiedzialność, zarówno moralną, jak i finansową, jakiej żąda prawdziwie opiekuńcza władza. Obecna administracja kieruje się egoizmem: chleb dla bogatych, kamień dla biednych. Dobry rząd powinien mieć ludzkie oblicze i od początku do końca sprawować władzę z prawdziwą życzliwością. Przypuszczam, że wysuną moją kandydaturę i wygram wybory, ponieważ jestem gotów stanąć na czele narodu i przekonać go, że troszczę się o każdego członka rodziny, której na imię Stany Zjednoczone: bogacza, biedaka, urzędnika, robotnika, alkoholika, nędzarza, narkomana, prostytutkę czy stręczyciela.

– Troszczysz się o stręczycieli?

– O wszystkich troszczę się tak samo.

– Rozumiem – powiedziała Greta. – Szkoda, że nie dowiodłeś tego żonie i dzieciom. Domyślam się, że kiedy weźmiesz pod opiekuńcze skrzydła dwieście milionów ludzi, będziesz musiał znacznie rozciągnąć przykrótką kołdrę.

– Greto...

– Och, nie myśl o tym – odrzekła. – Wiem, że na swój sposób troszczysz się o nich. I myślę, że dotrzymasz słowa. Do licha, gdzie jest to wino?

Niemal w tym samym momencie rozległo się pukanie i do salonu weszła piękna, czarna dziewczyna z kręconymi włosami, w biało-czarnym mundurku. Wykrochmalony fartuszek ciasno opinał przesadnie duży biust. Greta przyglądała się służącej ze starannie wystudiowanym zdziwieniem, kiedy ta, rytmicznie kręcąc biodrami, niosła przez pokój srebrną tacę.

– To jest, no, Eunice – wyjaśnił Reynard, gdy służąca pochyliła się jak „króliczek” z nocnego klubu i postawiła srebrny kubełek z butelką wina Sancerre i dwa irlandzkie kryształowe kielichy.

– Miło mi panią poznać, madam – Eunice wyszczerzyła zęby w uśmiechu, mrugając jednocześnie.

– Eunice jest małą dziewczynką Mamy Rice. No, może już nie taką małą – powiedział przymilnie Reynard.

– Raczej nie – oświadczyła Greta. I po chwili, kiedy Eunice zamknęła za sobą drzwi, dodała: – Nie mówiłeś mi, że prowadzisz badania stosunków między rasami, a w każdym razie że prowadzisz je osobiście.

Reynardowi, który właśnie napełnił kielich Grety, nieznacznie zadrżała ręka.

– Większość koneserów utrzymuje, że to wino ma „zjadliwy” posmak – stwierdził, podając jej kielich.

– *A votre sante* – rzekła z uśmiechem Greta.

– Wiesz, dlaczego cię poprosiłem, abyś tu przyjechała? – zagadnął Reynard.

– Wiem. – Kiwnęła głową. – Ale z ogromną przyjemnością zobaczę, jak się wijesz i skręcasz, próbując mi to wytłumaczyć.

Reynard pociągnął łyk wina i odstawił kielich na stojący obok stolik. Nie przepadał za białym wytrawnym winem; zazwyczaj pijał burgunda. Tyle że burgund zawsze wywoływał u niego potworny ból głowy, tak samo jak u Grety. Już teraz czuł dokuczliwe łupanie w skroniach.

– Jako mężczyzna żyjący w separacji nie mogę się starać o wysunięcie mojej kandydatury na prezydenta – zaczął. – Prezydent o liberalnych przekonaniach, takich jak moje, musi być uważany za ojca narodu, który ma szczęśliwą rodzinę. Ta, która mieszka w Białym Domu, jest miniaturą narodu; oznacza to, że muszę sprowadzić dzieci z Anglii, muszę także prosić ciebie, abyś wróciła i dzieliła ze mną życie jako Pierwsza Dama.

– Może powinieneś pomyśleć o tym, zanim tak upodobałeś sobie Katherine – odparła Greta. Chodziło o romans Reynar – da z kobietą o łabędziej szyi, panią Katherine T. Welsh, który w końcu doprowadził Gretę do spakowania walizek i opuszczenia Colonnades na dobre. Pani Welsh – słodka jak ulepek i boleśnie piękna – była jej szkolną przyjaciółką. Myśl, że Reynard sypia właśnie z nią, była dla Grety nie do zniesienia. Miała wrażenie, że zbezczeszczono zarówno jej przeszłość, jak i przyszłość.

– Potraktuj to jako propozycję ubicia interesu – powiedział Reynard, ruszając rękami, jakby kręcił kostką Rubika. – Proponuję ci pracę, czteroletni kontrakt. Prezydent przecież potrzebuje Pierwszej Damy, jeśli ma zamiar przenieść się do prestiżowej siedziby, pod najwytworniejszym w całym państwie adresem. Mnóstwo obowiązków towarzyskich, intensywna działalność dobroczynna, stale uśmiechnięta twarz...

– A jakie otrzymam wynagrodzenie? – spytała Greta.

– Cóż, to zależy od tego, czy jesteś tym zainteresowana.

– Powiedz, co masz na myśli?

– Ogromne pieniądze, oczywiście. A po upływie czterech lat pakiet najwyżej notowanych akcji.

– Naprawdę masz zamiar wynająć swoją żonę, z którą jesteś w separacji, po to, by stworzyć oszukańczy front polityczny?

– „Oszukańczy” to złe słowo – odpowiedział Reynard. – Powiedziałbym raczej „stabilny”. Stabilny wizerunek społeczno-polityczny. To, że nie zgadzamy się ze sobą, nie przekreśla szansy na stworzenie przez nas obrazu idealnej pary, która będzie dla milionów Amerykanów tak bardzo im potrzebnym przykładem i natchnieniem. Na miłość boską, Robert Wagner i Stephanie Powers nie są małżeństwem – z tego, co wiem, nawet się nie lubią – ale nikt nie oskarża *Hart to Hart* o oszustwo.

– Reynard, jeśli nie widzisz różnicy między *Hart to Hart* a prezydenturą Stanów Zjednoczonych, nie sądzę, abyś nadawał się na to stanowisko.

– Cholera! Oczywiście, że widzę różnicę – warknął. Po czym dodał, z trudem nad sobą panując: – Oczywiście, że widzę różnicę. Po prostu używam *Hart to Hart* jako metafory. Jeżeli pan Wagner i panna Powers odgrywają tak przekonująco rolę szczęśliwego małżeństwa w świecie fikcji literackiej, to nie ma powodu, żebyśmy nie mogli być równie przekonujący w świecie polityki. Zarówno fikcja literacka, jak i polityka docierają do ogółu dzięki tym samym środkom przekazu; można zatem wykorzystać te same pomysły.

Greta pociągnęła łyk wina. Przez chwilę trzymała je w ustach, zanim przełknęła.

– Myślę, że przyjmujesz fałszywe założenie – rzekła.

– Jakże?

– Zakładasz, że powiem „tak”. Zakładasz także, że powiem „tak”, zgadzając się na warunki, jakie ty uznasz za możliwe do przyjęcia.

– Proponuję ci – rzekł Reynard – trzy do trzech i pół miliona dolarów, które otrzymasz zgodnie z harmonogramem, w zależności od rozwoju naszego kontraktu.

– Co rozumiesz przez „rozwój naszego kontraktu”?

– Za trzy i pół miliona dolarów, Greto, oczekuję od Pierwszej Damy, żeby zachowywała się jak Pierwsza Dama.

– Ach, tak – rzekła – chcesz powiedzieć, że przestaniesz mi płacić, jeśli nie będę cię całowała dostatecznie często i traktowała jak najukochańszego męża?

Reynard spojrział na kieliszek z winem i postanowił nie pić już więcej.

– Musisz tylko zaakceptować reguły gry. Jeśli generalnie wyrazisz zgodę, resztę opracują nasi pracownicy. Wszystko dostaniesz na piśmie.

Greta przez parę sekund nie odrywała od niego wzroku. W końcu powiedziała:

– Zdajesz sobie sprawę, jak niebezpiecznym dokumentem będzie ten kontrakt? Skąd wiesz, że nie będę cię nim szantażowała do końca życia?

– Z dwóch powodów – odpowiedział. – Po pierwsze, w kontrakcie zostanie zastrzeżone prawo do zniszczenia wszystkich kopii dokumentów po wykonaniu zadania. Po drugie, żadne z nas nie otrzyma pozwolenia na przechowywanie kopii kontraktu: obie zostaną zdeponowane u kogoś trzeciego, kto nie jest zainteresowany tą sprawą. Na przykład w banku lub u sędziego Sądu Najwyższego.

– A jeżeli komuś o tym powiem?

– Przewidzieliśmy z Maurice’em i taką ewentualność. Oczywiście, nigdzie nie zostanie to zapisane, ale możesz mi wierzyć, że jeśli spróbujesz wykorzystać tę umowę, by mnie w jakikolwiek sposób zastraszyć czy też wymusić pieniądze, wtedy zajmiemy się tobą.

– Zajmiecie? Chcesz powiedzieć, że mnie zamordujecie? – Greta zaśmiała się chrapliwie. – Biedny Reynard, myślę, że powinieneś zostać telewizyjnym detektywem, a nie politykiem. Tylko wyobraź sobie: „Prawo Reynarda”, ósma wieczorem, na wszystkich kanałach TV. „Jeśli spróbujesz wykorzystać tę umowę, aby mnie zastraszyć, Greto, zajmiemy się tobą”. O Boże, czasami jesteś wzruszający, albo jeszcze gorzej: jesteś infantylny.

– A więc? – spytał Reynard, przechylając głowę. Mogła go wyzywać, jak jej się żywnie podobało, doprowadzając go tym do furii, nad którą udawało mu się zapanować, lecz nie mogła go oskarżać o brak inteligencji.

– A więc? – powtórzyła.

– A więc zaakceptujesz kontrakt – rzekł przymilnie. Greta podniosła głowę. Na tym właśnie polegał kłopot z Reynardem – znał zbyt dobrze jej zagrania i słabe punkty. Mimo widocznej naiwności i pompatyczności, zawsze był doskonale ubrany: jasnoszary wełniany garnitur, skarpetki bez jednej zmarszczki, koszule z wyhaftowanym białym monogramem. Ten nieskazitelny strój jawnie dowodził, że jest tak bogaty, iż może sobie pozwolić na naiwność i kliwłość, nawet na popełnienie błędu. Nie miał najmniejszych kłopotów finansowych, był tak oderwany od codziennych, brutalnych zmartwień, gnębiących amerykańską rodzinę, o której mówił z taką sympatią, że mógł z uśmiechem opowiadać, iż troszczy się o prostytutki i stręczycieli. Na tym polegała jego siła. Niewielu polityków mogło sobie pozwolić na tak beznadziejną głupotę. Mówił, że troszczy się o prostytutki, cholera, podczas gdy przywoici, ciężko pracujący ludzie z Milwaukee, Seattle, Detroit stali w niekończących się kolejkach, czekając na możliwość zdobycia pracy za trzysta pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, a szacowne rodziny z warstw średnich musiały robić zakupy w sklepach z używanymi

towarami. Ale ci sami przyzwoci i poważni ludzie będą głosowali na Reynarda z takim entuzjazmem, jakby był ich starym przyjacielem – i równie entuzjastycznie Greta w końcu odpowie „tak” na jego propozycję. Wiedziała o tym i nienawidziła za to siebie i jego. Ale on nosił nazwisko Kelly, a nikomu z tej rodziny nie można się było oprzeć.

– Musisz mi dać trochę czasu do namysłu.

– Oczywiście.

– Jesteś zerem, wiesz? – powiedziała i gwałtownie pociągnęła łyk wina.

Reynard wzruszył ramionami. Zastanawiał się, jak to się dzieje, że żywi do niej tak ambiwalentne uczucia: podniecała go i uwielbiał jej chłodną wyniosłość, ale jednocześnie irytowała do granic wytrzymałości. Nic na całym świecie, nawet zwierzę, roślina czy minerał, nie mogło go tak zdenerwować jak ona. Może nigdy nie powinni się pobierać. Może nigdy nie powinni się rozdzielać. Może – i to chyba była najtrafniejsza myśl – nigdy nie powinni urodzić się na tej samej planecie. Przynajmniej nie w tym samym stuleciu.

– Muszę postawić ci parę warunków – odezwała się Greta.

– Domyślałem się, że będziesz chciała to zrobić – stwierdził. – Chodzi ci o coś szczególnego czy możemy to wszystko zostawić prawnikom?

– O coś szczególnego – powiedziała Greta. – Chcę, abyś mi obiecał, że w swoim sztabie wyborczym znajdziesz odpowiedzialne stanowisko dla mojego znajomego. Prawdziwe, nie synekurę. I, jeżeli zostaniesz wybrany, powierzysz mu stanowisko w rządzie, zgodne z jego oczekiwaniami.

– Chwileczkę, Greto...

– Znasz go – przerwała mu. – Nie jest głupcem; tak naprawdę pod wieloma względami jest mądrzejszy, niż ty kiedykolwiek będziesz. Poza tym tak się składa, że to demokracja, nie proszę cię zatem o posadę dla człowieka, przez którego mógłbyś mieć jakieś polityczne kłopoty. Chodzi o Walta Seabrooka.

– Doktora Walta Seabrooka? Tego ginekologa, z którym się spotykasz? Wygląda jak George McGovern w białym fartuchu.

– Tak się składa, że jest człowiekiem bardzo wrażliwym i politycznie doskonale zorientowanym. Jest także świetny w madżonga. Trzeba być wrażliwym, żeby dobrze grać w madżonga.

– W madżonga? – spytał Reynard z niedowierzaniem.

– Nalej mi jeszcze trochę wina – powiedziała Greta, a widząc jego wahanie, podniosła szklanekę i zapytała złośliwie: – Nalejesz?

– Gdzie znajdę miejsce w moim sztabie dla takiego telewizyjnego szarlatana jak Walt Seabrook? – spytał Reynard. – Pomijając już zupełnie to, że się z nim pieprzysz.

– Dlaczego ciągle cię kusi, żeby zachowywać się wulgarnie? – zapytała. – Walt Seabrook jest kimś bardzo szczególnym. To, że jesteśmy ze sobą związani, zarówno fizycznie, jak i duchowo, nie ma tu nic do rzeczy. To znaczy nie ma nic wspólnego z polityką. On chce zostać wiceministrem zdrowia i wiesz tak samo dobrze jak ja, że jest po prostu wymarzony na to stanowisko.

– Greto – zaprotestował Reynard – Walt Seabrook pozostaje dwadzieścia lat w tyle za rzeczywistością. Jest politycznym hipisem. Kiedy mówię o pomocy lekarskiej, mam na myśli ulgi podatkowe na budowę prywatnych ośrodków zdrowia i subsydia rządowe na leczenie nietypowych i kosztownych przypadków. Nie chodzi mi o bezpłatny plaster i paczuszkę trawki dla każdego, kto się zgłosi.

– Walt Seabrook jest właśnie tym człowiekiem, którego potrzebujesz – nalegała Greta. – Widziałeś go kiedyś w telewizji? Występował w specjalnym programie CBS poświęconym



zaburzeniom w funkcjonowaniu jajowodów. Był pełen ciepła. Mówił o stanach zapalnych jajowodów i naprawdę sprawiał wrażenie, że się tym przejmuje. Widać było, że przeżywa ból razem z kobietą, która cierpi, i że przeżywa również jej bezpłodność.

– Mówisz poważnie?

– Pytasz, czy mówię poważnie? Walt Seabrook jest człowiekiem.

– Czy mam przez to rozumieć, że ja nim nie jestem?

– Reynard, to jest warunek podpisania przez mnie tego kontraktu. Albo powiesz „tak”, albo nic z tego nie będzie.

Reynard spojrział w kierunku okna, jakby teraz chciał być na dworze i spacerować na świeżym powietrzu, zamiast omawiać mętne szczegóły politycznego kontraktu. Ale po chwili powiedział:

– Przypuszczam, że w dalszym ciągu będziesz chciała się z nim spotykać.

– Co? No oczywiście. Chyba nie masz zamiaru mnie prosić, abym go rzuciła?

– Ty mnie prosiłaś, żebym zerwał z Chiffon.

– Reynard – pożaliła się Greta – twój związek z Chiffon to tylko kolejny dwutygodniowy romans. Walt naprawdę liczy się w moim życiu, zapewne w końcu się pobierzemy.

– Przypuśćmy, że ktoś zobaczy cię w ramionach wiceministra zdrowia. Pierwsza Dama nie traci czasu z kochankiem. Cała sprawa legnie w gruzach, a kraj razem z nią.

– O co ci właściwie chodzi? Żeby przez cztery lata żyła w celibacie? To śmieszne. Poza tym nierealne.

– Chcę tylko powiedzieć, że będziesz musiała zachować daleko posuniętą dyskrecję. Mam na myśli dyskrecję graniczącą z niewidzialnością. Jeżeli usłyszę choć jedną plotkę o Pierwszej Damie cudzołożącej ze swoim byłym lekarzem, jeśli przeczytam choćby najmniejszą wzmiankę na ten temat w „National Enquire”, wtedy, zapewniam cię, umrzesz. I Walt także.

– Jesteś zazdrosny – prowokowała go Greta.

– Ja? Możliwe. Jestem tylko człowiekiem.

– Jesteś zazdrosny – powtórzyła. Jej oczy jaśniały złośliwym blaskiem. – Od środka zżera cię zazdrość.

– Tak więc? – spytał Reynard.

– Tak więc zaczynam się zastanawiać, czy starasz się o wysunięcie swojej kandydatury ze względu na przekonania polityczne, czy po prostu uznałeś to za najlepszy sposób ściągnięcia mnie z powrotem.

– Myślisz, że obchodzi mnie ten buc Seabrook?

– Oczywiście, w przeciwnym razie tak byś się nie denerwował, kiedy tylko wymienię jego imię.

– On mnie nie denerwuje.

– A właśnie, że tak.

– Posłuchaj, Greto! – krzyknął Reynard. – On mnie nie denerwuje! Uwierz mi, cokolwiek teraz robisz, to twoja sprawa. Walt Seabrook – przepraszam, doktor Walt Seabrook – to tylko twoja sprawa. Działasz na własną rękę.

– Zatem nie widzę przeszkód, żebyś się zgodził. Reynard spojrział na nią ze złością.

– Mam powiedzieć: „Tak, Walt Seabrook może pracować w moim sztabie”?

– Właśnie. I jeszcze: „Tak, może spodziewać się nominacji na wiceministra zdrowia”.

Reynard przeciągnął ręką po twarzy, spojrział na Gretę przez palce i powiedział:

– Za każdym razem, gdy cię spotykam, przypominam sobie, dlaczego cię oszukiwałem.

– Nieprawda. – Uśmiechnęła się. – Nie możesz sobie nawet przypomnieć, co jadłeś wczoraj podczas lunchu. Oszukujesz, gdyż jesteś nieuleczalnym kłamcą, taką już masz naturę. A twój plan

wygrania wyborów prezydenckich... nie sądzisz, że jest oszustwem? Z natury jesteś oszustem, Reynardzie Kelly. I to by było na tyle.

Reynard zastanawiał się przez chwilę w milczeniu. Greta wypła drugi kieliszek wina i wyjęła kolejnego papierosa. Promienie słoneczne padające na podłogę zaczęły zanikać: na zewnątrz krajobraz New Hampshire przedstawiał niepokojący widok – czarne, ołowiane niebo, groźne korony drzew, złowieszcze porywy wiatru.

W końcu Reynard rzekł:

– Zgoda, Walt Seabrook dostanie to, czego chce. Ty też. Pod warunkiem, że zachowacie milczenie. Nie tylko ty, Walt Seabrook także.

– Albo nas zabijesz – powiedziała Greta, zapalając papierosa i puszczając kółeczka z dymu.

– Tak – odpowiedział matowym głosem człowieka, który poddał się już dawno temu.



## Cztery

Trzymał w ramionach ciało Michaela tak czule, jakby chłopiec był jego synem i jakby wciąż żył. Spojrzał na białą, zastygłą twarz, nie poruszone oddechem nozdrza, powieki pokryte niebieskimi żyłkami; po chwili położył chłopca na kanapie, podpierając mu głowę poduszką, i powoli podciągnął kraciasty pled aż po szyję. Twarzy nie zakrył.

– Czy mogłam coś zrobić? Cokolwiek? – spytała matka Michaela. Na jej twarzy malowało się cierpienie. Za nią stał wysoki, milczący i oszołomiony ojciec Michaela. Przeniósł się tutaj, do New Hampshire, zmienił pracę – z zawodu był inżynierem – zmienił swoje życie tylko po to, by Michael mógł dorastać w zdrowszym otoczeniu.

Edmond zdjął stetoskop.

– Przykro mi, pani Osman, nic już nie mogło go uratować. – Znów popatrzył na Michaela. – Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób umarł ani dlaczego śmierć nastąpiła tak nagle. Koroner na pewno będzie chciał sam to wszystko sprawdzić. Z tego, co się zorientowałem, wynika, że chłopiec po prostu przestał oddychać.

– Nikt tak po prostu nie przestaje oddychać – zaprotestował pan Osman, wpatrując się w Edmonda z rozpaczą podszytą wściekłością. – Chcę powiedzieć, że nikt tak po prostu nie przestaje oddychać. – Zawahał się. – A zdarzają się takie przypadki?

Edmond wzruszył ramionami, nie tyle lekceważąco, ile bezradnie.

– Panie Osman, w tej chwili nie potrafię panu odpowiedzieć. Michael czuł się zupełnie dobrze, kiedy pańska żona widziała go po raz ostatni, prawda? Nie wystąpiła nagła gorączka? Nie narzekał na sztywnienie lub brak sił w rękach i nogach?

Pani Osman zagryzła wargi.

– Nigdy nie był zdrowszy – odpowiedziała głosem przepełnionym bólem. – Śmiał się, biegał, bawił się z kolegami.

Leżące na kanapie ciało Michaela wyglądało jak alabastrowy posąg. Edmondowi z jakiegoś powodu wydawało się przez chwilę, że chłopiec chce im tylko spłatać figła: nagle otworzy oczy, uśmiechnie się do nich szeroko, wybiegnie z domu i śmiejąc się, popędzi ulicą. Ale Michael nie będzie już więcej biegał, nie będzie już więcej się śmiał. Nic go już nie czeka, tylko nóż patologa przeprowadzającego sekcję, pogrzeb, spuszczenie trumny i parę kolorowych fotografii, na których nigdy już nie będzie starszy, postawionych na telewizorze.

Pani Osman zadrżała z bólu wywołanego utratą jedyne dziecko, bez którego jej życie nagle stało się puste.

– Pytałem o gorączkę – odezwał się Edmond – ponieważ to, co się tu wydarzyło, wskazuje na wystąpienie paraliżu mięśni międzyżebrowych, które umożliwiają oddychanie. To samo może stać się w... – Zawahał się, po czym dodał: – Wiem, że Michael był szczepiony, ale mamy tu tak wyraźne podobieństwo do polio, że nie mogę tego zlekceważyć.

– Przecież polio nie zabija tak szybko – powiedział pan Osman. Nie odrywał wzroku od Edmonda, aby nie patrzeć na syna.

– Zazwyczaj nie – przyznał Edmond. – Choroba rozwija się na ogół powoli i daje widoczne objawy: gorączkę, bóle, poboлевania, sztywność mięśni. Nie wiem, może całkowicie się mylę. Nie mam tutaj odpowiednich warunków, aby wydać autorytatywną opinię. Ale patolog na pewno wyjaśni, co się stało.

Stojąc przed państwem Osman i mówiąc im, że nie wie, co zabiło ich syna, czuł się

rozpaczliwie bezradny. Ale cóż innego mógł zrobić? Chłopiec po prostu przestał oddychać. Jego mięśnie międzyżebrowe zostały sparaliżowane. W normalnym przypadku Edmond powiązałby to z chorobą Heinego-Medina, ale jak to możliwe, aby w tak krótkim czasie rozwinął się tak ciężki paraliż? To, co przydarzyło się Michaelowi, wyglądało na coś zupełnie innego. Chyba jakiś wściekły wirus, który zabija, gdy tylko przeniknie do organizmu.

Pani Osman chwyciła Edmonda za ramię i ścisnęła tak mocno, że uszczypnęła go przez marynarkę.

– Oni nie... pokroją go, nic nie będą z nim robili?

– Nie – odpowiedział miękko Edmond. – Muszą wziąć próbkę płynu rdzeniowego, ale do tego potrzebna jest tylko igła. I prawdopodobnie wezmą cienki wycinek skóry, aby go zbadać pod mikroskopem. Muszą sprawdzić, czy Michael miał nadmiar komórek w płynie rdzeniowym lub nadmiar białka; badania te mogą dowieść, że był chory na heinemedinę.

– Heinemedinę? – wyszeptał pan Osman. – Kto by w to uwierzył?

– Nie mamy pewności – powiedział Edmond. Podeszedł do stołu i otworzył torbę, by schować słuchawki. Na ścianie przed nim wisiała reprodukcja słynnego obrazu Ranneya *Pionierzy*: obok kobiety na koniu idzie mężczyzna z muszkietem na ramieniu. Może w taki osobliwy sposób państwo Osman widzieli samych siebie – samotni pionierzy w odludnej krainie. Edmond usłyszał wycie syreny ambulansu wyjeżdżającego zza rogu Eddy Drive. Niepotrzebne są te syreny, pomyślał. Dla Michaela Osmana rozległy się za późno.

Ambulans zatrzymał się przed domem. Tuż za nim stanęła furgonetka w kolorze khaki, prowadzona przez patologa Os – cara Forda. Oscar, czerwony na twarzy, przeszedł spadzistą ścieżką przez ogródek i miał właśnie nacisnąć dzwonek, kiedy Edmond otworzył mu drzwi.

– Jak leci, E.C.? – spytał Oscar. Ścisnął rękę kolegi tak mocno, że ślubna obrączka boleśnie wpiła mu się w palce. – Nie widziałem cię u Motza w zeszłym tygodniu.

– Zatrzymano mnie w klinice pediatrycznej. Oscar poklepał Edmonda po ramieniu.

– Chyba za ciężko pracujesz. Joe Sullivan mówi, że gorliwością chcesz wyrobić sobie dobrą opinię. Pamiętaj, że to zadupie, E.C. Życie płynie tu wolniej; niewielu z nas wie, jak wymawiać słowo „gorliwość”, nie mówiąc już o tym, że nikomu nie zależy na zdobyciu takiej opinii. Joe mówi, że stajesz się lokalnym Albertem Schweitzerem.

– Mam nadzieję, że powiedział to życzliwie.

– Joe nigdy nie mówi niczego życzliwie. Aha, przy okazji, Judy spotkała Christy na targu w zeszłym tygodniu.

Edmond skrzywił się z irytacją.

– Wiem, Christy wspominała mi o tym.

– Judy mówiła, że Christy kupowała drobne upominki na twoje urodzinowe przyjęcie, które ma się odbyć w przyszłym tygodniu – powiedział Oscar. Nagle melodramatycznym gestem położył rękę na ustach. – O rany, tak mi przykro, E.C., naprawdę mi przykro. Obawiam się, że to nie będzie już niespodzianka.

Edmond spojrzał na niego posepnie. Podejrzewał, że Christy chce urządzać przyjęcie, ale nie miał co do tego pewności.

– Wiesz, Oscar – powiedział – jesteś bezkonkurencyjny.

– Chyba uratowałem ci życie – odrzekł Oscar, łypiąc okiem. – Niespodziewane przyjęcia są najczęstszą przyczyną zawałów, nie licząc oczywiście pieprzenia własnej sekretarki. Pamiętasz to masowe zabójstwo w Laconii? To było właśnie niespodziewane przyjęcie. Żona krzyknęła: „Niespodzianka!”, a mąż na to wyciągnął dubeltówkę i krzyknął: „Niespodzianka także dla ciebie,

staruszek!” i nim zdołano go powstrzymać, zastrzelił ją, swojego psa – charta rosyjskiego – i swojego maklera razem z trójką innych gości. Rozumiesz, to był wynik stresu. Układ nerwowy człowieka nie jest przygotowany na przyjęcie takiej niespodzianki. No, dobrze, gdzie są pozostali?

– Zwłoki chłopca – powiedział z naciskiem Edmond – leżą w salonie.

– Rodzice?

– Są razem z nim.

– Wyprowadź ich.

– Oscar...

– Powiedziałem: wyprowadź, nie: wyrzuć ich stamtąd. Nie jestem całkowicie pozbawiony wrażliwości, bez względu na to, co o mnie myślisz. Wiesz, co będę musiał zrobić z tym chłopcem; na pewno nie chcieliby na to patrzeć.

– Wyprowadzę ich – obiecał Edmond – ale jedno musisz sobie uświadomić. Ci ludzie właśnie stracili swoje jedyne dziecko. Słuchasz mnie?

– Myślisz, że nie potrafię być delikatny? – spytał Oscar.

– Chyba czasami zapominasz, że martwy człowiek to nie tylko materiał do sekcji. Wciąż jest drogi tym, którzy go kochają. To wszystko.

– E.C. – odezwał się ostro Oscar – utuliłem już w ramionach tyle łkających wdów, że nie mógłbyś ich zliczyć. A teraz wyprowadź rodziców, zanim ciało chłopca zacznie się rozkładać.

Edmond wrócił do salonu. Państwo Osman klęczeli na dywanie obok kanapy, odmawiając modlitwę nad ciałem syna. Zapadał zmierzch i w mrocznym pokoju twarz Michaela sprawiała wrażenie niemal świetlanej.

Kiedy państwo Osman skończyli modlitwę, Oscar powiedział: „Amen”. Edmond spojrzał na niego, ale Oscar pozostał niewzruszony. Niski, z rumianą twarzą, wyglądał bardziej na irlandzkiego przewoźnika niż patologa.

Edmond powiedział coś do państwa Osman, a potem poprowadził ich do drzwi. Zanim wyszli, pan Osman odezwał się drżącym głosem:

– Potraktuje go pan z szacunkiem, prawda? Oscar potaknął prawie niedostrzegalnie.

– Oczywiście, panie Osman – powiedział, jakby naprawdę tak myślał.

Kiedy państwo Osman opuścili pokój, Oscar przesunął lampę, zdjął abażur i zaśwycił nie osłoniętą żarówką, tak że światło padało na zwłoki. Ściągnął z ciała koc i wprawną ręką rozebrał chłopca. Edmond stał z tyłu, obserwując go w milczeniu.

– Jakie wnioski? – spytał Oscar, kiedy nakłuł klatkę piersiową Michaela i skierował lampę na twarz chłopca, oświetlając jego niesamowicie szkarłatne policzki.

– Wnioski dotyczące czego?

– Przyczyny śmierci, czegoż by innego? Musiałeś dojść do jakichś wniosków?

– Przeprowadziłem powierzchowne badanie na wypadek, gdyby była to choroba zakaźna.

– Zabezpieczasz tyły?

– Chronię sąsiadów.

– Och, przepraszam, zapomniałem, że jesteś DSZ.

– Co to, do diabła, jest DSZ? Oscar otarł ręce i uśmiechnął się.

– Doktor bez Skazy i Zmazy.

– Czy to też wymyślił Joe Sullivan?

– Powiesz mi w końcu, jakie wyciągnąłeś wnioski?

Edmond milczał przez chwilę. Następnie przedstawił swoją hipotezę:

– Nie mam pewności, ale wydaje się, że Michael zmarł na skutek uduszenia spowodowanego

paralizem lub urazowym skurczem mięśni układu oddechowego. Bez pobrania próbek płynu rdzeniowego mogę się tylko domyślać, że przyczyną śmierci był niezwykle gwałtowny atak paraliżu dziecięcego.

– Czy był chory? Miał gorączkę?

– Nie, przynajmniej rodzice nie mogą sobie przypomnieć żadnych objawów.

– Hmm – powiedział Oscar. Zamknął Michaelowi usta i naciągnął mu koc na głowę. – Czy rodzice domyślają się, gdzie w ciągu ostatnich paru tygodni mógł złapać coś takiego jak polio?

– Nie.

– Gdzie był dzisiaj?

– Jeździł na rowerze.

– Czy rodzice wiedzą, dokąd pojechał? Edmond potrząsnął głową.

– Powiedzieli, że jego najlepszy przyjaciel miał lekcje muzyki, więc Michael wybrał się gdzieś na własną rękę.

– Chcę mieć pewność, że sprawdzisz tego najlepszego przyjaciela – powiedział Oscar. – Najlepiej jeszcze dzisiaj.

– Już dzwoniłem do jego rodziców. Nazywa się Bernie Mayer i mieszka dwie przecznice dalej na północny zachód, przy Stratford Circle. Umówiłem się z nim na dziś wieczór.

Oscar rozsunął pośladki Michaela i fachowo wsunął w odbytnicę specjalny termometr. Następnie, przekręcając ciało, uważnie obejrzał ślady podobne do siniaków, spowodowane drobnymi wewnętrznymi krwotokami. Na podstawie tych oględzin będzie mógł potwierdzić czas zgonu chłopca, jaki w przybliżeniu podała pani Osman.

– Rozmawiałeś z rodzicami o sekcji zwłok? – spytał Oscar. – Oczywiście. Chyba zgadzają się z koniecznością jej przeprowadzenia. Chcą tylko, żeby go nie pokieroszowano.

Oscar spojrział wrogo na Edmonda i dopiero teraz zrozumiał, że ten odpłaca mu pięknym za nadobne, rewanżując się za wyjawienie tajemnicy Christy i popsucie urodzinowej niespodzianki.

– W porządku – powiedział. – Nie będzie pokieroszowany. – Zbadał paznokcie chłopca. – Wykonuję najczystszą robotę w branży i doskonale o tym wiesz. Jedno cięcie na głowie, by dostać się do mózgu, jedno cięcie na brzuchu, by dostać się do wnętrzości, i jedno, by rozdzielić mostek. To wszystko. I zawsze wykonane perfekcyjnie, z artyzmem, rozumiesz? – Prychnął pogardliwie i dodał: – Jak mógłbym go pokieroszować, na litość boską!

Stali obok siebie i patrzyli w milczeniu na zwłoki chłopca. Obaj czuli się zaniepokojeni tą śmiercią. Nie dlatego, że Michael był dzieckiem, które miało całe życie przed sobą – widzieli już zbyt dużo nieletnich ofiar – ale dlatego, że choroba, która go zabiła, zaatakowała tak szybko i w tak nietypowy sposób. Nigdy nie słyszeli, by paraliż dziecięcy spowodował uduszenie w ciągu paru minut, i nic w ich długoletniej praktyce lekarskiej nie wskazywało na możliwość wystąpienia takiego przypadku.

– To wygląda na heinemedinę – stwierdził Edmond.

– Wszystko na to wskazuje – przyznał Oscar. – Z tego, co się zorientowałem, śmierć prawdopodobnie spowodował wirusowy paraliż mięśni międzyżebrowych. Ale wiesz, co się mówi o pierwszym wrażeniu?

– No, co? – Edmond miał uczucie, że Oscar próbuje coś mu powiedzieć.

Oscar wyjął termometr z odbytnicy i uważnie mu się przyjrzał.

– To samo, co o wiejskich lekarzach, którzy kiedyś leczyli w mieście. Nie należy im wierzyć.

– Ach tak?

Oscar wytarł rękę.

– Mówią, że nikt nie przenosi się do New Hampshire, jeśli nie musi. Szczególnie wtedy, kiedy miał dochodową praktykę w centrum Manhattanu.

– Czy to jakaś aluzja? – spytał Edmond. Problem polegał na tym, że z grubsza przeczuwał, co Oscar chce mu powiedzieć.

Musiałoby to wyjść na jaw, prędzej czy później. Nie przypuszczał jednak, że nastąpi to tak szybko.

Oscar podszedł do okna i kiwnął na personel czekający w ambulansie. Po czym odwrócił się do Edmonda, włożył ręce do kieszeni, pociągnął nosem i znów spojrzał na ciało Michaela.

– Z jakiegoś głupiego powodu lubię cię. Myślę, że jesteś dobry, chociaż w normalnej sytuacji nie przyznałbym się do tego. Przypuszczam, że jesteś zbyt dobry na Concord, ale coś ci się przydarzyło na Manhattanie, o czym wiesz tylko ty i Wydział Zdrowia w Concord. A teraz staje się to tematem najdziwniejszych plotek w szpitalu, w pogotowiu, nie mówiąc już o miejscowym klubie.

– Jakich plotek?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Myślę, że mam prawo wiedzieć.

– No cóż, nie wiem, czy to prawda, ale wieść niesie, że musiałeś opuścić Nowy Jork, ponieważ próbowałeś przeprowadzić tracheotomię bez odpowiedniego przygotowania – używając tylko noża do krajania mięsa – na kobiecie, która się dusiła. Ponadto plotka głosi, że nie byłeś zbyt trzeźwy, chwiałeś się na nogach i w końcu podciąłeś jej gardło. Wyszedłeś z tego obronną ręką tylko dlatego, że ta kobieta była żoną twojego szefa i gdyby on ujawnił ten skandal, pogrzebałby swoją praktykę lekarską.

Edmond długo milczał, zanim zwrócił się do Oscara:

– Wierzysz w to wszystko? Oscar skrzywił się.

– Nie o to chodzi, czy wierzę. Liczy się to, że plotkują na twój temat.

– I?

– I właśnie próbuję cię ostrzec, abyś się nie wychylał – ani na scenie politycznej, ani medycznej.

Edmond nic nie powiedział, ale właśnie wtedy, gdy pani Osman otwierała drzwi ludziom z ambulansu, Oscar powiedział:

– W przyszłym roku będą wybory. Ktoś w ministerstwie zdrowia zatwierdził twoją nominację i umożliwił ci tu praktykę bez względu na to, co się mówi o twoich sprawkach. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? W przyszłym roku ten ktoś może mieć kłopoty z twojego powodu. Idę o zakład, że lokalne rekiny zaczną krążyć wokół tej sprawy – bez względu na to, co zrobiłeś i co zmusiło cię do natychmiastowego opuszczenia Manhattanu. Będzie to dla nich krwawą przynętą.

– Masz niezrównany sposób przedstawiania spraw.

Oscar wzruszył ramionami.

– Ja nic nie mówię, E.C., powtórzyłem ci tylko plotki. Jeżeli słyszysz, że zbliża się burza, to co robisz? Idziesz i kupujesz sobie piorunochron, rozumiesz? Ostrzeżony to uzbrojony.

– Posłuchaj... – powiedział Edmond.

– Była to przyjacielska przestroga, to wszystko. Mnie nie interesuje, co zrobiłeś, skąd przybyłeś i dlaczego. Dla mnie liczą się jedynie efekty twojej pracy. Ale to jest okres wyborów i są tu ludzie, dla których jest to naprawdę ważne.

Sanitariusze wnieśli do hallu nosze, otworzyli drzwi i spytali:

– Gdzie on jest? Tutaj?

– Tak – odpowiedział Oscar, wstając. – Obchodźcie się z nim delikatnie, dobrze? Edmond, jutro się z tobą skontaktuję. Może powinniśmy umówić się na drinka.



– Jasne – odrzekł bezbarwnym głosem Edmond, podniósł swoją torbę i wyszedł.

Choć zapadł już zmrok i zaczynało padać, wyruszył w długą drogę powrotną do domu w East Concord, tuż obok Shawmot Street. Radio nadawało spokojną i sentymentalną muzykę jazzową, która zawsze wywoływała w nim uczucie osamotnienia. Musi wszystko przemyśleć, zanim wróci do Christy. Musi się zastanowić nad tym, co jej powie. Co najgorsze, musi pomyśleć nad tym, jak się uporać ze swoją poplątaną przeszłością – przeszłością, która chyba nigdy nie pozwoli mu zapomnieć o sobie. Miał skrytą nadzieję, że zacznie nowe życie, kiedy osiedlą się w New Hampshire – Edmond Chandler, doktor medycyny, wizyty prywatne i konsultacje w klinice okręgu Merrimack.

Ale jego życie wciąż przytłaczały wspomnienia, od których nie mógł się wyzwolić.

Najbardziej zagmatwanym wspomnieniem była oczywiście Arabelle Thorn. Zmarła trzy i pół roku temu, ale w jego pamięci wciąż żyła, tak jak tamtego dnia, gdy kochali się po raz pierwszy. Wciąż ma przed oczami jej obraz, jak stoi w jasnej, letniej sukience przy otwartym oknie w East Hampton, zasłony falują na wietrze, ona zwraca ku niemu twarz z lekko rozchyłonymi ustami, a *Koncert cesarski* Beethovena wypełnia pokój jak smuga słońca. Arabelle nie żyje, odeszła wciąż rozpaczliwie niezapomniana.

Kiedyś mu powiedziała:

– Północ potrząsa pamięcią jak szalenciec zeschniętym geranium.

Zaciskając usta, z oczami błyszczącymi rozbawieniem czekała, aż spyta:

– Co to?

– T. S. Eliot – wyszeptała, całując go niespodziewanie we wrażliwe miejsce na przegubie ręki, i zgasła światło.

Teraz, na drodze między Sugar Ball i East Concord, w strumieniach deszczu podjechał na skraj szosy swoim camaro, zaciągnął ręczny hamulec i siedział nieruchomo. Wycieraczki piszczą, przesuając się po szybie, a Gil Evans ze swoją orkiestrą grał *Hotel Me*, jakby przesyłając Edmondowi wiadomość z przeszłości.

„Jeżeli słyszysz, że zbliża się burza, to co robisz? Idziesz i kupujesz sobie piorunochron”, zabrzmiały mu w uszach słowa Oscara Forda.

Edmond Chandler miał czterdzieści jeden lat, aczkolwiek niewiele osób, które spotkał, w to wierzyło. On sam z trudem to sobie uświadamiał. Do wieczora poprzedzającego jego czterdzieste urodziny myślał: To nie ja, żadna tam czterdziestka. To niemożliwe. Jestem świeżo upieczonym lekarzem, dopiero rozpocząłem karierę. Może trzydzieści pięć, góra – trzydzieści sześć. Ale nie czterdzieści. Nadszedł jednak ten dzień i kartki z życzeniami urodzinowymi stały się złośliwym dowodem, że ponad połowę życia ma już za sobą. I od tej pory coś w nim zgasło, przestał się wreszcie wysilać.

Przestał regularnie ćwiczyć, tylko od czasu do czasu grywał w squasha i dzięki temu nie utracił szczupłej sylwetki. Miał brązowe, zaczesane do tyłu włosy w stylu Clinta Eastwooda, ale jego twarz nie była tak kanciasta jak twarz aktora ani nie miał tak krzaczastych brwi. Kiedy czytał lub wypisywał recepty, zakładał okulary w cienkiej, szylkretowej oprawce. Prowadząc samochód, bez przerwy marszczył brwi, jakby próbował się zdecydować, czy na horyzoncie zobaczył karawanę, czy ukazała mu się tylko fatamorgana.

Fascynował go i jednocześnie przerażał stopniowy proces rozpadu, który zdawał się atakować jego ciało i umysł. Nie rozumiał, jak człowiek w jego wieku i sytuacji mógł w dalszym ciągu tak szalenie kochać dziewczynę, którą zabił, pozostając jednocześnie tak bardzo uzależniony od żony, która pomagała mu przetrwać.

Nigdy tak naprawdę nie dotarło doń, że Arabelle zmarła, a Christy została przy nim. Chyba nigdy nie był wart żadnej z nich – ani żyjącej żony, ani też zmarłej kochanki. Analizował siebie tak wiele razy, iż czuł, że samoanaliza paraliżuje go niby bandaże mumię i nie był już w stanie ani się ruszyć, ani myśleć. Mógł tylko siedzieć tak w deszczu – zmęczony, pokonany, dręczony ciągłymi obawami – słuchając wycieraczek ocierających się o szybę.

W końcu zwolnił hamulec, wrzucił kierunkowskaz i zjechał na szosę, by udać się do domu, który ukazał się za szybko – ledwo ruszył, a już stanął przed dużym, nowoczesnym, tarasowym budynkiem z gontowym dachem, podjazdem wysadzonym miniaturowymi drzewkami i spadzistym trawnikiem, który w świetle reflektorów błyszczał nienaturalną zielenią.

W domu paliły się wszystkie światła. Edmond widział wewnątrz salonu, w którym migotał telewizor, w doniczkach bujnie rosła juka, a jego dyplom lekarza, gustownie oprawiony w złoto, wisiał na ścianie z naturalnego kamienia. To nie była Osiemdziesiąta Piąta Wschodnia Ulica, ale w takim razie co to było? W oknie mignęła mu Christy, która odwróciła się i poszła w kierunku korytarza. Pewnie usłyszała warkot nadjeżdżającego samochodu. Miała na sobie purpurową domową suknię, którą tak bardzo lubił. Skierował camaro na łukowaty podjazd i zahamował. Wciąż siedział w samochodzie, kiedy Christy otworzyła drzwi frontowe i podniosła rękę, nie po to, by mu pomachać, lecz osłonić oczy przed padającym na ganek jasnym światłem.

Siedział w samochodzie tak długo, że w końcu wyszła na deszcz i zapukała w okno. Opuścił szybę; mokry podmuch wiatru wypełnił samochód zapachem perfum Arpege.

– Edmond? – spytała. Uśmiechnął się do niej słabo i pokiwał głową. – Co się stało? Dlaczego tutaj siedzisz? Chodź do domu, kolacja gotowa.

– Jestem zmęczony, to wszystko – powiedział, jak gdyby to było wystarczające wyjaśnienie. Zamknął okno, wyjął kluczyki i wysiadł.

W połowie drogi do domu odwróciła się i spojrzała na niego.

– No, chodź. Edmond?

Wszedł, zdjął płaszcz i powiesił na ozdobnym wieszaku, który kiedyś upiększał ich hali w Nowym Jorku. Tutaj, w Concord, wyglądał pretensjonalnie, ale takie wrażenie sprawiało niemal wszystko, co posiadali – ubrania, samochody, meble, obrazy. Ich salon umeblowany był eleganckimi, włoskimi stołami i krzesłami, które kupili u Acapellego na Fifth Avenue; na ścianie w korytarzu wisiały trzy barwne obrazy de Kooninga, dwa Richarda Lindera i jeden pędzla Andrew Stevovicha. W tym podmiejskim domu wszystko to wyglądało absurdalnie.

– Coś nie w porządku? – odezwała się Christy. – Jesteś blady, mój Boże, Edmond, jesteś przeraźliwie blady.

Usiadł i rozsznurował buty.

– Miałem ciężki dzień, to wszystko.

– Chcesz drinka?

– Tak, chętnie bym się czegoś napił.

Christy podeszła do lakierowanego chińskiego barku i zawahała się.

– Edmond – powiedziała – coś jest nie tak.

Spojrzał na nią. Przez ułamek sekundy bał się, że wybuchnie gniewem. Odetchnął jednak głęboko, by odzyskać spokój, i spróbował się uśmiechnąć.

– Umarł dzisiaj chłopiec. Miał dziesięć lat. Myślę, że to mnie tak zdenerwowało.

– Lara powiedziała mi, że zostałeś wezwany do nagłego przypadku – oznajmiła Christy. – Gdzieś na Conant's Acre.

– Przy Webster Crescent. Kiedy przyjechałem, chłopiec już nie żył.

– Znam go?

– Chyba nie. Państwo Osman. Mili ludzie. Od niedawna mieszkają w New Hampshire, są przybyszami, jak my. Możesz sobie wyobrazić, jak ciężko to przeżyli. Przenieśli się tu dlatego, że chcieli zapewnić synowi zdrowe powietrze i otwartą przestrzeń.

– Co to było? – spytała Christy.

– Co go zabiło? Nie wiem, przypuszczam, że heinemedina. Ale to nie był zwykły przypadek paraliżu. Rano chłopiec czuł się normalnie, a po południu już nie żył.

Christy otworzyła barek i naląła Edmondowi porządną porcję burbona. Ostatnio rzadko pił; nie miał do siebie zaufania. Ale od czasu do czasu musiał sobie strzelić coś mocniejszego i teraz nadszedł właśnie taki moment.

Edmond patrzył na nią, gdy zamykała butelkę. Odkąd przenieśli się do New Hampshire, sprawiała wrażenie pogodniejszej. Była szczupła, miała krągłe ramiona, ubierała się szykownie, świetnie pasowała do społeczności takiej jak ta, gdzie większość kobiet nosi dzinsy. Nawet w zwykłej sukni domowej wyglądała elegancko. W ostatnim czasie nabrała pewności siebie; oboje mniej pili i rzadziej dochodziło między nimi do ostrych kłótni. Może starzała się z wdziękiem. Może działała na nią uspokajająco okolica – pełna drzew, lasów i ciemnych, odbijających światło jezior.

A może – nigdy, co prawda, nie dopuszczał do siebie tej myśli – stała się spokojniejsza, ponieważ Arabelle nie żyła i Christy wiedziała, że on nie odważy się uwikłać w kolejny romans, jeśli nie chce stracić możliwości wykonywania zawodu. Harold Bunyan, który pierwszy zarekomendował go na to stanowisko, ostrzegł, że spłacił już swój dług wdzięczności i jeśli kiedykolwiek pojawi się choć cień skandalu, padnie jakieś słowo na temat złego prowadzenia się Edmonda – pozostawi go samemu sobie, prawdopodobnie bez możliwości wykonywania zawodu.

– Chyba to nie jest zaraźliwe? – zapytała Christy.

– Polio? Właściwie nie wiem. Zazwyczaj przenoszone jest przez zakażony kał. Nie będę miał pewności, dopóki Oscar nie zrobi wszystkich testów. Ale nawet wtedy chyba nie potrafi wszystkiego wytłumaczyć. Aha, coś mi powiedział.

– Co takiego?

– Judy widziała cię na targu, robiłaś zakupy.

– No i?

– Powiedział mi, z jakiej okazji poszłaś po zakupy.

Zirytowana Christy otworzyła i zamknęła usta.

– Powiedział ci? Powiedział ci o...?

Edmond kiwnął głową.

– O przyjęciu, które miało być niespodzianką, tak. Bardzo mi przykro. Oscar chciał po prostu być zabawny, taki ma już sposób bycia.

– Cha, cha, cha! Och, Edmond, niedobrze mi się robi na samą myśl o tym. Mam już prawie wszystko gotowe.

Edmond przełknął burbona i zakaszłał.

– W porządku, i tak nie chcę mieć czterdziestu dwu lat.

– Nie wysilaj się! Dlaczego, do diabła, Oscar musiał ci powiedzieć? I dlaczego Judy musiała wszystko wypaplać Os – carowi? Och, jestem cholernie zła.

– Dużo osób zaprosiłaś? – spytał Edmond.

– Czterdzieści.

– Cóż, spróbuję udawać, że jestem zaskoczony. Nie chcę im popsuć zabawy.

– To nie to samo – zaprotestowała Christy. – Cały dowcip z niespodziewanym przyjęciem

polega na tym, żeby naprawdę zaskoczyć.

– Kto na nim będzie? Ktoś z Nowego Jorku?

Christy podeszła do barku i nalała sobie ginu z tonikiem. Potem uklękła obok niego na dywanie i oparła łokieć o jego kolano. Pochylił się i pocałował ją w czoło. Jej oczy były koloru sasanek, niemal fiołkowe. Domowa suknia, którą miała na sobie, nieco się rozchyliła, tak że widział jej bujne piersi. Na chwilę zamilkli, słychać było tylko lekkie musowanie toniku w jej szklance.

– Chyba odwołam przyjęcie – powiedziała.

– Nie zaprosiłaś państwa Forbes, prawda?

– Szczerze mówiąc, zaprosiłam.

– I kogo jeszcze?

Potrząsnęła jego ręką i z roztargnieniem uderzyła ją delikatnie.

– Zaprosiłam twojego brata.

– Malcolma?

– Masz chyba tylko jednego brata.

– Naprawdę, czasami cię nie pojmuję – powiedział Edmond. – Od trzech lat nie rozmawiam z Malcolmem i nie mam zamiaru teraz zacząć. Cóż u diabła za przyjęcie chciałaś zorganizować? Krwawą łaźnię w New Hampshire?

Christy wyprostowała się, jej twarz spłonęła rumieńcem.

– Sądziłam, że nadszedł czas, abyście się pogodzili. On jest twoim bratem, Edmond. Nie możesz do końca życia udawać, że go nie znasz.

– Za to, co mi zrobił, mam prawo żądać krwi.

Christy miała już na końcu języka uszczypliwą uwagę, że wysysanie krwi stało się specjalnością Edmonda, ale wydeła tylko wargi, odwróciła wzrok i nic nie powiedziała.

– Wybacz mi – rzekł. – Ale nikt z mojej rodziny nigdy nie był mi szczególnie bliski i nie czuję potrzeby nawiązywania teraz z Malcolmem serdecznych kontaktów.

– No, cóż – stwierdziła Christy. – Chyba dobrze się stało, że Oscar powiedział ci o przyjęciu. Na pewno byłaby to głośna kłapa.

– Christy...

– Na litość boską, Edmond – mówiła zmęczonym głosem. – Zawsze się czegoś doszukujesz. Zawsze jesteś niezadowolony z tego, co dla ciebie robię, bez względu na to, jak bardzo się staram sprawić ci przyjemność. Problem polega na tym, że nie jesteś nawet perfekcjonistą. Chcesz po prostu, by wszystko było na twoją modłę.

Edmond trzymał ją za ramię, dotykając opuszkami palców jej szyi.

– Posłuchaj – powiedział – wydajmy mimo wszystko przyjęcie. Tylko już takie zwyczajne.

– Nie wiem. Mam wrażenie, że i tak nic z tego nie wyjdzie.

– Cóż, przemyśl to. Ja w każdym razie chciałbym, żeby się odbyło. Spróbuję się nawet przełamać i pogadam z Malcolmem.

Christy wypła drinka i wstała.

– Sama nie wiem. Muszę się nad tym zastanowić. Chcesz coś zjeść?

– Może się gdzieś wybierzemy? I tak muszę wrócić do Webster Crescent, żeby zbadać przyjaciela tego zmarłego chłopca. Wiesz, chcę się upewnić, czy nie został zarażony. Moglibyśmy wstąpić do klubu Penacook.

– Nie jestem odpowiednio ubrana – powiedziała.

Edmond odstawił szklankę i podszedł do Christy. Rozpiął cztery małe guziczki w kształcie kwiatków, przyszyte z przodu sukni, wsunął rękę do środka i ścisnął jej nagą pierś. Wydawało się, że

długo patrzyła mu w oczy. W końcu powiedziała: „Hmm” i odwróciła się. Edmond stał i patrzył, jak opuszcza salon i wchodzi po schodach.

Na podeście, na którym widać było tylko kostki jej nóg w czerwonych, plecionych sandałach, zatrzymała się, odwróciła i spytała:

– Nie idziesz?

Kiedy Edmond szedł na górę za Christy, Bernie Mayer pedałowal dokola Webster Crescent, jadąc na spotkanie z Michaeliem. Zahamował przed domem Osmanów, zdziwiony widokiem otwartego, pustego garażu i ciemnych okien.

Położył rower na trawie, podszedł do drzwi frontowych i przycisnął dzwonek. Usłyszał, jak brzęczy, ale nie było żadnej odpowiedzi. Zadzwoił jeszcze raz – w dalszym ciągu nikt nie otwierał. Było to przedziwne. Podwójnie przedziwne. Poszedł do garażu sprawdzić, czy jest tam rower Michaela. Był. Stał oparty o ścianę. Bernie przycisnął guzik, który powinien uruchomić rowerową syrenę, ale widocznie bateria się wyczerpała.

No tak, chyba Michael poszedł z rodzicami na hamburgera. Nie mówił, że mają taki zamiar; być może zdecydowali się w ostatniej chwili. To jednak nie było w porządku. Wiedzieli, że miał przyjść do nich później, mogli więc poczekać. Nie jego wina, że musiał pójść na tę głupią lekcję muzyki.

Poszedł na drugi koniec garażu. Może powinien wyjąć jednodolarówki, które na wszelki wypadek trzymali w skrytce ze znalezionymi skarbami? Przecież teraz znalazł się w krytycznej sytuacji. No, może nie była beznadziejna, ale po paru batonach poczułby się znacznie lepiej.

Odsunął na bok szmaty, puszki z farbą i wyjął obluzowaną cegłę. W tym końcu garażu było ciemno, ale nie chciał palić światła, by któryś z sąsiadów nie zauważył, że tutaj myszkuje. Niemniej jednak, gdy tylko włożył rękę do dziury i po omacku zaczął szukać w głębi skrytki, znalazł skórzaną walizeczkę. Potrójnie przedziwne, pomyślał. Michael znalazł nowy skarb, coś, czego nigdy przedtem nie widziałem, i ukrył tu.

Wyciągnął walizeczkę i podniósł ją, delikatnie potrząsając. Buteleczki, na pewno. Ale z czym? I dlaczego Michael je schował?

Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć: otworzyć je i zajrzeć do środka. Michael będzie miał nauczkę, żeby następnym razem nie wybierać się na hamburgera, nie czekając nawet na swego najlepszego przyjaciela. Będzie już wiedział, że nie wolno oszukiwać Berniego Mayera. Co on właściwie sobie wyobraża?



Przechadzał się majestatycznie, niczym pan Hulot, po nieprzytulnym dziedzińcu szwedzkiego pałacu królewskiego, robiąc po drodze zdjęcia szarych, niebanalnych budynków i dziwacznych, długowłosych wartowników w białych hełmach, kiedy uświadomił sobie dość wyraziście, że ktoś go obserwuje. Młody, wysoki blondyn w jasnej wiatrówce stał z założonymi rękami, opierając się o ścianę pałacu i z wilczą poządlivością bez najmniejszego zażenowania wpatrywał się w Humphreya. Młodzieniec był opalony i niezwykle przystojny, w typie instruktora narciarskiego. Humphrey od razu pomyślał: Och, nie, homoseksualista.

Humphrey schował filtry oraz swego nikona i dokładnie zapiął futerały. Potem żwawo zaczął opuszczać pałacowy dziedziniec, ostro stukając butami o kocie łby. Muszę oprzeć się pokusie spojrzenia za siebie, pomyślał. Wyglądałoby to na zachętę. Muszę się trzymać do niego plecami i bezzwłocznie, lecz bez pośpiechu opuścić pałac.

Humphrey nie był homoseksualistą, chociaż czasami się zastanawiał, czy jego kawalerskie życie – mieszkał tylko z siostrą – nie nasuwa takich podejrzeń niektórym jego przyjaciółom i sąsiadom. Kiedyś zakochał się w dziewczynie: miała na imię Marjorie, była zuchwała i piękna, z burzą loków. Codziennie rano jeździli tym samym autobusem i pewnego dnia zaprosił ją na herbatę, potem całowali się pod bramą parku. Ale była rozpaczliwie nieodpowiednia. Jego siostra stwierdziła: „Nie pasuje do nas, kochanie”, chociaż w pewnym sensie odnosiła się z sympatią do tego, co później zawsze określała jako „młodzieńcze szaleństwo Humphreya”.

Gdy wspominał tamte, powojenne lata, wydawało się, że wtedy cały czas trwał sierpień i że było mu niesamowicie gorąco w wełnianym swetrze. Teraz czuł bezlitosne, przenikające do szpiku kości zimno.

Dotarł do Stortorget – starego rynku – gdzie ze wszystkich stron otaczały go jednolite fasady średniowiecznych kamienic. Odwrócił się i z przerażeniem stwierdził, że wysoki młody człowiek stoi w odległości zaledwie paru kroków i, co gorsza, uśmiecha się.

– Pan Browne? – spytał z amerykańskim akcentem.

Humphrey nie ruszył się z miejsca, czując na plecach wiatr. Z bliska młody człowiek wydawał się jeszcze wyższy, a w jego ruchach było coś z atlety. *Jock* – tak chyba Amerykanie określają atletę. Ale to słowo wywołało nieprzyjemne skojarzenie *zjackstrap* – przepaską chroniącą narządy płciowe atlety. Humphrey prychnął, ale się nie odezwał. Nie wiedział, co powiedzieć, by nie zabrzmiało to ani złośliwie, ani bojaźliwie.

– Czy pan nazywa się Browne? – spytał mężczyzna, pokazując w uśmiechu równe, białe zęby.

– Co panu do tego? – rzekł Humphrey i natychmiast tego pożałował.

– Nazywam się Bill Bennett – powiedział tamten i wyciągnął do niego rękę. – Obserwowałem pana niemal całe popołudnie.

Humphrey zignorował wyciągniętą ku niemu dłoń. Mój Boże, pomyślał, jak bezczelny może być taki homoseksualista. Zaśmiał się dziwnie, bardziej ze zdenerwowania niż innego powodu, i powiedział:

– Nie interesuje mnie to. To, że jestem Anglikiem, nie oznacza wcale...

– Chyba pan nie rozumie – przerwał mu Bill Bennett, marszcząc brwi. – Przysłano mnie tutaj, bym z panem porozmawiał, ponieważ przekazał pan jakąś informację majorowi Millnerowi.

– Milnerowi – poprawił go Humphrey. Następnie, cedząc słowa: – Został pan tu przysłany? Przez kogo? Przysłano tu pana, ponieważ powiedziałem coś majorowi Milnerowi?

Bul Bennett rozejrzał się dookoła. Na ławce, w odległym zakątku placu, czterech starych, podochoconych sztokholmczyków piło wódkę prosto z butelek w brązowych papierowych torbach, wydając przy tym hałaśliwe odgłosy, jakby brali udział w konkursie chrząkania.

– Może pójdziemy na drinka? – spytał. Humphrey zawahał się.

– Miałem zamiar wrócić do hotelu i odpocząć.

– Mieszka pan obok hotelu Sheraton, prawda? Ja właśnie tam się zatrzymałem. Może teraz odpocznie pan trochę i spotkamy się w barze o siódmej? Czy to panu odpowiada?

– Cóż – powiedział Humphrey, czując się przeraźliwie niepewnie. – Niech będzie, ale chciałbym wiedzieć, o co chodzi.

Bill Bennett uśmiechnął się.

– Gra pan w tenisa?

– W tenisa? Co tenis ma z tym wspólnego?

– Nic, ale nie lubię zaniedbywać gry, nawet kiedy pracuję. Humphrey wrócił taksówką do Lantony, zamknął drzwi na klucz, rozebrał się i wziął gorącą kąpiel. Potem, cały purpurowy, owinięty płaszczem kąpielowym, usiadł na łóżku i zaczął się zastanawiać, czy powinien zadzwonić do majora Milnera i sprawdzić Billa Bennetta. Z jakiegoś powodu nie kwapił się jednak, aby to zrobić. Jak Bill Bennett mógł być kimś innym, skoro major Milner był jedynym człowiekiem, który wiedział, że Humphrey zidentyfikował Hermanna? Z wyjątkiem, oczywiście, samego Hermanna. A jeśli Hermann wiedział, że Humphrey dzwonił do Cricklewood, to musiała mu o tym powiedzieć stara kobieta z recepcji. To oznacza, że tak samo łatwo mogła podsłuchać jego rozmowę międzymiastową i przekazać jej treść Hermannowi.

Humphrey ogryzł paznokieć kciuka. Zupełnie nie podobało mu się to szpiegowanie. W powieściach Johna le Carre wszyscy prowadzili bajeczne życie, nad którym jednak całkowicie panowali. A cała ta sprawa z Hermannem była zbyt przypadkowa i przerażająca. Całkiem prawdopodobne, że zostanie zabity i ktoś wtedy dowie się o tym? Tylko jego siostra. I co robi? Nic. Usiądzie w kościele, ssąc miętówki, podczas gdy wielebny Johnson będzie mówił o śmierci jako o „wiecznej mgle ciemności”.

A niech to cholera weźmie, pomyślał, zdziwiony własną wulgarnością. Podniósł słuchawkę i poprosił o sygnał miejski, no czym wykręcił numer majora Milnera. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał. Major siedział pewnie w „Trzech Beczkach”, popijając whisky z wodą i opowiadając wszystkim, jaki z niego dobry kompan. Humphrey zmartwił się, ale jednocześnie poczuł pewną ulgę.

Bill Bennett czekał na niego, siedząc na czarnym, skórzanym stołku przy barze hotelu Sheraton. W tle słychać było cichą muzykę z magnetofonu i krzątających się po wypolerowanej posadzce podróżnych.

– Piwo proszę – powiedział Humphrey, sadowiąc się niezgrabnie na sąsiednim stołku. Przed Billem Bennettem stała duża szklanka napoju gruszkowego z plasterkiem cytryny.

– Nie pije pan? – spytał Humphrey, gdy dziewczyna przyniosła mu prippsa.

– Nie na służbie.

– Pan nie jest policjantem?

– Nie.

– Zatem przypuszczam, że jest pan szpiegiem. Tajnym agentem.

– Niezupełnie. Pracuję dla Służby Informacyjnej Stanów Zjednoczonych. Głównie w Ameryce Środkowej i Południowej.



Humphrey pociągnął łyk piwa i osuszył usta chusteczką. To wydaje się dziwne, że przysłali kogoś z Ameryki Południowej.

– Nie ma w tym nic dziwnego – powiedział Bill Bennett. – Ja także mam wprawę w identyfikacji byłych nazistów. Jeśli się działa na terenie Ameryki Południowej, to trzeba się zajmować także tym. Pierwszy rozpoznałem Barbiego, chociaż nie przyniosło mi to sławy.

– To ciekawe – skomentował Humphrey. – Podczas wojny pracowałem dla BDG7, przez lata uczyłem się rozpoznawać nazistowskich zbrodniarzy wojennych. Mógłbym wyłowić w tłumie Martina Bormanna, nawet gdyby miał wąsy jak Chaplin. Szczęcę się tym, że w dalszym ciągu potrafiłbym to zrobić... no, gdyby żył, oczywiście.

– Widział pan Hermanna. – Bill Bennett uśmiechnął się do niego. – Przynajmniej tak się panu wydawało.

– Och, widziałem go, nawet z nim rozmawiałem. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to on... Kawał drania z tego Hermanna.

– Major Milner... Milner, nie mylę się?... powiedział, że pan zawsze był najlepszy. Śmietanka zespołu, mówił o panu.

– To dla mnie komplement – rzekł Humphrey. Nagle poczuł sympatię do tego młodego Billa Bennetta, szczególnie teraz, kiedy stało się jasne, że nie zamierzał się do niego przystawiać. – Wie pan, to wymaga umiejętności szczególnego patrzenia. Nie wszyscy ją mają. Trzeba zwracać uwagę na kształt głowy, uszu, a szczególnie na miejsce między oczami, gdzie łączą się: nos, oczy i czoło. Ten jeden jedyny cal kwadratowy jest najbardziej charakterystyczną częścią ludzkiej twarzy; nawet jeśli przefarbuję się włosy i zrobi operację plastyczną nosa, nigdy nie uda się zmienić wyglądu tego miejsca. Kiedyś myślałem o napisaniu na ten temat: „Zasady identyfikacji przestępców według Browne’a”. Ale wie pan, jak to jest: ciągle są ważniejsze sprawy do załatwienia, a czas mija.

– Dlaczego zadzwonił pan do majora Milnera? – spytał Bill Bennett, uważnie przyglądając się Humphreyowi.

Humphrey wzruszył ramionami. Sam tego do końca nie wiedział.

– Przypuszczam, że z poczucia obowiązku – zasugerował. – A może z chęci zaimponowania? Wie pan, to niemal bohaterstwo: rozpoznać człowieka po czterdziestu czterech latach, jeśli się go nigdy nie widziało na własne oczy. Mieliśmy tylko trzy fotografie i portret narysowany przez jednego z więźniów. Ale nie ma wątpliwości, że to Hermann. Przynajmniej ja ich nie mam. I dlaczego próbowałby mnie zastraszyć, gdyby to nie był on? Może mi pan to wytłumaczyć?

– Mieszkanie przy Pilogatan 17 jest wynajmowane – odpowiedział Bennett. – Należy do szwedzkiego towarzystwa handlowego o nazwie Soedertaelje Exports. Handluje głównie ze Związkiem Radzieckim: elektronika, tworzywa sztuczne, środki farmaceutyczne, tego rodzaju towary. Hermann... jeżeli to jest Hermann... wynajmuje mieszkanie pod nazwiskiem Rangstroem.

– Był pan tam? – spytał Humphrey. Zdziwił się i trochę zaniepokoił tym, że Amerykanie wykazali tak nagłe i żywiołowe zainteresowanie jego odkryciem. Pociągnął kolejny łyk niwa i zorientował się, że skończył je o wiele szybciej, niż zamierzał.

– Jeszcze jedno piwo dla pana Browne’a – rzucił barmanowi Bill Bennett. Kiedy Humphrey zaczął protestować, Bennett powiedział: – Niech pan pije. Zasłużył pan sobie na to.

– No, jeśli tak pan uważa... Ale za chwilę będę musiał iść do toalety. To szwedzkie piwo po prostu przepływa przeze mnie.

– Skontaktowałem się z panem – kontynuował Bennett – ponieważ chcemy mieć absolutną pewność, że nie zaszła pomyłka.

– Ma pan zamiar go aresztować?

– To zależy.

– Rozumiem. Zatem istnieje prawdopodobieństwo, że będę musiał stanąć przed sądem, wskazać na niego i tak dalej.

– No właśnie. Najważniejsze, aby mieć stuprocentową pewność, że to on.

– Rozumiem – powtórzył Humphrey. Nagle zmienił temat. – Wie pan, pomyślałem przed zaśnięciem wczorajszej – a może poprzedniej – nocy, w każdym razie pomyślałem, że to niezwykle, by hitlerowski zbrodniarz wojenny uciekł do Rosji. Większość z nich wyjechała do Ameryki Południowej, nieprawdaż? Barbie, Mengele i Eichmann. Hermann. Hermann postąpił dziwnie, udając się do Rosji. Zdumiewa mnie, że nie rozerwali go na strzępy.

– Hermann miał coś, czego Rosjanie potrzebowali. Był medycznym ekwiwalentem Wenera von Brauna, jeśli wie pan, co chcę przez to powiedzieć. On i Mengele przez lata przeprowadzali wszelkiego rodzaju eksperymenty medyczne i oczywiście osiągnęli ogromny postęp, ponieważ do swoich badań wykorzystywali Żydów. Nie szczury, świnki morskie czy białe myszy, lecz żywych ludzi. Na przykład Mengele odkrył już w 1941 roku – w rezultacie eksperymentów przeprowadzonych na więźniach obozu koncentracyjnego – że sacharyna jest rakotwórcza, ale oczywiście nie opublikowano wyników jego badań, ponieważ był nazistowskim zbrodniarzem wojennym, a także dlatego, że duże amerykańskie towarzystwa farmaceutyczne miały zabezpieczone prawo do utrzymania jego medycznych notatek w tajemnicy.

– Czy to rzeczywiście prawda?

Bennett skinął głową.

– To prawda, panie Browne. Ale to tylko wierzchołek góry lodowej. Proszę pomyśleć: przez co najmniej dziesięć lat hitlerowscy lekarze mogli robić z ludźmi wszystko, co chcieli. Każdy poważny naukowiec, który jest coś wart, musiałby osiągnąć ogromny postęp w swoich badaniach, dysponując takimi możliwościami. Prace nazistów w dziedzinie genetyki uważane są za jedne z największych socjomedycznych osiągnięć XX wieku, choć nie wolno o tym głośno mówić. Ale kto, oprócz nich, mógł kroić żywych ludzi, by zobaczyć, jak funkcjonują ich wewnętrzne organy? Kto, poza nimi, mógł wstrzykiwać żywym istotom dowolną truciznę lub wirusa – czasami dwóm lub trzem tysiącom osób jednocześnie? Gdyby nie naziści, nigdy nie usłyszeliśmy o podwójnych ślimakach usznych, dzieciach z próbki... i w dalszym ciągu nie słyszeliśmy o alfa-ftalimidoglutarymie.

– Ja chyba jeszcze o tym nie słyszałem – stwierdził Humphrey.

– Talidomid – powiedział Bennett. – Kolega Hermanna, występujący pod nazwiskiem Mietzner, pracował nad syntezą leku o szczególnym przeznaczeniu: miał zahamować rozwój kończyn u ludzi „niższych” ras, by mogli pracować przy budowie tuneli i w kopalniach. Dzisiaj to brzmi niewiarygodnie, prawda? Ale to fakt. Niemieccy chemicy, którzy syntetyzowali talidomid w 1953 roku, nie mieli dostępu do zapisków Mietznera i nie wiedzieli, do czego to doprowadzi.

Humphrey długo milczał. Bennett uśmiechnął się, nie odrywając od niego wzroku. W końcu Humphrey powiedział z niejakim trudem:

– Jest pan specjalistą w tych sprawach, prawda? To znaczy ekspertem od Hermanna?

– Nikt nie może być ekspertem od człowieka, którego nie widziano od ponad czterdziestu lat. Jeśli ktoś tu jest specjalistą, to pan.

Humphrey potrząsnął głową.

– Wiem tylko, jak wygląda ten człowiek. Pan natomiast wie o nim wszystko. Pan wie, co on znaczy.

– Cóż, chyba tak – odparł Bennett pogodnie. – Zostałem przecież przeszkolony. To moja praca.

– Zatem on wiele znaczy dla Ameryki? Na pewno tak, w przeciwnym razie nie przygotowano by

pana tak starannie.

– Trafna uwaga, panie Browne.

– Jeśli ma pan ochotę, może pan mi mówić Humphrey. Bennett po raz drugi wyciągnął rękę.

– A mnie oczywiście Bill.

– Czy Hermann w dalszym ciągu stanowi zagrożenie dla Ameryki? – spytał Humphrey. – To znaczy na takiej samej zasadzie, na jakiej Werner von Braun stanowił zagrożenie dla Rosjan, kiedy pomagał wam budować wasze rakiety?

Bill odstawił napój.

– Hermann jest w pewnym sensie niebezpieczny. Pomógł Rosjanom rozwinać ich arsenał broni chemicznej. Z tego, co wiemy, w dalszym ciągu go udoskonala, jeśli można to tak określić. Pierwszy rozwinął metodę szerzenia wścieklizny przy użyciu pocisków, a jednym z jego największych osiągnięć było wyhodowanie i wykorzystanie wirusa choroby papuziej, którym można skazić zasoby wodne całego kraju. W czasie wojny także zajmował się chorobami Heinego-Medina i ospą, ale nigdy nie udało nam się ustalić, gdzie przechowywana jest dokumentacja tych badań, i nie wiemy, jak daleko się w nich posunął. Tak, Hermann jest niebezpiecznym człowiekiem, mimo podeszłego wieku. W wypadku zdrady lata nie są żadną przeszkodą, prawda?

– Chyba nie – odpowiedział Humphrey, chociaż nie bardzo rozumiał, co młody Amerykanin ma na myśli.

Bill poruszył plasterek cytryny w szklance z napojem.

– Zakres wolności, jaki reżim sowiecki daje swoim obywatelom, jest wprost proporcjonalny do ich lojalności i przydatności dla władz. Jeśli Sowieci pozwalają Hermannowi podróżować do Sztokholmu i utrzymywać tu własne mieszkanie, to mogę tylko powiedzieć, że muszą go darzyć ogromnym zaufaniem, a także wysoko oceniać jego wartość.

– Więc naprawdę bardziej cię interesuje obecna działalność Hermanna niż to, co robił w czasie wojny? – spytał Humphrey.

– Jedno ściśle łączy się z drugim – odparł Bill. – Ale właściwie można to tak ująć.

– Co zatem chcesz, abym zrobił?

– Nie chcemy, abyś robił cokolwiek.

– Na pewno czegoś ode mnie oczekujecie, w przeciwnym razie nie opowiedziałbyś mi tego wszystkiego. Starasz się mnie zwerbować, prawda? Wiesz, że nie jestem głupcem. Sam musiałem to robić, raz czy dwa, podczas wojny, to stary sposób. Problem polega na tym, że jestem już chyba za stary, żeby na to pójść, przynajmniej dopóki nie wiem, czego ode mnie chcesz i co mi możesz zaproponować.

– Nie mówiłem, że mam ci coś do zaproponowania – odpowiedział bezceremonialnie Bill.

– Zatem spodziewasz się, że pomogę ci z dobroci serca?

Bill Bennett miał już odpowiedź na końcu języka, ale powstrzymał się. Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

– Zgoda – powiedział. – Potrzebujemy twojej pomocy. To znaczy bylibyśmy ogromnie zobowiązani, gdybyś uznał, że jesteś skłonny nam pomóc. Chyba w taki pokrętny sposób wyrażają się Brytyjczycy, kiedy o coś proszą.

– Nie powinieneś spodziewać się po mnie zbyt wiele – rzekł Humphrey. Zabrzmiało to oficjalnie, ale tak jakoś wyszło.

– Niczego nie przesądzam. Proszę cię, abyś nam pomógł, po prostu dlatego, że jesteś najlepszy w tym, co robisz. Ja mogę rozpoznać nazistów takich jak Vogel i Rress. Kiedyś nawet wytropiłem Hoerlicha, ale argentyńska policja musiała go uwolnić ze względów formalnych. Nie mam jednak

pewności co do Hermanna i ludzi jego pokroju. Potrzebuję cię, żebyś mi go wskazał.

– A jeśli nie jestem zainteresowany zdemaskowaniem Hermanna? – spytał Humphrey. Piwo nie tylko szybko przepływało przez jego nerki, ale równie szybko uderzało mu do głowy: czuł zawroty i lekkie mdłości. – A jeśli odmówię stwierdzenia tożsamości tego człowieka, bez względu na to, czy jest Hermannem, czy nie?

– Mówisz bez sensu – powiedział z napięciem Bill.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem do tego zobowiązany – odrzekł Humphrey. – Śledzisz mnie podczas wakacji, a następnie mówisz, że potrzebujesz pomocy w identyfikacji Klausego Hermanna. No dobrze, a co masz zamiar później z nim zrobić? Aresztować go, zabić, czy co? I co masz zamiar zrobić ze mną? Chyba za dużo mi już powiedziałaś.

– Wszystkie informacje, które ci przekazałem, zostały opublikowane w „Międzynarodowym Informatorze Biologicznym”. To żadna tajemnica.

– Mimo wszystko – protestował rozdrażniony Humphrey – nie widzę powodu, dla którego miałbym to zrobić.

– Byłeś zadowolony, że go zidentyfikowałaś, dlaczego więc teraz się wycofujesz? – przerwał. – No, napij się jeszcze.

– Nie, nie, dziękuję. No, dobrze, ale tylko jedno małe piwo. Pół litra.

Bill skinął na kelnera.

– Dla tego dżentelmena małe piwo, dla mnie jeszcze raz to samo. – Następnie położył rękę na dłoni Humphreya, pochylił się i powiedział konfidencjonalnie: – Cała sława dla ciebie.

– Jaka sława?

– Wiesz jaka. Uznanie za odnalezienie Hermanna, o to się przecież martwisz, prawda? Boisz się, że jeśli ja przejmę sprawę, to mass media mnie przypiszą ujęcie Hermanna.

Humphrey spojrział na rękę Bennetta i po chwili odwrócił głowę. Ten Amerykanin zdenerwował go, być może dlatego, że miał rację. Całe podniecenie związane z rozpoznaniem Hermanna brało się stąd, że Humphrey zrobił to sam. Dzięki temu po raz pierwszy w życiu miał okazję zdobyć odrobinę osobistej sławy, mieć władzę nad innym człowiekiem, wywierać nań wpływ. Nie powinien był dzwonić do majora Milnera, teraz to wiedział. Wtedy działał pod wpływem dumy i strachu, ale rozmowa z Milnerem to oczywista pomyłka. Teraz ten wysoki, opalony, inteligentny i nieznośnie przystojny Amerykanin odebrał mu jego zdobycz – i nic już nie będzie z niej miał, nawet satysfakcji, że ujrzy swoje nazwisko w gazecie.

– Pozwól mi coś powiedzieć, Humphrey – odezwał się Bill. – Wszystko pójdzie na twoje konto, obiecuję ci. Tak naprawdę, to nie chcę, aby wymieniono nawet moje nazwisko. Humphrey zerknął na niego i znów odwrócił wzrok.

– Powiedz tylko, że nam pomożesz, nic więcej – nalegał Bill. – Później całą tą cholerną sprawą rzucisz wszystkich na kolana.

– Co właściwie chcesz, abym zrobił? – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Musisz zidentyfikować Hermanna, tylko tyle. Wskaż mi go. Ja zajmę się resztą. Ale muszę mieć absolutną pewność, taką na sto osiem procent, że to on.

Humphrey uprzejmym gestem zdjął rękę Billa Bennetta ze swojego rękawa, wskazując głową na piwo, by zaznaczyć, że nie czuje się urażony – chociaż się czuł – takim osobistym kontaktem, a chciał po prostu uwolnić rękę, by napić się piwa.

– Naprawdę, nie jestem tak do końca przekonany. Nie pokazałaś mi żadnych listów uwierzytelniających.

– Humphrey, wiem, co powiedziałaś majorowi Milnerowi – to są moje listy uwierzytelniające.

– No, powiedzmy.

– Wiesz, co zrobimy? Pojedziemy na Pilogatan, powiemy „halo” Hermannowi i upewnimy się, że to on. Co ty na to? Po wszystkim zaproszę cię na obiad do Opera – Kallaren, a później pójdziemy do Chat-Noir na sex show.

Humphrey nie odpowiedział. To wszystko brzmiało okropnie fałszywie i okropnie zawile, ale nie wiedział, jak wycofać się z godnością.

– Najpierw muszę iść do toalety – powiedział.



Bill Bennett czekał na Humphreya z cierpliwością człowieka przyzwyczajonego do czekania. Zjadł kilka oliwek z miseczki stojącej na kontuarze i z pustką w głowie patrzył obojętnie na ulicę za oknem.

Nie lubił Sztokholmu. Szwedzi wydawali mu się gburowaci i prowincjonalni; nadużywali alkoholu, przypominając mu spoconych i hałaśliwych kompanów jego ojca z Mankato w Minnesocie, gdzie się urodził i wychował. Teraz miał trzydzieści cztery lata i przez całe dorosłe życie robił wszystko, by nie upodobnić się do ojca. Uczył się z uporem w college'u, przy pierwszej okazji wstąpił do wojska. Wojsko ukształtowało go, wyszkoliło, zahartowało jego ciało i usystematyzowało umysł. Gdy odchodził ze służby, w wieku dwudziestu dziewięciu lat, był już dojrzałym człowiekiem – nieustępliwym i zdolnym młodym kapitanem.

Po opuszczeniu wojska Bill Bennett przez rok pracował dla towarzystwa ubezpieczeniowego w San Diego. Rok ten wykorzystał, by poznać bardziej subtelne strony życia: nauczył się cenić wino, muzykę, wykwintne jedzenie, a przede wszystkim innych ludzi. Teraz był o wiele bardziej kulturalnym i wrażliwym człowiekiem niż w armii.

Jedną z jego dziewczyn, Yvonne, nazywała go „męskim stereotypem męskiego stereotypu”, chociaż nie mówiła tego niezyczliwie. Znał różnicę między Volnay i Vouvray, między chateaubriandem i Chateau-neuf-du-Pape. Znał także wyrafinowane sposoby zdobywania kobiet. Więcej, pod szorstkością kapitana i taktem statystycznego playboya krył się człowiek sporej uczuciowości i sile emocjonalnej.

W gruncie rzeczy był lepszym człowiekiem, niż mu się wydawało. I pewnie dlatego już po siedmiu miesiącach od zakończenia służby skontaktował się z nim wywiad wojskowy, proponując, aby im pomógł. Szukali znanych nazistów, których działalność w czasie wojny mogła być, powiedzmy, kłopotliwa. Mogliby skompromitować paru z bardziej szanowanych obecnie obywateli. To było dobre, warte zachodu i patriotyczne zadanie. Poza tym wywiad płacił sześćdziesiąt osiem tysięcy rocznie, co przewyższało wynagrodzenie większości generałów z trzema gwiazdkami.

Bill właśnie rozstał się z największą miłością swojego życia, Karen Windon. Łatwiej było powiedzieć „tak” niż „nie”, i w ciągu tygodnia został wysłany do Omaha na szkolenie w identyfikowaniu tych nazistów, którzy prawdopodobnie ukrywali się w Ameryce Środkowej i Południowej. Były ich dziesiątki: Adler, August, Berthold, Bergen – w sumie stu dziewięćdziesięciu sześciu – lecz tylko czterech formalnie zidentyfikowano.

Siedział przy swoim biurku w Omaha, skąd widać było Fontenelle Park, próbując oczami wyobraźni namalować współczesne portrety tych ludzi. Ale udało mu się wyczarować jedynie galerię starych, pomarszczonych, białowłosych potworów, wykrzywionych przez ich dawne okrucieństwa, histeryzujących z obawy o swą przyszłość. W gruncie rzeczy nie mógł uwierzyć ani w to, że oni wciąż żyją, ani w to, że Stanom Zjednoczonym sprawi różnicę, czy zostaną złapani i osądzeni, czy też pozostaną na wolności. Druga wojna zaczęła się i skończyła przed jego urodzeniem. Podczas wojny w Korei był małym dzieckiem. Czasami czuł się tak, jakby mu polecono odszukać Bismarcka. Kogo obchodzi Hermann czy Barbie, to, ilu zabili? Byli tak starzy, że chyba nie było warto ich ścigać. Przez te lata stali się z pewnością innymi ludźmi.

Ale dobrze opłacany, z dużym funduszem dyspozycyjnym, siedział w barze hotelu Concepcion w Managui i spod szerokiego ronda białego słomkowego kapelusza obserwował trzech byłych oficerów SS, którzy miętową wódką wznosili toasty za swoje zdrowie i wspominali przedwojenne

Monachium; poccił się w Panamie, jadąc na mule zboczem Cerro Gaital do małej, parnej osady, zwanej El Valle, po to tylko, by zamienić parę słów ze starym, cierpiącym na chorobę Parkinsona mężczyzną, który kiedyś wrzucał żywe dzieci pod koła wagonów kolejowych. Bill robił to wszystko, ponieważ mu kazano oraz dlatego, że cenił doświadczenie; głównie z tych samych powodów przybył do Sztokholmu, by skontaktować się z Humphreym Browne'em.

Humphrey wydał mu się nudny i zbyt brytyjski, aby być dobrym kompanem. Ale wierzył, że sam jest wystarczająco dobrym zawodowcem, by sobie z nim poradzić; przekonał się, że Anglicy tylko z pozoru są towarzyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Jego związki z kobietami wydawały się jakoś dziwnie pogmatwane, niczym pudełka pełne pomieszanych układanek. Po Karen niewiele rzeczy miało sens, ale z drugiej strony, czy kiedykolwiek coś go miało?

Opuścili bar, kiedy Humphrey wrócił z toalety. Bill zostawił samochód w podziemnym garażu; był to dość podniszczony grand prix należący do ambasady Stanów Zjednoczonych.

– Mogłem wynająć volvo – powiedział, gdy z piskiem opon zjeżdżali z rampy garażu – ale, wiesz, volvo...

– Zawsze mi się wydawało, że to wspaniałe samochody – odpowiedział Humphrey. – Sądziłem, że są bardzo bezpieczne.

Bill zerknął na niego, kiedy jechali przez Vasabroen w kierunku starej części miasta.

– Prawdziwy mężczyzna nie jeździ volvem – wyjaśnił. Podwozie grand prix stuknęło w kocie łby Stora Nygatan. – Amortyzatory są zużyte, to wszystko – wyjaśnił.

Zaparkowali na Kornhamnstorget przed Enskilda Banken i resztę drogi do Pilogatan przebyli pieszo. Noc była zimna i Humphrey postawił kołnierz płaszcza. Bał się, choć nie wiedział dlaczego, i to bardziej Billa niż Klause Hermanna.

W końcu dotarli do ciemnego, cuchnącego jaru, którym biegła Pilogatan, i zatrzymali się przed numerem siedemnastym. Na trzecim piętrze światło przedostawało się przez zaciągnięte story; od czasu do czasu w oknie pojawiał się czyjś cień, niczym w indonezyjskim teatrze marionetek. Bill pogrzebał w kieszeni, wyciągnął zestaw wytrychów i nie krępując się, zaczął zwalniać urządzenie unieruchamiające zamek w drzwiach frontowych.

Humphrey przyglądał mu się niepewnie.

– Nie zaaresztują nas za to? – spytał.

– Zaaresztują? – odparł Bill, pchnięciem otwierając drzwi, aż skrzypnęły lekko w zawiasach. – Chodź, musisz tylko spojrzeć na niego i powiedzieć mi, iż masz pewność, że to Hermann.

– Nie jestem pewien, czy mi się to wszystko podoba – powiedział Humphrey.

– Nie jesteś pewien? – spytał z przekąsem Bill.

– Cóż, muszę myśleć o siostrze.

Nie było windy, budynek był na to za stary. Wchodzili na górę krętymi, kamiennymi schodami, mijając szczelnie zamknięte drzwi mieszkań, zza których dochodziła cicha melodyjna muzyka lub niewyraźne fragmenty szwedzkiego dziennika telewizyjnego.

Dotarli do mieszkania Hermanna. Na drzwiach znajdowała się mała, mosiężna wizytówka ze starannie wyrytym nazwiskiem: „A. Rangstroem”. Bill odwrócił się do Humphreya i spojrzał nań z uśmiechem.

– Masz zrobić tylko jedno – powiedzieć: „To on”, i będziemy mieli sprawę z głowy.

– Świetnie – odrzekł Humphrey, chociaż czuł zupełnie co innego.

Bill, świszcząc przez zęby, wybrał kolejny wytrych i włożył go w dziurkę od klucza. Kurs otwierania zamków, jaki przeszedł w Omaha, spodobał mu się bardziej niż wszystko inne; było coś niezwykle zabawnego w tym, że nie zauważony może wejść do każdego domu czy biura i że może



ukraść niemal każdy samochód.

Drzwi mieszkania otworzyły się. Wewnątrz paliło się światło, grała muzyka i unosiło się przyjemne ciepło, niemal jak w saunie. Widać było jasnobeżowe ściany i kremowy, włochaty dywan. Tuż obok wisiała biało – czarna akwaforta przedstawiająca tańczących satyrów.

– Może powinniśmy się zaanonsować? – zasugerował Humphrey. – Nacisnąć dzwonek czy coś w tym rodzaju?

Bill położył palec na ustach i podwinął swą jasną wiatrówkę, by wyciągnąć niklowanego smitha & wessona kaliber 38:

– O to chodzi – powiedział Humphrey. – Idę stąd. Nie mówiłeś mi nic o broni.

Bill gwałtownie wyciągnął lewą rękę i chwycił Humphreya za ramię.

– Nigdzie nie pójdziesz. Jesteś mi potrzebny.

– Co robisz? – zaprotestował Humphrey, broniąc się słabo. Zatoczył się do tyłu, podskoczył na kamiennych schodach i uderzył plecami o ścianę.

– Na litość boską, bądź cicho – syknął Bill. Po czym kiwnął pistoletem i rozkazał: – Wracaj tu, na górę!

Humphrey nie ruszył się z miejsca. Bill warknął:

– Wracaj na górę, słyszysz?

W tej chwili z mieszkania dobiegł ich czyjś głos:

– Kto tam? Birgitta, drzwi są otwarte!

Nagle rozległa się ogłuszająca muzyka, która po chwili przycichła. Humphrey przycisnął się do ściany i przerażony wpatrywał się w Billa. Rozległ się kobiecy, typowo szwedzki głos:

– Zamknęłam je, nie bądź śmieszny.

I znowu męski głos zawołał:

– Kto tam?!

– Nikt – roześmiała się kobieta. – Idź i zamknij je, a później wróć tutaj.

– To nie on – wyszeptał Humphrey. – To ktoś zupełnie inny. Hermann ma niemiecki akcent.

– Nie mogłaś ich zamknąć – powiedział mężczyzna, a jego głos stawał się coraz wyraźniejszy.

Bill odsunął się od drzwi i stanął tak, by nie było go widać; obiema rękami trzymał podniesiony rewolwer. Przerażony Humphrey powtórzył szeptem:

– To nie... – Ale Bill był tak skoncentrowany, że nawet go nie słyszał.

Nagi, owłosiony na piersiach mężczyzna raptownie wysunął łysą głowę przez oświetlone drzwi i kompletnie osłupiały spojrzał wprost na Humphreya.

– Co się dzieje, do diabła? – spytał; oczy rozszerzyły mu się z przerażenia.

W tym momencie Bill chwycił go za szyję i mocno przycisnął rewolwer do skroni. Mężczyzna wygiął się, próbował walczyć, ale w końcu wyrznął ramieniem o framugę drzwi. – Co pan robi? Co pan robi, do diabła?

– Czy to on? – spytał Bill Humphreya piskliwym, podekscytowanym szeptem.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Humphrey. – Hermann jest stary, ma z górą siedemdziesiątkę. Ten człowiek nie ma więcej niż czterdzieści pięć lat.

– Niech pan zabierze broń – zażądał mężczyzna, Bill jednak nadal przyciskał rewolwer tak mocno, że na skórze mężczyzny pojawiła się pręga.

– To nie Hermann – odezwał się Humphrey. – Hermann jest stary, naprawdę stary.

– Wejdz do środka – rozkazał Bill i wepchnął mężczyznę z powrotem w otwarte drzwi. – Humphrey, chodź tutaj. Zamknij za sobą drzwi.

– Bill, naprawdę nie wiem, czy ja...

– Wejdz do środka i zamknij za sobą drzwi, zanim rozwalę łeb temu idiocie – warknął Bill.

„Idiota” odwrócił się i poprosił Humphreya:

– Niech pan wejdzie, na litość boską.

Humphrey, zagryzając wargę, w milczeniu wszedł za nimi do mieszkania i zamknął drzwi. Bill wepchnął nagiego mężczyznę do salonu. Humphrey usłyszał najpierw krzyk kobiety, a później słowa Billa:

– Bądźcie cicho, nikt nie robi wam krzywdy. Słyszycie, co mówię?

Humphrey wszedł do pokoju i zobaczył, że tak jak ciemny i ponury był korytarz, tak wnętrze – białe i nowoczesne. Białe, o szarozółtym odcieniu ściany, biały jak śnieg dywan. Na meblach z drewna i szkła ustawione były szwedzkie lampy i połyskujące światłem kryształły. Wszystkie meble obite były białą skórą.

W rogu, na sofie, siedziała pulchna ciemnowłosa kobieta o ustach tak szkarłatnych jak roztarte maliny. Miała na sobie czarny, zasnurowany gorset, z którego wypływały jej piersi, czarne podwiązki, czarne siatkowe pończochy i czarne lakierki na wysokich obcasach. Coś sterczało między jej udami, przyciągając wzrok Humphreya. Jednak dopiero za drugim lub trzecim dyskretnym spojrzeniem zrozumiał, że to wibrator. Wstrząśnięty, odwrócił oczy, nie będąc w stanie ponownie spojrzeć na kobietę.

– Co to jest? – odezwał się nagi mężczyzna. – Napad? Chcecie pieniędzy? Nie mam żadnych pieniędzy. Chcecie moją kartę American Express? Weźcie ją.

– Siadaj – powiedział Bill, po czym zwrócił się do kobiety: – Chce się pani czymś okryć?

– Ja – włączył się do rozmowy Humphrey – ja, aaa... przyniosę pani... – i pospiesznie ruszył przez salon do sypialni wyłożonej lustrami. Ściągając z łóżka koc, zobaczył w nich swe odbicie. Wrócił do salonu i wyciągając rękę na całą długość, podał go kobiecie; starał się nie patrzeć na nią, gdy sięgała po pled.

Nagi mężczyzna, sprawiając wrażenie bardzo nieszczęśliwego, siedział teraz tam, gdzie kazał mu Bill: na małym skórzanym podnóżku, kolanem uderzając o kolano, z rękami mocno ściśniętymi przez uda.

– Musisz mi powiedzieć, jak się nazywasz – zażądał Bill. Machnął rewolwerem w kierunku kobiety. – Ty także.

– To okropnie krępujące – odezwał się mężczyzna.

– No, oczywiście – odrzekł Bill. – Ale mogłem was zabić, i to dopiero byłoby krępujące.

– Nie ma pan prawa – powiedziała nagle kobieta, z silnym szwedzkim akcentem.

– Kim jesteście? Bandytami?

– Chcę znać wasze nazwiska – nalegał Bill.

Humphrey odchrząknął.

– Naprawdę byłoby lepiej, gdybyście mu powiedzieli. – Uśmiechnął się nerwowo do kobiety, ale ta nie odpowiedziała mu uśmiechem.

– To oburzające – oznajmił mężczyzna. – Absolutnie oburzające.

– Jasne, to oburzające – zgodził się Bill. – Ale ja mam broń, a wy nie, i musicie mi powiedzieć, jak się nazywacie.

Mężczyzna na chwilę zamknął oczy. Był wściekły albo się modlił.

– Nazywam się Vojtech Mniaczko – powiedział. – Jestem czeskim radcą handlowym. Ta pani to Birgitta Gillsaeter, z zespołu teatru St. Eriksplan.

– Żadne z was nie nazywa się Rangstroem?

– Nie – odpowiedział Mniaczko.

– To mieszkanie zarejestrowane jest na nazwisko Rangstroem.

– Tak.

– Co zatem tutaj robicie? – spytał Bill.

– To chyba jasne – odrzekł Mniaczko. – Jestem przyjacielem panny Gillsaeter od wielu lat.

Zepsuł pan nam rzadką okazję spędzenia intymnego wieczoru.

– Jeżeli to mieszkanie pana Rangstroema, to gdzie jest pan Rangstroem? – spytał Bill.

– Chciał pan powiedzieć: panna Rangstroem – wtrąciła ostro Birgitta Gillsaeter.

– Naprawdę? Panna Rangstroem?

– Panna Angelika Rangstroem. Jest także członkiem zespołu teatru St. Eriksplan. Gdyby pan wiedział cokolwiek o Sztokholmie, na pewno by pan o niej słyszał. Jest uważana za jedną z najbardziej utalentowanych szwedzkich aktorek. W ostatnim sezonie za tytułową rolę w *Heddzie Gabler* dostała nagrodę Valhalli.

– A przyjaciel panny Rangstroem? – spytał Humphrey.

– O co panu chodzi? – nie rozumiał Mniaczko. Ale Birgitta Gillsaeter wyjaśniła:

– Ona nie ma przyjaciela. Kiedyś owszem, miała, ale to już skończone.

Bill wyjął z kieszeni portret pamięciowy Klausego Hermanna. Humphrey pochylił się i spojrzał na szkic; co prawda artysta założył, że po czterdziestu burzliwych latach Hermann wyłysieje, ale poza tym podobieństwo było uderzające.

– Czy to ten mężczyzna? – Bill zwrócił się do Birgitty Gillsaeter.

– Ona nie ma przyjaciela.

– Niech pani spojrzy na ten portret.

Birgitta Gillsaeter niechętnie spuściła oczy i badawczym wzrokiem przyjrzała się rysunkowi. W końcu wolno potrząsnęła głową.

– Nie znam tego mężczyzny. Nigdy w życiu go nie widziałam. To jakiś obcy człowiek.

Bill pokazał szkic Wojciechowi Mniaczko.

– A pan go zna? Widział pan go kiedyś?

Mniaczko wyzywająco uniósł głowę i nie chciał nawet nań spojrzeć.

Bill schował rysunek.

– Muszę wam powiedzieć, że narobiliście sobie niezłych kłopotów, spotykając się tutaj dzisiejszej nocy.

– Uważam, że to pan narobił kłopotu – odciął się Mniaczko.

Bill zastanawiał się przez chwilę w milczeniu; pozostali siedzieli i patrzyli na niego. Humphrey kiwnął Birgittie głową, jakby chciał ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale aktorka spojrzała na niego zimno i odwróciła wzrok.

Humphreyowi wydawało się niezwykle, że kobieta, którą zaskoczył w tak intymnej i osobliwej seksualnej sytuacji, traktuje go tak wyniośle. Za grosz wstydu. Ale oczywiście była to Szwecja, ojczyzna zalegalizowanej pornografii, co – zdaniem Humphreya – musiało mieć wpływ na zachowanie i moralność rodowitych Szwedów.

– Co pan teraz robi? – spytał Mniaczko. – Nie możemy tu siedzieć przez całą noc.

– Właśnie próbuję się zdecydować – odrzekł Bill. – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli was zwiążę.

– Zwiążę? Nie rozumiem, co panu z tego przyjdzie? – zdziwił się Mniaczko.

– Wystarczy, że ja rozumiem. Zrobimy to w sypialni, gdzie można podrzeć parę prześcieradeł.

– Nie posunie się pan do tego – zaprotestowała Birgitta Gillsaeter. – To nie nasze mieszkanie, Angelika będzie wściekła.

Bill podniósł broń.

– Mój rewolwer dowodzi, że mogę robić, co mi się żywnie Podoba. To gangsterskie metody, wiem, ale tego właśnie spodziewacie się po Amerykaninie. No, to macie! – Szturchnął Mniaczka, zmuszając go, by podniósł się z podnóżka i poszedł do ‘Wialni. – Połóż się twarzą do podłogi – rozkazał. Następnie skinął na Birgittę, żeby poszła za nim do sypialni. – Zostaw koc – polecił.

– Bill, to nie jest konieczne – wtrącił Humphrey.

Bill odwrócił się i uśmiechnął do niego.

– Pilnuj drzwi, dobrze?

Humphrey zawahał się, ale w uśmiechu Billa było coś, co kazało mu się wycofać i powiedzieć:

– Tak, w porządku. Drzwi.

Kiedy Humphrey poszedł do przedpokoju, Bill zamknął drzwi sypialni i przekręcił klucz. Mniaczko leżał z twarzą wciśniętą w dywan, ze skrzyżowanymi rękami – dłońmi do góry – na owłosionym krzyżu. Birgitta Gillsaeter leżała rozciągnięta obok niego, jej szeroki tyłek zlewał się z białawą ścianą. Bill położył rewolwer na stojącym obok stoliku i powiedział:

– Ostrzegam was: tylko nie próbujcie wstawać, sięgnę po broń szybciej, niż się wam wydaje. Jeśli chcecie zachować mózgi w czaszkach, róbcie, co mówię.

Scyzorykiem pociął dwa prześcieradła na taśmy. Potem szybko i fachowo, jak go nauczono podczas służby, podciągnął ręce Mniaczka za plecy i związał je w nadgarstkach.

– Za mocno – poskarżył się Mniaczko, ale Bill nie odpowiedział. Wziął dwa następne kawałki podartego prześcieradła i skrępował Mniaczkowi kolana i kostki. W końcu zakneblował mu usta.

Klamka u drzwi poruszyła się, po chwili rozległo się pukanie.

– Czy u ciebie wszystko w porządku, Bill? – spytał Humphrey.

– W porządku – odparł Bill. Oddychał szybko, tętno miał w granicach setki. – Wracaj i pilnuj drzwi. Już prawie kończę.

Birgitta Gillsaeter uniosła głowę znad podłogi i spojrzała na niego.

– Ma pan zamiar nas zabić, tak? – W jej głosie zabrzmiało przerażenie.

– Tak – odpowiedział Bill.

Usłyszawszy to, Mniaczko próbował unieść głowę i coś powiedzieć, ale Bill położył nogę na jego karku, wciskając mu twarz w dywan.

Birgitta Gillsaeter nie poruszyła się. Jej szminka pozostawiła czerwoną plamę na białej wełnie dywanu.

– Nie chcę umierać – powiedziała nagle. – Proszę, nie w taki sposób.

– Nie masz wyboru.

– Chce się pan czegoś dowiedzieć o przyjacielu Angeliki?

Bill spojrzał na nią z kamienną twarzą.

– Słucham.

– Jeśli daruje mi pan życie, powiem, gdzie on jest.

Bill wyjął znowu szkic portretu Hermanna i podsunął jej prawie pod nos.

– Wiesz, gdzie on jest?

Skinęła głową.

– Możesz mnie do niego zaprowadzić? Ponownie potwierdziła.

Bill zastanowił się, po czym powiedział:

– W porządku. Możesz mnie do niego zabrać jeszcze tej nocy?

– Jest w Uppsali, to tylko godzina jazdy.

– W porządku – powtórzył Bill, jak gdyby zgodził się towarzyszyć jej do małej podrzędnej

knajpy przy końcu ulicy.

– Co pan robi z Wojtechem?

– Ubierz się. My z Wojtechem pogadamy sobie trochę. – Pochylił się i głośno powiedział: – Mam rację, Wojtech? Parę minut poważnej rozmowy.

– Grrrgg – wydusił z siebie Mniaczko.

Birgitta Gillsaeter wzięła swój wełniany, łososiowy kostium, który przedtem rzuciła obok łóżka. Bill otworzył drzwi i wepchnął ją łokciem do salonu.

– Humphrey! – zawołał. – Panna Gillsaeter się ubiera! Nie spuszcza jej z oka!

– Oczywiście – odpowiedział Humphrey, stojący przy drzwiach. Wyglądał jakoś nieswojo.

Bill wszedł do kuchni i zapalił górne światło. Zabębnił palcami po białym blacie, a potem otworzył jedną z szafek. Były w niej tylko filizanki. Otworzył następną, potem jeszcze jedną, aż w końcu znalazł to, czego szukał – plastikowe torby na śmieci. Wrócił do sypialni, nie rozmawiając po drodze ani z Humphreym, ani z Birgitta Gillsaeter. Zamknął za sobą i na klucz.

Bez słowa rozwinął białą, plastikową torbę, którą przyniósł z kuchni, i zaczął ją naciągać Mniaczkowi na głowę. Mniaczko wił się i skręcał, ale Bill wepchnął mu kolano w sam środek pleców. Kiedy owinął już dokładnie jego głowę, skręcił końce torby tak, że była hermetycznie szczelna.

Torba opadła na twarz Mniaczka wessana wraz z powietrzem, które mężczyzna próbował wciągnąć do płuc. Przez plastik Bill widział kontury jego rozszerzonych oczu, napięte mięśnie policzkowe – żywa maska śmierci w bieli. Sprawdził czas. Nawet najsilniejszy człowiek nie jest w stanie wstrzymać oddechu dłużej niż dwie minuty. Torba nagle została wydmuchana i znów wessana. Mniaczko szarpnął się i zadrzał, ale Bill raz jeszcze przycisnął kolanem jego plecy.

Torba znów wydeła się w połowie dwutlenkiem węgla. I po chwili ten sam dwutlenek węgla został wciągnięty do płuc. I jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz. W końcu, po czterech minutach, torba z szelestem opadła i Mniaczko znieruchomiał.

Bill wstał i włożył rewolwer do kabury. Rozejrzał się po sypialni, żeby się upewnić, czy wszystko przebiega zgodnie z planem, po czym wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Humphrey czekał na niego w salonie, razem z ubraną już Birgittą Gillsaeter.

– Bardzo powabny – powiedział Bill, patrząc na łososiowy, wełniany kostium.

Birgittą nawet się nie uśmiechnęła.

– Z Mniaczka wszystko w porządku? – spytał Humphrey.

– Jasne – odpowiedział Bill. – Jedziemy?

– Nie mogę pożegnać się z Wojtechem? – spytała Birgitta.

Bill potrząsnął głową.

– Nic mu nie jest. Gdy tylko ustalimy miejsce pobytu przyjaciela panny Rangstroem, możesz wrócić i go rozwiązać.

– Mówisz jak bohater westernu – zauważył Humphrey, chociaż był zaniepokojony niezwykłą obojętnością, jaka zabrzmiała w głosie Billa.

Po kamiennych schodach zeszli na ulicę. Mroźny wschodni wiatr dmuchał przez Skeppsbroen i świstał nad Pilogatan jak gromada złośliwych trolli. Humphrey spojrział w górę, na okno mieszkania, i zobaczył, że wciąż jest jasno oświetlone. Zrobiło mu się żal Wojtecha Mniaczko, związanego i bezradnego na dywanie w sypialni. Cóż za sposób spędzania wieczoru, pomyślał; było to niemal zabawne. Parsknął tłumionym śmiechem i Birgitta spojrzała na niego zza kołnierza płaszcza z baraniej skóry.

– Jeszcze nie jest tak chłodno – powiedziała. – Niech pan poczeka do zimy.





## Siedem

Chiffon Trent była zajęta dość intymnymi sprawami, kiedy rozległ się dzwonek. Ten cichy, łagodny dźwięk wystarczył, by zepsuć całe popołudnie – lunch w Oyster Bar, spacer pod rękę w parku, pocałunki i szampan. Młody mężczyzna o azjatyckich rysach wynurzył się spod prześcieradeł i spytał:

– Kto to? Chyba nie ten idiota w trzyczęściowym garniturze? Nie teraz.

Chiffon położyła palec na ustach i zsunęła się z łóżka. Natychmiast sięgnęła po jedwabny szlafrok z koronkowym żabotem; zawsze uważała się za damę, nawet w wirze namiętności. Tanecznym krokiem przeszła przez pokój i przyciskając splecione jasne loki do drzwi, zawołała:

– Kto tam?!

– Dick Elmwood, panno Trent. Chciałem tylko powiedzieć, że senator jest na dole w Palm Court i oczekuje pani.

– Jest już czwarta?

– Trzecia czterdzieści pięć, panno Trent. Senator przyjechał trochę wcześniej. Na drodze z lotniska był wyjątkowo mały ruch.

Chiffon zrobiła minę do młodego człowieka w łóżku i naśladowując nosową wymowę Dicka Elmwooda, powtórzyła:

– Na drodze z lotniska był wyjątkowo mały ruch, nuh?

Mężczyzna roześmiał się i położył na plecach – był ciemny, szczupły i nagi.

– Przekaż senatorowi, że musi mi dać jeszcze pół godziny! – zawołała Chiffon. – Powiedz mu, że miałam migrenę, dobrze? Dopiero przed chwilą mi przeszła.

– Myślę, że będzie wdzięczny, jeśli się pani pospieszy – powiedział Elmwood. Czekał na odpowiedź, ale nic nie usłyszawszy, chrząknął głośno.

– W porządku – powiedziała Chiffon. – Muszę jednak zakręcić włosy. A, moje oczy, muszę je przemyć. Powiedz, że go całuję w czubek nosa. I jeszcze całuski dla tyłeczka.

Leżący na łóżku mężczyzna wybuchnął histerycznym śmiechem. Chiffon machnęła na niego, żeby był cicho.

– Zrozumiałeś? – spytała. Elmwood znowu chrząknął.

– Zrozumiałem – powiedział stanowczo. – Przekażę mu.

Chiffon zachichotała i tanecznym krokiem przeszła przez pokój, wirując jedwabnym szlafrokiem; jasne nagie uda migwały pod przezroczystym jedwabiem, a piersi podrygiwały. Podniosła zasłony w oknie, oparła się o parapet, wzdychając z ostentacyjnym zadowoleniem.

– Ach – rzekła. – Czyż życie nie jest wspaniałe?

– Nie wracasz do łóżka? – spytał niecierpliwie młody człowiek.

– Chyba nie. Muszę się ubrać.

– Chcesz mnie tak zostawić? Spójrz na mnie! Powstrzymałem się ze względu na ciebie. Tylko dlatego się nie spieszyłem.

Chiffon odwróciła się do niego i roześmiała uszczęśliwiona.

– I tak być powinno. Dżentelmeni zawsze robią to na samym końcu.

– Jasne, że na końcu. Ale muszą dotrzeć do tego końca.

– Och, nie bądź zwierzęciem – ucięła rozmowę Chiffon. Przycisnęła nos do okna i z jej oddechu powstał na szybie zamglony motyl. Siedem pięter niżej roило się od taksówek jadących wolno wzdłuż Central Park South i spieszących dokądś przechodniów, którzy kurczowo przytrzymywali kapelusze,



a ich szaliki trzepotały na wietrze w ulicznych światłach. Jesień zbliżała się do Nowego Jorku, tak jak Chiffon zbliżała się do punktu kulminacyjnego. Drzewa w parku drżały i kołysały się, a porywisty północno-wschodni wiatr rozrzucał gazety i papierki po cukierkach wzdłuż General Motors Plaza. Działo się coś podniecającego; pora, by coś zmienić.

Nadąsany młody mężczyzna zszedł z łóżka i podparłszy się pod boki, stanął przy drugim oknie wciąż podniecony, a skręcone włosy na jego brzuchu schły jeszcze.

– Jesteś jak dziecko – powiedział.

– Oczywiście, gdybym była inna, nie lubiłbyś mnie tak bardzo.

– Zejdiesz na dół spotkać się z nim?

– No pewnie, zapłacił za pokój. Za wszystko płaci.

– Jest świnią.

– Nie mówiłam, że nie jest, prawda? Ale jest bogatą świnią. Jak to będzie po rosyjsku?

– *Bogatskij swiniowicz.*

Chiffon zachichotała. Miała dwadzieścia trzy lata, urodziła się pod znakiem Ryb i była onieśmielająco piękna. Miała pięć stóp i cztery cale wzrostu, duże, zielone oczy, prosty, wspaniale ukształtowany nos i wystające kości policzkowe, jakby wyrzeźbione przez Rodina. Z twarzą harmonizowała jej sylwetka i skóra, jaśniejąca różowością na dużych, białych, sprężystych piersiach. Kiedy Chiffon wchodziła do restauracji w białej, plisowanej sukni wieczorowej z dekoltem – jednej z tych, które przywiózł jej Reynard z Sabry – wszyscy milkli, a mężczyźni, trzymając w rękach noże i widelce, zastygali w bezruchu, złorzeczając Bogu, że stworzył taką dziewczynę, nie dając im szansy kochania się z nią. Chiffon tworzyła wokół siebie towarzyskie i kulturalne kręgi tylko dlatego, że była tak oszałamiająco piękna; to był jeden z powodów, dla których Reynard nie był w stanie utrzymać ich romansu w tajemnicy. Awangardowa artystka nazwała Chiffon „obliczem całego dzisiejszego dnia”, a pisarz o międzynarodowej sławie przesłał jej kiedyś na sali koncertowej różę w trakcie wykonania *Czterech pór roku*.

Ta bystra, zabawna Chiffon urodziła się w zupełnie zwyczajnej rodzinie w Cedar Lake w Indianie; w szkole niczym się nie wyróżniała, była tylko flirtującą, żującą gumę nastolatką, którą nudziły lekcje. Dziewictwo straciła w przeddzień czternastych urodzin, z ponurym chłopakiem o imieniu Carl. Później nie była ani szczególnie dobra, ani szczególnie zła – w łóżku i poza nim.”

Do chwili, kiedy zauważył ją Reynard na prywatnym przyjęciu w Studiu-54, nie zrobiła prawie nic godnego odnotowania, nie licząc paru reklam ubiorów sportowych, niewielkich ról w telewizyjnych serialach, w których miała się tylko pokazać i zachichotać, i kilku rozkładówek w „Seventeen” z kolekcją mody. Ale romans z Reynardem natychmiast otworzył przed nią nowe możliwości – teraz często zapraszano ją do telewizji, a jej zdjęcia ukazywały się na okładkach wszystkich czasopism, od „Redbook” po „Secrets”. Reynard miał powiązania z dziesiątkami karierowiczów w Hollywood i nieprzebrane zasoby finansowe. Ludzie biznesu wiedzieli, że jeśli chcą uszczęśliwić Reynarda, muszą także uszczęśliwić Chiffon – szczególnie odkąd wybór Reynarda na prezydenta Stanów Zjednoczonych stał się bardzo prawdopodobny.

Środki masowego przekazu przyjęły romans Reynarda zupełnie naturalnie, jako jedno z jego przemijających szaleństw. Nikt jednak nie wiedział, że Reynard rozstał się na stałe z Gretą, i dlatego nikt nie podejrzewał, że Chiffon widzi się już w roli następnej pani Kelly, i tym samym Pierwszej Damy. Nawet Reynard tego nie podejrzewał. Ale Chiffon w to wierzyła, chociaż Reynard dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nigdy nie zechce się powtórnie żenić. Tak samo, jak żądał, by nigdy nie nosiła majtek. Chiffon nie wydawało się czymś niestosownym, że Pierwszej Damie nie będzie wolno nosić majtek. Poza tym i tak ich prawie nigdy nie nosiła.

Teraz pijała tylko szampana White Star i nigdy nie kładła się spać przed trzecią nad ranem; z jej punktu widzenia życie było wspaniałe. Więcej niż wspaniałe – ekscytujące.

– Powinnaś powiedzieć temu idiocie, co o nim myślisz – odezwał się młody chłopak – zdobądź się na odwagę.

– Hmm – odrzekła Chiffon wyniośle. – Co ty wiesz o odwadze?

– Odwaga polega na byciu sobą.

– Ja jestem sobą. Jestem najbardziej zachłanną małą dziewczynką w całym mieście, taką mam naturę. Coś ci się nie podoba?

– Nie wiem. – Chłopak potarł dłonią czoło. – Może nie lubię myśleć o nim, kiedy idę z tobą do łóżka.

– Jesteś zazdrosny? – spytała Chiffon z niedowierzaniem.

Spuściła zasłony; zdawały się powoli opadać wokół niej jak wyblakły, lekko przybrudzony całun.

– Nie lubię myśleć o nim, kiedy jestem z tobą w łóżku, to wszystko.

Podeszła do niego z wyciągniętymi ramionami. Jej piersi poruszały się rytmicznie pod jedwabiem szlafroka, blade sutki prześwitywały przez przezroczysty jedwab. Dotknęła wargami jego ust, popychając go do tyłu, w kierunku łóżka. Później jedwab zlał się z jej delikatnym ciałem, kiedy siedząc na nim okrakiem, całowała go i gryzła.

– Zazdrość jest grzechem – zachichotała.

Szamotali się i walczyli, aż w końcu Chiffon poczuła znudzenie; odsunęła się od niego, wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Patrzył na nią posepnie, gdy wkładała kremową, plisowaną suknię, i odwrócił twarz, kiedy pochyliła się, by go pocałować.

– Dąsanie się też jest grzechem – powiedziała już mniej rozbawiona.

– Wszyscy Rosjanie ulegają ponurym nastrojom – stwierdził. – To leży w naszym charakterze. Niezmierzona przestrzeń naszego kraju kładzie się nam na ramiona jak ciężki płaszcz, którego nigdy nie zdołamy zrzucić.

– Hmm? – skomentowała Chiffon, wydymając przed lustrem usta, by położyć szminkę.

– I tak tego nie zrozumiesz.

– Nie jestem pewna, czy bym chciała. W każdym razie wiesz, że muszę się z nim spotkać. Lubię go. I z niego żyję.

– Żyjesz z niego – prychnął pogardliwie chłopak.

– Posłuchaj – powiedziała Chiffon, kiedy była już gotowa do wyjścia. – Spotkamy się w rosyjskiej herbaciarni punktualnie o siódmej i uraczę twe wrażliwe podniebienie najwspanialszym kawiozem i najlepszą wódką. Później wrócimy tutaj i dokończymy to, czego nie udało nam się zrobić tego popołudnia. Więc nie mów o mnie przez nos, jakbyś cierpiał na jakieś uczulenie.

– Mam próbę dziś wieczorem – dąsał się chłopak. – Wielka scena miłosna, w której Natasza w końcu się poddaje.

– Wielka scena miłosna, w której Natasza w końcu się poddaje – przedrzeźniła go Chiffon. – Opuść próbę. Czekam na ciebie o siódmej.

Nie odpowiedział, tylko podparł się na łokciach i naburmuszony wpatrywał się w wezglowie łóżka. Chiffon przesłała mu cztery lub pięć pocałunków i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Dopóty wpatrywał się z kwaśną miną w wezglowie łóżka, dopóki nie nabrał absolutnej pewności, że Chiffon wyszła i nie wróci, żeby go przeprosić lub pocałować czy też zabrać szminkę, którą zostawiła na toalecie. Dopiero wtedy podniósł się, usiadł na brzegu łóżka i zapalił winstona, wypuszczając dym przez nos.

Był już trochę znany. Nazywał się Piotr Lissitzky. Dwa lata temu, podczas tournée Moskiewskiego Teatru Młodzieżowego po Stanach Zjednoczonych, postanowił nie wracać do kraju. Deszczowe popołudnie w Pittsburghu, spontaniczna ucieczka tylnymi schodami hotelu Carlton, kłopotliwa sytuacja w lokalnym posterunku policji, gdzie zwrócił się z prośbą o azyl polityczny. W pewnym momencie tak się zirytował zachowaniem zajmującego się nim sierżanta, którego bardziej interesowało omawianie z kolegami ostatniego meczu piłkarskiego niż wysłuchiwanie jękającego się młodego Rosjanina, że miał już zamiar wrócić do hotelu. W końcu jednak zrozumieli, o co mu chodzi; odtąd jego życie stało się karuzelą wywiadów prasowych i telewizyjnych, intensywnych przesłuchań i nie kończących się wizyt urzędników o świdrujących oczach z Departamentu Stanu. George Rosenbaum zaproponował mu rolę w *Dniach smutku* u Shuberta. Clive Barnes powiedział o inauguracyjnym wieczorze Piotra na Broadwayu: „Teatralne doświadczenie Lissitzky’ego ogranicza się chyba do tego, że kiedyś widział film z Jamesem Deanem”.

Piotr w dalszym ciągu grał – głównie w off-broadwayowskich wznowieniach sztuk Czechowa i reklamach telewizyjnych, do których potrzebowali kogoś z silnym obcym akcentem. Ale teraz był przede wszystkim żigolakiem, ponuro eskortującym mniej znane, młodziutkie gwiazdy filmowe w eskapadach po modnych nocnych klubach; towarzyszył w zakupach bogatym i sfrustrowanym wdowom, pływał, pozował na kogoś innego. Jego romans z Chiffon Trent trwał zaledwie jedenaście dni. Czasami, tak jak teraz, siedząc na brzegu szerokiego, kosztownego łóżka w hotelu Plaza i pałac papierosa, czuł się wyczerpany i stary.

Pomyślał o swoim dzieciństwie w Moskwie – betonowym bloku i podwórku, na którym zazwyczaj grał w piłkę; o rodzinie, którą porzucił tamtego deszczowego dnia, kiedy przeszedł przez ulicę w Pittsburghu i zgłosił się na policję; o matce, energicznej i uśmiechniętej; o zmęczonym ojcu; o swoich dwóch siostrach.

Nie zdawał sobie sprawy, że zdradzając jedną ideologię dla drugiej, zostawia się wszystko za sobą, nawet własną historię. Obecnie czuł się tak, jakby był nikim.

– Natasza – powiedział, cytując fragment sztuki, w której miał wystąpić – jesteś tylko lustrzanym odbiciem pustego pokoju.

Na dole, w Palm Court, Reynard siedział przy tym samym co zwykle stoliku – tak daleko od fortepianu, jak tylko było to możliwe. Lubił grę na fortepianie, ale nie znosił przyglądających mu się pianistów; jego zdaniem muzyka była intymnym przeżyciem, jak seks. Reynard miał na sobie czarny garnitur, krawat w biało – czarne grochy i czarne lakierki. O siódmej musiał odlecieć z powrotem do Waszyngtonu; na dziesiątą wieczór wyznaczono tam ważne spotkanie z Komitetem Burnsa.

Pił herbatę z cytryną i bawił się łyżeczką leżącą na spodku. Palm Court wrzał od gwaru towarzyskich pogaduszek; ciągle napływali nowi goście. Reynard zaczął żałować, że nie wybrał na to spotkanie bardziej ustronnego miejsca. Jasnowłosa kobieta w jaskrawym kostiumie z kolorowego jak tęcza jedwabiu pomachała już do niego bezceremonialnie i kilka osób szepnęło, przechodząc:

– To Reynard Kelly. Widzisz, tam... nie patrz... wiesz, kto to jest? Reynard Kelly.

Elmwood stał tuż przed wejściem do Palm Court; towarzyszył mu jeden z goryli Reynarda – wysoki, kulturalnie wyglądający mężczyzna o nazwisku Pollock. Reynard przekręcił się a krześle i skrzywiony spojrzał na Dicka, ale Dick popukał tylko w zegarek i wzruszył ramionami.

Cholera. Nie będę dłużej czekał na tę dziewczynę. Jeszcze tylko chwilkę, pomyślał Reynard.

Ale prawie w tym samym momencie zobaczył jasne loki Chiffon, która sprężystym krokiem zbliżyła się do jego stolika. Wyglądała tak fascynująco i smakowicie jak jedna z kremówek serwowanych w hotelu Plaza – delikatna, pachnąca i wciąż nie można było się jej oprzeć.

Pocałowała go w policzek. Gdy poczuł jej piersi na przegubie natychmiast ogarnęła go fala pożądania. To zirykowało go jeszcze bardziej, ponieważ będzie musiał rozmawiać tu z nią, udając, że jest uprzejmy, choć tak naprawdę miał tylko jedno pragnienie – zabrać ją na górę i pójść z nią do łóżka.

– Jesteś świetnie ubrany – powiedziała, otwierając torebkę i sprawdzając w lusterku makijaż.

– Dziękuję, ty też wyglądasz wspaniale.

Zatrzasnęła torebkę i uśmiechnęła się promiennie, jakby go nie słysząc.

– Jak było w Waszyngtonie? – spytała.

– Zimno. Mnóstwo dyskusji.

– Tęskniłeś do mnie?

– Czyż zawsze do ciebie nie tęsknię? – odpowiedział Reynard.

Podszedł kelner i spytał Chiffon, co jej podać.

– Filiżankę gorącej wody – odpowiedziała. – I czy macie zwyczajne krakersy? Te bez soli?

Reynard uśmiechnął się do niej krzywo.

– Nie rozumiem, dlaczego nie wyssiesz po prostu serwetki, chyba jest bardziej pożywna.

– Chcesz, żebym była gruba?

– Czy tylko o tym myślisz? O swojej tuszy?

– Nie – odrzekła skromnie. – Czasami myślę o tobie. Reynard wyprostował nogi, popatrzył na

filiżankę z herbatą i znów zaczął się bawić leżącą na spodku łyżeczką.

– O której lecimy jutro do Waszyngtonu? – spytała Chiffon.

Reynard nie przestawał bawić się łyżeczką.

– Cóż – powiedział – to jedna ze spraw, które chciałem z tobą omówić.

– O co ci chodzi?

– Wracam do Waszyngtonu dziś wieczorem.

– Dziś wieczorem? Przecież głównym powodem mojego pobytu w Nowym Jorku jest nasz jutrzejszy lunch z Bergelem. Tylko dlatego jeszcze tu jestem. A co z rolą? Wiesz, jak bardzo mi na niej zależy.

Reynard spojrział na Chiffon, a potem znowu wbił wzrok w filiżankę.

– Lunch z Bergelem jest odwołany.

– Odwołany? Czy przełożony? Reynard, obiecałeś mi!

– Będą inne role, uwierz mi. Teraz muszę trochę przyhamować – i w polityce, i w życiu osobistym. Wszystko jest zorganizowane. Mam zamiar ubiegać się o wysunięcie mojej kandydatury, tym razem na serio. A to oznacza, że muszę bardzo uważać, by nie zarzucono mi robienia szwindli. Dotyczy to także przyznawania ról w filmach moim najbliższym przyjaciołom.

Chiffon zaróżowiła się.

– Mówisz poważnie? Naprawdę chcesz kandydować?

– Naprawdę chcę kandydować – potwierdził. – Ale zachowaj to dla siebie. Oficjalnie nie podałem jeszcze tego do wiadomości.

Cała jej irytacja ulotniła się. Promieniała podnieceniem.

– Reynard, to wspaniale. Wybaczam ci tę rolę. Tylko sobie wyobraź: Reynard Kelly, prezydent Stanów Zjednoczonych, i pani Kelly, Pierwsza Dama. Naprawdę wybaczam ci tę rolę, to i tak był tylko nędzny kryminałek. Och, chciałabym cię pocałować.

Reynard odłożył łyżeczkę i mocno splótł dłonie. Był to gest samoobrony, ale wyrażał także trudność, jaką sprawiało mu przekazanie Chiffon jego prawdziwych zamiarów.

– Reynard – Chiffon się uśmiechnęła, wyciągając ręce, by objąć jego zaciśnięte dłonie –

Reynard, jesteś zadziwiający. Są miliony mężczyzn o połowę od ciebie młodszych, którzy nie są ani tak stanowczy, ani tak przystojni, ani tak męscy jak ty. Ty po prostu jesteś numero uno.

Reynard otworzył, a następnie zamknął usta.

– Dziękuję – powiedział, sapiąc nadspodziewanie mocno. I dodał: – Chiffon...

– Nic nie musisz mówić. Kocham cię, i tylko to się liczy.

Kelner przyniósł Chiffon gorącą wodę i talerzyk krakersów udekorowany plasterkami ogórka i wiejskim serem.

Reynard wpatrywał się w kawałki ogórka, jakby się spodziewał, że przyniosą mu wiadomość o odroczeniu wyroku. W końcu powiedział:

– Ja... hmm... muszę spuścić z tonu... wiesz, o czym mówię. Zadbać o... uporządkowanie mojego życia osobistego i towarzyskiego, by upewnić Partię Demokratyczną i cały elektorat, że jestem odpowiednim kandydatem na prezydenta Stanów Zjednoczonych... to znaczy, że muszę powściągnąć upodobanie do hazardu.

– Reynard – przerwała mu Chiffon. – Jestem kobietą, nie komisją senacką do walki z mafią. Mów do mnie...

Napiął mięśnie policzków i ściągnął podbródek.

– Mówię do ciebie, cholera, gdybyś tylko słuchała, co mówię. Czy ty w ogóle rozumiesz, o czym ja mówię? Czy to do ciebie dotarło?

Chiffon wyprostowała się na krześle i spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Nie – odrzekła – nie dotarło.

– No dobrze – powiedział – wygląda to tak. Chcę, żebyś się dowiedziała, tu i teraz, że diabelnie dużo o tobie myślę. Nie ulega wątpliwości, że jesteś najbardziej wyrozumiałą dziewczyną, jaką w życiu spotkałem. Jesteś także cholernie dobrą kochanką. Ale kiedy mężczyzna decyduje się kandydować na najwyższy urząd w państwie, musi stosować się do nakazów przyzwoitości, przynajmniej dopóki nie zostanie wybrany. Chodzi mi o to, że mass media mogą przymknąć oko na senatora, który pokazuje się z piękną dziewczyną u boku, ale na pewno nie zdobędą się na taką kurtuazję wobec kandydata na prezydenta.

– A zatem...? – Chiffon z rozszerzonymi oczami i wypiekami na twarzy wpadła mu w słowo.

– A więc... musimy na jakiś czas ograniczyć nasze kontakty. Przykro mi. Dopilnuję, żebyś przez ten czas miała z czego żyć... ale porozumienie, które musiałem zawrzeć, aby mieć pewność, że mam szansę w walce o prezydenturę... naprawdę bardzo żałuję, że wyklucza cię z gry.

Oczy Chiffon napełniły się łzami – była raczej wściekła niż nieszczęśliwa.

– Ograniczyć? – warknęła. – Niczego nie ograniczasz, porzucasz mnie. O to chodzi, prawda? No, dalej, powiedz mi to wprost, na litość boską.

– Mów ciszej – nakazał Reynard.

– A niby dlaczego, do diabła? Obiecałeś mi, że pewnego dnia zostaniesz prezydentem, i powiedziałeś, że kiedy ty nim będziesz, ja będę Pierwszą Damą. Czy nie mówiłeś tego?

– Chiffon, mogłem coś takiego powiedzieć tylko w łóżku, po jakimś zwariowanym przyjęciu...

– Reynard, obiecałeś mi. Pewnego dnia, mówiłeś, staniemy na trawniku przed Białym Domem i cały świat będzie na nas patrzył jak w kinie. Pani Chiffon Kelly, mówiłeś, Pierwsza Dama Stanów Zjednoczonych.

Reynard kiwnął na kelnera, aby przyniósł rachunek.

– Posłuchaj, Chiffon – powiedział spokojnie. – Nie mam zamiaru siedzieć tutaj, dyskutując na temat bzdur, które mogłem powiedzieć ci w łóżku, nie zamierzam także kłócić się na oczach wszystkich o przyszłość naszego związku. Powiedziałem ci, co czuję. Bardzo cię lubię; w gruncie

rzeczy uwielbiam. Ale mam obowiązki wobec mojego kraju i wobec samego siebie; myślałem, że zrozumiesz to i przyjmiesz jak dama.

– Ty nędzna kreaturo! – powiedziała Chiffon tak porywczo, że starsze panie przy sąsiednim stoliku odwróciły się zdziwione. – Myślisz, że byłabym z tobą choć przez chwilę, gdybyś nie obiecał, że zostanę Pierwszą Damą? Myślisz, że ja chciałam ciebie? Jesteś wysuszonym staruchem! Jak sądzisz, dlaczego dziewczyna, która wygląda tak jak ja, spędza czas z mężczyzną, który wygląda jak ty? Myślałeś, że zwariowałam czy co?

– Chiffon... – odezwał się Reynard.

– Nie odzywaj się – pomstowała Chiffon. – Nic nie mów, jeszcze jedno twoje słowo i zacznę krzyczeć...

– Nie ma powodu wpadać w histerię – perorował Reynard. – Rozstajemy się tylko chwilowo, do zakończenia wyborów. Przez ten czas będziesz żyła w absolutnym luksusie. Dostaniesz wszystko, czego pragniesz; wystarczy tylko słowo. Jeżeli chodzi o pieniądze, samochody – powiedz mi.

– Chcę tego, co mi obiecałeś: Białego Domu.

– Czemu się tak do tego palisz? Pierwsza Dama ma mnóstwo obowiązków, nienawidziłybyś ich. Musiałabyś cały swój czas poświęcić na obiady organizowane w celach dobroczynnych, odwiedzanie upośledzonych, rozmowy z żonami afrykańskich gości, uśmiechając się przy tym bez przerwy, jak idiotka. Nie zniosłabyś tego.

– Obiecałeś mi Biały Dom – powtórzyła Chiffon z kamienną twarzą.

– Co ona powiedziała? – szepnęła jedna ze starszych pań przy sąsiednim stoliku. – Obiecał jej co?

– Wiesz, co zrobię? – powiedziała Chiffon, dławiąc się z rozczarowania i złości. – Teraz stąd wyjdę, ale przedtem coś ci powiem. Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie dowiem się, że zmieniłeś zdanie, natychmiast zwrócę się do prasy, radia i telewizji i wyjawię wszystko, co wiem o tobie.

– Na twoim miejscu, kochanie – odpowiedział Reynard – niczego nie robiłbym pochopnie.

– „Kochanie” – prychnęła. – W twoich ustach brzmi to jak zniewaga.

– Gdybym tylko wiedział, iż liczysz na to, że zabiorę cię ze sobą do Białego Domu... do głowy mi nie przyszło, że traktujesz to tak poważnie. Chiffon, to po prostu niemożliwe. Uwielbiam cię i chciałbym, abyś była blisko mnie, ale Greta...

– Greta! Cóż ma z tym wspólnego?

– To oczywiste. Jeśli chcę ubiegać się o wysunięcie mojej kandydatury przez demokratów, muszę to robić jako głowa rodziny. Nie mogę starać się o to sam; za mną musi stać żona.

Chiffon utkwiała w nim wzrok.

– Po tym wszystkim, co opowiadałeś o Grecie: jaka z niej była suka, jak nigdy nie rozumiała twoich ambicji, jak tragiczna była w łóżku! Ty kłamco! Chyba nigdy nie spotkałam kogoś tak pozbawionego skrupułów.

Kelner przyniósł rachunek. Reynard podpisał go znanym zdecydowanym zakrętasem i dał mężczyźnie dziesięciodolarowy napiwek.

– Dziękuję, panie senatorze – powiedział kelner, patrząc niepewnie na Chiffon.

Opuścili Palm Court w niezwyklej dla tego miejsca ciszy. Ludzie odwracali głowy. Reynard poczuł się w obowiązku pozdrowić dwie lub trzy znajome osoby, w tym Kena Gibbsa ze Standard Oil, który uśmiechał się głupio, jak uczeń.

– Nie trudź się odprowadzaniem mnie do pokoju – powiedziała Chiffon i dumnym krokiem ruszyła przez dywan w duże wzory.

Dick Elmwood poprawił krawat.

– Wygląda na wytraconą z równowagi.

– Jest zdenerwowana. Nie doceniłem jej.

– Dlaczego tak szaleje? Nie rozumie, że pan też się martwi?

Reynard odetchnął głęboko.

– Sądziła, że kiedy będę kandydował na prezydenta, stanie u mojego boku. Wydawało jej się, że zostanie Pierwszą Damą.

– Żartuje pan? – rzekł Elmwood. – Chyba nigdy jej pan tego nie obiecywał?

– Może jakiejś nocy, kiedy byłem pijany i szczęśliwy. Ale nigdy, ani przez chwilę nie sądziłem, że potraktowała to poważnie. Okazało się, że to dla niej ważniejsze niż pieniądze, ważniejsze niż wszystko. Naprawdę jest wściekła.

– Hmm – powiedział Elmwood. – To może być kłopotliwe, delikatnie mówiąc. Jeżeli przyjdzie jej do głowy poinformować prasę...

– Już jej to przyszło do głowy. Mówi, że jeśli nie zmienię zdania do jutrzejszego popołudnia, zdemaskuje mnie publicznie.

Dick Elmwood zagryzł wargę i spojrzał z zadumą na Pollocka. Pollock stał, trzymając ręce tak, jakby osłaniał genitalia, i nie powiedział ani słowa. Mówił tylko wtedy, gdy zwracano się bezpośrednio do niego, a i wtedy odpowiadał monosylabami.

– Co chce pan zrobić? – spytał Elmwood.

– Nie sądzę, żebyśmy mogli wiele zdziałać.

– Nie da się przekonać? Przekupić?

– Nie wierzę w to.

Elmwood pomyślał chwilę, po czym powiedział:

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli ja się nią zajmę, sir. Reynard uśmiechnął się, pozdrawiając znajomego, który ich mijał.

– Dobrze – z uśmiechem przyklepionym do twarzy zwrócił się do Elmwooda – jeśli sądzisz, że to jest jedyne wyjście... Ale ja w ogóle nie chcę o niczym wiedzieć, słyszysz? Nigdy mi o tym nie wspominaj.

– Pollock? – spytał Elmwood. – Rozumiesz, o co tu chodzi?

– Tak, sir – odpowiedział Pollock. Mimo że był przystojnym mężczyzną, miał jakiś szczególny wyraz twarzy: straszliwą obojętność, która w jakiś sposób nadawała mu wygląd człowieka wypranego z wszelkich uczuć.

– No cóż – powiedział Reynard nieprzyjemnym tonem – teraz pójdę się odświeżyć, spotkamy się trochę później.





Edmond jadł lunch z doktorem Johnem Metcalfem, kiedy podszedł Oscar Ford, położył mu rękę na ramieniu i spytał:

– Możesz poświęcić mi chwilę? Jak się masz, J.M.? Przepraszam, że wam przeszkadzam.

– Czy nie możesz z tym poczekać? – spytał Edmond. Był dopiero w połowie befsztyka, a Metcalf z trudem dał się namówić na wspólny lunch. Edmond prawie od dwóch miesięcy próbował porozmawiać z nim na temat nowocześniejszej aparatury diagnostycznej dla kliniki.

– Obawiam się, że nie. Mam mało czasu – odrzekł Oscar, patrząc na zegarek i machając niebieską teczką z wynikami sekcji zwłok, jakby w niej były ostateczne dowody na teorię ewolucji.

– To rezultaty sekcji Osmana?

Oskar kiwnął głową.

– Powinieneś je zobaczyć, uwierz mi. Edmond spojrzał na siedzącego naprzeciw doktora Metcalfa. Białowłose, wykwinny w mowie, w dalszym ciągu żuł kawałki befsztyka z rusztu i wypił zaledwie łyk białego wytrawnego wina. Jego twarz wciąż była łagodna i nieprzenikniona, jakby celowo nie chciał dać Edmondowi najmniejszej wskazówki, czy zmarnuje szansę na uzyskanie lepszego sprzętu, jeśli odejdzie teraz od stolika.

Oscar spojrzał nagle na Edmonda i powiedział:

– Uwierz mi, to cholernie ważne, mam co do tego dwustu – procentową pewność.

– Wybacz mi pan na chwilę, doktorze Metcalf? – spytał Edmond.

Doktor Metcalf zamknął i otworzył oczy w ledwo uchwytnym przyzwoleniu. Edmond odsunął krzesło i ruszył za Oscarem.

– Mam nadzieję, że to nie dowcip – powiedział, gdy szli wśród drzew i roślin zdobiących restaurację. Oscar nie odpowiedział, tylko prychnął pogardliwie i raz jeszcze pomachał teczką, prowadząc Edmonda na oszklony, wspaniale nasłoneczniony balkon; było tu potwornie gorąco, ale przynajmniej cicho, z dala od śmiechów, szczekania noży i widelców – restauracyjnego gwaru, który Arabelle, posługując się cytatem z *Wieczoru Trzech Króli*, nazywała „szemrzącą plotką powietrza”.

– Kompletną kopię raportu dam ci później – odezwał się Oscar – ale już teraz musisz wiedzieć, że to nie polio spowodowało śmierć Michaela Osmana.

– Jeżeli nie polio, to chciałbym, do diabła, wiedzieć co – odrzekł Edmond.

W ciągu ostatnich dwóch dni prawie zapomniał o sekcji Osmana – miał głowę zaprzątniętą nagłą epidemią odry w Concord Union School przy Rumford Street i dwoma przypadkami choroby wywołanej, jak podejrzewał, niedożywieniem, w pobliżu miasta Snap. Niedożywienie w rolniczym New Hampshire! Jeszcze doczekają się zarazy.

Oscar poślinił kciuk i przerzucił protokół z sekcji, dopóki nie doszedł do raportu wirusologa.

– To był wirus, zgoda. Ale na pewno nie był to wirus heinemediny, chociaż wywołał taki sam skutek. O, tutaj: „Mikroskopowe badanie wycinka tkanki mięśnia międzyżebrowego ujawniło obecność nieznanego wirusa, który spowodował lub w znacznej mierze przyczynił się do porażenia układu oddechowego, przypominającego paraliż dziecięcy. Nie stwierdzono nic niezwykłego w strukturze wirusa, składającego się – jak zwykle – z kwasu nukleinowego z zakodowaną informacją genetyczną oraz osłonki białkowej. Wielkość wirusa wynosi osiemdziesiąt nanometrów. W celu przeprowadzenia dalszych badań wykonano serię zdjęć wirusa pod mikroskopem elektronowym”.

Edmond spojrzał na raport.

– Kto go opracował? Wilson?

– Nie, Corning... Wiesz, jaki on jest, cholernie brak mu wyobraźni.

– A co jest napisane tam na dole?

– A! – rzekł Oscar, kiwając palcem. – Właśnie do tego dochodzimy. Corning dał komentarz do wyniku, który... O, już mam: „Pierwsze testy, przeprowadzone na tym wirusie w warunkach laboratoryjnych, wskazują na jego niespotykaną i przerażającą zdolność rozwoju i replikacji”. Tu następuje fachowy opis, ale dalej stwierdza: „Podczas gdy wirusa można zazwyczaj zniszczyć rozpuszczalnikami lipidowymi, na przykład eterem, albo za pomocą jonizacyjnych właściwości promieni Roentgena lub niejonizujących promieni ultrafioletowych...” Jeszcze kawałek opuszczę. Teraz posłuchaj: „Ten szczególny wirus nie tylko jest odporny na rozpuszczalniki lipidowe czy promieniowanie, ale pod ich wpływem nawet potęguje się jego zakaźność. Większość wirusów nie wytrzymuje wysokiej temperatury, a w tym przypadku proces replikacji w takich warunkach następuje niemal trzykrotnie szybciej; podobnie jak inne wirusy, zachowuje swą zakaźność nawet w bardzo niskich temperaturach”.

Oscar przestał czytać i spojrzał z powagą na Edmonda. Na balkonie zrobiło się chyba jeszcze goręcej, nos Oscara pokryły kropelki potu.

– Zastanówmy się. Corning twierdzi, że tego wirusa nie można zabić?

– Tak właśnie uważa.

– I co więcej, wirus szerzy się lotem błyskawicy?

Oscar skinął głową.

Edmond przysłonił oczy i spojrzał na zatłoczony parking i dalej – na migoczące w słońcu zakole rzeki Merrimack. Wirus, zadumał się Edmond, który ulega szybkiej replikacji i którego nie można zniszczyć konwencjonalnymi metodami. Był to prześladowający go koszmar, odbierająca odwagę i przyprawiająca o zawrót głowy zmora, która budziła go nad ranem, zlanego potem. Miał jeszcze inny, bez końca powtarzający się sen, o tym, co spotkało Arabelle. Wydawało się to śmieszne, nieprawdopodobne, szczególnie w takie wczesne, słoneczne popołudnie, kiedy zewsząd otaczali go rozgadani, śmiejący się ludzie – ale było prawdą, potwierdzoną przez wstępny raport wirusologa, doktora Corninga; było oczywistym i przykrym faktem, że stojący przed nim Oscar jest tak bardzo zmartwiony, iż nie potrafi nawet żartować.

– To jest... to może oznaczać epidemię – powiedział Edmond. Zaszło mu w ustach.

– Cóż, jak dotąd Michael Osman jest jedyną znaną nam ofiarą – odrzekł Oscar. – Ale, jak wiesz, nie odkryliśmy jeszcze źródła choroby, a co gorsza, nie wiemy, jak można się nią zarazić. Jeśli jest to coś w rodzaju polio, może być przenoszone przez ludzi, którzy byli szczepieni.

Edmond zwilżył wargi.

– Ile czasu potrzebuje Corning na przeprowadzenie pełnych testów?

– Nie powiedział. Niektóre próbki wysyła do Berkeley.

Edmond przesunął się w bok, by spojrzeć na salę restauracyjną i upewnić się, czy doktor Metcalf nie jest zbyt zniecierpliwiony.

– Zbadałeś przyjaciela Michaela Osmana? – spytał Oscar.

– Berniego? Tak, widziałem go jeszcze tamtej nocy. Czysty jak łąza.

– Od tej pory żadnych doniesień?

– Żadnych.

– Cóż, może to tylko wybryk natury – zasugerował Oscar. – Może z jakiegoś powodu właśnie ten jeden chłopiec zareagował na typowego wirusa heinemediny w taki sposób, że doszło do mutacji wirusa.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie. Szczerze mówiąc, nie wiem, w co wierzyć. Spójrzmy na to w ten sposób: istnieje prawdopodobieństwo, że wirus ten wywołuje chorobę tylko u niektórych osób, a Michael Osman, niestety, był jedną z nich. Ale ten wirus jest tak złośliwy, że nie mogę pojąć, jak to się stało, iż Bernie, przyjaciel Michaela, nie został zarażony; tym bardziej że spędzali ze sobą niemal całe dnie. Wiesz, jakie są dzieci: dzielą się słodyczami, piją colę z jednej puszki, nie myją rąk. Było tysiąc okazji, żeby Bernie zaraził się wirusem, lecz do tego nie doszło.

Edmond wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła.

– Muszę wracać do doktora Metcalfa – oznajmił. – Ale daj mi trochę czasu, żebym mógł to przemyśleć. Mówiłeś o tym Bryce'owi?

– Jeszcze nie. Jesteś pierwszy, z wyjątkiem chłopaków w laboratorium.

– Chyba nie myślisz, że Bryce będzie z tego zadowolony?

– A ty?

– Nie to miałem na myśli.

– Wiem, o co ci chodzi – rzekł Oscar. Doktor Bryce był inspektorem sanitarnym okręgu Merrimack: nieugięty, konserwatywny, twardy jak orzech – człowiek New Hampshire. Był członkiem Synów Amerykańskiej Rewolucji i aktywnym działaczem kilkunastu lokalnych organizacji. Jego rodzina osiedliła się w Concord jeszcze za czasów Nathaniela B. Bakera. Bryce uważał, że Concord jest jedynym porządnym miastem w Stanach Zjednoczonych.

Zarówno Edmond, jak i Oscar wiedzieli, że Bryce przyjmie wyniki sekcji zwłok Michaela Osmana z większym niż zazwyczaj sceptycyzmem i gderliwą wrogością. Każdy przypadek gwałtownej lub nienaturalnej śmierci w Concord odbierał jako osobisty afront – rozmyślną i grubiańską obrazę jego wspaniałej społeczności. Oscar powiedział, że jeśli Bryce robiłby to, co uważa za stosowne, to każdy, kto nie byłby na tyle uprzejmy, by umrzeć we śnie z uśmiechem na ustach, zostałby przemycony nocą przez granicę okręgu Belknap i tam pozostawiony.

– Musisz powiedzieć o tym jeszcze komuś poza Bryce'em – stwierdził Edmond. – Jeśli tylko jemu przekażesz raport, to schowa go do teczki „Sprawy do załatwienia w roku przyszłym” i zapomni o nim. W tym czasie wymrze połowa mieszkańców okręgu Merrimack.

– Kogo proponujesz?

– No cóż, zawsze możemy się zwrócić do Harolda Bunyana.

– Czy to twój anioł stróż w Ministerstwie Zdrowia? Przypuszczałem, że to on. To chyba jedyny lekarz w ministerstwie, którego sposób bycia podobny jest do twojego.

– Dawno temu, na Manhattanie, oddałem Haroldowi przysługę – wyjaśnił Edmond. – Jego syna oskarżono o handel narkotykami. Chłopak sam nieźle ćpał. Udało mi się go wyciągnąć na podstawie zaświadczeń lekarskich.

Jasnoczerwona twarz Oscara pozostała bez wyrazu. Oczywiście, że czekał, aż Edmond wyjaśni, w jaki sposób zwyczajny lekarz, bez względu na to, jak bogaty i dobrze ustosunkowany, mógł uratować handlarza narkotyków przed nawet minimalną karą.

– Byłem bardzo bliskim przyjacielem osoby związanej z zastępcą prokuratora okręgowego – dodał Edmond.

Kiedy Oscar w dalszym ciągu milczał, Edmond dorzucił:

– Jego żony.

– W porządku – rzekł Oscar – przekażę raport na ręce Bryce'a, później przedstawię sprawę Haroldowi Bunyanowi.

– Czy mógłbyś zdobyć kopię raportu także i dla mnie? – spytał Edmond. – Kiedy Harold

znajdzie czas, by się zapoznać z wynikami sekcji, mogę razem z nim przejrzeć raport i udzielić mu wszystkich wyjaśnień, jakich będzie potrzebował. Przekażę mu przy okazji osobiste uwagi na temat tego przypadku.

– Mam nadzieję – powiedział Oscar – że nie dostaniemy za to po głowie. Jeżeli Bryce dowie się, że Harold Bunyan otrzymał raport z sekcji w tym samym czasie, co on... sam wiesz, jakim jest formalistą, pomijając to, że już sam widok Harolda Bunyana jest dla Bryce'a nie do zniesienia.

– Lepiej wróć do stolika. Doktor Metcalf wygląda, jakby miał ochotę wstać i wyjść.

– W porządku – zgodził się Oscar. – Zadzwoń do ciebie wieczorem i przekażę ci, jak Bryce zareagował na raport. Pewnie powie: „Wybryk natury, doktorze Ford, aberracja”. Zrobię, co będę mógł.

Edmond uściśnął mu rękę i odwrócił się, by powrócić do stolika. Ale zanim odszedł, Oscar powiedział:

– Jeszcze jedna sprawa, E.C.

– Tak? O co chodzi?

Oscar uniósł raport w przeproszającym geście.

– Wiesz, przykro mi z powodu tego przyjęcia.

Edmond potrząsnął głową.

– Nie ma czego żałować. Zaoszczędziłeś mi wizyty brata.

– Nie utrzymujesz z nim kontaktów?

– Kiedyś ci o tym opowiem. Ale teraz... naprawdę, później się z tobą skontaktuję.

Doktor Metcalf był wyraźnie niezadowolony z przedłużającej się nieobecności Edmonda. Skończył jeść befsztyk i bębniąc palcami po stoliku, spoglądał co chwila na zegarek.

– Przepraszam – powiedział Edmond, siadając. – Doktor Ford miał bardzo trudny przypadek.

– Rozumiem – odrzekł doktor Metcalf. – Ale obawiam się, że nie pozostało nam wiele czasu na omówienie sprawy aparatury diagnostycznej. O drugiej muszę być w szpitalu.

– Doktorze Metcalf, czy naprawdę muszę pana przekonywać o potrzebie posiadania takiego sprzętu? – zapytał Edmond. – Sam pan wie, że jest nam niezbędny. Jeżeli zarząd zredukuje przyszłoroczne wydatki na utrzymanie budynku zaledwie o jeden procent, to uzyskamy potrzebne nam pieniądze.

– Niestety, nie jest pan jedynym, który chce zabrać dla siebie jeden procent z budżetu kliniki – stwierdził doktor Metcalf. – Doktor Abrahams chce nowej aparatury do terapii; doktor Krassner chce łóżek; doktor Wolinsky potrzebuje pełnego zestawu sprzętu laboratoryjnego. Jeżeli dam panu ten jeden procent, co powiem innym?

Podeszła kelnerka i spytała:

– Może któryś z panów miałby ochotę na szarlotkę? Albo na wspianiały tort?

Doktor Metcalf spojrzął na nią, potem na Edmonda.

– Obawiam się, że nie dam się namówić – odrzekł. – I chyba to samo muszę powiedzieć o pańskiej propozycji, doktorze Chandler. Niech pan się przypomni w przyszłym roku, może wtedy będziemy mieli więcej pieniędzy.

Edmond nawet nie próbował się uśmiechnąć.

Bernie rozplakał się, kiedy mu powiedzieli, że Michael nie żyje. Później przez wiele dni był blady i apatyczny, prawie nic nie jadł, z nikim nie rozmawiał, przesiadywał samotnie w swojej sypialni, oglądając telewizję, lub jeździł rowerem daleko w pole i siadał skulony z założonymi rękami, jakby próbował się uchronić przed lodowatym powiewem wiedzy o tym, że jego najbliższy przyjaciel zostanie wkrótce pochowany.

Edmond wytłumaczył rodzicom Berniego, że przez długie tygodnie chłopiec będzie pogrążony w smutku i należy mu pozwolić na manifestowanie swojego nieszczęścia i rozpacz. Częściowo żalność Berniego brała się z irracjonalnego odczucia, że jego nieżyjący przyjaciel w jakiś sposób go zdradził, odszedł, nie mówiąc, dokąd idzie, nie zostawiając żadnej wiadomości. Rodzice Berniego byli śmiertelnie przerażeni, że ich syn mógł nabawić się choroby, która tak szybko zabiła Michaela. Edmond zbadał chłopca dokładnie, pobrał próbki krwi oraz płynu rdzeniowego i wkrótce nie było wątpliwości, że jakimś cudownym zrzędzeniem losu nie został zarażony.

– Jeśli wystąpią jakieś objawy, nawet drobny ból gardła czy zeszywnienie stawów, proszę mnie natychmiast wezwać – ostrzegł ich Edmond.

Tego samego popołudnia, kiedy Edmond jadł lunch z doktorem Metcalfem, Bernie siedział w swojej sypialni, a przed nim, na biurku, leżała skórzana walizeczka Michaela. Otworzył ją, zamknął i znowu otworzył. Wyjął z niej wszystkie buteleczki z przezroczystego szkła i ustawił w szeregu.

Dla Berniego walizeczka była absolutną tajemnicą. Michael nigdy nie schowałby niczego w ich skrytce, nie mówiąc mu o tym; Bernie nie mógł sobie przypomnieć, aby Michael choć raz ukrył przed nim jakąś zdobycz. I jeśli nie powiedział mu o walizeczce tamtego przedpołudnia, zanim Bernie poszedł na lekcję muzyki, musiał ją znaleźć po południu i nie zdążył mu jej pokazać.

Bernie bez przerwy oglądał skórzaną walizeczkę – sprawiała wrażenie starej i zatęchłej; w środku znajdowała się nawet ziemia. Pięć buteleczek było zapieczętowanych czymś w rodzaju zaschniętego wosku, ale szósta była już otwierana. Przez Michaela? Bernie nie wiedział. Otworzył buteleczkę i powąchał płyn, który nie miał chyba żadnego zapachu. Może była to po prostu woda.

Bernie zastanawiał się, czy powinien pokazać walizeczkę rodzicom, ale zdecydował, że nie zrobi tego, przynajmniej przez jakiś czas. Razem z Michaeliem chowali w ścianie garażu tylko takie rzeczy, które wymagały zachowania największej tajemnicy i były przeznaczone wyłącznie dla ich oczu. Teraz wydawało mu się, że jeśli pokaże wszystkim walizeczkę, to zdradzi Michaela. Czuł, że została mu ona w pewien sposób powierzona: była ostatnią tajemniczą wiadomością od Michaela i dopóki nie odkryje jej sekretu i nie zrozumie, dlaczego Michael ją schował, Bernie chciał zatrzymać walizeczkę wyłącznie dla siebie.

Pani Osman powiedziała, że tamtego popołudnia Michael wybrał się dokądś na rowerze. Nie odwiedził żadnego ze swych przyjaciół, nie pojechał do Winant Mali, żeby odszukać matkę. Mógł się udać do Turtle Pond, ale jadąc tamtędy, zazwyczaj przejeżdżali przez błotniste tereny wokół stawu, a Bernie nie zauważył śladów błota na rowerze Michaela. Mógł pojechać do Sugar Ball, odwiedzić starego pana Keelera, ich byłego wychowawcę, ale to było mało prawdopodobne. Droga była długa i zazwyczaj jeździli tam razem, uprzedzając rodziców o swojej eskapadzie.

Mógł pójść do Conant's Acre, ale jak mógł się zarazić na polu? I gdzie znalazł skórzaną walizeczkę? Pośrodku pól?

Bernie włożył buteleczki na miejsce i zamknął walizeczkę. Potem podniósł ją ostrożnie i schował na najwyższej półce obok modelu samolotu oraz bohaterów *Gwiezdnych wojen*, za stosem komiksów. Może powinien pojechać na rowerze do Conant's Acre i rozejrzeć się po okolicy. Najprawdopodobniej Michael tam właśnie się wybrał. Nie było to zbyt daleko, a ponieważ nie poznali jeszcze dobrze tego miejsca, wciąż budziło w nich lęk i podniecenie.

Poza tym Bernie chciał być sam.

Matka pomachała mu przez kuchenne okno, kiedy pedałowal w dół ulicy. Popołudnie było jasne i słoneczne, ale z północnego wschodu wiał silny wiatr; Bernie założył zielono-żółtą baseballową czapkę. Stara pani Rogers, stojąca na trawniku przed swoim domem, zawołała: „Jak się masz,

Bernie!” – i chłopiec odkrzyknął bardzo uprzejmie: „Dzień dobry, pani Rogers!”

Jadąc do Conant's Acre, Bernie musiał okrążyć Webster Crescent i minąć dom Michaela. Dom wyglądał dziwnie i smutno: zasłony na dole były opuszczone, a na drzwiach frontowych wisiał skromny wieniec. Nie mógł pogodzić się z myślą, że już nigdy nie będzie się bawił w tym domu, że Michael nie żyje i leży z zamkniętymi oczami w trumnie, a wszystko jest już przygotowane do wtorkowego pogrzebu. Tydzień temu o tej porze bawili się razem na Appleton Street.

Dotarł do Conanls Acre, zeskoczył z roweru i oparł go o płot. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu śladów Michaela, ale były tam, jak zwykle, tylko gęste chwasty, puszek po coli i podarte gazety. Wiatr hulał po Conant's Acre, szumiąc mu w uszach. Pociągnął nosem i wspiał się na płot, przez moment zatrzymał się na najwyższym balu i przesłonił oczy, by rozejrzeć się dookoła. Spróbuj udawać, że jesteś Michaelem, pomyślał. Jesteś sam i planujesz zabawę. Spróbuj sobie wyobrazić, co zrobiłby Michael.

Za polem, w oddali, ciągnęły się lasy. Czy Michael zapuściłby się w leśną gęstwinę? Wydawało się to mało prawdopodobne. Obaj bali się lasów – Bernie bardziej, niż się do tego przyznawał. Kojarzyły mu się z lasami w *Drakuli*, w których wampiry poruszały się jak wysokie, szare cienie, a z pokrytej liśćmi ziemi podnosiły się zombi, ze skręconymi, czerwonymi glistami wylazającymi z oczodołów.

Bywały chwile, kiedy Bernie żałował, że przeczytał aż tyle horrorów. Nawet tutaj, zaledwie parę jardów od ogrodzenia, cisza wietrznego popołudnia była przerażająca.

Usłyszał, jak coś poruszyło się tuż za nim, i odwrócił się przestraszony. Ale był to tylko zajac, wpatrujący się w niego z chwastów rosnących wzdłuż płotu. „Tutaj, zajączku”, powiedział, „chodź, zajączku” – ale zwierzątko czmychnęło na pole i zniknęło w żywopłocie.

Może Michael znalazł skórzaną walizeczkę po prostu na ziemi. Może ktoś ją zgubił i Michael miał zamiar odnieść zgubę na posterunek policji, gdy tylko pokaże ją Berniemu. Dlaczego jednak nie pokazał jej rodzicom? Może pochodziła z jakiegoś szczególnego miejsca, którego Michael nie chciał zdradzić rodzicom dlatego, że nie powinien tam chodzić, albo dlatego, że uznał je za wielkie, tajemnicze odkrycie. Może Michael znalazł w końcu kryjówkę. Obaj szukali dobrej kryjówki, odkąd ojciec Berniego złapał ich na paleniu zapalek w altanie znajdującej się na końcu podwórza i zabronił im rozbijać tam obozowisko. Próbowali bawić się w namiocie, ale to nie było to samo.

Bernie był w połowie drogi przez pole, gdy nagle stanął i z rękami na biodrach wpatrzył się w rozciągający się przed nim las. Na pewno Michael nie doszedł nawet do pierwszych drzew. Sam by tego nie zrobił, to było zbyt straszne. Las szumiął i szeptał jak żywy; nawet tego pogodnego dnia był ponury i mroczny – gąszcz niewypowiedzianych lęków.

Bernie zawrócił i z trudem zaczął się wlec w kierunku ogrodzenia. Ale już po paru krokach zawahał się i raz jeszcze spojrzął na las. Tak, był straszny, ale czuł niemal, jak go do siebie zaprasza. Gdyby był Michaelem, czy poszedłby samotnie do lasu tego wietrznego dnia? Możliwe, że tak. Łatwo sobie wyobrazić, co by powiedział po powrocie i jak by się chwalił tym, że sam odważył się zapuścić w głąb lasu, czego żaden z nich nie miał odwagi do tej pory zrobić. Zaledwie dwa czy trzy dni temu kłócili się z Michaelem, który z nich jest odważniejszy. Bernie zmusił Michaela, by przyznał, że skoro on ma dziesięć, a Michael tylko dziewięć lat, to z racji naturalnego rozwoju człowieka jest o rok odważniejszy. Rzecz w tym, że im kto starszy, tym odważniejszy.

Bernie znów ruszył w kierunku lasu. Powiedział sobie, że w ciągu dnia nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, gdyż wampiry i inne potwory wychodzą tylko nocą. Problem polegał na tym, że w lesie mogło już być tak ciemno jak nocą, i co wtedy? Może Michael spotkał wampira, który go ugryzł, i dlatego umarł – z powodu zakażenia krwi.

Doszedł już prawie do skraju lasu, kiedy usłyszał gwizdanie. Spojrzał w lewo i zobaczył zbliżającego się polem mężczyznę: miał na sobie sportową marynarkę z paskiem, kalosze i miękki tweedowy kapelusz. Zajęło mu nieco czasu, zanim z rękami w kieszeniach zbliżył się do Berniego, na pół się uśmiechając, na pół krzywiąc.

– Jak masz na imię, synu?

– Bernie.

– Hmm, wiesz, że to prywatne tereny? – powiedział mężczyzna. – Prywatny las.

– Nie, sir. – Bernie oczywiście o tym wiedział.

– Cóż, naprawdę tak jest – wyjaśnił mężczyzna. – Cały Conant's Acre, cały las aż do Loudun Rood to prywatna posiadłość.

– Czy nikomu nie wolno tu spacerować? – spytał Bernie. Mężczyzna powoli potrząsnął głową.

– Chodzi o ubezpieczenie. Przypuśćmy, że przewrócisz się na tym terenie, złamiesz nogę czy coś innego. Pan Kelly nie chce, by ktoś zaskarżył go o niedbalstwo czy o coś w tym rodzaju. Nie ma zamiaru nikogo obrażać, nie chce tracić przyjaciół, ale jest zamożnym człowiekiem, a bogaci ludzie muszą być ostrożni. Trzy razy dzieci i pijacy wyskakiwali tuż przed maską jego samochodu, po to tylko, by dostać odszkodowanie. Mógłbyś uciec się do podobnego podstępu. Nie twierdzę, że chcesz to zrobić, ale mógłbyś.

W gruncie rzeczy Bernie poczuł ulgę, że zawrócono go z drogi do lasu. Teraz mógł wrócić, nie czując się jak tchórz.

– Trzymaj się z dala od tych terenów – powiedział mężczyzna – i przekaz to także twoim przyjaciołom. Pan Kelly jest dobrym człowiekiem i sąsiadem, ale prosi, by nie włóczono się po jego posiadłości.

Bernie po raz ostatni spojrzął na las – na splątany wrzosiec i kołyszące się gałęzie – i właśnie wtedy dostrzegł na jednym z pni tak dobrze znajome nacięcie. To był sekretny znak, jaki wymyślili razem z Michaeliem – trójkąt z kółkiem w środku. Poczul, że serce wali mu jak młotem, i zerknął na mężczyznę, by się upewnić, że nie zauważył znaku. Michael był tutaj! Jego przypuszczenie okazało się słuszne.

Szybko pobiegł z powrotem przez pola, policzki pałały mu z podniecenia. Przeskoczył przez płot, chwycił rower i pomknął do domu. Miał rację, miał rację. To była tajemnica, a jeden ze śladów stanowiła skórzana walizeczka z buteleczkami. Gdzieś w głębi lasu znajdzie odpowiedź, może nawet rozwiąże zagadkę śmierci Michaela. Najpierw powinien jednak wrócić do domu i opracować plan działania. Później będzie musiał znaleźć sposób, aby niepostrzeżenie prześliznąć się do lasu i pójść śladami znaków pozostawionych przez Michaela.

Trudno było pedałowac pod górę Webster Crescent; po kilku jardach Bernie zeskoczył z roweru i prowadził go przy sobie. Tak doszedł do domu Michaela, gdzie zatrzymał się na chwilę. Nagle opuściło go podniecenie wywołane pragnieniem odkrycia tego, co stało się z Michaeliem. Pragnął już tylko jednego – odzyskać Michaela, przyjaciela, którego utracił na zawsze. Poczul dławienie w gardle i oczy wypełniły mu się łzami.

„Nigdy nie wstydź się płakać”, powiedział mu doktor Chandler i przypomniawszy sobie te słowa, Bernie zaszlochał.

Wyjął pomietą chusteczkę higieniczną i otarł oczy. Następnie znów ruszył ulicą pod górę. Ale już po paru krokach jego wzrok przyciągnął niezwykle widok. Na górze, w oknach domu Michaela, migotały pomarańczowe języki, sięgające niemal sufitu. Jasne, czerwone fale, jakby ktoś rzucił w górę jaskrawą narzutę. Zatrzymał się i po chwili znowu zobaczył to samo. Ale tym razem miał pewność, że to nie narzuta – to migaly języki ognia. I zanim zdążył pomyśleć, aby wezwać pomoc,

zobaczył, że zasłona w sypialni stanęła w ogniu i spłonęła jak draperie piekiel.

– Pożar! – krzyknął.

Mężczyzna myjący samochód dwa domy dalej podniósł głowę i spojrzął na niego. Bernie wskazał ręką sypialnię Osmanów i znów krzyknął:

– Pożar! Dom się pali!

Edmond miał wolne popołudnie. Musiał dojść do siebie po lunchu z doktorem Metcalfem. Ale ledwie zaczął z Christy partię tryktraka, zadzwonił telefon. Edmond podniósł słuchawkę i powiedział:

– Doktor Chandler. – Po czym do Christy: – Zaczynaj, możesz rzucić, jeśli chcesz.

Dzwonił Oscar. Słabo go było słychać, gdyż łączył się z przenośnego telefonu w swoim samochodzie.

– Jestem na Webster Crescent, u Osmanów.

– Co tam robisz?

– Wybuchł tu pożar. Strażacy dopiero teraz opanowali ogień. Z domu pozostał jedynie szkielet.

– Jezus Maria! Co z Osmanami? Czy któreś z nich jest ranne?

– Oboje nie żyją. Byli w sypialni, w której wybuchł pożar.

– Chcesz, żebym przyjechał?

– Myślę, że powinieneś. Załóż coś ciepłego, tu jest cholernie zimno.

– Będę gotów w ciągu dziesięciu minut – powiedział Edmond i odwiesił słuchawkę.

– Co się stało? – spytała Christy.

– Chodzi o Osmanów, rodziców tego chłopca, którego zabiła heinemedina. Oboje zginęli podczas pożaru we własnym domu.

– O Boże!

Edmond poszedł do hallu, otworzył szafkę i wyjął podbitą futrem, nieprzemakalną kurtkę z kapturem, którą zazwyczaj wkładał, idąc na ryby.

– Nie czekaj na mnie – powiedział. – Oscar jest już na miejscu, nie wiem, jak długo będziemy musieli tam zostać.

Christy pocałowała go.

– Może weźmiesz termos z kawą, już prawie się zaparzyła. Edmond potrząsnął głową.

– Taką robotę lepiej wykonywać z pustym żołądkiem.

W drodze do Webster Crescent radio nadawało *Cztery pory roku* Vivaldiego. Arabelle uwielbiała Vivaldiego. Słuchała *Czterech pór roku* z odchyloną głową i zamkniętymi oczami, wodząc w tę i z powrotem palcem po żyłach wewnętrznej strony jego dłoni, tak delikatnie, że przyprawiała go o drżenie... Pamiętał pokój, dzień, czas, miejsce. Pamiętał nawet, jak pachniały jej włosy, gdy zanurzał w nich twarz.

Webster Crescent była zatłoczona wozami straży pożarnej, karetkami pogotowia, samochodami ratowniczymi i gapiami o poblądłych twarzach. Edmond, skierowany przez policjanta, zaparkował tuż za furgonetką Oscara. Oscar stał tam z Deanem Conranem, dowódcą straży pożarnej, i Tomem Simoneanem, zastępcą komisarza Wydziału Bezpieczeństwa.

– Dom spłonął jak pochodnia – powiedział Oscar. – Nie mieli żadnej szansy.

Dean Conran wyjaśnił sucho:

– To był jeden z tych pożarów, które wybuchają na wyższych piętrach i wytwarzają niesamowity żar. Okna na dole były otwarte i do środka wpadał nieprzerwany strumień powietrza, który wypełniał niższą część budynku i unosił się w górę schodów. Dopóki drzwi sypialni były otwarte, nic nie zdołałoby stłumić ognia. Im gorętsze były płomienie, tym więcej zasysały powietrza,



które jeszcze bardziej podsyciło ogień. Zar dosłownie wtopił kości ofiar w sprężyny łóżka.

– Wiadomo, co spowodowało pożar? – spytał Edmond.

– Osmanowie byli na górze, w sypialni. Leżeli w łóżku i któreś z nich mogło palić papierosa. Albo nastąpiło zwarcie przewodów elektrycznych. Nie można ustalić przyczyny pożaru, dopóki nie zbada się dokładnie całego domu.

– Czy coś zostało z ciał? – Edmond zwrócił się do Oscara. – Chodzi mi o to, czy będzie można przeprowadzić sekcję?

– Sam zobacz – odpowiedział Oscar. – Jeszcze ich nie ruszaliśmy, lokalna policja nie skończyła zdjęć.

Przeszli przez ulicę, po której płynęła czarna od sadzy woda. Edmond żałował, że nie włożył kaloszy zamiast jasnych, zamszowych butów, w których zazwyczaj grał w golfa. Przystępując strażackie węże, przeszli przez czarne, skrzypiące ruiny domu Osmanów, minęli osmalony szkielet tapczanu, przypominający spalonego konia, na wpół stopiony telewizor i dziwną ozdobę z surrealistycznie wygiętych świeczników i sztuców.

Podłoga sypialni zapadła się do salonu wraz z gorącym od żaru łóżkiem i szczątkami ciał Osmanów. Dwóch uprzejmych młodych ludzi w pomazanych sadzą kaskach robiło zdjęcia i sporządzało notatki. Dla nich to dziwaczne widowisko nie było bardziej szokujące niż nowoczesna rzeźba czy jakaś atrakcja turystyczna.

Spalone łóżko niemal zawisło w powietrzu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, opierając się nogą o konstrukcję zwęglonej podłogi. Ciała Osmanów były wciąż wczepione w materac; rozgrzane do czerwoności sprężyny złączyły się z ich ciałami i kośćmi, zawisli więc w powietrzu jak martwe muchy na siatce w drzwiach.

Ciało pana Osmana zostało bardziej dotknięte pożarem niż ciało jego żony. Było szerniałe i tak skurczone, że z mężczyzny, którego Edmond widział parę dni temu, pozostała zaledwie połowa – teraz stał się tylko pomarszczoną mumią. Jego ręce, przypominające maczugi, utrzymywały się nad piersiami, nogi były wyciągnięte w powietrzu – tak zeszywniały ścięgna pod wpływem wysokiej temperatury. Napięta twarz wyrażała przeżyte męczarnie.

Panią Osman osłoniły przed największymi płomieniami drzwi szafy, które zwały się na jej ciało. Nie żyła już, kiedy to się stało. Jej nogi zostały wypalone do kości, ale tułów pozostał prawie nienaruszony. Edmond nie mógł patrzeć na jej twarz.

– Przynajmniej będę miał parę organów wewnętrznych, by nad nimi popracować – powiedział Oscar. – Upieczone organy, ale zawsze organy.

Ruszyli z powrotem przez zgliszcza. Dowódca straży pożarnej zagadnął:

– Co pan o tym myśli, doktorze? Przykry widok, co? A ludzie mówią, żeby im nie zawracać głowy, kiedy się ich ostrzega przed paleniem w łóżku. Ja od razu poznam, tyle już trupów widziałem.

Edmond pociągnął Oscara na drugą stronę ulicy. Pochylił się i oczyścił buty z mokrej sadzy, podczas gdy Oscar z rękami w kieszeniach wpatrywał się w wypalony dom.

– Jedno wydaje mi się dość dziwne – odezwał się Edmond.

Oscar kiwnął głową.

– Myślałem o tym: co robili w łóżku o czwartej po południu?

– Mało prawdopodobne, żeby się kochali, tym bardziej że od śmierci Michaela minęło tak mało czasu.

– Odpoczywali? – zasugerował Oscar.

– Możliwe. Ale jeżeli odpoczywali, to czy mogli zasnąć tak głęboko, żeby nie obudzić się, kiedy pokój stanął w ogniu? Nawet nie próbowali uciekać.

– Może zatruli się substancją wydzielaną przez palący się materac? – myślał głośno Oscar. –  
Może zostali zczadzeni we śnie?

Obaj milczeli. Na chodnik wjechał ambulans, z którego wyskoczyło trzech mężczyzn z foliowymi torbami na zwłoki. Jeden z nich na powitanie pomachał ręką do Oscara i zawołał:

- Trochę za chłodno na pieczeń przy ognisku!
- Ten Johnson ma męczące poczucie humoru – zauważył Oscar.
- Wiesz, co o tym sądzę, prawda? – powiedział Edmond.

Oscar odchrząknął.

– Czuję się, jakbym jadł dym na śniadanie, dym na obiad i kanapki z dymem na kolację – wahał się przez chwilę, zanim odpowiedział: – Tak, wiem, co sądzisz. Ale nie będziemy mieli pewności, dopóki nie przeprowadzą paru testów.

- Widziałeś się z Bryce'em po południu?
- Zostawiłem mu wyniki sekcji na biurku. Ugrzązł na jakimś zebraniu.
- A Harold?
- Nie będzie go w mieście do jutrzejszego popołudnia.
- Na pozór wszystko się zgadza, prawda? – rzekł Edmond. – Nie próbowali uciec z płonącego domu, bo byli już martwi lub prawie martwi.

Oscar wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

- Zobaczymy – powiedział.

Wieczorny wiatr rozrzucał popioły po całej ulicy.



## Dziewięć

Bill Bennett nalegał, by natychmiast wyruszyli do Uppsali, mimo protestów Humphreya, który był bardzo zmęczony, już nie taki młody, a poza tym podobno przebywał na wakacjach. Niby dlaczego właśnie on ma odnaleźć Klausego Hermanna?

– Jesteś najbardziej kompetentny, by go zidentyfikować – odpowiedział Bill.

Objechali monumentalną, nowoczesną fontannę przy Sergels Torg, po czym skierowali się na północny zachód, do Sveavaegen, by wjechać na autostradę E4 wiodącą do Uppsala Laen. Bill prowadził grand prix, nie schodząc poniżej pięćdziesięciu mil na godzinę, jakby samochód nie miał hamulców. Zniszczone opony zaprotestowały, gdy skręcili z placu przy końcu Sveavaegen, dając nura pod wiadukt.

Birgitta Gillsaeter siedziała w milczeniu na tylnym siedzeniu, paląc papierosa; jej twarz sporadycznie rozjaśniały mijane lampy sodowe. Wydawała się dziwnie zrezygnowana i nawet kiedy Humphrey odwrócił się, by zapytać, czy dobrze się czuje, nie odpowiedziała, wzruszyła tylko ramionami i wypuściła nosem dym. Humphrey, który nie znosił dymu papierosowego, uchylił trochę okno, póki wpadające powietrze nie stało się zbyt zimne.

Bill Bennett czuł się teraz spokojniejszy – jak zawsze, kiedy akcja zaczyna się rozkręcać. Właściwie nie przeszkadzało mu czekanie na rozpoczęcie akcji; przecież uczono go czekać. Ale kiedy się czeka, pozostaje dużo czasu na myślenie o tym, co może się nie udać; niektóre okoliczności wydają się mało ważne; inne kłopotliwe, jeszcze inne katastrofalne – a niektóre, szczególnie w akcji takiej jak ta, potencjalnie zgubne.

Rozpracowywanie nazistowskich zbrodniarzy wojennych było zupełnie czymś innym niż zajmowanie się współczesnymi szpiegami. Większości nazistów, którzy zbiegli pod koniec wojny, ucieczka udała się tylko dlatego, że już wtedy byli wysoko ustosunkowani; umożliwiono im zamaskowanie się pod licznymi pseudonimami i fałszywymi dokumentami. Dzięki temu w ciągu czterdziestu lat, jakie minęły od zakończenia wojny, mogli dojść do wpływowych stanowisk, z których ze względów dyplomatycznych i gospodarczych nie można ich teraz ruszyć. Jak amerykańscy agenci mogli złapać i zaarrestować Hansa von Trencka, skoro zorganizował i sfinansował prowadzone na dużą skalę poszukiwania ropy naftowej na dnie Zatoki Meksykańskiej i należał do najbardziej wpływowych osobistości meksykańskiego życia politycznego? Ujęcie Klausego Barbiego, w którym Bill bezpośrednio brał udział, wywołało straszliwe zamieszanie w Stanach Zjednoczonych; dwóch innych, anonimowych nazistów, złapanych razem z Barbiem, zostało potajemnie zwolnionych.

Czasami zdarzało się, że agenci ścigający nazistowskich zbrodniarzy wojennych sami wymierzali sprawiedliwość i uchodziło im to bezkarnie. Klasycznym przykładem był Martin Bormann. Po wojnie, jako Walter von Ischl, przez długie lata zarządzał Brazylijską Korporacją Minerałów AG. Pewnego ranka, w 1971 roku, został porwany i natychmiast zabity przez agentów izraelskich, a jego ciało odesłano do Berlina, gdzie specjaliści od medycyny sądowej odpowiednio „postarzyli” zwłoki. Dopiero potem formalnie je zidentyfikowano i oficjalnie wyjaśniono „tajemnicę” zniknięcia Bormanna.

Rząd brazylijski nie miał możliwości złożenia protestu. Jak bowiem mógł protestować przeciwko uprowadzeniu człowieka, który rzekomo nie przebywał nigdy w Brazylii, natomiast od trzydziestu pięciu lat leżał martwy w Berlinie?

Tylko paru agentów, w tym Bill, wiedziało, że wywiadowi izraelskiemu pomagała CIA,

w ramach szerszej umowy o współpracy zagranicznej, na mocy której Izrael miał ograniczyć plany zajęcia części Egiptu.

Czasami Bill sądził, że wpływ Trzeciej Rzeszy przetrwa tysiąc lat, jak to obiecał Hitler.

Jechali przez pogrążone w ciemnościach okolice; jeziora wyglądały w mroku jak tajemnicze lustra. Na zewnątrz było tak zimno, że Bill musiał używać odmrażacza, by szyby nie pokryły się szronem. Birgitta Gillsaeter wpatrywała się w okno, przez które nic nie było widać; Humphrey próbował się zdrzemnąć, ale bez przerwy śnił mu się dawny dyrektor szkoły, którego mylił z majorem Milnerem.

Kiedy otworzył oczy, nie mógł się zorientować, gdzie się znajduje, ani nawet, który jest rok. Czy w dalszym ciągu trwa wojna? Na zewnątrz nic nie było widać, jak podczas zaciemnienia. Spojrzał na Billa, którego twarz oświetlały zielone lampki tablicy rozdzielczej, a następnie odwrócił się do Birgitty.

– Gdzie jesteśmy? – spytał, ledwo wydobywając głos z zaschniętego gardła.

– Właśnie minęliśmy Rosersberg. Dojeżdżamy do lotniska. O tam, widzi pan te światła po prawej stronie?

– Jak daleko jeszcze do Uppsali?

– Lotnisko jest mniej więcej w połowie drogi.

– Dobrze by mi zrobiła filiżanka herbaty.

Bill spojrział na niego i uśmiechnął się.

– Nie zauważyłeś, że Szwedzi robią gorszą herbatę niż Amerykanie?

– Zdążyłem się zorientować, teraz nie mam jednak szczególnych wymagań. Żałuję, że w ogóle tu przyjechałem i wolałbym nigdy nie spotkać Klausa Hermanna.

W milczeniu przejechali parę kilometrów, minęli lotnisko, zmiierzając w kierunku Knivsta. Kilkanaście samochodów, głównie saaby i volva, wyprzedzało ich z dużą prędkością. Po paru kilometrach musieli zwolnić z powodu groźnego wypadku – błyskały światła karetek, policjanci w białych czapkach machnięciem ręki kazali im jechać dalej. Pełno „było krwi i rozbitego szkła, a na skraju szosy siedziała szlochająca kobieta. Zaczęły padać drobne płatki śniegu i Humphrey od razu pomyślał o Bożym Narodzeniu. Jak ludzie mogą żyć w tym dziwnym kraju, w którym Boże Narodzenie trwa niemal przez cały rok?

Po następnych dziesięciu minutach Birgitta pochyliła się do przodu i nieoczekiwanie spytała:

– Dlaczego pan go szuka? Czy coś zrobił?

– Nic poważnego – odpowiedział Bill. – Chodzi o podatki.

– I z tego powodu wybrał się pan nocą na poszukiwania? Nie wierzę.

– Powiedzmy, że robiliśmy razem pewne interesy – wyjaśnił Bill.

– Chyba nie myśli pan o... – Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa, aż w końcu powiedziała: – o użyciu przemocy?

– Oczywiście, że nie. Czy wyglądamy na bandytów?

Humphrey próbował uśmiechnąć się uspokajająco do Birgitty, ale w gruncie rzeczy sam nie był zachwycony tym, co się działo. Jeżeli wywiady amerykański i brytyjski naprawdę chcą aresztować i deportować Hermanna, to dlaczego przysłali jednego człowieka, a nie specjalną grupę? Nie podobał mu się także rewolwer Billa. Humphrey, widząc broń, zawsze czuł się nieswojo.

Bill wiedział, że Humphrey jest niezadowolony, ale nic nie mógł na to poradzić. Hermann musiał być zidentyfikowany, jego tożsamość nie powinna pozostawiać najmniejszych wątpliwości, przede wszystkim dlatego, że Bill nie mógł ryzykować prawnych i dyplomatycznych awantur, do jakich by doszło, gdyby popełnił błąd, a poza tym nie chciał zaprzepaścić swojej kariery. Sprawne

i skuteczne wykonanie tego zadania oznaczało przepustkę do kwatery głównej w Stanach Zjednoczonych i tym samym koniec uciążliwej harówki w Ameryce Południowej. Ale jeśli mu się nie uda, to pewnie wyślą go na czas nieokreślony do Argentyny lub Chile, lub – jeszcze gorzej – do Australii. W Australii żyje tylko pięciu poszukiwanych nazistowskich zbrodniarzy wojennych, z których dwóch prowadzi w Melbourne ogromnie popularną piekarnię.

– Czy dlatego, że on mieszka w Związku Radzieckim? – spytała Birgitta.

– Co dlatego, że on mieszka w Związku Radzieckim? – powtórzył Bill, udając idiotę.

– Dlatego pan go szuka? Może pan myśli, że on jest szpiegiem?

– Szpiegiem? – zadrwił Bill. – Tylko dlatego, że mieszka w Rosji? To jeszcze nie czyni z niego szpiega. Nie, nie, prowadziliśmy wspólny interes. Eksport-import, na niewielką skalę, to wszystko.

– Nigdy o panu nie wspominał. – A o czym miałyby opowiadać?

– Nie wiem – rzekła Birgitta. – Jest bardzo otwartym człowiekiem, nie należy do osób, które trzymają wszystko w tajemnicy. W Związku Radzieckim darzą go, jak pan wie, ogromnym szacunkiem. Przez większość roku mieszka w Czerepowcu, w pięknym domu przy Rybińskim Zbiorniku Wodnym. Wiedział pan o tym?

– Oczywiście, często o tym opowiadał. Kiedyś nawet zaprosił mnie do siebie na wakacje.

– Zatem pan kłamie – powiedziała Birgitta matowym głosem. – On mieszka w Leningradzie.

Gdyby go pan znał, wiedziałby pan o tym.

Bill spojrział w lusterko. Jego oczy przypominały oczy przybysza z obcej planety w filmie science fiction z lat pięćdziesiątych.

– Radzę uważać, moja damo – rzucił ostro. – Nie po to przeleciałem taki szmat drogi, żeby odmrozić sobie tyłek i słuchać, jak ktoś robi ze mnie kretyna.

– Powinien mnie pan puścić – powiedziała Birgitta.

– Tak myślisz?

– Nie ma pan prawa przetrzymywać mnie ani chwili dłużej. Bill bez słowa zjechał na pobocze. Otworzył tylne drzwi samochodu od strony Birgitty. Lodowaty, ostry jak brzytwa wiatr natychmiast wdarł się do wnętrza. Wokół wirowały płatki śniegu, znikające w ciepłym powietrzu.

– Chcesz iść, idź – zwrócił się do Birgitty.

Na autostradzie nie było żadnego samochodu. W przeraźliwych ciemnościach wyl tylko wiatr, skrzypiały, targane przez wicher, wysokie sosny. Birgitta wahała się przez moment, po czym przesunęła się do przodu i wzięła Humphreya za ramię.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – powiedziała.

– Nie musisz – odrzekł Bill. – Potrzebujemy twojej pomocy w przeprowadzeniu pewnej operacji. Powinnaś jedynie wiedzieć, że oczekujemy od ciebie wykonania określonych zadań i będziemy śmiertelnie zaniepokojeni, jeśli nie spełnisz naszych żądań. A dlaczego to robimy, to już nie twoja sprawa. Proponuję więc, abyś zamknęła drzwi, a potem buzię i uznała się za szczęściarę, że to nie ciebie szukamy.

– Uważam, że przekraczamy dozwolone granice, Bill – odezwał się Humphrey. – Sądzę, że nie mamy prawa...

– Prawa? – parsknął Bill. – Sprawa dotyczy Klausego Hermanna, a ty mówisz, że nie mamy prawa? Czy Hermann myślał o jakichkolwiek prawach tam, w Herbstwaldzie?

– Herbstwald? – spytała Birgitta, marszcząc brwi. – To był obóz koncentracyjny, prawda? Taki jak Auschwitz i Bergen-Belsen. On na pewno nie ma z tym nic wspólnego.

– Pozwól zatem, że powiem ci prawdę – nie wytrzymał Bill. – Klaus Hermann był lekarzem obozowym w Herbstwaldzie od 1941 do 1943 roku. Należał do bliskich przyjaciół doktora Josefa

Mengele, o którym może słyszałaś. W tamtym okresie Hermann był najwybitniejszym specjalistą w dziedzinie wirusologii i wciąż należy do ścisłej czołówki.

– Znam go – oponowała Birgitta. – Znam go dobrze od czasu, kiedy po raz pierwszy spotkał Angelikę. To nie może być prawda. Dlaczego chce mnie pan okłamać?

– To nie kłamstwo, moja droga – odezwał się Humphrey. – Klaus Hermann jest odpowiedzialny za śmierć podczas wojny ponad trzech tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Przeprowadzał na nich eksperymenty medyczne mające doprowadzić do nowych mutacji wirusów i znalezienia antidotum przeciw istniejącym infekcjom wirusowym. Gdybym był zupełnie pozbawiony skrupułów, uznałbym go za wybitnego człowieka, wyjątkowo wybitnego człowieka, z pewnością jednego z największych biologów jego czasów. Niestety, dla niego liczyła się tylko nauka i badania; lekceważył potworne cierpienia, jakie zadawał tysiącom niewinnych ludzi.

Birgitta patrzyła z niedowierzaniem to na Humphreya, to na Billa.

– To podstęp – powiedziała zdesperowana. – Czy to możliwe? Zawsze był taki delikatny dla Angeliki. Jest dżentelmenem w każdym calu.

– Wsiadasz czy nie? – zdenerwował się Bill. – Jeszcze chwila i odpadną mi uszy.

Birgitta zawahała się i trzasnęła drzwiami.

– Zostaję, ale nie wierzę wam.

– Będziesz musiała zrobić, co ci każemy – powiedział Bill.

– Zrobię, co muszę.

Bill zerknął w lusterko i z powrotem wjechał na autostradę. Zaczął sypać coraz większy śnieg i Bill włączył wycieraczki.

– Ładny kraj – zauważył. – Przypomnij mi, bym następną jesień spędził w Urugwaju.

– To niczego nie zmieni, prawda? – spytał ostrożnie Humphrey.

– Nie wiem, może – odpowiedział Bill.

– Chodzi mi o to, że dowiedziała się o Hermannie – mówił dalej Humphrey, wskazując głową Birgittę. – To nie... narazi jej na żadne niebezpieczeństwo?

– A niby dlaczego?

– Sam nie wiem. Ale wydaje mi się, że na każdym, kto zna prawdę o Hermannie, spoczywa wielka, osobista odpowiedzialność.

– *Jag vet inte var mina skyldigheter boerjar och slutar* – rzekła gorzko Birgitta.

Bill znów spojrział w lusterko.

– Cóż, ani ja, skarbie – odpowiedział jej. – Ale to nie powstrzyma mnie przed zrobieniem tego, co do mnie należy.

Tuż przed wjazdem do Uppsali Birgitta kazała im skręcić z E4 na szosę 282, prowadzącą na wschód, w kierunku Funbo. Śnieg, co prawda, przestał już padać, ale droga wciąż była mokra i opony trzeszczały na jezdni. Dochodziła jedenasta; Humphrey nie mógł już dłużej opanować senności, tym bardziej że od jakiegoś czasu nauczył się zasypiać w każdej nieprzyjemnej dla siebie sytuacji – stało się to naturalną obroną organizmu. Jeśli siostra kłóciła się z nim, zasypiał. Zdarzyło mu się to także dość często podczas proszonych obiadów.

– To tutaj – powiedziała Birgitta, gdy Humphrey zapadał w kolejną drzemkę.

Bill skręcił ostro w prawo, na groblę pokrytą drewnianymi balami. Samochód podskakiwał i kołysał się, zawieszenie łomotało jak klucze wpadające do puszeki. Jechali pod baldachimem gęsto rosnących sosen, których gałęzie trzeszczały i drapały w okna. Humphrey obudził się raptownie i siadł prosto, wpatrując się w ciemny tunel przed sobą.

– Mam nadzieję, że nie kręcisz – powiedział ostro Bill. – Jeśli ta droga prowadzi do jeziora lub kamieniołomów, pożałujesz tego, ostrzegam cię. Naprawdę pożałujesz.

Po paru minutach drzewa przerzedziły się, a wyłożona balami droga zamieniła się nagle w błotnisty trakt. Znaleźli się na otwartej przestrzeni, jadąc przez okryte nocą pole, pod lodowatym, wspaniale rozgwieżdżonym północnym niebem.

– Proszę wyłączyć światła – powiedziała Birgitta. – W przeciwnym razie zobaczą nas. Ich domek jest już niedaleko stąd, po lewej stronie, za tamtymi rzędami drzew. Widzi pan światło i ten stos bali?

Bill zatrzymał samochód w cieniu sosen i wyłączył silnik.

– Nie pojedziesz pod sam dom? – spytał Humphrey. Bill potrząsnął głową.

– Nie, dalej pójdziemy pieszo, i to w absolutnej ciszy, jasne? Pani także, panno Gillsaeter. Jeden nierozważny krok i ktoś może zostać ranny. A nie chcemy, aby do tego doszło, prawda? Chcemy, żeby wszyscy wyszli z tego zadowoleni i uśmiechnięci. *Glada som Laerkor*.

– Zrobię to, o co pan prosi – powiedziała wyniośle Birgitta. – Zgodziłam się ze względu na Angelikę.

– Właśnie! – przytaknął Humphrey, po czym odchrząknął i odwrócił głowę, kiedy Bill spojrzał na niego z dezaprobatą.

Bill wsunął rękę pod płaszcz i wyciągnął swoją trzydziestkę ósemkę. Potem pogrzebał w kieszeni marynarki i wyjął tłumik, który szybko nakręcił na lufę. Wykonywał te wszystkie czynności, nie odrywając oczu od domu, co nasunęło Humphreyowi przypuszczenie, że robił to nie pierwszy raz w życiu.

– Ten rewolwer... – odezwał się niepewnie Humphrey – to tylko na wszelki wypadek?

– Och, rewolwer? – spytał Bill. Uniósł go i przyjrzał mu się tak, jakby go nigdy przedtem nie widział. – No, jasne, na wszelki wypadek. Wiesz, nigdy nic nie wiadomo. Hermann może się trochę zdenerwować, a tutaj, w lesie, raczej wszyscy mają strzelby.

– Wolałbym, żeby nie było żadnej strzelaniny – oznajmił Humphrey.

– Wolałbyś, żeby nie było żadnej strzelaniny? – powtórzył z przekąsem Bill. I właśnie wtedy obaj zrozumieli, jak bardzo się od siebie różnią, ale jednocześnie błądzenie po polu w środku nocy w pobliżu miejsca zwanego Funbo wydało im się obu równie absurdalne.

Birgitta pierwsza wyszła z samochodu, Bill szybko zrobił to samo. Humphrey z trudem uwolnił się z pasów i spytał:

– Mogę sobie ulżyć? Przez ten mróz, rozumiesz...

Bill niecierpliwie machnął ręką.

– Masz przed sobą całą Szwecję. Idź, siusiaj na nią.

Gdy Bill odsunął się trochę, Humphrey zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej pójść po prostu do lasu i zostawić Billa, żeby sam się zajął Hermannem. Tyle że nie był już taki młody; bardziej niż kiedyś dokuczało mu zimno i, co więcej, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Pewnie po trzech tygodniach znaleźliby jego ciało zasypane śniegiem i wielebny Johnson miałby kolejną okazję, by mówić o śmierci jako o „wiecznej mgle ciemności”.

– Jesteś gotów? – spytał niecierpliwie Bill, gdy Humphrey zapinał spodnie.

– Mniej więcej, dziękuję. Jeśli w ogóle mogę być gotowy.

Ruszyli w drogę przez pole pełne wyschłych paproci i splątanych chwastów. Birgitta szła pierwsza, Bill z prawej strony, parę kroków za nią. Humphrey sapał z tyłu, żałując, że nie zabrał szalika. Gdy przeszli skrajem sosnowego lasu, ujrzeni przed sobą dom – małą willę z sosnowego, lakierowanego drewna, z werandą, balkonem na piętrze i kamiennym kominem, z którego unosił się



gęsty dym, jakby dopiero przed chwilą rozpalono ogień. Okienne były zamknięte dla ochrony przed mrozem, ale przez szczeliny przedostawało się światło i wśród cichych pogwizdów wiatru dochodziła muzyka Bacha – sarabanda z *Suity b-moll*.

– Nie można powiedzieć, by ci starzy naziści mieli zły gust – wyszeptał Bill. – Lubią dobrą sztukę, dobrą muzykę i dobre wino.

– Musimy jednak pamiętać, że taką samą przyjemność sprawiało im zabijanie ludzi.

Bill nie odpowiedział. Okrążyli willę z prawej strony i przykucnęli za dużą kępą paproci, dwadzieścia jardów od frontowych drzwi. Humphrey i Birgitta dygotali z zimna, tylko Bill zdawał się nie odczuwać chłodu.

– Jaki masz właściwie plan działania? – spytał Humphrey.

– Bardzo prosty: wyważę drzwi, wskażesz Hermanna, a ja go obezwładnię. To wszystko zajmie nam nie więcej niż piętnaście sekund.

– Dobrze, ale co z nim potem zrobimy? – chciał wiedzieć Humphrey. – Nie mamy czym go związać.

Bill zdziwił się.

– Po co chcesz go wiązać?

– Cóż... – powiedział Humphrey, rumieniąc się z lekka. – Może będzie chciał uciec? Czy sądzisz, że nie będzie próbował? Chyba jest na to za stary. – Parsknął śmiechem, po chwili spowaźniał, uświadomiwszy sobie, że to wcale nie było zabawne. Raczej wprawiało go w zakłopotanie.

– On... – Bill cedził słowa – on nie ucieknie.

– Jeśli jesteś tego pewny... – powiedział Humphrey uspokojony.

– Oczywiście, że jest pewny – włączyła się Birgitta. – Hermann nie będzie próbował ucieczki, ponieważ pana amerykański przyjaciel zamierza go zastrzelić. Jeszcze pan tego nie pojął?

Humphrey, szcękając zębami w ciemności, wpatrywał się w Billa.

– Chcesz go zastrzelić? Naprawdę?

– Daj spokój – odpowiedział Bill. – Wiesz, kim jest i co zrobił.

– Ale bez wyroku sądowego... Nawet Eichmann miał proces.

– Mnóstwo nazistów nie stanęło przed sądem. Zrozum, Humphrey, kula w łeb to jeszcze za mało dla takiego sadysty. Ale nie o to chodzi. Takie dostałem zadanie.

– Nie pozwolę na to – zasyczał Humphrey.

– Obawiam się, że w tej sprawie nie masz wyboru.

– Odmawiam identyfikacji. Nie możesz go zastrzelić, dopóki nie potwierdzę jego tożsamości.

– I tak go zabiję. Zobaczymy, jak się będziesz czuł, mając na sumieniu śmierć niewinnego człowieka.

– Jesteś szalony! – krzyknął Humphrey.

– Na litość boską, mów ciszej. Chcesz, żeby cię usłyszał?

– To niezły pomysł.

– No cóż, zdecyduj się – zażądał ostro Bill. – Wskażesz mi go? Jeśli nie, strzelam, bez względu na to, kto jest w środku. Zastanów się więc, i to szybko.

Birgitta chwyciła Humphreya za rękaw.

– Niech go pan nie słucha. On nikogo nie zabije, po prostu chce, aby pan wydał tego mężczyznę. Ale niech pan tego nie robi, nie pomaga mu w brudnej robocie. Znam człowieka, którego nazywacie Klausem Hermannem; to nie jest ten, którego szukacie. To niemożliwe, on jest dżentelmenem.

Humphrey zwrócił się do Billa.

– No i co? – spytał podniecony. Czuł, jak serce wali mu w piersiach. – Co ty na to?

Bill obrzucił go szybkim, beznamiętnym spojrzeniem, zerknął na zegarek i powiedział:

– Wyważamy drzwi dokładnie za dziesięć sekund. Zdecyduj się.

– Naprawdę, Bill – Humphrey wahał się – ja...

Ale nie dokończył, bo ukryta za nim Birgitta odwróciła się, wstała i zaczęła uciekać. Usłyszał, jak skacze przez wysoką trawę, zanim zdążył zorientować się w sytuacji. Gdy się odwrócił, z przerażeniem stwierdził, że jest już daleko, prawie przy drzewach. Ponieważ Humphrey obserwował Birgittę, nie zauważył, jak Bill podniósł trzydziestkę ósemkę i oparł ją na wyciągniętym lewym przedramieniu; Humphrey nie wiedział, jak Bill może zatrzymać Birgittę, póki tuż przy uchu nie usłyszał dziwnie ostrego, przypominającego kichnięcie dźwięku – i Birgitta zaczęła się toczyć, jakby wywijająca kozły.

Przez sekundę pomyślał: Cóż za zdumiewająca kobieta, jaka wygimnastykowana. Ale zaraz zrozumiał, że Bill ją po prostu zastrzelił, a wywracała koziołki, gdyż pchnęła ją siła pocisku. Już nie żyła.

Patrzył na Billa z otwartymi ustami.

– Zastrzelełeś ją.

Zapadła dłuższa cisza. Ciało Birgitty upadło głucho na trawę pod drzewami. Wiał silny wiatr, w którym paprocie zawodziły niczym piszczałki.

– Muszę ci coś powiedzieć, Humphrey – odezwał się Bill. – Od samego początku miałem zamiar się jej pozbyć, wcześniej czy później. Wolałbym później.

– Ale zabiłeś ją.

– Kazano mi zabić każdego, kto zostanie wplątany w tę sprawę. To bardzo ważne, by nikt o tym nie wiedział.

– A co ze mną? – spytał Humphrey. – Ja wiem. Wiem o wszystkim. Właściwie wiem więcej od ciebie. Czy mnie też masz zamiar zabić?

– Oczywiście, że nie.

– A jeśli zagrozę, że wezwę policję? Jeśli odmówię identyfikacji Hermanna?

– Nie zrobisz ani jednego, ani drugiego.

– A jeśli zrobię?

– Nie zrobisz.

Humphrey wpatrywał się w Billa. W ciemnościach nie mógł jednak dojrzeć jego twarzy. Widział tylko oczy błyszczące jak kulki lodu.

– Żałuję, że w ogóle dzwoniłem do majora Milnera – stwierdził.

– Nie wiem dlaczego – zdziwił się Bill. – Pewnie dostaniesz medal, kiedy to się skończy.

– Oby nie pośmiertnie. Moja siostra wcale by się nie ucieszyła. Nigdy nie lubiła medali, tylko puchary.

– Puchary? – spytał zdumiony Bill.

Usłyszeli westchnienie i jakiś szelest, dochodzący od strony drzew.

– Słyszysz? Myślisz, że ona żyje?

Bill potrząsnął głową.

– Ale słyszałem hałas. Wyraźnie słyszałem jakiś hałas.

– Daj spokój, Humphrey. Nawet jeśli żyje, nie pociągnie długo. Pocisk wyrwał jej kawałek czaszki.

Humphrey przełknął ślinę.

– Chyba wrócę do samochodu. Miałem wystarczająco dużo wrażeń jak na jeden wieczór.

– Och, nie, Humphrey, nie możemy się teraz zatrzymać. Mamy ważną sprawę do Herr Hermanna, pamiętasz?

– Ale tyją zabiłeś! Była zupełnie niewinna, a tyją zabiłeś. Nie będę tego tolerował! – Humphrey dopiero teraz uświadomił sobie do końca, co się naprawdę stało. To nie było przedstawienie, to nie była jesienna premiera sztuki wystawionej przez Kółko Dramatyczne Basłowa. Przed chwilą, na jego oczach, została zastrzelona dziewczyna. Ale spokój towarzyszący temu wydarzeniu, opanowanie, z jakim Bill Bennett obrócił się, wycelował i strzelił, szybkość, z jaką Birgitta upadła na trawę – wszystko to zwiodło Humphreya i aż do tej chwili uważał, że w jej nagłej śmierci nie było nic niezwykłego.

– Na litość boską! – warknął Bill.

– Idę – powiedział Humphrey.

Z trudem udało mu się wstać.

– Jeśli odejdziesz, zabiję cię.

– Tak jak ją? Zastrzelisz mnie jak psa?

Oczy Billa błyszczały. Podniósł rewolwer i nie uśmiechał się.

– Jesteś mordercą – stwierdził Humphrey.

– Nie bądź takim cholernym głupcem – odrzekł Bill.

– Jesteś mordercą. Widziałem, jak zamordowałeś tę dziewczynę. Ty po prostu... zastrzeliłeś ją... dla własnej wygody.

– Możesz mówić ciszej?

– Będę mówił tak głośno, jak mi się podoba. I powiem ci, co myślę: nie zrobię tego, nie przyjechałem tutaj, żeby pomagać w czymś takim.

– Po co tu więc przyjechałeś? Powiększyć kolekcję pucharów twojej siostry?

Przez chwilę obaj byli wściekli. W końcu Humphrey, z którego złość i energia uleciały jak z przekłutego balonika, usiadł ponownie i zaprotestował:

– To było bardzo niesprawiedliwe.

– Mówiłem, że będę sprawiedliwy?

– Nie, ale... mimo wszystko to było bardzo niesprawiedliwe. – Humphrey spojrzał na miejsce, gdzie upadła Birgitta. Nic się tam teraz nie ruszało, nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Prawdopodobnie nie żyła, a szelest, który słyszał, spowodował pewnie zając lub spłoszony ptak.

– Nie jest to łatwe, jakkolwiek na to spojrzeć – powiedział Bill z oczami przykutymi do werandy małej, drewnianej willi. – Nie jest to łatwe ani pod względem fizycznym, ani psychologicznym, ani moralnym. Nadrzędna zasada, jakiej nas uczą, to reguła większego dobra – dlatego zabiłem tę dziewczynę. Więcej ludzi zostałoby skrzywdzonych, gdybym ją uwolnił, a nie zabił. Zważywszy wszystko, służyłem większemu dobru.

– Więszemu dobru? – powtórzył Humphrey. Nie mógł w to uwierzyć. Zdawało mu się, że wkracza w jakieś inne, dziwne życie, w którym wszystkie ogólnie przyjęte wartości zostały odwrócone. – Przypuszczam, że zabijesz także Her – manna? Czy tak? Po to cię tu przysłali? I dlatego musisz ustalić jego tożsamość – żeby nie zabić kogoś innego?

– Hermann jest mordercą, Humphrey – powiedział Bill. – Fanatycznym, bezlitosnym mordercą. A poza tym, mimo że jest stary, pomaga stworzyć Sowietom arsenał plag i chorób o takiej sile, że nie jestem w stanie tego sobie wyobrazić.

– Zatem zamierzasz go zabić?

– Jeśli musisz wiedzieć: tak.

– Bez procesu?

– Wiemy już, że jest człowiekiem, o którego nam chodzi, prawda?

– Ale nawet w Norymberdze...

Bill westchnął ciężko.

– Humphrey – powiedział – nie jestem tu po to, by się spierać, czy zabijanie zbrodniarzy wojennych bez sądu jest słuszne. Przysłano mnie, bym wykonał określone zadanie; ty mi w tym pomożesz, i to wszystko, co mamy do zrobienia. Czy teraz będziesz zachowywał się cicho?

W tym momencie okiennica z lewej strony willi uchyliła się i na werandę położył się kwadrat żółtego światła. Bill przycisnął Humphreya do trawy i szepnął:

– Spokojnie.

Usłyszeli skrzypienie okna i głosy mówiące po niemiecku.

– *Nein* – powiedział mężczyzna. – *Es war nur eine optische Täuschung. Das Licht hat mir einen Streich gespielt.*

Następnie okno zamknęło się z trzaskiem, a za nim okiennica.

– Co mówili? – spytał szeptem Humphrey.

– Coś o złudzeniach wzrokowych. Może nas zobaczyli albo im się tak wydawało. Musimy się pospieszyć.

Bill wstał i kiwnął na Humphreya, by za nim poszedł. Kiedy Humphrey zawahał się, Bill odwrócił się i syknął:

– No, chodź. Nie mamy czasu. – Humphrey podniósł się niechętnie i ruszył za Billem.

– Mógłbyś nie robić tyle hałasu – rzucił Bill. – Chciałem powiedzieć, czy zechciałbyś? Próbuj się skradać tak, jak wtedy, gdy byłeś skautem.

– Nie należałem do skautów – odparł Humphrey. – Miałem słabe płuca.

– No dobrze, staraj się po prostu iść ciszej. Musimy ich zaskoczyć.

Ostrożnie, zataczając półkole, zbliżali się do domu. Bill, lekko schylony, trzymał obiema rękami podniesiony rewolwer; Humphrey, wysoko stawiając nogi, szedł za nim. Byli już o niecałe dziesięć stóp od werandy, kiedy okiennice znów otworzyły się z trzaskiem i znaleźli się twarzą w twarz ze zdziwionym młodym mężczyzną z jasnymi włosami.

Bill krzyknął do Humphreya:

– Padnij! – Gdy ten niezdarnie upadł na kolana, oddał dwa szybkie strzały w kierunku okna. Młody mężczyzna zniknął z pola widzenia. Bill chwycił Humphreya za rękaw i odciągnął na bok, poza krąg światła, z taką siłą, że Humphrey usłyszał, jak pęka podszewka jego marynarki.

– Mój Boże! – wymamrotał.

– Na ziemię! – krzyknął do niego Bill.

Z otwartego okna doszedł ich trzask; trawa i ziemia przed domem zostały obsypane gradem pocisków. Bill wycelował, ale nie strzelił.

– Chodź – powiedział do Humphreya. – Zobaczymy, czy nie uda się ich zejść z drugiej strony.

– To bez sensu! – wykrzyknął Humphrey. Miał wrażenie, że serce rozsadza mu żebra. Dyszał ciężko i potykał się; wtedy rozległ się następny groźny trzask – trawa i kamienie poleciały mu spod nóg, a coś ostrego uderzyło go w kostkę. Krzyknął i usłyszał trzeci trzask – powietrze brzęczało, świszczało i gwizdało wokół uszu.

Bill opuścił go teraz. Jest odpowiedzialny za większe dobro, pomyślał Humphrey. Bill skulony okrążył dom i zniknął za rogiem.

Przez jakiś czas panowała cisza. Przerażony Humphrey leżał twarzą do ziemi, z oczyma szeroko otwartymi, z trudem chwytając powietrze, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu. Modlił się, by ludzie w willi zrozumieli, że on nie brał udziału w walce i został siłą wciągnięty w tę

przerażającą sprawę. Miał wrażenie, że odleciała mu część buta, czuł bowiem wilgoć na pięcie. Był niemal pewny, że został postrzelony. Bezmyślnie wyrecytował fragment *Pieśni o starym żeglarzu*: „Życiem się Śmierci zwie ta zmora, która krew ścina ludzi”\* [\*Tłum. Zygmunt Kubiak, Coleridge, *Poezje wybrane*, PIW, Warszawa 1987.]. Było całkiem możliwe, nawet prawdopodobne, że umrze tej nocy i uregulowane życie, które wiódł przez cały czas w Derbyshire, zakończyłoby się gwałtowną i niespodziewaną śmiercią w lodowaty wieczór na polu koło Uppsali. Gdyby ktokolwiek pokusił się o sporządzenie wykresu jego życia, wyglądałby on jak długa, prosta linia z dziwaczną czkawką na końcu.

– O Boże! – wyszeptał błagalnie. Znowu rozległa się seria z lekkiego pistoletu maszynowego. Tym razem brzmiała jakoś głucho, jakby strzelano wewnątrz domu. Na chwilę zapadła cisza, którą przerwał kobiecy krzyk i wrzeszczące po niemiecku głosy:

– *Das duerfen Sie nicht tun! Auihoeren! Nicht schiesen!*

Nagle drzwi frontowe otworzyły się z takim impetem, jakby ktoś próbował wyrwać je z zawiasów. Z domu wypadło dwóch nisko pochylonych mężczyzn – jeden w niebieskiej piżamie, drugi w białym nieprzemakalnym płaszczu. Mężczyzna w płaszczu był zapewne młodszy, gdyż chwycił swego towarzysza za ramię i ciągnął go na pole, w kierunku drzew, gdzie leżała Birgitta. Mężczyzna w piżamie krzyczał ochryple, by zwolnili. Humphrey przeturlał się przez paprocie i niepewnie podniósł się na nogi. W tym samym momencie z drzwi wypadł Bill z podniesionym rewolwerem, krzycząc:

– Stać, skurwysyny!

– Bill! – krzyknął Humphrey. Pokuśtykał do domu, wszedł po schodkach na werandę i rzucił się z całej siły na Amerykanina, jakby chciał go powitać po długiej podróży. Obaj zakołysali się, zatoczyli i z hukiem upadli na podłogę werandy.

– Chryste! – krzyknął Bill. – Ty głupi skurwysynie! Mogłem go trafić!

Humphrey podniósł się na czworaki, dysząc z trudem.

– Nie chciałem, byś go trafił.

– To był Hermann, ty głupi skurwysynie! Miałem go, a ty pozwoliłeś mu uciec!

– Chciałem, żeby uciekł.

– Zwariowałeś? To był Klaus Hermann!

– Wiem – powiedział Humphrey, starając się odzyskać oddech. – Ale nawet wampir z Herbstwaldu zasługuje na proces. Jeśli nie damy mu stanąć przed sądem, zachowamy się tak samo bestialsko jak on.

Rozgoryczony Bill trzasnął ręką w słupek werandy.

– Chryste – powtórzył. – Teraz nie zaprowadzimy go nawet przed sąd. Nigdy go już nie zobaczymy. Wróci do Rosji, zanim zdążysz zagwizdać *Czerwony sztandar*.

– Przykro mi, ale muszę robić to, co uważam za właściwe i sprawiedliwe.

– Ty wścibski staruchu – warknął Bill, odwracając wzrok; jedyną widoczną oznaką napięcia, jakie odczuwał, było kurczowe zaciśnięcie dłoni na balustradzie werandy. Jednak już po chwili odwrócił się i powiedział: – Przykro mi. Przepraszam, nie powinienem tak o tobie mówić. Lepiej wejdźmy do środka i zobaczmy, co tam mamy.

– Myślę, że mam chyba kulę w pięcie – rzekł Humphrey. Bill popatrzył w dół, po czym ukucnąwszy obok Humphreya, uniósł mu lewą nogawkę. Tył buta był przestrzelony, zielona wełniana skarpetka lepiła się od krwi, ale było to tylko powierzchowne draśnięcie i krew zdążyła już zakrzepnąć.

– Miałeś szczęście – stwierdził Bill, podnosząc się. – Jeszcze parę cali i byłoby po stopie.

Humphrey Browne z kikutem.

Humphrey spojrział na stopę i uśmiechnął się z dezaprobatą.

– Ranny na placu boju – oznajmił. – Przypuszczam, że pozostanie mi po tym szrama.

– O, tak, na pewno – potwierdził Bill. – Wejźmy do środka. Chciałbym ci coś pokazać.

Angelika Rangstroem, ciasno owinięta czerwonym szlafrokiem, siedziała przy biało-niebieskim kaflowym piecu, nerwowo zaciągając się papierosem. Humphrey nie miał najmniejszych wątpliwości, że to ta sama kobieta, którą widział w kawiarni u boku Klausego Hermanna: blondynka w średnim wieku, o zmęczonej twarzy, jasnoniebieskich oczach i doskonałej, typowo szwedzkiej budowie. W młodości musiała być zachwycająca, w dalszym ciągu była niesłychanie kobieca, co wprawiało Humphreya w spore zakłopotanie.

Bill Bennett, trzymając niedbale rewolwer, pochylił się nad nią i powiedział:

– Hermann zwał, może pani za to podziękować obecnemu tu panu Browne'owi, który jest zwolennikiem procesu sądowego.

Angelika spojrziała na niego, po czym odwróciła głowę.

– Możecie myśleć o nim, co chcecie – oznajmiła z angielskim akcentem głosem zimnym jak marmur.

– Wiemy, kim jest. Nie ma sensu udawać.

– Nie jest tym, za kogo go uważacie – odpowiedziała. Bill mrugnął porozumiewawczo do Humphreya i uśmiechnął się.

– Odważna, nie? Cóż, musi taka być, jeśli chodzi do łóżka z tym podstarzałym rzeźnikiem Klausem Hermannem. Tylko pomyśl, kładzie się obok człowieka, który osobiście zamordował trzy tysiące ludzi. Całuje faceta, który zabił setki niewinnych dzieci. Naprawdę jest gotowa na wszystko.

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi – rzekł Humphrey. I spytał: – Mogę usiąść? Boli mnie noga.

– Czuj się jak u siebie w domu – odparł Bill. Przyciągnął krzesło i podsunął je Humphreyowi.

Willa była urządzone w stylu Carla Larssona: rzeźbione stoły, białe, drewniane ściany z niebieskim obramowaniem, na parapetach doniczki z fuksją, a nad nadprożem wytłoczone gotyckimi literami słowa *Guds Fred*.

– Przypuszczam – Bill zwrócił się do Angeliki – że dobrze pani wiedziała, kim jest Klaus. Kiedy spotkaliście się po raz pierwszy?

Zaciągnęła się papierosem.

– Nie reprezentuje pan tu żadnej władzy – stwierdziła. – Jakim prawem zadaje mi pan takie pytania?

– Pani przyjaciółka Birgitta nie żyje – odpowiedział Bill. Uniósł brew i obrzucił ją surowym wzrokiem, by zaznaczyć, że mówi prawdę.

Angelika uniosła głowę w scenicznym geście. Humphrey obserwował ją z zainteresowaniem teatralnego bywalca, ciekaw, jaka będzie jej następna kwestia. Sceneria pokoju, charakter oświetlenia – wszystko przypominało sztuki Ibsena. Miał wrażenie, że za chwilę padną z jej ust słowa: „Odbierając przeciętnemu człowiekowi życiowe kłamstwa, odbiera mu pan równocześnie szczęście”\* [\*Tłum. Jacek Frühling, Henryk Ibsen, *Dramaty*, Wydawnictwo Poznańskie 1977.] – fragment, który zapamiętał z *Dzikiej kaczki*.

Ale zamiast tego powiedziała:

– Mam przez to rozumieć, że pan ją zabił?

– Nie chciała współpracować – odpowiedział Bill.

– Współpracować? Z kim? Z panem? Z tym mężczyzną z krwawiącą nogą? I teraz Klaus musiał

uciekać, by ratować życie. Wie pan, że mogę go już nigdy więcej nie zobaczyć? Oto, co pan mi zrobił. Po tym wszystkim groźba śmierci nie robi na mnie większego wrażenia. Proszę – powiedziała i pochyliła głowę tak, że blond włosy rozdzieliły się na białym karku. – Niech mnie pan zastrzeli, jeśli ma pan ochotę. Jakie to ma teraz znaczenie?

Bill prychnął pogardliwie:

– W przedpokoju jest trup mężczyzny.

– Biedny Wasilij – powiedziała, nie podnosząc głowy.

– Obaj byli Rosjanami?

– Tak. Spotkali się tutaj z nami. Klaus rozmawiał z Bendixem... kiedy to było, dwa dni temu?...

gdyż obawiał się, że został rozpoznany. Bendix kazał nam tu przyjechać i zostać przynajmniej do czasu, aż upewni się, że niebezpieczeństwo minęło. Jak widać i tu nie byliśmy bezpieczni. Mówiłam Klausowi, żeby natychmiast wracał do Leningradu. W kółko mu powtarzałam: „Czym jest utrata paru tygodni w porównaniu z całym życiem?” Ale nie chciał słuchać. No i proszę, co się teraz stało.

Bill krążył po pokoju, wypolerowane deski skrzypiały pod jego gumowymi podszewkami. Przez chwilę wpatrywał się w malowaną drewnianą misę, jakby był koneserem sztuki. Potem obrócił się i stanawszy przy Angelice, spytał:

– Klaus rozmawiał z Bendixem?

– Kim jest Bendix? – chciał wiedzieć Humphrey.

– Bendix to zaszyfrowane nazwisko sowieckiego oficera, który zajmuje się całym przechodzącym przez Szwecję importem i eksportem – wyjaśnił Bill. – To znaczy przywozem i wywozem ludzi. To nie tajemnica, chyba „Time” zamieścił o nim artykuł. Bendix zajmuje się zdrajcami.

– On nie pozwoli Klausowi wrócić – oznajmiła Angelika. – Nie po tym. – Uniosła głowę; jej jasne oczy pełne były łez. – Przez pana nigdy już nie zobaczę Klausea.

– Niech pani posłucha, Frau Rangstroem, przez pani przyjaciela tysiące żydowskich kobiet nigdy nie ujrzały swych mężów i kochanków – rzekł Bill. – Niech więc się pani za bardzo nie rozczula.

– Zabił pan Birgitte – powiedziała bezbarwnym głosem.

Humphrey pomyślał, że Angelika przeżyła szok. Podobnie jak on.

– Muszę napić się wody – oznajmił i pokuśtykał do przedpokoju.

W rogu leżały zwinięte zwłoki rosyjskiego agenta. Bill trafił go w nasadę nosa; z rozległej rany wypływały kawałki mózgu. Ściana, pod którą leżał, zbryzgana była krwią. Humphrey poczuł suchość w ustach i przycisnął się do przeciwległej ściany, by z daleka ominąć martwe ciało.

Wszedł do pogrążonej w ciemnościach kuchni i opierając rękę na syfonie, wypił dużą szklanekę lodowatej wody.

Kiedy wrócił do salonu, Angelika Rangstroem podniosła się z krzesła i stanawszy w przeciwległym końcu pokoju, zapaliła nowego papierosa. W rękę trzymała paczkę szwedzkich papierosów Solna; pokój wypełniał jasnoniebieski, gryzący dym.

– Myślę, że na początku zafascynowało mnie to, co Klaus robił – powiedziała. – Przechodziłam wtedy dziwny okres w życiu. Mój pierwszy mąż był okrutnym człowiekiem, maltretował mnie fizycznie. Nie potrafię opisać tego, co ze mną wyprawiał, ale niech mi pan wierzy: żaden mężczyzna nigdy w taki sposób nie poniżał kobiety. Noc po nocy, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu... dopóki mnie całkowicie nie ujarzmił. I wciąż musiałam udawać. Codziennie, kiedy szłam do teatru, odgrywałam rolę normalnej, szczęśliwej i pogodnej kobiety. Nasze noce z początku przerażały mnie, później było mi wszystko jedno. Moja rodzina uważała nas za dobraną parę, chociaż czasami myślę,

że ojciec coś podejrzewał. Zawsze, kiedy się spotykaliśmy, tak dziwnie na mnie patrzył. Ale na tym się kończyło. To, co przeżyłam, na zawsze mnie odmieniło, przez długi czas brałam narkotyki. Brałam je i wtedy, kiedy poznałam Klausea.

Humphrey, zmieszany niespodziewanym wyznaniem, chciał coś powiedzieć, ale powstrzymało go szybkie spojrzenie Billa.

Angelika oparła się o krzesło, na którym siedział Humphrey, i powiedziała:

– Nam, biednym śmiertelnikom, wydaje się, że mamy wpływ na nasze życie, tymczasem zostajemy bezwiednie wciągnięci w wir wydarzeń. Nigdy nie spotkałabym Klausea, gdyby nie wojna.

Bill i Humphrey patrzyli na nią w milczeniu. Humphrey, słuchając Angeliki, zaczynał ją coraz lepiej rozumieć. Uświadomił sobie, że odgrywa rolę kochanki jednego z najokrutniej – szych morderców wszech czasów – potajemnie cierpiącej za wszystkie jego zbrodnie, jakby przez swą miłość do niego także stała się za nie odpowiedzialna.

Ile razy, patrząc na swoją twarz w lustrze, wyobrażała sobie, że słyszy lament trzech tysięcy osób, dochodzący z masowych grobów? Ile razy obiecywała sobie, że już nigdy nie spotka się z Klausem? Ta nieustanna fascynacja jego miękkimi, wypielęgnowanymi dłońmi... barbarzyństwem kryjącym się w oczach...

– Spotkałam go w Pradze – zaczęła – w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym.

– No i? – spytał Bill.

– Praga jest moim ulubionym miastem. Wie pan, że kiedyś zajęli ją Szwedzi? Chyba w połowie siedemnastego wieku. Do Pragi przyjechałam z zespołem na tournée. Wystawialiśmy *Dom lalki*. „W tym momencie uświadomiłam sobie, że przez osiem lat żyłam tutaj z obcym mężczyzną, urodziłam obcemu człowiekowi troje dzieci”\* [\*Tłum. Jacek Fruhling, Henryk Ibsen, *Dramaty*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1977.]. Znacie *Dom lalki*?

– Tak – odparł Bill.

– Niezupełnie – przyznał się Humphrey.

– Wydano przyjęcie – mówiła dalej, jakby żadnego z nich nie usłyszała. – Pojawił się Klaus... Wyłonił się z tłumu... uśmiechnął. Nigdy mi nie powiedział, dlaczego tam przyszedł. No cóż, chyba wydał mi się tak męski jak mój mąż, a przy tym jeszcze uprzejmy i wyrozumiały. Poszliśmy do łóżka tego samego wieczoru. Czy można nas za to winić?

Zapadła długa, męcząca cisza. Angelika skończyła palić papierosa i niecierpliwie zgmiotła niedopałek. Bill nie odzywał się, stał z założonymi rękami oparty o ścianę. Humphreyowi cisnęło się na usta ze sto pytań, ale nie śmiał przerwać ciszy.

– Klaus zabrał mnie na długi spacer po Pradze. Było lato, późne popołudnie i słońce rzucało długie cienie. Klaus przyjeżdżał do Pragi podczas wojny, do swego przyjaciela Heydricha. „Wtedy to były przyjęcia”, mawiał. „Dziczyzna, wino, kobiety. Wszystko skończyło się z upadkiem Trzeciej Rzeszy”. Pokazał mi katedrę Świętego Wita, gdzie byli koronowani wszyscy czescy królowie, pałac królewski na Hradczanach. Nie ma chyba bardziej romantycznego miejsca, zwłaszcza że w dole płynie Wełtawa.

Znowu zapadła długa cisza. Bill pociągnął nosem i rozejrzał się po pokoju; Humphrey siedział na krześle, ściskając swoją stopę. Rana nie była tak poważna, jak mu się z początku wydawało. Nie pozostanie nawet blizna, którą mógłby się chwalić.

– Nie będą w stanie dostarczyć go z powrotem do Związku Radzieckiego – odezwał się Bill. – Nie tak od razu.

– Nie rozumiem – powiedziała Angelika.

– Cóż, wszystkie porty i lotniska są obserwowane, podobnie jak główne autostrady. Nynashamn,



Oxelosund, Saltsjobaden... zanim wyszliśmy, upewniłem się, że wszędzie ogłoszono stan pogotowia. Dotyczy to także portów lotniczych Brommy i Arlando. Bendix zorientuje się, że Hermann nie może wrócić do Leningradu, przynajmniej nie od razu.

Angelika wyjęła następnego papierosa.

– Bardzo panu zależy na złapaniu Klausa – stwierdziła niemal z dumą.

– Tak, chcemy go dostać – oświadczył Bill. Humphrey, próbując zaznaczyć swoją neutralność, nerwowo wzruszył ramionami.

– Cóż, mogę panu powiedzieć, dokąd Bendix prawdopodobnie go zabierze – powiedziała Angelika. – Ale zrobię to tylko pod warunkiem, że nie będzie pan próbował go zabić. Będzie pan musiał go zaarrestować, prawda? Ale nie chcę, by został zastrzelony. Nie jest zwierzęciem, bez względu na to, co myślicie. Nie możecie go unicestwić. I chcę, aby pan mi zagwarantował możliwość widywania go, kiedy tylko będę miała na to ochotę.

– Domaga się pani praw małżeńskich? – spytał Bill.

Angelika pokręciła głową.

– Nie sądzi pan, że obydwójce jesteśmy na to trochę za starzy? Że mamy swą godność?

– Co o tym myślisz, Humphrey? – spytał niespodziewanie Bill. – Sądzisz, że powinniśmy się zgodzić? Nie musimy, możemy pozwolić Hermannowi uciec. W końcu co on nam zrobił? Jedyne problem polega na tym, że musimy się zająć Angeliką: nie możemy dopuścić, by doniosła o wszystkim szwedzkiej policji.

– Błefujesz – stwierdził Humphrey z niezadowoleniem w głosie.

– Tak sądzisz? – spytał Bill.

– Naprawdę chcesz ją zastrzelić? Tutaj, na moich oczach?

– Skoro to konieczne... – powiedział Bill. Bez ostrzeżenia podniósł rewolwer i oddał cztery szybkie strzały; dwa wiszące na ścianie talerze zamieniły się w skorupy, zegar z kukułką rozleciał się, a okno wypadło z framugi. Bill uśmiechnął się. Pokój wypełnił dym i zapach prochu.

– Dlaczego pan nie skończy z tą komedią? – zdobyła się na odwagę Angelika. – Od początku pan wiedział, że wam pomogę.

– Tak – zgodził się Bill – wiedziałem.

– A więc – powiedziała – prawdopodobnie zabrali Klausa do Langslaetoe; to taka mała wioska nad Bałtykiem, na południe od Grisslehamm, byłam tam kiedyś. Nazywają ją „kryjówką”. Wie pan, na wypadek niebezpieczeństwa.

Bill otworzył bębenek trzydziestki ósemki i załadował go, potem schował rewolwer do płaszcza.

– A więc – uśmiechnął się – Lingslaetoe. Jak twoja noga, Humphrey?

Kciukiem i palcem wskazującym Humphrey przycisnął powieki. Był wstrząśnięty, czuł się stary i nieładnie zmęczony.

– Jak to daleko? – spytał.

– Sześćdziesiąt kilometrów – odpowiedziała Angelika. – Nie zajmie nam to dużo czasu.

– Niech się pani ubierze – polecił jej Bill.

Kiedy Angelika poszła do sypialni, Humphrey zwrócił się do Billa matowym głosem:

– Do głowy mi nie przyszło, że to może tak wyglądać.

– Wiem – powiedział Bill. – Chyba powinienem cię przeprosić.

– Przeprosić? Na to już raczej za późno, dwie osoby nie żyją.

– Trzeba złapać Klausa Hermanna, Humphrey. Mnóstwo ludzi w Stanach i w Wielkiej Brytanii chce, by zamknąć mu usta. Uwierz mi, to wpływowe osobistości. Wiesz, o co mi chodzi?

Humphrey nie odpowiedział. Zamknął oczy i oparł się o ścianę. Czuł się tak, jakby w głowie miał klatkę, z której nie uwolnią go nawet najrozsądniejsze działania. Kim są ci ludzie w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, którzy chcą uciszyć Klausa Hermanna? Czy ich potrzeba jest tak paląca, że on, zmęczony do granic wytrzymałości, musiał czuwać przez całą noc w Uppsala Laen, z nerwowo chorą aktorką i beztrząsco strzelającym młodym Amerykaninem, który chyba uczył się etykiety od Dżyngis-chana?

Pojutrze miał lecieć z powrotem do Anglii. Lotnisko w Manchesterze, deszcz, szare niebo i łagodne, zielone łuki górskich dolin Derbyshire. To wszystko wydawało się takie zwyczajne, a jednak nieosiągalne. Tutaj, w Szwecji, coś w nim umarło; chyba utracił wiarę w człowieka, w świętość ludzkiego życia.

– Dlaczego powiedziała ci, gdzie może być Hermann? – spytał Billa.

Bill zdziwił się.

– Myślałeś, że nie powie?

– Przecież są... kochankami – stwierdził Humphrey.

Bill potrząsnął głową.

– Od lat pragnęła to wyznać. Czekwała tylko na odpowiednią okazję. Zobacysz, przez całą drogę do Lingslaetoe będzie nam szczegółowo opowiadała o tym, co razem robili, jak często miała ochotę zadzwonić do Szymona Wiesenthala. Wszystkie kobiety są takie same.

– Może masz rację – powiedział Humphrey. Pomyślał o swojej siostrze, o wielbnym Johnsonie. Zamknął oczy i pomyślał też o swojej pięcie.



## Dziesięć

Pod koniec tygodnia Reynard przyleciał ponownie do Concord ogłosić, że będzie się ubiegał o wysunięcie swojej kandydatury przez Partię Demokratyczną. W prasie już toczyła się ożywiona dyskusja; spekulowano, „Czy Kelly będzie kandydował?”, przypomniano dawny skandal z odpadami toksycznymi, opublikowano też śmiałe zdjęcia jego przyjaciółki Ellen Wangerin, niegdyś dziewczyny gangstera. Reynard udawał, że prasowe relacje go irytują, choć rzeczywiście szkodziły jego kampanii. Jednak w gruncie rzeczy ten rozgłos go podniecał, w skrytości ducha uważał się bowiem za zawadiakę, którego rozpierają zwierzęce żądze – zarówno cielesne, jak i polityczne. Tym bardziej, że w czasie kampanii u jego boku stanie Greta – wyrozumiała i kochająca – Pierwsza Dama w każdym calu.

Nadlatujący z południowego wschodu odrzutowiec podchodził do lądowania na lotnisku Concord, świszcząc cicho nad rozproszonymi w dole światłami. Siedzący obok Reynarda Dick Elmwood zaczął składać dokumenty i zakręcać różnokolorowe pióra.

– To jest to, nieprawdaż, Dick? – powiedział Reynard.

– Tak, sir – odpowiedział Dick z uśmiechem równie kuszącym jak talerz owsianki.

– Pamiętaj – zaczął Reynard – do pani Kelly należy odnosić się z szacunkiem i serdecznością, jakby nic się nie stało, bez uszczypliwych uwag. Chyba wiesz, o co mi chodzi? Oczekuję miłej atmosfery.

– Tak, sir.

– Czy Dean Farber przyjeżdża jutro?

– Och, spodziewam się, że będzie tu dziś wieczorem, sir. Ma mnóstwo roboty.

– Świetnie. On jest bardzo gorliwy, prawda?

– Takie sprawił na mnie wrażenie, senatorze. Ale poczekamy, zobaczymy. Z natury jestem ostrożny.

– Hmm – powiedział Reynard. – Od czasu do czasu powinieneś sobie odpuścić, Dick. Skiśniesz na amen, jeśli do wszystkiego będziesz podchodził z rezerwą. Od czasu do czasu powinieneś poszaleć i znaleźć sobie dobrą dupę.

Odrzutowiec musnął pas startowy, siadł i silniki zawyły przyhamowaniu. Z morza światła zalewającego lotnisko oderwały się reflektory limuzyny, która miękko ruszyła w kierunku samolotu.

– W zupełności wystarcza mi satysfakcja z pracy, sir – rzekł z przesadnym entuzjazmem Dick. – Wierzy mi pan?

Reynard chrząknął.

– No, skoro tak twierdzisz. Tylko żebym cię nie złapał z jakąś panienką biorącą udział w kampanii „Kelly na prezydenta”. Mógłbym pomyśleć, że praca zaczyna cię nudzić.

Przytrzymując kapelusze, by nie zerwał ich wiatr, przeszli przez pas startowy i wsiedli do długiego, czarnego cadillaca. Niemal bezszelestnie opuścili lotnisko i wjechali w London Road, prowadzącą do posiadłości Kelly’ego.

– O tej porze roku zawsze zachowuję szczególną ostrożność – powiedział nagle Reynard. – Zawsze mi się wydaje, że ktoś czy coś umrze. Niepokojące, prawda? Zawsze mam uczucie, że nie wszyscy przetrwamy zimę.

– Może nerwy zawodzą przed złożeniem oświadczenia – zasugerował Dick.

Reynard wzruszył ramionami i chrząknął. Jak można powiedzieć coś tak cholernie głupiego, pomyślał.

Kiedy dotarli na miejsce, przed domem stało już czerwone ferrari Greta. Reflektory limuzyny prześlizgnęły się po podjeździe i oświetliły bliźniacze rzędy drzew laurowych zdobiących wejście. Limuzyna zatrzymała się z chrzęstem. Natychmiast podeszło dwóch służących, by otworzyć drzwi.

– Witamy w domu, panie senatorze.

– Cieszymy się, że pan wrócił, sir.

Odprawdzili go po schodach aż do kopulastego hallu. Tam czekali na niego Len Gieves i Natalia Vanspronsen – najważniejsi pracownicy jego biura prasowego. Len był zgryźliwym mężczyzną z rudymi włosami i zmierzwionym wąsem, Natalia wywodziła się z najbardziej prężnego i nieskazitelnego odłamu ruchu kobiet; była piękna, niezwykle zadbana, nosiła okulary i śmiertelnie poważnie traktowała politykę.

– Widzę, że moja żona już przyjechała – stwierdził Reynard, wręczając płaszcz i kapelusz Eunice, a teczkę z dokumentami Dickowi Elmwoodowi. – W jakim jest nastroju?

– Złośliwo-ironicznym – odpowiedziała Natalia Vanspronsen. Nie była szczególną entuzjastką pomysłu stawiania na pierwszym miejscu jedności rodziny w kampanii wyborczej, chociaż do tej pory nie wiedziała, że Reynard i Greta zdecydowali się na całkowite rozstanie. Na jednym z zebrań Natalia dowodziła nawet, że Reynard, w razie zwycięstwa w wyborach, powinien dążyć do zniesienia tradycyjnego tytułu Pierwszej Damy, ponieważ narzuca on żonie prezydenta niezwykle krępujący stereotyp zachowania w najznamienitszym związku małżeńskim w kraju. „Jeżeli prezydent traktuje swoją żonę jak istotę niższego rzędu, to co pomyśli sobie co drugi mężczyzna w tym kraju?”, argumentowała. Mimo wszystko Reynard ją lubił. W pracy wykazywała niezwykle inteligencję.

– Chciałbym pana uprzedzić, sir – odezwał się Len Gieves – że jest tu także doktor Walt Seabrook.

– Ten małpison? Kto go zaprosił? No tak, oczywiście moja żona, cholera.

– Stara się nie zwracać na siebie uwagi, sir.

– Jedyne, co u Walta Seabrooka nie zwraca niczyjej uwagi, to jego umysł – rzucił Reynard. – Mam nadzieję, że zanim wpuściłeś go do środka, sprawdziłeś, czy nie wnosi narkotyków. Mamy dość własnych kłopotów, nie musimy zapraszać prychających kokainą małp, którym można przyznać doktorat za umiejętność odmóżdzenia się.

– Proszę się nie martwić – zapewnił Len Gieves. – Powiem mu parę słów na ten temat.

– Tylko żeby nie miały za dużo sylab – odrzekł Reynard. – Chcę, żeby zrozumiał, co mówisz.

– Dzwonił Dean Farber – wtrąciła Natalia. – Będzie tu o dziesiątej. Wyślę po niego limuzynę, jeżeli pan pozwoli.

– Kąpiel gotowa, sir – odezwała się Eunice.

– Zaraz idę, Dick, zadzwoń do senatora Hamptona i spytaj, czy w dalszym ciągu ma dokumenty dotyczące Green Mountain. Chciałbym jutro poruszyć tę kwestię.

– Mamy nowe materiały na ten temat – zakomunikował Len Gieves. – Może przejrzymy je później?

– Dzwonił także Jack Pope z „Congress Special” – odezwała się Natalia. – Chciał napisać artykuł o pańskich poglądach na temat ochrony przyrody.

– Czy mam jakieś poglądy na temat ochrony środowiska? – spytał Reynard. – Chciałem po prostu uratować lasy New Hampshire przed przerobieniem na tandetne książki.

– Oczywiście, że ma pan poglądy – upierała się Natalia, nie poruszona próbą Reynarda obrócenia wszystkiego w żart. – Pański plan ochrony środowiska jest jednym z najważniejszych punktów całego programu politycznego. Razem z ochroną zdrowia i kwestiami obronnymi.

– Jeśli pozwolicie, wezmę teraz kąpiel – przerwał dyskusję Reynard.

– Mamy pana zaprezentować na spotkaniu o dziesiątej – przypomniał Len.

– Przyjdę, jeśli zdążę zjeść kolację i porozmawiać z Gretą – powiedział Reynard. – Natalio, przekaż Grecie moje pozdrowienia i upewnij się, czy doktor Seabrook ma wystarczająco dużo trunków. Nie chcę, by zdołał jeszcze coś wybełkotać, kiedy zejść na dół.

– Dobrze, senatorze – powiedział Len i wepchnął Natalię z powrotem do salonu, nie zważając na jej jawne oburzenie. Reynard usłyszał jeszcze jego słowa: – Chcesz mieć tę robotę czy nie? To się zamknij, na litość boską.

Greta była w świetnym nastroju, a Walt Seabrook zdążył już sobie szczerze nalać koniaku Reynarda, rocznik 1927. W salonie na kominku trzaskał ogień, a obok, na dywanie, leżał dog Reynarda, przyglądając się otoczeniu smutnym, zamyślonym wzrokiem. Do salonu, kłaniając się teatralnie, wkroczył Reynard – zaróżowiony po kąpieli, pachnący wodą kolońską Floris.

– No, no – powiedziała Greta. – Miło, że się pojawiłeś.

– Witaj, Greto! – Reynard kiwnął głową i podszedł pocałować ją w rękę. Następnie zwrócił się do Walta Seabrooka, lustrując go od stóp do głów: – Jest pan mniej owłosiony niż zazwyczaj, doktorze Seabrook. Co się stało z pańską brodą?

– Podarowałem ją nauce – odrzekł Walt. – Jak się pan miewa, Reynardzie?

– Świetnie, jak pan widzi. Zachowuję spokój i zimną krew – powiedział Reynard. – Nie powinien pan tu dzisiaj przychodzić, doktorze Seabrook, nie był pan zaproszony. Nie cierpię wścibskich facetów, a już najbardziej nieproszonych wścibskich facetów.

– A czy jest tu w co wścibiać nos? A poza tym byłem zaproszony. Przez Gretę.

– To już nie jest dom Grety.

– Cóż, byłoby lepiej dla pana, gdyby przynajmniej prasa nie dowiedziała się o tym – odpalił Walt.

– Wie pan co? Matka kiedyś mi powiedziała, że niektóre pary dobierają się w niebie. Nigdy jej nie wierzyłem, aż do tej chwili. Wystarczy na was spojrzeć: suka i blagier.

– Mam nadzieję, że nie będziemy się teraz bili – stwierdził Walt. – Nie przyszedłem tutaj wszczynać bójk.

– Nie obchodzi mnie, po co pan tu przyszedł – powiedział Reynard. – To jest mój dom, i jeśli zechcę powiedzieć, co o panu myślę, zrobię to.

– Reynard, na miły Bóg, nalej sobie drinka – odezwała się Greta. – Walt i tak obawiał się spotkania z tobą, nie musisz udowadniać, że miał rację.

Reynard spojrzał ostro na Walta Seabrooka, po czym kiwnął głową i podszedł do barku. Wziął butelkę jacka danielsa i nalał sobie.

– A więc – powiedział – doktor Seabrook jest pełen obaw, czy tak?

– Oczywiście – odparła Greta. – Jest bardzo wrażliwym człowiekiem.

– Och – rzekł Reynard – wrażliwym. Cóż, to coś nowego.

Ja nigdy taki nie byłem: bystry – czasami, wyrozumiały – jeszcze rzadziej, ale wrażliwy – nigdy. Gratuluję ci, Greto, że w końcu znalazłaś sobie kogoś wrażliwego. – Podszedł do Walta Seabrooka z najbardziej cierpkim z uśmiechów i dodał: – Nie jest pan mimo wszystko zbyt wrażliwy, prawda? Naprawdę wrażliwy człowiek nie mógłby wytrzymać z Gretą dłużej niż pół godziny. Najwyżej czterdzieści pięć minut.

– Wolałbym, żeby pan cofnął te słowa – powiedział Walt Seabrook.

– Dlaczego? – spytał Reynard. – Dlatego, że mówię o kobiecie, którą pan kocha?

– Można to tak ująć.

– Wie pan, kim pan jest? – rzekł rozgorączkowany tym razem Reynard. – Pan, doktorze

Seabrook, jest najgorszym rodzajem oportunisty: lekarzem oportunistą. Dla pana Greta to szansa zdobycia majątku i zrobienia kariery. Powiem prosto z mostu: zostanie pan wiceministrem zdrowia, gdyż taka była umowa z Gretą. Ale umowa na tym się kończy. Stanowisko to wszystko, na co może pan liczyć. Proszę się nie spodziewać, że będę dla pana miły, hojny albo uprzejmy, bo nie będę. – Reynard pociągnął łyk whisky i spojrzał na Walta Seabrooka, jakby mu współczuł. – Wrażliwy – zaśmiał się drwiąco. – Granitowe bryły są bardziej wrażliwe.

Greta patrzyła, jak Reynard podchodzi do okna, po czym wraca i siada.

– Ciężko znosisz porażki, wiesz? – powiedziała. – Ciekawa jestem, jak przyjmiesz zwycięstwo?

Reynard wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Greta i Walt Seabrook tak bardzo nie pasowali do siebie. Ich związek urągał niemal prawom natury. Greta wyglądała niezwykle elegancko w zamszowej, ręcznie malowanej w burbońskie lilie tunice od Polla Edwardsa, z polakierowanymi paznokciami, ostentacyjnie noszoną złotą biżuterią i nieskazitelną skórą; natomiast doktor Seabrook sprawiał wrażenie absolutnie tępego i zaniedbanego. Był potężnie zbudowanym mężczyzną. Pod pięćdziesiątkę, miał gęste, ciemne włosy, przez które zaczynała prześwitywać łysina, i perkaty zadarty nos, nadający niepoważny wyraz jego twarzy. Reynard nie mógł sobie ich wyobrazić w łóżku. Ciekawe, kto zazwyczaj jest na górze? Samson czy Dalila?

– Wydaje mi się, sir – odezwał się doktor Seabrook – ze musimy wypracować jakiś modus vivendi.

– To panu tak się wydaje – odciął się Reynard. Greta przerwała im:

– Chłopcy, czy macie zamiar kłócić się przez całe popołudnie? Trochę więcej rozsądku.

– Rozsądku? Przy tym jaskiniowcu?

– Myślę, że jest pan zazdrosny – skomentował Walt Seabrook. – Mam rację? Nie może pan znieść myśli, że sypiam z Gretą.

Greta zaśmiała się głośno i wesoło, nieco histerycznie. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią z bezwiednym zdumieniem. W końcu Reynard powiedział całkiem trzeźwo:

– Może ma pan rację. A może, patrząc na to z innej strony, wyrosłem z zazdrości, stałem się całkiem dorosły. Jestem na tyle leciwy i pozbawiony skrupułów, że mogę ubiegać się o prezydenturę, ponieważ wiem, iż potrafię sprawować ten urząd wyjątkowo dobrze. I może jestem gotów, od czasu do czasu, tolerować takich błaznów jak pan, doktorze Seabrook, tylko dlatego, że pan pomoże mi wygrać. Nie chcę jednak stwarzać żadnych złudzeń.

Walt Seabrook sprawiał wrażenie zmartwionego.

– Chyba już pójdę. Naprawdę, tak będzie najlepiej dla wszystkich.

– Dla mnie na pewno – wtrącił Reynard.

– Nie odchodź, kochanie – odezwała się Greta. – Nie daj się zastraszyć.

Walt Seabrook potrząsnął głową i uśmiechnął się przelotnie do Grety.

– Chyba wiem, na czym polega problem. Pójdę, dobrze, nie zależy mi. Senator Kelly czuje się przytłoczony i ma kompleks niższości, pominąwszy to, że nie podobam mu się jako lekarz. W porządku, rozumiem to. Ale on z kolei musi zrozumieć, że bardzo mi zależy na tym stanowisku w Ministerstwie Zdrowia i zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby je otrzymać. Spójrzmy prawdzie w oczy: dla lekarza jest to najwyższe stanowisko rządowe, dzięki niemu zobaczę, jak ci wszyscy chirurdzy i neurologi, którzy traktowali mnie z taką wyższością na polu golfowym, zaczną się teraz przede mną płaszczyć, tylko po to, by dostać parę dolarów więcej przy podziale funduszy. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, wytrzymam z Reynardem. Zachowam absolutne milczenie i z przyjemnością obejmę to stanowisko. Ale jedno chcę wyjaśnić: nie pozwolę obrażać Grety, nie dopuszczę, aby ją źle traktowano. Może udawać dla pana Pierwszą Damę, ale ja jestem tym facetem, który się o nią

troszczy, naprawdę się o nią troszczy, i chcę, by pan to dobrze zrozumiał.

Reynardowi cisnęły się na usta dziesiątki ciętych odpowiedzi. Ale przemówienie Walta Seabrooka, jak z telewizyjnego filmiku, tylko go rozśmieszyło. Podniósł szklanę i powiedział:

– Jest pan tęgim mężczyzną, doktorze Seabrook, w każdym tego słowa znaczeniu. Gratuluję ci, Greto. Tęgi mężczyzna, a mimo to wrażliwy.

– I ty kandydujesz na prezydenta? – z niesmakiem powiedziała Greta.

– Och, nie tylko kandyduję – odrzekł Reynard. – Tym razem wygram.

W tym momencie rozległo się pukanie. W drzwiach ukazała się Eunice w wieczorowym uniformie: długiej, czarnej sukni z wąskimi trójkątnymi rękawami i zapinanym na guziki staniku. Greta spojrzała ostro na Reynarda, ale zignorował ją i powiedział:

– Wejdz, Eunice.

– Telefon do pana, sir – oznajmiła. Spojrzała na Gretę i stłumiła jej gniewne spojrzenie tak skutecznie, jakby zarzuciła wilgotny koc na płonący ogień. – To pilne, tak mówi ten dżentelmen. I poufne.

– Wiemy, kto to jest?

– Pan Eldridge, sir. Pełnomocnik ministra zdrowia i opieki społecznej.

– Hmm – rzekł Reynard. Dopił burbona i powiedział: – Greto, doktorze Seabrook, muszę was na chwilę przeprosić.

– Na pewno ci to wybaczymy – odparła Greta.

Reynard poszedł prosto do biblioteki, dokładnie zamknął za sobą drzwi i podniósł słuchawkę.

– Hallo? Mówi Reynard Kelly.

– Senator Kelly? Ogromnie mi przykro, że niepokoję pana o tej porze. Tu Jim Eldridge, pełnomocnik ministra zdrowia i opieki społecznej w New Hampshire.

– Dobry wieczór, panie Eldridge. W czym panu pomóc? Trochę się spieszę.

– No cóż, sir, właśnie dzwonił do mnie doktor Carroll Bryce, inspektor sanitarny okręgu Merrimack i mój stary przyjaciel. Był na ślubie każdej mojej córki, w sumie na sześciu. Nie uwierzyłby pan, że mam sześć córek, prawda?

– Czy spotkaliśmy się kiedyś? – spytał cierpliwie Reynard.

– Och tak, sir, dwa albo trzy razy. Spotkaliśmy się pięć lat temu podczas rewii na lodzie Douglasa Everetta i zeszłej jesieni na przyjęciu zorganizowanym przez Fundację Sztucznej Nerki. Siedzieliśmy wtedy zaledwie parę krzeseł od siebie.

– Ach, tak – skłamał Reynard. – Teraz sobie przypominam dostojnie wyglądającego dżentelmena.

– Miło to od pana usłyszeć, senatorze. Moja żona też mi to zawsze powtarza, ale mnie się wydaje, że to po prostu siwizna dodaje mi powagi.

– No tak, a co chciał mi pan przekazać? – spytał Reynard. Czasami się zastanawiał, pewnie błźnierczo, czy Jezus kiedykolwiek odczuwał takie znudzenie, gdy ludzie przychodzili do niego ze swoimi ranami, szaleństwami, poskręcanyimi członkami.

– Cóż, senatorze, Carroll Bryce powiedział, że otrzymał protokół sekcji zwłok chłopca, który zmarł w East Concord w zeszłym tygodniu; z pierwszych testów wynika, że zabił go jakiś wirus, podobny do heinemediny, tylko, jak mówi Bryce, szybciej atakujący.

– Tak? – spytał Reynard. Eldridge zawahał się.

– Trudno wyciągać ostateczne wnioski, senatorze, ale istnieje prawdopodobieństwo wybuchu epidemii. Tak twierdzi doktor Bryce. Widzi pan, problem polega na tym, że ten wirus jest odporny na stosowane zazwyczaj metody leczenia.



– Mówi pan o epidemii heinemediny?

– Tak, senatorze, i to bardzo niebezpiecznej.

– Nie może pan zorganizować akcji szczepień ochronnych? Ile to by kosztowało?

– Senatorze, usiłuję wyjaśnić panu, na czym polega problem. Ten wirus nie reaguje na stosowane zazwyczaj preparaty.

Reynard zmarszczył brwi.

– To heinemedina?

– Jakaś odmiana, tylko o wiele bardziej złośliwa.

– Ile osób zaatakował już ten wirus?

– Z tego, co ustalił doktor Bryce, tylko jedną, sir.

– I na podstawie jednego przypadku przepowiada pan epidemię? To nie ma sensu.

Eldridge milczał przez chwilę, w końcu powiedział:

– Doktor Bryce jest niezwykle ostrożny, senatorze. Nigdy się nie zdarzyło, by dzwonił do mnie i wszczynał alarm. Muszę panu powiedzieć, że jest bardzo zaniepokojony. Widział raport wirusologa, kilka pierwszych hodowli i jest bardzo zaniepokojony.

– Hm, jak, to znaczy gdzie... – zaczął Reynard. – Gdzie chłopiec złapał tego wirusa? Gdzieś musiał się nim zarazić. Czy wchodzi w grę jakieś zagrożenie zdrowia?

– Nie wiemy, sir. Poza wynikami sekcji nie dysponujemy właściwie żadnymi konkretnymi. Chłopiec prowadził zupełnie normalny tryb życia. Aż do tego fatalnego popołudnia nie wystąpiły u niego jakiegokolwiek objawy chorobowe; tamtego popołudnia nie spotkał się z żadnym ze swych przyjaciół ani z nikim, od kogo mógłby się zarazić.

Reynard wolno przetarł oczy. Rozległo się pukanie i w drzwiach biblioteki ukazała się głowa Dicka Elmwooda; próbował coś powiedzieć, ale Reynard machnięciem ręki kazał mu wyjść.

– Chwileczkę – powiedział do Eldridge'a. – Czy wie pan, gdzie mieszkał ten chłopiec?

– W East Concord, sir. Przy Webster Crescent, tuż obok Conant's Acre.

– Musiał się więc zarazić gdzieś w pobliżu domu.

– Prawdopodobnie tak.

Reynard znów zamilkł. Ale odezwał się w nim wewnętrzny stłumiony głos: „Cóżżeś uczynił? Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi. Teraz tedy przeklętym będziesz na ziemi, która otworzyła usta swe, aby przyjęła krew brata twego z ręki twojej”.

– Senatorze Kelly? – odezwał się Eldridge. – Chyba muszę pana uprzedzić, że z powodu lokalnych interesów napotkamy pewien opór. Nie sądzę, by komisarz z Wydziału Bezpieczeństwa był tym zachwycony, mam raczej wrażenie, że będzie nastawiony wrogo. Wydział Bogactw Naturalnych i Rozwoju Gospodarczego także będzie z nami walczył.

– Cóż... – rzekł Reynard – musimy mieć więcej faktów, prawda? Śmierć jednego chłopca zarażonego dziwnym wirusem...

– Oczekiwałem bardziej zdecydowanej reakcji, senatorze Kelly – stwierdził Eldridge. – Jeżeli chcemy powstrzymać epidemię, trzeba ją zdusić w zarodku.

– Musi pan zrozumieć, że oficjalnie nie mogę podjąć żadnych działań – powiedział Reynard. – Poza tym nie chcę wywołać niepotrzebnej paniki. Jej konsekwencje mogą być bardziej niebezpieczne niż sam wirus.

Jim Eldridge odetchnął głęboko. Najwyraźniej należał do ludzi powściągliwych, nie był przyzwyczajony do twardego stawiania sprawy, a tym bardziej do samotnej walki ze znanym senatorem stanowym.

Ale nie poddał się. Spokojnie przedstawiał dalsze argumenty:

– Nie kłopotałbym pana, senatorze, gdybym nie uznał sprawy za poważną. W dalszym ciągu czekamy na kolejne wyniki testów z Berkeley i Santa Fe. Ale już teraz doktor Bryce uważa, że grozi nam poważne, bardzo poważne niebezpieczeństwo, a jeśli Bryce tak sądzi, ja podzielam jego zdanie. Dzisiaj powiedział mi coś, czego nigdy jeszcze od niego nie usłyszałem: „Jim, mamy kłopot”. I proszę mi wierzyć, senatorze, jeśli doktor Bryce mówi, że ma się jakiś kłopot, to na miły Bóg, ma się ten kłopot.

Reynard znów usłyszał wewnętrzny głos: „Teraz tedy przeklętym będziesz na ziemi... która otworzyła usta swe, aby przyjęła krew brata twego z ręki twojej”. Mruknął pod nosem:

– Kondor.

– Słucham? – spytał Eldridge. – Liczę na pana, senatorze, naprawdę. Może się spotkamy i porozmawiamy na ten temat? Ustalimy, co ewentualnie można zrobić.

– Proszę mi podać numer pańskiego telefonu – powiedział Reynard z roztargnieniem.

– Och, oczywiście. Dwa-siedem-jeden, cztery-trzy-trzy-cztery. Ale zadzwoni pan wkrótce?

– Słucham? Ach tak, tak, zadzwonię jutro. Bardzo panu dziękuję za przekazanie mi tej wiadomości, panie...

– Eldridge, senatorze, Jim Eldridge.

– Świetnie, tak, oczywiście... Jim Eldridge, dziękuję panu. A okręgowy inspektor sanitarny nazywa się Rice, tak?

– Bryce, sir.

– Och tak, Bryce przez „B”, dobrze, dziękuję panu. Dobranoc. Na drugim końcu linii dało się wyczuć zaniepokojenie, nastąpiła chwila wahania. Ale Reynard odłożył bez słowa słuchawkę i stukając o zęby kartką, na której zapisał numer Eldridge’a, usiadł zatopiony w myślach. Z pewnością po tylu latach... nie, to niemożliwe. Ale wciąż powracały surowe słowa z Biblii... i na jego wargach bezwiednie pojawiła się nazwa, z którą utożsamiał swój największy grzech: *Kondor*.

To było polio, czyż tak? Złośliwa odmiana heinemediny, tak właśnie mu powiedzieli. I chłopiec nabawił się jej w pobliżu Conant’s Acre. Co za przerażająca ironia zemsty, o wiele większa niż zwykły bieg ludzkiej sprawiedliwości. Reynard poczuł się tak, jakby nagle i poniewczasie został osądzony przez Boga – i uznany winnym.

Dick Elmwood znów zajrzał do biblioteki.

– Przepraszam, że przeszkadzam, senatorze, ale jest już Dean Farber. Chce się pan z nim przywitać?

Reynard spojrzał na Dicka, jakby go widział po raz pierwszy w życiu. Po chwili spytał niewyraźnie:

– Co się stało z Chiffon?

Elmwood spuścił wzrok.

– Kazał mi pan nigdy nie odpowiadać na to pytanie, senatorze.

– Nie oczekiwałem odpowiedzi – rzekł Reynard. – Pytanie było retoryczne. Ale... nie mieliście żadnych kłopotów, co?

Elmwood nie odezwał się. W końcu Reynard wstał zza biurka, rozejrzał się dookoła i stwierdził:

– Zima. Nadchodzi zima. Tu, w Hampshire, można ją zawsze wyczuć: wywołuje uczucie strachu.

– Tak, sir – zgodził się po chwili Dick Elmwood.

Dużo później Reynard wymówił się od spotkania z Deanem Farberem i poszedł na górę do sypialni. Tu z osobistego telefonu połączył się z numerem w Anama City, na zachodzie Florydy. Nikt

nie podnosił słuchawki, ale Reynard cierpliwie czekał. Wiedział, że mężczyzna, do którego dzwoni, jest bardzo stary i z pewnością potrzebuje dużo czasu, by odebrać telefon.

W końcu odezwał się chrapliwy głos:

– Hallo? Tu Ted Peale.

– Ted? Mówi Reynard.

– Reynard? Boże Wszchemogący!

– Ted – powiedział nagle Reynard – przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale koniecznie muszę z tobą porozmawiać.

– W porządku, wal. Pociągałem sobie właśnie ze szklaneczki na werandzie. Co za gorąca noc – u ciebie nie jest chyba tak ciepło?

– Ted, możesz przyjechać do New Hampshire? Muszę z tobą pomówić osobiście.

Na drugim końcu linii rozległo się cmoknięcie, jakby Ted Peale wyjął swoją sztuczną szczękę.

– Wiesz, nie jestem już tak ruchliwy jak kiedyś. Mam zakrzep w prawej nodze. Doktor mówi, że to może mnie wykończyć w każdej chwili bez ostrzeżenia. Muszę dużo wypoczywać.

– Ted, chodzi o kondora.

– O kondora? Daj spokój, Reynard. Myślałem, że to już dawno zapomniana sprawa.

– Ja też. Ale mały chłopiec nabawił się paraliżu dziecięcego właśnie tutaj, w Concord.

Słyszał tylko trzaski. W końcu Peale powiedział:

– Och, daj spokój, Reynard. Nie ma się czym martwić, dzieci chorują na heinemedinę, to o niczym nie świadczy.

– To nie jest zwyczajny przypadek paraliżu, Ted. Właśnie dzwonił do mnie pełnomocnik ministra zdrowia i opieki społecznej z New Hampshire. Inspektor sanitarny z okręgu Merrimack mówi, że to jest jakiś inny, dziwny wirus. Wszyscy się tym cholernie martwią.

Ted Peale milczał przez chwilę. Wreszcie powiedział: – Reynard, naprawdę nie wiem, co to może mieć wspólnego z kondorem. Przecież nawet nie wiemy, gdzie spadł – i czy w ogóle spadł.

– Musiał spaść. Wiesz o tym.

– Nie słyszeliśmy, żeby spadał.

– Nic nie mogliście usłyszeć podczas tej burzy.

– Usłyszałbym, gdyby spadł. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Chcę, żebyś tu przyjechał, Ted. Jest mnóstwo szczegółów do omówienia.

– Chyba nie dam rady, Reynard. Chciałbym ci pomóc, naprawdę, ale New Hampshire jest strasznie daleko. Poza tym u was jest zimno i nie jestem pewien, czy w moim wieku serce wytrzyma nagłą zmianę temperatury, tym bardziej że ostatnio mi nawalało.

– Chcesz, żebym kogoś po ciebie posłał? Jesteś mi tu potrzebny, Ted.

Znowu zapadła cisza, tym razem na dłużej. Ted przerwał ją:

– Nie chcę wracać do tamtych dni, Reynard, lepiej nie budzić licha. Wtedy wszyscy byliśmy młodzi, mieliśmy inne ideały, inaczej patrzyliśmy na życie. I świat był inny, Reynard, Ameryka nie była taka jak teraz. Wiesz o tym przecież, jesteś politykiem. Wszystko się zmieniło.

– Ted...

– Nie mam ci nic ciekawego do powiedzenia, Reynard. Nie widziałem, jak spadał, nigdy więcej o nim nie słyszałem i nigdy go już nie widziałem. Może go gdzieś zniosło? Mógł wylądować wszędzie, od Turtle Town po lasy Mast Yard.

Reynard westchnął głośno z desperacją.

– Ale słyszałeś ich przez radio, Robert także. Mówili, że mają kłopoty.

– To powtórzył mi Robert. Ale kto wie, co naprawdę usłyszał? On i tak już nie żyje, co najmniej

od sześciu lat.

– Wiem, Hilda mi o tym pisała.

– Nie ma sensu odgrzebywać starych dziejów, Reynard – powiedział w końcu Ted. – Lepiej zostawić je w spokoju. Naprawdę, dobrze ci radzę. I nie przyjadę do New Hampshire. Lynn Heven to najdłuższa podróż, jaką mogę odbyć w moim wieku.

Nic się nie zmienił, pomyślał Reynard. Ciągłe ten sam stary, ograniczony Ted. Niedouczone, przesądny i uparty jak osioł z zatwardzeniem. Na początku lat czterdziestych jego dogmatyczne podejście do życia uważano za przejaw siły i pewności siebie, tym bardziej że w tych czasach wszystko było niepewne i nikt nie wydawał się silny. Ale mijające lata odsłoniły prawdziwe oblicze Teda – był tylko prostackim parobkiem. Nudnym, małostkowym, egocentrycznym świętoszkiem.

– Ted – powiedział Reynard – przypomnij sobie wszystko, co wydarzyło się tamtej nocy. Przeleć całą tę historię jeszcze raz. Chcę, żebyś pomyślał. Czy mogłeś coś przeoczyć? Najdrobniejszy szczegół może nam pomóc. Czy coś widziałeś, słyszałeś lub wydawało ci się, że widzisz?

– Pomyślę – obiecał Ted. – Nie mam nic przeciwko myśleniu.

Reynard wolałby usłyszeć coś więcej, ale Ted już się nie odezwał.

– Dobra, Ted – powiedział. – Przepraszam, że sprawiłem ci kłopot.

– To było ponad czterdzieści lat temu – usprawiedliwił się Ted.

– Tak – zgodził się Reynard, chociaż słysząc głos swego rozmówcy, miał wrażenie, że działo się to tak niedawno. Ted należał do ludzi, którzy utwierdzali Reynarda w przekonaniu, że czas jest po prostu łańcuchem mało znaczących obrazów, widzianych tylko częściowo i jeszcze mniej zrozumiałych. Oddziały defilujące w Niemczech, kapitulacja Japończyków na USS *Missouri*, Ike i Dulles, szalone dni Nikity Chruszczowa, senator McCarthy i „kwestie formalne”, Kent State i kwiaty w lufach karabinów Gwardii Narodowej, Lyndon Johnson wyciągający szpiegów za uszy, Watergate – zbiór obrazów z odległej krainy zwanej „Przeszłością Ameryki”.

To wszystko wydarzyło się od czasu kondora. Niektórym minęło całe życie od tamtej nocy w roku 1944: urodzili się, dorośli, pobrali się i umarli. Ale to nigdy nie odeszło – Reynarda ciągle prześladowało straszliwe uczucie, że pewnego dnia znów poderwie się z ziemi i zacznie go straszyć. Co jakiś czas budził się zlany potem, myśląc o kondorze i o tym, co sam zrobił. Najgorsze było to, że nigdy się nie dowiedział, co się z nim stało i gdzie się znajduje. Zniknął podczas tamtej wrześniowej burzy i nikomu nie udało się go odnaleźć.

Zdaniem Teda stracił orientację w przestrzeni i wpadł do jeziora Winnepesaukee. Stąd też skandal z toksycznymi odpadami w Winnepesaukee zakrawał na ironię losu. Reynard miał wrażenie, że cały czas ciąży na nim przekleństwo. Kondor rzucił na jego życie cień, okrył je niby płaszczem, z którego nie mógł się uwolnić.

Było jeszcze inne wspomnienie, słodsze, bardziej kruche, które bał się niemal przywoływać, by nie spłowiło jak stale eksponowany delikatny gobelin.

Z powodu tego wspomnienia po raz pierwszy wybrał się do Niemiec, jako bardzo młody i bardzo dziarski mężczyzna. Z powodu tego wspomnienia poznał kilku wysokich rangą nazistów i zaczął sympatyzować z ich ideologią.

Tym wspomnieniem była Ilse von Soltan, berlińska aktorka o jasnych warkoczach, szarych oczach i twarzy tak doskonale pięknej jak boginka znad Renu. Reynard poznał Ilse podczas jej występów w Nowym Jorku. Później, na spotkanie z nią, popłynął *Berengarią* do Niemiec. Chodzili na kolacje, przyjęcia, spacerowali pod lipami, słuchali muzyki i kochali się.

Po powrocie do Stanów otrzymał od niej list. Pisała, że spodziewa się dziecka. Odpowiedział

natychmiast – zapewniając ją o swej miłości, błagał, by przyjechała do niego do Ameryki. Trzy tygodnie później Hitler najechał Polskę i Ilse już więcej się nie odezwała. Ale Reynard nigdy jej nie zapomniał, nigdy – chociaż nie miał nawet jej zdjęcia czy innej pamiątki, która przypominałaby mu najgorętszą i najśłodszą namiętność jego życia.

Może w kondorze ujrzał możliwość powrotu do przedwojennej miłości, jak w sentymentalnym zakończeniu filmu z Marleną Dietrich. Życie jednak nie ma nic wspólnego z filmem, Reynardowi pozostało więc jedynie poczucie żalu.

Zgasił światła w bibliotece i wrócił do pokoju gier, by dołączyć do Deana Farbera i reszty. Na stole bilardowym leżała spora tablica, zawalona mapami, diagramami i wykresami. Dean Farber był specjalistą od kampanii wyborczej, prawdopodobnie najbardziej kompetentnym i doświadczonym szefem sztabu wyborczego, z jakim Reynard miał kiedykolwiek do czynienia. Gdy Reynard, z rękami w kieszeniach, wszedł do pokoju, Dean Farber kończył właśnie wyjaśniać, jak mają zamiar podejść do problemu niechęci białej ludności Chicago wobec demokratów.

Natalia Vansprosen przycupnęła na brzegu skórzanej kanapy w odległym końcu pokoju, owiana dymem z cygara, które właśnie paliła. Uniosła głowę i spojrzała na Reynarda; zawieszona nisko nad stołem bilardowym lampa Tiffany’ego rzucała miękkie światło na jej jasnoróżową bluzkę, pod którą widać było nagie piersi. Reynard spojrzał na nią zuchwale, po czym wolno, z wyrachowaniem, odwrócił wzrok.

Dean Farber także podniósł głowę; światło lampy rzucało blask na jego jasną, krótką czuprynę. Miał mlecznobiałą twarz technokraty i lekko wypukłe oczy człowieka, który zapewne spędza zbyt dużo czasu przed komputerem.

– Muszę ci powiedzieć, Reynard, że we wszystkich notowaniach masz dobre wyniki. Mamy całkowite poparcie demokratów, którzy głosowali na Cartera w siedemdziesiątym szóstym, lecz wstrzymali się od głosu w osiemdziesiątym, ponieważ uważali, że jest słabym politykiem i nie ma cech wymaganych od prezydenta. Po roku 1984 ludzie rzygali gospodarką; w tobie widzą siłę i osobowość godną męża stanu. Jesteś starszy, bardziej doświadczony, potrafisz dodać ludziom otuchy. Wiedzą, że w przeszłości byłeś zamieszany w jeden czy dwa skandale, ale po tylu latach są gotowi ci je wybaczyć, a nawet uznać za cenne doświadczenie. Ludzie pójdą głosować na człowieka, który wie, co robi, człowieka światowego. – Dean Farber spojrzał na stół i klasnął w dłonie jak mały chłopiec. – Tak właśnie chcę cię prezentować w tej kampanii: jako doświadczonego i bystrego polityka, człowieka zahartowanego przez czas i życie, kandydata na prezydenta, który nie tylko troszczy się o dobro Amerykanów pod każdym względem – finansowym, zdrowotnym, społecznym – ale jest też wystarczająco silny i dojrzały, by stawić czoło Sowietom.

– Chcesz ze mnie zrobić sędziwego starca? – spytał oschle Reynard.

– Wcale nie, senatorze – powiedział Dean Farber – z pewnością nie jest pan sędziwym starcem. Pan, senatorze... – tu podniósł zwinięty w rulon arkusz papieru i teatralnym gestem rozwinął na oczach wszystkich. – Pan, senatorze, jest człowiekiem światowym.

Reynard długo oglądał powiększone zdjęcie, na którym stał w bibliotece z władczo opartą na globusie ręką. Musiał przyznać, że było to jedno z bardziej pochlebnych zdjęć, jakie ostatnio oglądał, ale zastanawiał się, czy symbol nie jest zbyt nachalny.

I nagle przyszła mu na myśl parodia nazistowskiego dyktatora: „Dzisiaj... Ameryka. Jutro... *Die Welt*”.

– Nie podoba mi się to, Dean.

– Słucham? – zamrugał oczami Dean Farber.

– Powiedziałem, że mi się to nie podoba. Nie rozumiesz po angielsku?

Dean Farber patrzył to w lewo, to w prawo, jakby chciał się upewnić, że nadal jest w New Hampshire, wciąż kieruje sztabem wyborczym Reynarda Kelly'ego i w dalszym ciągu jest rok 1988. W końcu spojrzał na Reynarda i powiedział:

– Spodoba się panu, senatorze, proszę mi wierzyć, spodoba się.



## Jedenaście

Chiffon Trent otworzyła jedno okno i usiłowała skupić wzrok na dziwnym trójkacie światła na przeciwległej ścianie. Słońce nigdy nie zaglądało do jej sypialni, w każdym razie nie z samego rana. Może zasnęła albo wypita za dużo szampana i zwała się na sofę w salonie? Nie potrafiła się skoncentrować, jej umysł przypominał gąbkę nasączoną letnią wodą.

Otworzyła drugie okno. Leżała na poduszce, musiała być zatem w łóżku. Ale dlaczego spała tak długo? Nie mogła sobie przypomnieć, co wydarzyło się poprzedniego dnia ani dlaczego czuje się tak dziwnie. Chyba nie wahała? Piotr przyniósł wczoraj ponad trzy uncje naprawdę dobrej koki (jeżeli to było wczoraj). Przedtem nigdy po narkotykach nie popadała w taką depresję.

Spróbowała się obrócić, lecz stwierdziła, że nie może. Miała związane ręce i nogi – nie sznurem, lecz prześcieradłami lub szalikami. Szarpała się, wyginała, ale udało się jej tylko unieść głowę – ktokolwiek ją skrępował, zrobił to niezwykle umiejętnie. Czerwonymi jedwabnymi szalikami przywiązano ją za przeguby rąk do mosiężnego wezgielstwa łóżka i najprawdopodobniej w ten sam sposób unieruchomiono jej nogi w kostkach, chociaż nie była w stanie tego zobaczyć.

Wezbrała w niej głęboka fala grozy. Strach był tym bardziej przerażający, że nie mogła sobie przypomnieć, jak się tu dostała. Nie krzyczała, wydała tylko cichy, zduszony jęk, jak dziecko, które ze strachu nie może wymówić słowa. Znów zaczęła się szarpać, tym razem bardziej rozpaczliwie, lecz zdołała tylko mocniej zacisnąć szale.

Leżała spokojnie, próbując wyzwolić się od strachu. Myśl, przypomnij sobie, co się stało, powiedziała do siebie w duchu. Ale pamięć odmawiała posłuszeństwa. Nie można złożyć składanki gdy brakuje elementów, a Chiffon miała w głowie absolutną pustkę.

Zaczęła odczuwać chłód. Nie zaskoczyło jej to, ponieważ zawsze sypiała bez ubrania. A właśnie była naga. Związana i naga leżała w pokoju, którego nigdy przedtem nie widziała, nie mając pojęcia, jak się w nim znalazła. Może to z powodu trawki? Może jej umysł przestał prawidłowo funkcjonować i leży w szpitalu dla obłąkanych? Ale dlaczego szpital dla psychicznie chorych urządzono dziwnymi, podniszczonymi meblami w stylu rokoko – białym sekretarzykiem z połączanymi uchwyty i plastikowymi ozdóbkami? Poza tym Chiffon miała też niewyraźne uczucie, że znajduje się w zupełnie obcym mieście – nie w Nowym Jorku, nie w Los Angeles, ani w żadnym innym znanym jej miejscu.

Nie była przyzwyczajona do hałasu panującego za oknem – szumu przejeżdżających w oddali samochodów, warkotu kołujących w górze samolotów, płynącej z radia muzyki country:

*Jeśli zostawię cię w deszczu w Klamath Country  
Jeśli odejdę i zdradzę naszą miłość...*

Chiffon pomyślała nagle o Reynardzie. Przypomniała sobie, co mówił o rozstaniu. Przypomniała sobie kawiarnię w hotelu Plaża, muzykę fortepianową i rzępolenie skrzypiec. Przypomniała sobie twarz jednego z goryli Reynarda, gdy kroczyła przez hali po dywanie w szerokie wzory. Ale to było wszystko, później już tylko pustka i nicość.

Słoneczny trójkąt przesuwiał się po ścianie. Chiffon zamknęła oczy, usiłując przekonać samą siebie, że naprawdę jest Chiffon Trent, a nie snem czy postacią z filmu. Jeżeli się zgubiła, zachorowała lub postradała zmysły, to z pewnością ktoś zacznie jej szukać. Gdzie jest Piotr? Czeka na nią w hotelu, w jej pokoju. Z pewnością do niej tęskni. Gdzie jest Reynard? Gdzie są inni ludzie?



Leżała tu od dłuższego czasu i miała wrażenie, że nikogo więcej nie ma w tym domu.

Słyszała tylko nieprzerwany szum samochodów i nie kończące się brzdąkanie muzyki country. Jeżeli grała muzyka, ktoś musiał jej słuchać.

Mijały godziny: słońce przygasło, w pokoju zrobiło się zimniej i umilkła muzyka country. Chiffon raz jeszcze próbowała uwolnić się z więzów, ale przeguby i kostki były tak obolałe i spuchnięte, że zrezygnowała. Miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej pęcherz, ale za wszelką cenę broniła się przed zmoczeniem łóżka; to oznaczałoby dla niej utratę szansy na uwolnienie, na powrót do normalnego życia.

Gdy zrobiło się ciemno, zapadła w drzemkę; kiedy zasnęła, rozległ się cichy trzask i otworzyły się drzwi. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że ktoś stoi przy łóżku, gdy czyjaś dłoń dotknęła ją delikatnie niczym ręka przybysza z obcej planety, po raz pierwszy dotykającego człowieka.

Otworzyła oczy i spytała:

– Co...? – ale ktoś natychmiast szepnął:

– Szsz, nie denerwuj się.

Drżąc, spojrzała w górę. Zobaczyła wysokiego, barczystego mężczyznę w jasnoszarym trzyczęściowym garniturze, w którym wyglądał jak filmowe bożyszczę z lat pięćdziesiątych. Miał kasztanowobrązowe włosy, pofalowane także w stylu lat pięćdziesiątych, i szeroką, dobrotliwą, zaskakująco młodzieńczą twarz.

– Przykro mi, że nie mogłem przyjść wcześniej. – Uśmiechnął się. – Niestety, musiałem załatwić sprawunki. Wiesz, jak to jest z zakupami. Zawsze zabierają więcej czasu, niż człowiek się spodziewa.

– Gdzie ja, do diabła, jestem? – zapytała Chiffon w porywie furii. Jak można zachowywać się tak nonszalancko, kiedy ona leży związana przez cały dzień, bez słowa wyjaśnienia, bez jedzenia i picia, a nawet bez możliwości skorzystania z łazienki? Cała ta sytuacja była zwariowana, obraźliwa i przerażająca. I niech ten blady kinowy upiór nie myśli, że ujdzie mu to płazem.

– Uspokój się – powiedział mężczyzna, przyglądając się jej leniwie. – Masz szczęście, że żyjesz.

– Jak mam to rozumieć? Niech pan natychmiast rozwiąże te cholerne supły.

– Powiedziałem – rzekł wolno, ale z naciskiem – masz szczęście, że żyjesz. To znaczy masz szczęście, że cię rozpoznałem. W przeciwnym razie byłabyś jeszcze jedną głupią dziwką, której ktoś chciał się pozbyć.

Chiffon popatrzyła na niego.

– O czym pan mówi? – spytała. – I proszę mnie rozwiązać. Proszę. Muszę iść do łazienki.

– No myślę – powiedział mężczyzna, nieobecny wzrokiem spoglądając w okno. – To całkiem naturalne.

– Pan zwariował – stwierdziła Chiffon. – Proszę posłuchać: chcę, aby mnie pan rozwiązał, wynagrodzę to panu. Mam pieniądze, zapłacę każdą sumę, ale proszę mnie rozwiązać.

Mężczyzna uśmiechnął się, nie patrząc na nią.

– Pamiętasz, jak się tu znalazłaś? – spytał.

Chiffon milczała przez chwilę. W końcu odpowiedziała stłumionym głosem:

– Nie, nie pamiętam.

– To fenolan sodowy – wyjaśnił – czasami powoduje chwilową utratę pamięci. Ale przypomnisz to sobie. Większość oczywiście nic nie pamięta, większość nigdy się nie budzi. Ale ciebie na szczęście od razu poznałem.

– Niech mi pan powie, co się stało – nalegała Chiffon. – Dlaczego tu jestem? Gdzie ja w ogóle

jestem? I kim pan jest?

Mężczyzna wyjął papierosa, postukał nim w paznokciec kciuka i zapalił w dziwnie staroświecki sposób, zapalką. Zdmuchnął płomień, nie wyjmując papierosa z ust.

– Nazywam się Denzil Forbes – powiedział. – Prawdopodobnie nigdy byś o mnie nie usłyszała, gdybyś nie była zaplątana w polityczne brudy. Mam jednak doskonałe rekomendacje: polecenia wykonane, wiadomości przekazane, towary dostarczone, żadnych pytań, gotówka na stół. A tobą, widzisz, kazano mi się zająć. Prosił mnie o to człowiek Kelly’ego, jego prawa ręka. Zajmij się tą damą, powiedział, załatw ją fachowo. Innymi słowy, upozoruj wypadek, aby nie było żadnych kłopotliwych pytań.

Chiffon zrobiło się jeszcze zimniej.

– Reynard chciał, żeby pan mnie zabił? – spytała. – On naprawdę pana wynajął, żeby...?

Denzil Forbes uśmiechnął się uprzejmie.

– Na szczęście cię rozpoznałem. Kiedy cię tu przynieśli, spojrzałem tylko i powiedziałem: „Na Boga, Denzil”, rozumiesz, mówiłem do siebie, „na Boga, Denzil, to jest sławna Chiffon Trent”. Wiesz, ja, ech, bardzo interesuję się kinem. Zawsze ogromnie mi się podobałaś, szczególnie w tym filmie telewizyjnym... czekaj, co to było? Nie, nie mów mi. *Nocny wiatr* – tak to się nazywało?

Chiffon położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy. Słuchała Denzila Forbesa, który sprawiał na niej wrażenie telewizyjnego sprawozdawcy, długo i beznamytnie komentującego sposób, w jaki Reynard usiłował się jej pozbyć. A w gruncie rzeczy zamordować, by nie sprawiała już więcej kłopotu.

– Miałaś szczęście, że akurat byłem w Nowym Jorku. Mogłem być gdzie indziej, a wtedy chłopcy zrobiliby dokładnie to, co im kazano, i byłoby po sprawie. Ale kiedy Dick zadzwonił z hotelu Plaża, postanowiłem zostać i zobaczyć, co mi chłopcy przyniosą, no i to byłaś ty. Miałem szczęście, nie? Ale ty też, inaczej skończyłabyś w płomieniach.

– Tak miałam zginąć?

– Aha – potwierdził Denzil Forbes. – Już zginęłaś. Oficjalnie, oczywiście. Spójrz na to.

Okrążył łóżko poza zasięgiem wzroku Chiffon i powrócił z egzemplarzem „New York Daily News”. Na trzeciej stronie zamieszczono zdjęcie wypalonego sportowego samochodu, opatrzone nagłówkiem: „Chiffon Trent, młodziutka gwiazda filmowa, ginie w płonącym samochodzie”.

– Widzisz to? – spytał Denzil, machając jej przed nosem gazetą. – Nie żyjesz. Spaliłaś się na węgiel. Wiesz przecież, jak jeździłaś. Nie powinnaś była przejeżdżać przez to skrzyżowanie na czerwonym świetle, zwłaszcza że z drugiej strony nadjeżdżała na pół pusta cysterna z benzyną. Kierowca tej ciężarówki to prawdziwy szczęściarz – udało mu się przeżyć. Co prawda trochę się przypiekł, próbując wyciągnąć cię z wraku. Rozpoznał twoją twarz przez szybę samochodu; dobrze się złożyło, prawda? O tutaj, posłuchaj: „Ta piękna dziewczyna spaliła się na moich oczach. Nie można jej było rozpoznać. Zdawało mi się, że oglądam to w telewizji, ale wiedziałem, że to prawda”. – Denzil Forbes odrzucił gazetę. – Każdy żyje w innej rzeczywistości. A rzeczywistość zawsze można nagiąć do swoich potrzeb. Nie uważasz? Ty jesteś aktorką, na pewno to znasz: charakteryzacja, zdjęcia trickowe, dublerzy.

– Kto to był? – spytała Chiffon.

– Jak to, kto to był?

– Kto był w moim samochodzie?

– Ach, chodzi ci o to, kto zginął? Och, nikt, nie musisz się o nią martwić. Jakaś dziewczyna, z której nikt nie miał pożytku. Wiesz, jak to jest. Zawsze pęta się mnóstwo dziewcząt, które wiedzą zbyt dużo. To niezdrowo za dużo wiedzieć. Ale zaczynam mówić jak filmowy gangster.

– Zamiast mnie zginęła inna dziewczyna? – dopytywała się Chiffon.

– Właśnie.

– Spaliłeś inną dziewczynę? Żywcem?

Denzil spieszył się lekko.

– Była nieźle naćpana, nic nie czuła. A poza tym pełno było benzyny. Żar, no wiesz... w takich warunkach to nie trwa długo.

Chiffon zdrętwiała. Próbowwała się rozluźnić, ale zaczęły powracać zablakane, kolorowe skrawki wspomnień, układające się powoli w całość. Słyszała fragmenty rozmów, widziała twarze i migawki uliczne. Przypomniała sobie, jak Piotr otworzył drzwi, odwrócił się do niej i powiedział: „Spotkamy się o siódmej w rosyjskiej herbaciarni...”, później znowu otworzył drzwi i znowu odwrócił się do niej, jak na kasecie wideo puszczonej ciągle od nowa. „Spotkamy się w rosyjskiej herbaciarni”.

Niemal w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Piotr wraca, pomyślała, pewnie czegoś zapomniał. Ale drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadło dwóch zamaskowanych mężczyzn. Wykręcili jej ręce i rzucili twarzą na łóżko.

Reynard, pomyślała. Mój Boże, co za skurwysyn! Pieścił mnie, mówił, że kocha, i obiecał spełnić każde moje życzenie. Był gotów umrzeć, gdybym go o to poprosiła. I zawarł kontrakt na moje życie.

– Wie pan, muszę iść do łazienki – odezwała się Chiffon.

– Tak – raczej spytał, niż stwierdził Denzil.

Chiffon zastanawiała się, czy nie jest naćpany. Widać było, że co chwila przenosi się myślami w inne miejsce, jakby prowadził trzy lub cztery równoległe egzystencje. Denzil Forbes był o wiele bardziej skomplikowanym człowiekiem, niż się z pozoru wydawało.

– Muszę iść – nalegała Chiffon.

Denzil podszedł do drzwi i Chiffon usłyszała, jak je otwiera. Ktoś musiał czekać na zewnątrz, gdyż nie padło ani jedno słowo, a już po chwili Chiffon poczuła, że ktoś odwiązuje jej szale z kostek. Kobieta, domyśliła się Chiffon, czując chłodne i zwinne palce. Kiedy rozwiązano jej ręce, podniosła się i zobaczyła, że miała rację.

Nad nią stała dwudziestoparoletnia, mocno umalowana blondynka w obcisłej, turkusowo – niebieskiej sukience mini. Taką dziewczynę spotkać można tylko na Hollywood Boulevard albo Lexington Avenue w Nowym Jorku, lub czasami w małych miasteczkach w Kansas – wcale nie była prostytutką, tylko strój miała nie z tej epoki.

– Nazywam się Mae-Beth – wysepleniała dziewczyna. – Będę się tobą opiekowała. Chiffon... co za piękne imię. Chciałabym mieć takie. Wiesz, że moja matka miała na imię Kleopatra? Też śliczne, prawda? Mój dziadek znalazł je w książce.

Mae-Beth owinęła Chiffon narzutą, pomogła jej wstać i poprowadziła do łazienki. Ściany korytarza, którym przechodziły, ozdabiała brązowo – żółta tapeta w kwiaty, której chyba nie zmieniano od 1955 roku. Przez otwarty wysoko w górze świetlik wpadało chłodne, nocne powietrze i dochodził uliczny hałas.

– Gdzie ja jestem? – spytała Chiffon. – Nawet nie wiem, gdzie jestem.

Mae-Beth uścisnęła ją czule.

– To naprawdę nie jest straszne miejsce, kochanie.

– Ale gdzie jestem? W jakim mieście? Nie w Nowym Jorku, prawda? Czy jesteśmy w okolicach Nowego Jorku? W White Plains?

– Nie wolno mi tego powiedzieć. Ale, wiesz, skąd pochodzi takie znane piwo, którego nazwa

rymuje się z... czekaj, z „rydz”, osmozę z „cyc”. – Mae-Beth zachichotała.

Chiffon popatrzyła na nią i spytała:

– Milwaukee? Jesteśmy w Milwaukee?

– Nie mów, że ci powiedziałam. Nie powinnaś o tym wiedzieć.

– Ale co ja robię w Milwaukee? – zapytała Chiffon.

– Ubikacja jest tutaj – powiedziała Mae-Beth, otwierając drzwi. Toaleta była mała, zimna i wyłożona białymi kafelkami. – Muszę cię pilnować. Boją się, że uciekniesz przez okno.

Chiffon poczuła jednak tak dużą ulgę, że nie była w stanie się tym przejąć. Siedziała, drżąc, podczas gdy Mae-Beth stroiła miny przed zamglonym lustrem wiszącym nad umywalką.

– Denzil jest dzisiaj w zabawnym nastroju, nie sądzisz? – odezwała się Mae-Beth. – Jest humorzasty. Ale myślę, że cię lubi. Ma dobre serce i jest taki schludny. To mi się w nim podoba, nie cierpię facetów z brudnymi paznokciami. Ohyda.

– Kim on jest? – spytała Chiffon. – Dlaczego mnie tu trzyma?

– Ojej, nie powiedział ci? Jest dość znany. Robi filmy.

– W Milwaukee?

– Nie wiem. Nie mam nic przeciwko Milwaukee, to robotnicze miasto. Ale nie można za dużo wymagać.

– Nie rozumiem. Denzil robi filmy? Jakie filmy? Reklamówki?

– Sam ci powie – oświadczyła Mae-Beth, krzywiąc się przed lustrem. Po chwili odwróciła się do Chiffon z uśmiechem. – Dobrze, że cię lubi. O Boże, gdyby cię nie lubił.

– Spalił żywcem dziewczynę – powiedziała Chiffon.

– To prawda – zgodziła się Mae-Beth.

– Nie przeraża cię to? – spytała Chiffon.

– Oczywiście, że tak. Denzil budzi strach. Ale nie sądzisz, że jest obdarzony jakimś charyzmatem? Wiesz, boję się go i to najbardziej mnie w nim pociąga. Jest jeszcze Billy Manzanetti

– Też straszny, ale to zawodowiec. I Eugene Rossi, on obsługuje kamery i światło.

– Denzil ma tylko dwóch facetów do pomocy?

– Chyba tak.

– Jak on robi filmy z taką ekipą? – chciała wiedzieć Chiffon.

– To są tylko filmy porno – wyjaśniła Mae-Beth – nie takie prawdziwe, fabularne.

– Porno? Chyba żartujesz? Denzil chce, żebym grała w filmach porno? Co on, do diabła, sobie myśli?

– Bardzo się cieszy, że ma ciebie. Sama rozumiesz: na pornosach firmowanych nazwiskiem Chiffon Trent można zarobić kupę forsy. Sam mi powiedział, że trafiła mu się nie lada gratka.

– Nie wierzę w to – zaczęła Chiffon, ale w tym momencie otworzyły się drzwi od sypialni, znajdującej się dalej na podeście, i pojawił się Denzil z papierosem w ustach.

– Jeszcze nie zrobiliście się na bóstwa, dziewczynki? – spytał. – O dziewiątej muszę iść na spotkanie z Danem Barmanem.

Mae-Beth szepnęła do Chiffon:

– Błagam, nic nie mów. Dla własnego dobra i mojego również. Obedrze mnie ze skóry.

Chiffon zerknęła na nią i natychmiast zrozumiała, że dziewczyna nie żartuje. Kusiło ją, by odepchnąć Mae-Beth i uciec po schodach, ale była przekonana, że skoro Denzil na wszelki wypadek przywiązał ją do łóżka, to z pewnością przypilnował także, żeby wszystkie drzwi były zamknięte na klucz. I dokąd mogłaby pójść nocą w Milwaukee, w dodatku bez ubrania? Na pewno skończyłoby się na tym, że by ją zgwałcili.

– Chodźcie już, na miłość boską – poganiał je Denzil. Usłuchały go.

Piotr opuścił O'Connor Theater wyjściem dla aktorów, trzymając pod jedną pachą dwie bagietki, pod drugą – tekst jakiejś parszywej sztuki. Było przeraźliwie zimno i wiał silny wiatr. Zaledwie trzy dni temu Chiffon Trent zginęła w wypadku samochodowym na Dziewięćdziesiątej Trzeciej Ulicy. Piotr był przygnębiony i trochę zalany. Na śniadanie wypił pół butelki wódki, i to nawet nie z żalu po Chiffon. Po prostu doszedł do wniosku, że nie ma znaczenia, czy jest pijany, czy trzeźwy, dlaczego zatem nie może być pijany?

Nienawidził sztuki, której próby właśnie trwały, a szczególnie nie znosił swojej partnerki, Francuzki, która śmierdziała serem brie i nigdy nie goliła pach. Tego ranka ich scena miłosna przypominała wojnę dwóch przytłaczająco cuchnących oddechów.

Z podniesionym kołnierzem skórzanej kurtki, osłaniającym przed wiatrem, przeszedł przez Szóstą Aleję. Moskwa była zabójcza, ale tylko Nowy Jork smagał twarz tą szczególną mieszaniną pyłu, spalin i lodowatego wiatru połączonego z zapachem obwarzanków i amerykańskich cygar. Szedł Trzydziątą Szóstą Ulicą, pociągając od czasu do czasu nosem. Nigdy nie był tak załamany. Po rozgłosie, jaki zdobył prośbą o azyl, po tylu wspaniałych zdjęciach, jakie ukazały się w „People” i „The National Enquirer”, po jego randkach z aktorką Lois Brace, żoną naftowego potentata George’a Brace’a III – włóczył się po Manhattanie w chłodny, środowy poranek, samotny, nikomu nie znany i chory z przepicia, co nie było okolicznością podnoszącą na duchu.

Doszedł prawie do Piątej Alei, gdy zatrzymał się przy nim podniszczony niebieski buick elektra; odkręcono jedną szybę. Przez okno wychylił się blady mężczyzna z krzaczastymi brwiami, w szarym kapeluszu, i powiedział:

– Hej, Piotr Lissitzky, prawda?

Piotr zignorował go i poszedł dalej. Buick jechał tuż obok niego, miażdżąc kołami puszki po 7-Up, kartony po jogurcie i kawałki pizzy.

– Mam wiadomość od twojej matki – powiedział mężczyzna.

Piotr zatrzymał się.

– Czego chcecie tym razem? – spytał ostro. Już szósty czy siódmy raz nachodzili go z „wiadomościami od rodziny” lub „serdecznymi pozdrowieniami od mieszkańców Socjalistycznych Republik Radzieckich”. Wywierali na nim presję – robili wszystko, by nie poczuł się wolny od więzów łączących z ojczyzną, by w Stanach czuł się niepewnie i obco. Jego ucieczka ogromnie irytowała Rosjan, tym bardziej że przypadkowo zbiegła się w czasie z publicznym wystąpieniem sowieckiego ambasadora, który oświadczył, iż wolność słowa i swoboda działania w Związku Radzieckim są „umiłowane i cenione przez wszystkich obywateli”.

– Mam wiadomość od twojej matki, to wszystko.

Piotr rozejrzał się szybko dokoła, na wypadek gdyby musiał nagle zniknąć. Ale w pobliżu Piątej Alei kręciło się tak dużo ludzi, że możliwość nagłego porwania wydawała się mało prawdopodobna.

– Jaką wiadomość? – spytał.

– Wsiądź do samochodu. Wszystko ci opowiem.

– Może pan powiedzieć tu i teraz.

Mężczyzna odwrócił się do kierowcy i coś mu powiedział. Po chwili znów się wychylił i oznajmił:

– Słuchaj, to sprawa osobista. Jeśli nie chcesz wsiąść do samochodu, to pogadajmy w kawiarni po drugiej stronie ulicy. Co ty na to? Nie chcemy cię porwać.

Piotr zawahał się i marszcząc brwi, zerknął na „Mucho Mocha” przy Piątej Alei. Kawiarnia

była dość zatłoczona; mężczyzna w kapeluszu i jego niewidoczny towarzysz mieliby kłopoty, gdyby chcieli użyć podstępu. Tym bardziej, że na rogu dwóch policjantów rozmawiało z robotnikami reperującymi kable. Kawiarnia była chyba wystarczająco bezpiecznym miejscem.

– Okay – zgodził się Piotr. – Będę tam czekał. – I zniknął błyskawicznie w tłumie spieszącym w kierunku Piątej Alei. Przeszedł przez ulicę i wpadł do kawiarni. Znalazł wolne miejsce naprzeciwko kasy, niepokojąco blisko dużego drzewa kauczukowego.

Po paru minutach wszedł mężczyzna z kapeluszem w ręce. Był niemal łysy, ale próbował to ukryć, zaczesując starannie resztkę włosów na ciemię. Tym razem był sam. Usiadł, odpinając górny guzik płaszcza i kładąc kapelusz na stoliku.

– Muszę się przedstawić – powiedział. Jego rosyjski akcent wydawał się teraz wyraźniejszy niż na ulicy. – Ilia Czerenkow, pracuję dla pana Tamma, pierwszego zastępcy ambasadora.

– Czego pan chce? – spytał agresywnie Piotr.

– Raczej musimy się zastanowić nad tym, czego ty chcesz.

– Niczego od was nie chcę – stwierdził ostro Piotr.

– Cóż, chodzi o twoją matkę – powiedział Czerenkow i skinął na przechodzącą kelnerkę. – Proszę o herbatę. – Spojrzał na Piotra i spytał: – Co dla ciebie?

– Kawa bez mleka – odpowiedział Piotr, usiłując upchnąć gdzieś bagietki. W końcu położył je na stojącym obok krześle – I tak panu nie uwierzę – stwierdził.

– Tym razem uwierzysz – zapewnił Czerenkow. – Matka przesyła ci wiadomość, czy raczej my przekazujemy wiadomość w imieniu twojej matki. A wiesz, że nie rzucamy słów na wiatr.

– O co chodzi?

Czerenkow wyciągnął chusteczkę i wytarł nos.

– Na dworze zimno, tu gorąco i od razu chce się kichać – wyjaśnił. Złożył chusteczkę, schował ją, przysunął krzesło i powiedział z przejęciem: – Niebawem twoja matka ciężko zachoruje.

– Zachoruje?

– Cóż, obaj wiemy, że nie jest zbyt silna, prawda? Zawsze miała kłopoty z sercem. A jeśli zostanie wysłana do Galie lub Buj... to nasze przypuszczenie okaże się słuszne.

– Dlaczego ma być wysłana do Galie czy Buj? Co zrobiła?

– O, i tu dochodzimy do sedna sprawy – powiedział Czerenkow. Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął zgnieciony list. Podniósł go do góry; widniał na nim wyraźny adres: „Piotr Lissitzky, Ambasada USA, Helsinki”. – To jest list od twojej matki, przejęty na szczęście przez lojalnego radzieckiego obywatela.

– Na szczęście? – spytał Piotr głucho.

– Oczywiście, ponieważ zawiera stek kłamstw i ohydnych oszczerstw szkalujących Związek Radziecki. Stałoby się bardzo niedobrze, gdyby wpadł w ręce niepowołanych osób, które chciałyby go wykorzystać dla celów propagandowych.

– Proszę mi go pokazać – spytał Piotr, próbując chwycić list.

– Och, nie mogę – powiedział Czerenkow. – Ten list ze względu na obelżywą dla naszego kraju treść będzie koronnym dowodem w zbliżającym się procesie twojej matki. Wiesz oczywiście, że szkalowanie Związku Radzieckiego jest przestępstwem, a kara może być bardzo surowa.

– Nie wierzę w ani jedno słowo – stwierdził Piotr.

– Masz prawo, oczywiście – powiedział Czerenkow. – W końcu wyparłeś się kraju i rodziców. Zapewniam cię jednak, że twoja matka zostanie aresztowana i postawiona przed sądem.

Wyrok, jaki zapadnie w tym procesie, jest już przesądzony. – Czerenkow rozwinął list i zmrużył oczy, jakby zawsze czytał w okularach. – O, tutaj – pokazał – „życie w Moskwie jest tak ciężkie, iż

trudno to sobie wyobrazić... stale brakuje jedzenia, od trzech tygodni nie udało nam się dostać świeżego mięsa”. No cóż, obaj wiemy, jakie to oszczerstwo, prawda, Piotrze? Twoja matka chce po prostu uprzedzić do nas zachodnie środki przekazu. Cóż za sensację zrobiłyby z tego amerykańskie gazety! „Matka aktora, który uciekł ze Związku Radzieckiego, skarży się, że głoduje. W Moskwie brakuje żywności”.

– Moja matka nie napisała tego listu – rzucił Piotr. – Moja matka nigdy nie napisałaby czegoś takiego. Bez względu na to, co pan o niej sądzi, nie jest idiotką.

Czerenkow schował list do kieszeni i wzruszył ramionami.

– Zaprzysiężony grafolog ostatecznie potwierdzi, że to jej charakter pisma.

Kelnerka przyniosła kawę i herbatę.

– Proszę jeszcze o bułkę z jagodami – powiedział po chwili Piotr.

– Nabrałeś amerykańskich przyzwyczajęń – zauważył Czerenkow, popijając herbatę.

– Przynajmniej nikt mnie tu nie straszy, jak w Związku Radzieckim.

– Obowiązkiem ludności jest popieranie państwa. Państwo to ludzie: każdy, kto szkaluje lub zdradza państwo, szkaluje lub zdradza swych współobywateli. Nie sądzisz, że taka zbrodnia musi być ukarana?

– Chcę wiedzieć, o co tutaj chodzi – zażądał Piotr. – Niech pan mi powie, Czerenkow, tylko bez kręctw i lipnych dowodów. Niech pan mi powie prawdę.

– Prawdę? – spytał Czerenkow, unosząc krzaczaste brwi. – Teraz prosisz o więcej, niż większość ludzi dostaje w ciągu całego życia. I to jeszcze przy kawie, w Nowym Jorku? Poczekaj, powiem ci, czego my chcemy; to jest prawie tak ważne jak prawda.

– Czego mianowicie? – spytał Piotr.

Czerenkow pochylił się konfidencjonalnie i powiedział ściszym głosem:

– Niedługo może nastąpić trochę nieprzyjemna sytuacja w Afganistanie. Właściwie nie powinienem ci o tym mówić, ale może dzięki temu zrozumiesz, jak poważnie traktujemy tę sprawę. Kiedy dojdzie do tych wydarzeń, wiele osób na Zachodzie, co jest zupełnie zrozumiałe, może źle odczytać działania, jakie będzie musiał podjąć Związek Radziecki. Musimy się liczyć z ostrą krytyką prasową.

– A co to ma ze mną wspólnego?

– Wszystko. Kiedy wybuchnie sprawa Afganistanu, ukaże się oświadczenie stwierdzające, że rozczarował cię amerykański styl życia i jesteś szczęśliwy, że możesz wrócić do Związku Radzieckiego. Będziesz mówił o korupcji, obłudzie systemu kapitalistycznego, swobodzie obyczajów i braku moralności Amerykanów. W ten sposób odwróci się uwagę środków masowego przekazu od Afganistanu i rzuci się im coś zabawnego, trafiającego do mas i popierającego nasz system.

Piotr wsypał słodzik do kawy i zamieszał ją. Czerenkow obserwował go z uśmiechem.

– I, oczywiście, jeśli się nie zgodzę... – wykrztusił w końcu Piotr.

– Nie będziemy mieli wyboru. – Czerenkow pokiwał głową. – Przykro mi, że twoja matka ma tak słabe serce, ale... jak powiedział Turgieniew: „każdy, kto się modli, modli się o cud”. Dobry Boże, spraw, by dwa plus dwa nie było cztery.

– Niech pan mi nie opowiada o Bogu i modłach – powiedział Piotr. – Nie pan i nie przy takiej parszywej misji. Każe mi pan wracać do Związku Radzieckiego, grożąc, że zamordujecie moją matkę, jeśli tego nie zrobię. O to chodzi, prawda?

– Chcesz, abym zaprzeczył? – spytał Czerenkow.

– Mam wezwać policję? – odparował Piotr.

W tym momencie podszedł do nich siwy staruszek i wskazał krzesło, na którym Piotr położył

bagietki.

- Czy mógłby pan to zabrać i pozwolić staremu człowiekowi usiąść?
- To miejsce jest zajęte – oznajmił Czerenkow, uśmiechając się ponuro.
- Przez dwie bułki?
- Czekamy na kogoś – wyjaśnił uprzejmie Piotr.

Starzec mruknął coś pod nosem i odszedł, szurając nogami.

– Będiesz miał mnóstwo czasu, żeby się nad tym zastanowić – powiedział Czerenkow. – Ale chcielibyśmy wiedzieć, i to możliwie szybko, czy w ogóle zgadzasz się na powrót. Wiesz, traktowano by cię jak bohatera, szczególnie gdybyś oświadczył zachodnim środkom przekazu, że masz dość kapitalizmu, dość bezsensownej amerykańskiej pogoni za pieniądzem i tęsknisz do prawdziwego, radzieckiego życia. Wiemy, że miałeś odwagę uciec, ale wykazałbyś jeszcze większą odwagę, gdybyś przyznał się do błędu i wrócił do kraju.

- Nie wrócę – stwierdził dobitnie Piotr.
- To nie jest zbyt rozsądne, nie uważasz?
- Zna pan Nowy Jork, Czerenkow. Wróciłby pan, mając możliwość wyboru? Czerenkow wzruszył ramionami, uśmiechnął się i zamieszał herbatę.

– Nie mam takiego problemu. W ten sposób nie pomożesz matce. A oni naprawdę nie żartują. Jeśli nie wrócisz, postawią przed sądem i niemal na pewno uznają za winną.

Piotr zakrył ręką oczy i długo milczał. Czerenkow czekał cierpliwie i obserwował go, chrząkając od czasu do czasu. Tylko raz powiedział do kogoś:

- Przykro mi, to miejsce jest zajęte.
- Piotr otrząsnął się z zamyślenia.
- A może byśmy ubili interes? Co pan o tym sądzi?

– Interes? Jaki interes?

– Och, mam w zanadrzu parę ciekawych informacji. Gdybyście zostawili w spokoju moją matkę i odczepili się ode mnie, mógłbym wam co nieco powiedzieć.

– Cóż... nie brzmi to zbyt interesująco – stwierdził Czerenkow. – Chcę, byś żywy powrócił do kraju, rozumiesz? To łowy na grubego zwierza.

Piotr nie dawał za wygraną.

– Wie pan, że spotykałem się z Chiffon Trent? Tą aktorką, która zginęła trzy dni temu?

– Tak. Co za tragedia – powiedział Czerenkow. – Przyjmij moje kondolencje. Ale z tego, co podawała prasa, wynika, że zawsze brawurowo prowadziła samochód. Nie zatrzymywała się nawet na czerwonych światłach.

– Była kochanką senatora Reynarda Kelly’ego – oznajmił Piotr. – Zdradzała go ze mną. I wszystko mi o nim opowiedziała. Niektóre zwierzenia były bardzo interesujące. Szczególnie jedno... prawdziwa bomba.

– Hm.

– Niech pan nie udaje, Czerenkow, że to pana nie interesuje. Wie pan tak samo dobrze jak ja, że Reynard Kelly prawdopodobnie zostanie kolejnym prezydentem Stanów Zjednoczonych... Gdyby przekazał pan na jego temat pikantne szczegóły otrzymane od osoby z jego najbliższego otoczenia, czyż to nie byłoby coś warte? Warte zniszczenia tego listu?

– Chyba nie jestem upoważniony...

Piotr kiwnął na niego, by się zbliżył. Czerenkow zawahał się, ale w końcu oparł łokieć na stoliku i pochylił do przodu ciężką głowę.

– Mam informację o powiązaniach senatora Kelly’ego z Adolfem Hitlerem... – szepnął Piotr. –



No, co pan teraz powie?

Czerenkow odsunął się.

– Blefujesz.

Piotr potrząsnął głową. Czerenkow założył ręce.

– Nadal uważam, że blefujesz.

– Dlaczego miałbym blefować? – spytał Piotr. – Podczas wojny Reynard Kelly kontaktował się z nazistami. Zwierzył się z tego Chiffon, choć nie wiem dlaczego. Nikomu, zapewniał ją, nie pisał słowa na ten temat. Może jej powiedział, gdyż miał poczucie winy? Może próbował jej zaimponować? W tej chwili to nie ma znaczenia. Ważne, że jej o tym opowiedział, a ona wszystko mi powtórzyła.

Czerenkow odchylił się na krześle i obrzucił Piotra lodowatym spojrzeniem.

– W dalszym ciągu ci nie wierzę. Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

– Mnóstwo amerykańskich polityków nie chciało walczyć z Niemcami, tak?

– *Da.*

– I mnóstwo amerykańskich przemysłowców nie popierało wojny?

– *Da.*

– Otóż... wtedy, w latach trzydziestych, Reynard Kelly był młodym politykiem. Jego ojciec dorobił się fortuny na handlu z Europą, szczególnie z koncernami Kruppa, Junkersa i Hor – sta. Reynard Kelly wychowywał się z dziećmi niemieckich przemysłowców i polityków. To chyba zupełnie naturalne, że przyjmował poczynania Hitlera z pewną dozą życzliwości, uważając Niemcy za lepszego sojusznika niż nędzną i kłótniową Wielką Brytanię. A Hitler przez cały czas zachowywał się rozsądnie. I do tego odnosił sukcesy.

Czerenkow przywołał kelnerkę i zamówił następną herbatę.

– Skąd wiesz tak dużo na ten temat? – spytał. – Skąd masz te informacje o Kruppach i Junkersach?

– Kiedy Chiffon opowiedziała mi o tym, poszedłem do biblioteki i sprawdziłem wszystko.

– Dlaczego?

– Ponieważ... sam nie wiem. Chyba byłem ciekaw, a i tak nie miałem nic lepszego do roboty. Poza tym chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o mężczyźnie, którego kochanka chodziła ze mną do łóżka.

– Byłeś zazdrosny?

– Teraz to nie ma znaczenia. Ona nie żyje.

– Smuci cię to? – spytał Czerenkow. – Nie wyglądasz na człowieka pogrążonego w żalu.

– Sam siebie nie rozumiem – powiedział Piotr. – Nie jestem pewien, co właściwie do niej czułem. Nie wiem, czy ją kochałem, czy nie.

– Kobieta musi mieć strasznego pecha, żeby zostać twoją kochanką – skomentował Czerenkow.

– Ale wracając do tematu, opowiedz mi o tych powiązaniach senatora Kelly’ego z Adolfem Hitlerem.

– Nie powiem nic więcej, dopóki nie otrzymam od was gwarancji, że moja matka nie zostanie aresztowana – stwierdził stanowczo Piotr. – Muszę mieć także pewność, że nie będziecie mnie próbowali zmuszać do powrotu do Związku Radzieckiego i w przyszłości zostawicie mnie w spokoju.

Czerenkow zastanawiał się przez chwilę, w końcu wolno pokręcił głową:

– Nie mogę ci tego zagwarantować.

– W takim razie nie otrzyma pan żadnych informacji.

– Cóż... będę musiał pomówić z moimi przełożonymi.

– Niech pan zatem to zrobi. Wie pan, gdzie mnie szukać.

– Twierdzisz, że Reynard Kelly utrzymywał bezpośrednie kontakty z Adolfem Hitlerem.

– Tak. – Piotr kiwnął głową. – Rozmawiali ze sobą kilka razy, tuż przed wybuchem wojny i, jak mówiła Chiffon, Reynard darzył Hitlera dużym sentymentem.

Czerenkow siedział w milczeniu, bębniąc palcami w stół, aż filiżanka stuknęła o spodek.

– Trudno uwierzyć w twoją opowieść. Znalazłoby się pięciu czy sześciu amerykańskich polityków, którzy mogliby sympatyzować z Hitlerem... ale żaden z nich nie jest demokratą. Z pewnością nie zaliczyłbym do nich Reynarda Kelly'ego...

– Czasy się zmieniają, towarzyszu Czerenkow, i ludzie także.

– Oczywiście. Ty też się zmieniłeś.

– Kobiety sławnych mężczyzn zawsze znają jakieś tajemnice – stwierdził Piotr. – Przekonałem się o tym w Hollywood. Tam też się nauczyłem, że im więcej zna się cudzych sekretów, tym większe ma się wpływy. Ale w Hollywood dowiedziałem się tylko, kto z kim chodzi do łóżka, kto bierze narkotyki, kto jest homoseksualistą, kto ma pieniądze, a kto ich nie ma. Natomiast Chiffon Trent powierzyła mi prawdziwy sekret, tajemnicę senatora Reynarda Kelly'ego, o której nikt nie wie. Amerykański polityk wchodzący w układy z nazistami...

– On wchodził w układy? – podchwycił szybko Czerenkow.

Piotr potrząsnął głową.

– Nie powiem już ani słowa, dopóki nie zagwarantujecie mojej matce bezpieczeństwa, a mnie prawa do spokojnego pobytu w Stanach.

Czerenkow dopił herbatę, potem wyjął chusteczkę i otarł usta.

– Zadzwoń do ciebie do domu, dobrze?

– Jasne, zna pan numer. Pewnie i tak założyliście podsłuch.

Czerenkow machnął wymijająco ręką.

– Wiecie, jak jest, towarzyszu.

Piotr wziął bagietki, maszynopis i wstał.

– Nie jestem już pańskim towarzyszem, towarzyszu. Powinien pan o tym pamiętać. Czekam na wiadomość. *Do skorój wstriezi.*

Opuścił „Mucho Mocha” i wyszedł na ulicę. Nagle zrozumiał, że kocha Nowy Jork, bez względu na to, czy jest sławnym człowiekiem, czy nie. Nagle zrozumiał, że gotów jest zrezygnować ze wszystkiego i zdradzić niemal każdego, byle tylko nie wracać do Związku Radzieckiego.

Ruszył pod wiatr, w kierunku przedmieścia. Czerenkow stał przed kawiarnią, wycierając nos i obserwując oddalającego się Piotra.



## Dwanaście

Epidemia wybuchła nagle. W środę po południu, w ciągu czterech godzin, Edmond stwierdził zgon siedmiu swoich pacjentów, a od Oscara i kogoś ze służb medycznych dowiedział się, że miejscowi lekarze zgłosili jeszcze pięć śmiertelnych przypadków.

Oczywiście oficjalnie w dalszym ciągu nie była to epidemia. Po prostu nastąpiło jedenaście nie mających ze sobą nic wspólnego zgonów, których przyczyną było uduszenie. Lecz Edmond i Oscar, spotykając się trzykrotnie tego popołudnia, za każdym razem wymieniali porozumiewawcze spojrzenia i umówili się na wieczór, by w spokoju obgadać gnębiące ich wątpliwości.

– Miałeś wiadomości od Bryce'a? – spytał Edmond, gdy obaj stali przed małym domem przy North Curtisville Road i patrzyli na karetkę pogotowia, do której wnoszono trzy przykryte prześcieradłami ciała.

Oscar otarł rękawem czoło i potrząsnął głową.

– Czy nikt nie rozumie, co się tu dzieje? – zastanawiał się Edmond pięćdziesiąt minut później w małym, schludnym domku przy Frost Road.

– Jeszcze nie ustalono związku między tymi wszystkimi Przypadkami – stwierdził ironicznie Oscar. – Bez względu na liczbę ofiar nie będzie epidemii, dopóki wszystkie te zgony nie zostaną ze sobą powiązane. Nawet „czarna śmierć” to było tylko dwadzieścia pięć milionów indywidualnych śmiertelnych przypadków. No, mogłoby być, gdyby Wydział Zdrowia w New Hampshire miał z tym coś wspólnego.

Śmiertelne zachorowania na Frost Road – piąte, szóste i siódme tego dnia – sprawiły, że Edmond po raz pierwszy się przestraszył. Nagle sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli. Nie tylko pacjenci byli narażeni na niebezpieczeństwo, on także.

Kiedy wszedł do domu przy Frost Road, cała rodzina leżała na kanapie: młode małżeństwo – oboje po trzydziestce – i między nimi ośmioletnia córka. Telewizja nadawała *Szpital miejski*. Można by sądzić, że wszyscy śpią, gdyby nie byli martwi. Znalazła ich sąsiadka, kiedy wpadła z obiecanymprezipisem na szarlotkę.

– Widziałam ich z rana – opowiadała – czuli się świetnie, byli zdrowi jak rydze.

Edmond wstrzyknął jej szczepionkę – która prawdopodobnie nic nie pomoże – placebo dla nich obojga. Ale nic więcej nie mógł zrobić. Bał się teraz, że wirus w sposób nie kontrolowany zacznie się szybko rozprzestrzeniać i sam padnie jego ofiarą. Widział już, jak wirus nieubłaganie paraliżuje układ oddechowy; myśl o tym, jak z trudem wciąga powietrze w płuca, wiedząc, że jest nieuleczalnie chory, była dla niego prawdziwym koszmarem. Pamiętał Arabelle z przeciętym gardłem – wciąż prześladował go ten obraz: purpurowa krew i rozpaczliwa walka o zaczerpnięcie oddechu. Pewnie ta epidemia jest zemstą Boga – Edmond będzie musiał umrzeć, dusząc się tak jak Arabelle.

Zadzwoił do domu, do Christy, i spytał, czy w ostatnich wiadomościach była jakaś wzmianka o kilkunastu śmiertelnych przypadkach w okręgu Merrimack. Christy odpowiedziała przecząco: nie było nic na ten temat w „Concord Herald” ani w lokalnym radiu. Miał wrażenie, że razem z Oscarem walczą z urojoną chorobą, która prześladowuje przemęczonych pediatrów i zaharowanych patologów, karząc ich za to, że ośmielili się uważać za bogów medycyny.

– Dzwonił Malcolm – oznajmiła Christy. – Powiedział, że może przyjechać jeszcze dziś wieczorem.

– Myślałem, że przyjęcie jest dopiero w piątek. Dlaczego musi przyjechać dziś?

– Ponieważ jest twoim bratem. Poza tym ma go podwieźć przyjaciel, który mieszka w Portland.

– Nie przypuszczałem, że Malcolm ma przyjaciół.

– Kochanie, on jest twoim bratem.

– Dlatego wiem, jaki z niego skurwysyn.

Około ósmej Edmond spotkał się z Oscarem w „Cat’N’Fiddle” przy Manchester Street. Topił zmęczenie i wyjaławiał swe urojone zakażenia w wódce z tonikiem, zastanawiając się, czy powinien wysłać Christy do przyjaciół w Nowym Jorku, gdzie mogłaby zostać do czasu opanowania epidemii lub przynajmniej przeczekać jego urodziny. Do baru wszedł Oscar z płaszczem przewieszonym przez ramię, mówiąc „cześć” wszystkim znajomym. Odsunął stołek, usiadł obok Edmonda i skinął na barmana, by podał mu to, co zwykle – jacka danielsa z lodem.

– Cóż – rzekł Edmond.

– Cóż? – powiedział Oscar. – Nie mogą powiedzieć, że ich nie ostrzegaliśmy.

– W dalszym ciągu ani słowa od Bryce’a?

– Nic. Próbowałem pomówić z nim o tym dziś po południu, gdy zmarły pierwsze dwie osoby... ta para z Bow Mills... ale powiedział mi tylko, że usiłuje zmusić Eldridge’a do działania. Wiesz, co to znaczy zmusić Eldridge’a do działania: z równym skutkiem można nauczyć nosorożca tańczyć fandango.

– Dostałeś już wyniki sekcji zwłok Osmanów?

– Właśnie dlatego chciałem się z tobą zobaczyć – powiedział Oscar. Podano mu whisky i wypił ją czterema haustami, aż mu grdyka latała. Stuknął szklanką o kontuar i zamówił następną. – I jeszcze jedna kolejka dla mojego przyjaciela zachora – rzucił barmanowi. – Wódka, daj sobie spokój z tonikiem.

– Sytuacja jest poważna, prawda? – spytał Edmond. – Epidemia wybuchła tak nagle i właściwie nie wiadomo dlaczego.

– Nie jest to typowe dla heinemediny – stwierdził Oscar. – Jej wirus jest na ogół przenoszony w bezpośrednich kontaktach. Ale ten zarazek... zdaje się rozprzestrzeniać po całej okolicy nie wiadomo na jakiej zasadzie. Niektóre ofiary mogły się zarazić, ale inne nie miały kontaktu z wirusem.

Barman postawił przed nimi szklaneczki z alkoholem; Edmond poprosił, by dolał mu do pełna toniku. Nie chciał upić się na umór, mimo że przerażała go epidemia i bał się, że padnie jej ofiarą.

Oscar otworzył brązową kopertę z grubego papieru i wyjął plik niewyraźnych kserokopii, protokołów sekcji zwłok. Poślinił kciuk i przerzucał je, aż znalazł właściwą kartkę.

– Proszę... spójrz na to. Nie można stwierdzić, czy pan Osman zmarł wskutek uduszenia szkodliwymi oparami wydzielanymi przez tłące się meble, zwykłego poparzenia, czy z jakiejś innej przyczyny, po prostu dlatego, że jego szczątki były zbyt mocno zwęglone. Ale kiedy przeprowadziliśmy sekcję pani Osman, której ciało w znacznej mierze ochroniły przed płomieniami drzwi szafy, które na nią spadły, stwierdziliśmy, że rzeczywiście zmarła z powodu uduszenia. Jednakże w płucach nie znaleźliśmy śladu dymu, osadów węgla ani żadnych innych substancji chemicznych, które zazwyczaj znajdują się w płucach ludzi ginących w pożarze. Nasuwa się wniosek, że pani Osman zmarła, zanim dosięgnął ją ogień lub nawet przed wybuchem pożaru. Przestała oddychać, nim pokój wypełnił się dymem – dlatego nie ma dymu w jej płucach.

– A płyn rdzeniowy? – spytał Edmond.

– Trudno coś dokładnie ustalić. Prawdę mówiąc, nieźle się ugotował. Wykryto jednak ślady rozrostu komórek i wyższy niż normalnie poziom białka: objawy charakterystyczne dla heinemediny.

– A jakieś ślady samego wirusa?

– To jeszcze jeden powód, dla którego chciałem się z tobą zobaczyć. Mamy wirusa, owszem, i wydaje się, że oddziałuje na mięśnie międzybrowe, jak ten, który zabił Michaela Osmana.

Zarazem znacznie się od tamtego różni, nie tylko kształtem, lecz także zdolnością szybszej replikacji w komórce gospodarza. Ten wirus chyba stopniowo staje się coraz bardziej złośliwy, co jest zupełnie nietypowe. I jeśli w dalszym ciągu będzie się replikował w tak przyśpieszonym tempie...

Edmond odchylił się i przeciągnął ręką po włosach. Zobaczył siebie i Oscara uwięzionych w ciemnym, pokrytym cętkami lustrze za barem.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie po raz pierwszy pojawił się ten wirus – powiedział – skąd do nas dotarł i dlaczego tak nagle w Concord o tej porze roku wybuchła epidemia. Michael Osman był pierwszy, tak? Musimy ustalić, gdzie się zaraził i w jaki sposób wirus przeniósł się na jego rodziców.

– Musimy poddać kwarantannie całą okolicę – stwierdził Oscar. – To nie ulega wątpliwości; zaraz po naszym spotkaniu jeszcze raz zadzwonię do Bryce’a. Jeśli znów nie zareaguje, to, cholera, sam zadzwonię do Eldridge’a, do komisarza okręgowego i do gubernatora, jeśli będzie trzeba.

– Ja jeszcze raz zadzwonię do Harolda Bunyana – powiedział Edmond. – Na nim chyba kończą się moje koneksje.

– Cóż... nie mam pewności co do starego, poczciwego H.B. – rzekł Oscar.

– Czy zareagował, kiedy mu pokazałeś wyniki sekcji zwłok Osmana?

– Oczywiście, ale wiesz... wydawało mi się, że nie ma już ochoty ci pomagać.

– Nie mówiłeś mi o tym wcześniej.

– Nie było takiej potrzeby, aż do wybuchu epidemii. Wiesz... on nie był nastawiony całkiem negatywnie, obiecał czuwać nad sytuacją. Ale nie chce denerwować Bryce’a, szczególnie teraz, w przeddzień wyborów. I wyraźnie nie zależy mu na wszczynaniu kłótni z Eldridge’em.

Edmond opróżnił szklanę.

– Rozumiem – powiedział. – Mamy pierwsze oznaki epidemii, która szerzy się jak błyskawica, a wszyscy trzęsą się o wybory. Może powinienem zadzwonić do burmistrza.

– Burmistrz pogada z Haroldem Bunyanem, a Harold Bunyan powie mu, że panuje nad sytuacją i nie ma powodów do paniki. Potem niewątpliwie burmistrz dojdzie do wniosku, że może siedzieć z założonymi rękami i uśmiechem na ustach. Zbliży się zimowy sezon wakacyjny, a on za nic w świecie nie chciałby spłoszyć połowy turystów.

– Chryste, to przypomina *Szczęki* – powiedział Edmond.

– Paru facetów wykrywa rekina i nikt nie chce przyznać, że on tam grasuje ani że jest niebezpieczny, by nie odstraszyć turystów. Mamy dokładnie taką samą sytuację z tym cholernym wirusem.

– Musimy spojrzeć prawdzie w oczy – powiedział Oscar. – Jesteśmy tylko piechotą w boju, medyczną piechotą. A żaden generał nie lubi pytać o radę swoich piechurów, szczególnie wtedy, gdy ustala strategię działania.

– Poinformujmy zatem mass media – zaproponował Edmond. – Pogadajmy z ludźmi prasy i telewizji. Powiedzmy im, że naszym zdaniem stoimy w obliczu epidemii. Wtedy Eldridge będzie musiał działać.

– Sam nie wiem – powiedział Oscar. Kiwnął na barmana, by jeszcze mu nalał. – Daj mi dwadzieścia cztery godziny, zobaczę, co uda mi się załatwić z Bryce’em. Chodzi o to, że jeśli najpierw powiadomimy mass media, to zrazimy sobie wszystkich: Bryce’a, Eldridge’a, burmistrza, a Harold Bunyan stanowczo się nas wyprze. Oni poświęcą mnóstwo czasu i energii, by udowodnić, że jesteśmy tylko parą miejscowych rozrabiaków. W rzeczywistości stracą prawdopodobnie na to więcej czasu, niż potrzeba na walkę z epidemią.

Edmond przycisnął palce do skroni. Czuł tępy, nasilający się ból głowy.

– Dwadzieścia cztery godziny, tak? – spytał.

– Może mniej. Oczywiście, jeśli mi się uda – odpowiedział Oscar.

– Oscar, w ciągu czterech godzin zobaczyłem dzisiaj siedem trupów, ty widziałeś dwanaście.

I jeśli masz pewność, że z każdą kolejną replikacją ten wirus staje się coraz bardziej złośliwy...

– Jestem tak pewny, jak to tylko możliwe. A przynajmniej doktor Corning jest tak pewny. Wciąż ma do przeprowadzenia mnóstwo badań, ale już teraz twierdzi, że ten wirus jest o tyle niezwykły, iż jego kwas rybonukleinowy wymusza syntezę nowych białek wirusowych. Zamiast każdorazowej, dokładnej replikacji RNA, ten wirus stopniowo sam się doskonali, a zatem staje się coraz bardziej aktywny, bardziej zaraźliwy i o wiele bardziej odporny na wysoką temperaturę czy rozpuszczalniki.

– A zatem jest niezwykły, wysoce zaraźliwy i z ofiary na ofiarę groźniejszy. I ty nie chcesz nic mówić prasie?

– Jeszcze nie, E.C. To, co twierdzi doktor Corning, jest tak skrajne, że Eldridge z łatwością znajdzie innego wirusologa, który logicznie wykaże, że to wszystko jest absolutnym nonsensem i żaden wirus nie może zmieniać swojego genomu. Może nawet stwierdzić, że Corning zwariował... to wszystko przedłuży tylko sprawę. Słuchaj, E.C., jestem tak samo poruszony jak ty, ale ta gra nazywa się polityką i nie uzyskamy żadnej oficjalnej pomocy, dopóki nie dostosujemy się do ich reguł gry.

– W tym czasie umrze dwunastu moich pacjentów – rzekł Edmond. – Może więcej.

Oscar położył mu rękę na ramieniu.

– Wiem, ale nie mamy wyjścia. Zbyt wiele razy zdenerwowałem już Bryce'a; tym razem wszystko ma się odbyć przepisowo. „Droga służbowa” – to jedno z jego ulubionych powiedzeń. „Proszę to przekazać drogą służbową, doktorze Ford”.

– W dalszym ciągu uważam, że powinniśmy zwrócić się do dziennikarzy – stwierdził Edmond. – Na Boga, przynajmniej miałbym poczucie, że coś zrobiliśmy.

– Powiadom prasę, radio i telewizję, E.C. – powiedział szorstko Oscar – i będziesz skończony. Nie żartuję, zrzucą wszystko na ciebie – wszystko – nawet odpowiedzialność za epidemię. Nigdy nie będziesz już praktykował.

– Oscar, na litość boską, chodzi o ludzkie życie. Tu umierają ludzie.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Ale nic innego nie możemy zrobić.

Edmond zamówił następnego drinka. Był prawie pijany; pomyślał, że jeszcze jedna wódka nie zrobi różnicy. Barman mrugnął do niego i zagadnął:

– Kłopoty, co?

– Trochę – odpowiedział Oscar – między innymi barman wścibiający nos w nie swoje sprawy.

– Chciałem być towarzyski – bronił się barman.

– Towarzystwo jest chorobą – odrzekł Oscar. – Nalej mi jeszcze.

Edmond zamieszał lód w szklance. Czuł się bardzo samotny i całkowicie pokonany.

– Czy inni lekarze czują to samo co ja? – spytał Oscara. – Dzisiaj zmarło dwóch pacjentów doktora Redmana, prawda? A co u doktora Kraussa?

– Obaj są ostrożni – powiedział Oscar. – Zgadniają się, że mamy do czynienia z odmianą paraliżu dziecięcego, ale dopóki nie zobaczą raportu z sekcji zwłok, nie chcą się zbytnio angażować.

– Nie chcą się zbytnio angażować, tak?

– E.C., cała ta epidemia może się skończyć sama. Ten wirus jest tak gwałtowny, że niewykluczone, iż po paru dniach sam się wypali.

– Wierzysz w to?

– Ja nie. Ale tak myślą doktor Redman, doktor Krauss, a także doktor Clements. Nie chcą miotać

się na próżno, jak kurczaki z ukreconymi łebkami, dopóki nie wiedzą, na czym stoją. Przekazaliśmy już doktorowi Corningowi próbki tkanek i płynu rdzeniowego, które pobraliśmy od wszystkich ofiar. Teraz możemy się tylko modlić, by jak najszybciej zakończył testy.

Edmond zawahał się.

– Próbowałem zanalizować sposób przenoszenia się zarazków – powiedział po chwili – przynajmniej wśród moich pacjentów; do tej pory mam największe pole obserwacyjne. I wiesz, doszedłem do wniosku, że masz rację: tu chyba nie ma żadnej reguły. Żadna z osób, które dzisiaj zmarły, nie znała Osmanów, chociaż jedna z rodzin, Perrinowie, przyjaźniła się z Mayerami, których syn, Bernie, był najlepszym przyjacielem Michaela Osmana.

– Badałeś Mayerów w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

– Zbadałem ich mniej więcej godzinę temu, tuż przed wyjściem ze szpitala. Wszyscy czują się normalnie, są zdrowi i w dobrej formie.

– Może Bernie był po prostu nosicielem – zasugerował Oscar. – To całkiem możliwe, że niektórzy ludzie mają wrodzoną odporność na ten typ wirusa i Bernie do nich należy. To się zdarza przy heinemedinie: dzieci są szczepione i same się nie zarażają, tylko przenoszą chorobę na innych.

– Nie wiem – powiedział Edmond – w dalszym ciągu dopuszczam wszystkie możliwości. Bernie i Michael dostali tę samą standardową szczepionkę w tym samym wieku. Jeżeli nie uodporniła Michaela, to wobec tego nie widzę powodu, dla którego miałyby ochronić Berniego. To mógł być po prostu przypadek. Ten wirus jest jednak tak złośliwy, że nie jestem w stanie pojąć, jak to możliwe, że Bernie się nim zaraził, lub był jego nosicielem, i nie miał przy tym żadnych, nawet najmniejszych objawów.

– Cóż, może masz rację – zgodził się Oscar. – Ale doktor Corning wciąż czeka na wszystkie testy Michaela; przypuszczam, że wyniki badań pani Osman w najlepszym razie będą gotowe w ciągu trzech, czterech dni. Dopóki ich nie zobaczymy, nie możemy mieć pewności.

– Cholera, musi być jakiś związek – nie dawał za wygraną Edmond. – Skąd się wziął ten piekielny wirus? Przecież środowisko nie stwarza żadnych zagrożeń dla zdrowia. Mamy tu kilka bagien wokół stawu Turtle i szamba w większości domów, ale nie ma nic, co mogłoby sprzyjać wyhodowaniu niezwyklej odmiany wirusa heinemediny. Nic w tym rodzaju. Jeśli Corning ma rację i ten wirus stopniowo zmienia reprodukowaną informację przekazywaną przez jego RNA... Oscar, proszę cię, rozmawiamy tu o bardzo rzadkim przypadku, nie mówiąc już o tym, jak niebezpiecznym.

Oscar spojrzął na swoją whisky, pomyślał przez chwilę i w końcu ją wychylił.

– Słuchaj – powiedział – nie powinienem ci o tym mówić, obiecałem doktorowi Corningowi zachować to dla siebie. Ale on, na podstawie lat badań i analiz wirusów takich jak heinemedina, w których się specjalizuje, wyrobił sobie własną, zdecydowaną opinię. On uważa... wiem, że brzmi to niedorzecznie... ale on uważa, że ten wirus został sztucznie wyhodowany.

– On uważa... że co?

– On uważa, że ten wirus został sztucznie wyhodowany za pomocą inżynierii genetycznej, udoskonalony gdzieś przez jakiegoś naukowca w celu zarażenia dużej liczby osób w szybkim tempie. Wojna bakteriologiczna, jeśli tak chcesz to nazwać.

Edmond z niedowierzaniem wpatrywał się w rozognioną twarz Oscara.

– Co chcesz mi powiedzieć? – spytał. – Że to rosyjska inwazja czy coś w tym rodzaju? Przeciek z fabryki bakteriologicznych środków zagłady?

– Przekazuję ci tylko opinię doktora Corninga. A wiesz, jaki jest Corning: najbardziej pedantyczny i pozbawiony wyobraźni wirusolog na całym świecie.

– W pobliżu East Concord nie ma żadnych baz broni biologicznej, prawda? – spytał Edmond.



– Jest ten teren wojskowy za Greeley Street w Sugar Ball... ale oni chyba nic takiego tam nie robią?

– Chyba nie – odpowiedział Oscar. – Ale pamiętaj, E.C., nie wolno ci nikomu o tym mówić. Doktor Corning nie będzie miał pewności, dopóki nie zrobi wszystkich badań, a zajmie mu to co najmniej tydzień. Obiecał, że natychmiast mnie zawiadomi, jeśli na coś trafi. W tym czasie jedyne, co możemy zrobić, to wpłynąć na Bryce'a i Eldridge'a, przekonać ich, że stoimy w obliczu epidemii, i zobaczyć, jakie mamy szansę na poddanie Concord kwarantannie, a także całego okręgu Merrimack, jeżeli to jest możliwe.

Edmond długo siedział w milczeniu. W końcu powiedział:

– To mogłoby tak wyglądać, prawda? To całkiem prawdopodobne, tak mogłaby się zacząć trzecia wojna światowa.

Oscar spojrział na niego poważnie.

– Nie hukiem, tylko piskiem, tak?

– Boisz się? – spytał Edmond.

– Czego?

– Że się zarazisz. Widziałeś, jak szybko zabija ten wirus, jak błyskawicznie dusi? W każdej chwili możemy go złapać, i ty, i ja. Może już się zaraziliśmy.

Oscar kiwnął na barmana, by jeszcze mu nalał.

– Chyba nie straciłeś zawodowej zimnej krwi, co, E.C.?

– Nie wiem, może. Właśnie zaczynam się zastanawiać nad tym, że jeśli muszę umrzeć, to chciałbym przynajmniej wiedzieć, co mnie zabiło.

W tym momencie z kieszeni Oscara odezwał się sygnał. Oscar odstawił szklanę, podszedł do telefonu w końcu baru i wykręcił numer biura okręgowego koronera.

Kiedy wrócił, stwierdził lapidarnie:

– Następna rodzina, tym razem przy Sawmill Road obok szkoły St. Paul. Pięć osób: ojciec, matka, trzy córki. Znosi się na bardzo długą noc.

– W tej sytuacji – powiedział Edmond – pozwól mi zadzwonić do Bryce'a.

Oscar dopił whisky i rzucił pieniądze na kontuar.

– Dobrze – zgodził się – ale zaklinam cię na wszystkie świętości, nie wyprowadzaj go z równowagi.

– Uważaj na siebie, Oscar – powiedział Edmond. Nie była to tylko grzecznościowa formułka.

Bernie spędził wieczór w domu, uważnie składając nowy plastikowy model mustanga turbo. Kosztował go dziesięć dolarów; część pieniędzy wziął ze swego kieszonkowego, resztę uzyskał ze sprzedanego w szkole „tajemniczego napoju posłuszeństwa” – sześciu szklanych fiolek z przezroczystym płynem. Zapewniał kolegów, że wystarczy dolać go rodzicom do kawy lub koktajlu, by zaczęli posłusznie spełniać ich rozkazy; pozwolili przesiadywać długo w nocy i jeść tyle słodczy, ile dusza zapagnie. Każdy flakonik kosztował osiemdziesiąt centów.

Z początku myślał o zatrzymaniu buteleczek, ale naprawdę nie rozumiał, dlaczego Michael ukrył je w ścianie garażu. Im częściej wyjmował je stamtąd i badał, tym bardziej go irytowały. One nawet do niczego się nie nadawały. Były to tylko flakoniki z wodą w skórzanej walizeczce. Gdyby były wypełnione magicznym płynem, to przynajmniej mógłby za nie dostać trochę pieniędzy. I tak zrodził się pomysł sprzedaży buteleczek; udało mu się pozbyć wszystkich sześciu flakoników za cztery dolary i osiemdziesiąt centów.

Próba ustalenia, co stało się z Michaeliem, napotkała kolejną przeszkodę. Kiedy w poniedziałek

po szkole pojechał rowerem na Conant's Acre, odkrył, że ogrodzenie zostało niedawno wzmocnione drutem kolczastym. Teraz już nikt nie mógł przejść przez pole, nawet jeśli miał to być tylko niewinny spacer. Bernie stał za płotem, patrząc na lasy. A jeżeli Michael dotarł aż tam i wrył na drzewie swój znak? Nie mógł pójść dużo dalej, nigdy nie dorównywał Berniemu w sztuce tropienia i polowania; nie był też tak odważny jak Bernie. Michael był dobrym kompanem. Dobry Tonto u boku Berniego – samotnego wędrowca. Znak, który Bernie widział na drzewie, był prawdopodobnie jedynym, jaki Michael odważył się wyciąć.

Wysuwając język, Bernie dokładnie skleił podwozie mustanga. Usłyszał, jak na dole zadzwonił telefon i matka podniosła słuchawkę. Przeczytał instrukcję: „Sklej piastę koła (23a) z bębniem koła (27b) i poczekaj, by wyschły, zanim przymocujesz do osi (10)”. Na schodach rozległy się kroki i otworzyły się drzwi sypialni.

– Bernie?

Podniósł głowę. W świetle stojącej na biurku lampki ujrzał dziwnie bladą twarz matki.

– Bernie, stało się coś strasznego.

Nie poruszył się, w rękach wciąż trzymał model samochodu. Nie wszystko, co dorośli uważali za strasne, było strasne dla niego, czekał więc, by usłyszeć, dlaczego matka przyszła na górę i dlaczego jest taka blada. Kiedyś, tonąc we łzach, powiadomiła go o śmierci wuja Waltera. Nigdy nie potrafił zrozumieć jej bólu: wuj Walter śmierdział tytoniem i czosnkiem, i pluł na chodnik. Dlaczego matka płakała? A teraz powiedziała, że stało się coś strasznego.

– Jane Wyman zmarła dziś po południu. I jej rodzice, wszyscy nie żyją.

Bernie patrzył na matkę, nie zdając sobie sprawy, że zbladł i przejął się tym jak ona.

– Co? – spytał bezwiednie. Jane Wyman była jego koleżanką z klasy; siedziała dwa rzędy przed nim, na drugim miejscu po lewej stronie. Widział ją jeszcze dziś rano, w słońcu wpadającym przez okno lśniły jej kasztanowe włosy. Jane Wyman, jedna z niewielu dziewcząt, które naprawdę lubił. Umarła?

– Wszyscy zarazili się tą samą chorobą, tak mi powiedziała pani Downing. Znaleźli ich na kanapie przed telewizorem. Och, Bernie, tak mi przykro.

W tym momencie, ciągle trzymając plastikowe części samochodu, Bernie skojarzył nagle szklane flakoniki zawierające „magiczny płyn posłuszeństwa” z okolicznościami, w jakich umarł Michael, a teraz Jane. Jane kupiła jedną z jego buteleczek przedwczoraj, w poniedziałek. Obiecała, że wypróbuje płyn na ojcu, kiedy w środę wróci z podróży służbowej z Cleveland. Chciała, aby ojciec nie odesłał jej wieczorem do łóżka i pozwolił być na kolacji. No i teraz nie żyła, a jej rodzice umarli razem z nią.

Bernie odłożył model samochodu.

– Chciałbyś się czegoś napić? – spytała go matka. – Ojciec przyniósł piwo bezalkoholowe. Może pizzę z piwem?

– Nie – odrzekł i przypomniawszy sobie o dobrych manierach, dodał: – Nie, dziękuję, mamo.

– Przykro mi, kochanie, ale musiałam ci powiedzieć. Nie chciałam, żebyś przypadkowo dowiedział się o tym jutro w szkole. Pragnęłam zaoszczędzić ci szoku. Na pewno nie chcesz piwa? Ojciec przyniósł je specjalnie dla ciebie; to miłe z jego strony, prawda?

W trakcie rozmowy policzki pani Mayer znów nabrały rumieńców. W końcu nie знаła Wymanów, a jeżeli Bernie nie wziął sobie tego zbyt do serca, to poczuła się nieco uspokojona.

Bernie siedział i patrzył na nie dokończony model. Jak mógł go skończyć... teraz, kiedy poznał jego prawdziwą cenę? Woda w tych flakonikach musiała być skażona; Michael napił się jej trochę i umarł, później Jane Wyman dodała ją do jedzenia rodziców i oni także umarli, i ona pewnie

również jej spróbowała. Wszyscy umarli. Boże! Co ma zrobić? Sprzedał w szkole wszystkie flakoniki, a to oznacza, że życiu pozostałych pięciu rodzin zagraża niebezpieczeństwo. Niewykluczone, że mogą już nie żyć. Może jest już za późno, by ich zawiadomić i uratować.

Matka wyszła z pokoju, zostawiając lekko uchylone drzwi. Jeżeli nikomu nie powiem, że w tych szklanych flakonikach jest trucizna, jeśli ich nie ostrzegę, to tylu ludzi może umrzeć. Dennis Murphy, Clark Kounas, Theresa Natti... Oczami wyobraźni zobaczył białe twarze swoich kolegów ułożonych w trumnach, a wokół nich białe twarze ich rodzin; zbiorowisko trupów. Boże, muszę ich ostrzec. Ale wówczas dowiedzą się, że to ja zabiłem Wymanów, całą rodzinę. Zabiłem ich za osiemdziesiąt centów: Jane Wyman, jej matkę i ojca. Zamkną mnie w więzieniu do końca życia. Może nawet poślą na krzesło elektryczne.

Siedział, ściskając plastikową konstrukcję. Oczy zaszyły mu łzami. Czuł się tak zepsuty, tak podły, tak samolubny... Te głupie flakoniki. Ten głupi Michael, przez niego Bernie zmarnował sobie całe życie. Powoli, z rozpaczliwym wysiłkiem, począł łamać na części model mustanga, odrywając zawieszenie, wyginając dach i wypychając przednią szybę.

W końcu ukrył twarz w dłoniach i szlochał, dopóki nie rozboleło go gardło.

Edmond przeszedł przez parking, wszedł do camara i zapuścił silnik, jednak nie ruszył od razu. Siedział z opuszczoną głową, czując się psychicznie i fizycznie rozbity. Lekarze powinni być oswojeni ze śmiercią, pomyślał, starych kobiet konających na raka czy mężczyzn umierających na zawał w średnim wieku. Ale ta epidemia miała poważniejszy wymiar. Była wyzwaniem nie tylko dla jego wiedzy medycznej, ale i zdolności przetrwania jako praktykującego lekarza. Ledwo udało mu się dojść do siebie po śmierci Arabelle, a już stanął wobec kryzysu będącego jeszcze większym wyzwaniem dla jego zawodowego i osobistego honoru.

Podniósł słuchawkę radiotelefonu i wywołał recepcjonistkę z kliniki Merrimack.

– Lara? Tu doktor Chandler. Czy są jeszcze jakieś nagłe wypadki?

– Do tej pory nie, doktorze. Parę niegroźnych zachorowań, bóle gardła, przeziębienia, ktoś przypadkowo połknął smurfa.

– Czy doktor Colgan da sobie radę? Chciałbym się zwolnić na parę godzin.

– Doktor Colgan pojechał do Pembroke. Ale myślę, że doktor Wang jakoś sobie poradzi. Czy w razie potrzeby mogę pana wezwać?

– Daj mi wytchnąć choć przez parę godzin, zgoda? Po chwili usłyszał cichy, sympatyczny głos:

– Dobrze. – Laura wiedziała, ile zmartwień mają codziennie lekarze. Wiedziała także, że tego popołudnia Edmond był wzywany do siedmiu śmiertelnych przypadków; do siedmiu osób które lubił i miał pod swoją opieką. Nawet najodporniejsi lekarze z trudem przyjmują śmierć. Przeraża ich nie dlatego że przynosi ból i żalobę rodzinie zmarłego, lecz dlatego, że jeśli nie jest godna i naturalna, uważają ją za osobistą porażkę. Śmierć stanowi ciągle przypomnienie, że lekarz nie jest ani magiem, ani kimś nieomylnym.

Edmond przyjechał do domu. W oknie salonu paliło się pojedyncze łagodne światło, a na górze zobaczył cień Christy przesuwający się wzdłuż żaluzji. Znużony wysiadł z samochodu i brzęcząc kluczami, podszedł do drzwi wejściowych. Wódka nie przyniosła żadnego efektu prócz dudniącego w głowie bólu i mdłości w dołku. Otworzył drzwi i zawołał:

– Christy?!

Z początku nie było odpowiedzi. Jeszcze raz krzyknął: „Christy?!” i zaczął wchodzić po schodach. Christy pojawiła się na podeście potargana, z wypiekami na twarzy, zawiązując pasek jedwabnego, turkusowego szlafroka. Miała dziwny wyraz twarzy, jakiego nigdy dotąd nie widział:

była niemal przerażona. Miała szeroko rozwarte oczy, jednak unikała jego wzroku.

– Christy? – zwrócił się do niej.

– Wróciłeś tak wcześnie – powiedziała wzburzona. – Myślałam, że będziesz między dziewiątą a dziesiątą.

– Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście. Brałam właśnie prysznic, bałam się, że to złodziej czy coś podobnego. Przestraszyłeś mnie.

Zrobił parę kroków po schodach. Christy nie poruszyła się, wciąż stała obok uchylonych drzwi do sypialni.

– Czy jeszcze ktoś umarł, odkąd do mnie dzwoniłeś? – spytała.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Chyba śmierć dała mi dzisiaj wolny wieczór. Wypiłem trochę z Oscarem i teraz wali mi w głowie jak w kubańskim nocnym klubie. Właśnie idę wziąć dwie tabletki alka-seltzera.

– Och, nie – powiedziała Christy. – Lepiej zejść na dół i wyciągnij się na kanapie. Zniosę ci je.

Wszedł na podest i stanął obok niej. Była niezwykle podniecona, wytrącona z równowagi i zaniepokojona. Objął ją. Przez delikatny jedwab poczuł, jak cała drży.

– O co chodzi? Zimno ci? – spytał.

– Nic mi nie jest. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Pozwól, że ci przyniosę alka-seltzer. Zaraz dojdę do ciebie. Idź na dół i połóż się z nogami w górze.

– Christy, naprawdę potrafię zaaplikować sobie alka-seltzer. Nie zapominaj, że jestem lekarzem.

– Raz chyba mogę się tobą zająć. – Próbowwała być miła, słodka i czuła, ale mówiła nieskładnie, dziwnie łamiącym się głosem.

Edmond zerknął na uchylone drzwi sypialni. Znowu ogarnęła go fala zmęczenia i mdłości; nie mógł uwierzyć, że to on zadał następne pytanie:

– Ktoś jest w sypialni?

Christy nie odpowiedziała; nie musiała. Ale po raz pierwszy tego wieczoru podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy; po raz pierwszy na jej twarzy odmalowało się wyzwanie i poczucie winy.

Edmond odepchnął ją i zbliżył się do sypialni.

– Edmond! – krzyknęła przeraźliwie Christy. Zawahał się na moment.

– Edmond – powiedziała drżącym głosem. – Proszę, proszę, nie. – Christy odwróciła twarz. – Chyba spodziewałeś się tego – stwierdziła. – Po tym wszystkim, co mi zrobiłeś, po tych wszystkich kobietach, z którymi spałeś.

Edmond spojrzał na drzwi.

– No, no – odrzekł – myślałem, że raz na zawsze z tym skończyliśmy. Miałem nadzieję, że zerwaliśmy z przeszłością, zostawiliśmy ją w Nowym Jorku. Chyba byłem naiwny, co?

– Edmond, nie wchodź tam. Po prostu stąd wyjdź, na dziesięć minut, pół godziny. Przejedź się gdzieś, pospaceruj dookoła domu; kiedy wrócisz, jego już tu nie będzie. Możesz przecież udawać, że nic się nie stało.

– Ktoś zupełnie obcy zerznął przed chwilą moją żonę w moim łóżku i ja mam udawać, że nic się nie stało? Tak po prostu? Christy, co ty, do diabła, sobie wyobrażasz?

– Edmond...

Ale nie mógł już opanować gniewu i mdłości. Pchnął drzwi sypialni tak mocno, że odbiły się od krawędzi biurka. Sypialnie rozjaśniało łagodne światło. Biała pościel była skręcona zgnieciona,

poduszki leżały w nieładzie. W powietrzu unosił się zapach ciepła, perfum i seksu. Na łóżku, z twarzą wykrzywioną strachem i napięciem, a jednocześnie z dziwnym uśmiechem ulgi siedział Malcolm, młodszy brat Edmonda. Nigdy nie będzie mógł wybaczyć Christy, że ze wszystkich mężczyzn na świecie akurat jego wzięła sobie za kochanka.

– Domyślam się, że nie podtrzymujesz zaproszenia na przyjęcie – powiedział Malcolm. – Cóż, *c'est la vie*. – Zaśmiał się nerwowo i podciągnął prześcieradło aż po owłosione pachy.

Edmond stał, długo patrząc na Malcolma w kompletnym osłupieniu. Za nim stanęła Christy, zerkając to na jednego, to na drugiego brata, zwijając bezustannie w rękach pasek od szlafroka.

– Nie zamierzasz nic powiedzieć? – spytał Malcolm. – Choćby: „Wynoś się do cholery z mojego łóżka”.

Edmond otworzył usta, ale nie udało mu się wykrztusić słowa. W końcu odezwał się zachrypniętym głosem:

– Jak długo to trwa?

– Och, daj spokój tym frazesom – powiedział Malcolm. – Czy nie zasługujemy na coś lepszego?

– Chcę wiedzieć – nalegał Edmond.

– Żeby ocenić, jak mocno masz mnie uderzyć? – spytał Malcolm. – No dalej, wal, będziemy to mieli z głowy.

Ale Christy wyszeptała:

– Zaczęło się w Nowym Jorku.

Edmond spojrzał na nią.

– W Nowym Jorku? W Nowym Jorku?

– Kiedy pojawiła się Arabelle, jeśli chcesz znać prawdę. Kiedy zaczęłaś się z nią spotykać... Myślałeś, że nie wiedziałam, tak? Te nocne konferencje, zjazdy lekarzy. Pięć zjazdów w – miesiącu. I przez cały czas chodziłeś tak, jakbyś miał wieńce kwiatów we włosach, a ptaki śpiewały ci nad głową. – Przerwała na moment i spojrzała na Malcolma z niezwykłą czułością. – Malcolm pomógł mi przez to przejść. Nie wykorzystywał sytuacji, naprawdę mi pomógł. Gdyby nie Malcolm, chyba bym tego nie wytrzymała. Ty nigdy nie zastanawiałeś się nad tym, co Przeżywam, prawda? Nigdy. Stopniowo mnie zabijałeś, a Malcolm ratował mi życie.

– Kosztem własnego małżeństwa, tak? – powiedział Edmond. – Postępowanie niezbyt godne wielkiego moralisty.

– Wiesz wszystko o Dolores – odgryzł się Malcolm. – Pije, histeryzuje, jest ciągle roztrzęsiona.

– Zatem nie warto jej oszczędzać? – spytał Edmond lodowatym głosem. – Jest śmieciem, nieprzydatnym tak dobrodusznemu człowiekowi jak ty.

W sypialni panowała pełna napięcia, przytłaczająca atmosfera wrogości. Christy cofnęła się, jakby od jednego brata do drugiego miał przeskoczyć ładunek elektryczny. Nigdy nie widziała, by dwaj mężczyźni patrzyli na siebie z tak wszechogarniającą żądzą wzajemnego zniszczenia. W tym momencie obaj wzbudzali w niej tylko przerażenie; nie czuła żadnego podniecenia, żadnego pożądania. Widziała narastającą w nich zajadłą wściekłość.

– Proszę cię, Edmond – odezwała się Christy. – To nie jest rozwiązanie.

– Nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy, tak? – spytał Edmond. – Pieprzyłaś się z moim bratem. Niech Bóg ma cię w swojej opiece! Pieprzyłaś się z tym odpychającym, wstrętnym typem! A teraz tu stoisz i mówisz, że to nie jest rozwiązanie. Moja droga, dla mnie wszystko jest jasne jak słońce. Jedynym rozwiązaniem jest rozwód z twojej winy – cudzołożyłaś z czymś, co powinno być usunięte z łona matki już w jedenastym tygodniu życia. Oczywiście pozostaje jeszcze drobna kwestia Dolores, ale któż z was troszczy się o Dolores?

– Czy ty kiedykolwiek troszczyłeś się o mnie?! – krzyknęła Christy.

– Tak, do cholery, zanim zaczęłaś podawać w wątpliwość moją etykę. Za dużo zarabiałem na Manhattanie, pamiętasz?

– Nie chodziło o pieniądze, Edmond, tylko o sposób, w jaki je zarabiasz.

– Arabelle nigdy nie zwracała na to uwagi.

– A powinna. Mogłaby teraz żyć.

Edmond uderzył Christy, zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi. Christy musiała spodziewać się ciosu, gdyż instynktownie się cofnęła; uderzył ją w ramię, popychając na krzesło.

– Nie waż się jej więcej dotykać, ty szarlatanie! – wrzasnął Malcolm. Odrzucił prześcieradło i nagi wyskoczył z łóżka we wściekłym geście obrony.

Edmond wyciągnął ostrzegawczo podniesioną dłoń.

– Odsuń się, Malcolm. Nie zmuszaj mnie, bym ci przyłożył.

– Ty skurwielu.

Edmond opuścił rękę i odwrócił się od brata, zaciskając zęby z ogromnego wysiłku, żeby nad sobą zapanować. Powinien rozerwać Malcolma na strzępy, powinien krzyczeć, wrzeszczeć, wyrzucić sypialnię do góry nogami. Powinien zbić lustro, porzucić kosmetyki, zniszczyć wszystko. Jezus Maria, Malcolm i Christy zaczęli cudzołożyć w Nowym Jorku! Przez trzy lata potajemnie się widywali, przez trzy lata jego brat namaszczał pochwę jego żony z takim samym entuzjazmem jak on sam. Na myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Nigdy nie lubił Malcolma, nawet jako mały chłopiec. Gdy dorósł, spostrzegł, że Malcolm jest człowiekiem niezwykle z siebie zadowolonym i nieprzyjemnym, upartym, nadętym gburem, w którego baranim łbie nie powstała ani jedna oryginalna myśl.

Co gorsza, Malcolm zawsze był dla niego fizycznie odrażający. Odziedziczył on najgorsze cechy rodziców: pulchność matki i brak wdzięku ojca. W szkole podstawowej koledzy przezywali go „morświn”, a Edmond trzymał prym w wyśmiewaniu brata.

Może po tylu latach Malcolm chciał się na nim zemścić. Edmond podświadomie zawsze wierzył w przeznaczenie, czy przynajmniej w boską sprawiedliwość. Może małżeństwo z Christy nigdy nie było tak silnym i szczęśliwym związkiem, jak mu się wydawało. Może stanowiło tylko uboczną akcję w jakiejś tragedii Szekspira: *Edmond i Christy* lub *Jak wam się podoba*, w której wzgardzony młodszy brat przyprawia rogi starszemu, by odpłacić mu za nieszczęśliwe dzieciństwo. Jego małżeństwo nie było już tak szczęśliwe, może miało słabe punkty i czasami wisiały nad nim czarne chmury. Ale on, nawet po śmierci Arabelle, pokładał w nim wielkie nadzieje na przyszłość. Gdybyż przez ostatnie trzy lata wiedział, jak były płonne. Zzerało go to od środka; pozostała tylko skorupa.

– Uwierz mi, Edmond – powiedziała Christy. – Nie chciałam, by sprawy przybrały taki obrót. Tak bardzo się starałam.

– Załóż coś na siebie – Edmond zwrócił się do Malcolma. – Wyglądasz odrażająco.

– Nie dla Christy, stary.

– Christy nigdy nie miała zbyt dobrego gustu – warknął Edmond.

– Jasne. I dlatego żyła z tobą?

– Nie wiem, cholera, dlaczego ze mną żyła. A teraz się ubieraj i wynoś do diabła.

Malcolm usiadł na brzegu łóżka. Edmond odwrócił wzrok od grubych czarnych włosów rosnących między pośladkami brata. Lekko sapiąc, Malcolm wciągnął krótkie hawajskie spodenki w kokosowe palmy i zachody słońca oraz jasnoniebieskie spodnie.

– Muszę ci powiedzieć – oznajmił Malcolm, szukając pod łóżkiem skarpetek – że nie wyjdę stąd, dopóki się nie upewnię, że Christy nic tu nie grozi. Uprzedzam cię.

– Edmond, proszę cię – odezwała się Christy. – Chodźmy na dół i przynajmniej spróbujmy o tym porozmawiać.

– O czym, do cholery, tu mówić? Pieprzyłaś się z moim bratem, nie ma tu o czym dyskutować.

– Bądźmy rozsądni, Eddie – zaczął Malcolm. Ale nie miał okazji dokończyć zdania. Edmond zrobił parę kroków do przodu i nie panując już nad gniewem i zazdrością, uderzył go mocno pięścią w twarz. Malcolm jęknął i upadł na łóżko. Z jego nosa na białą pościel trysnęła krew.

– Edmond, na litość boską! – krzyknęła Christy.

– Zamknij się – zaskrzeczał Edmond. Mówił tak wysokim i spiętym głosem, jakby jego gardło składało się z samych ścięgien i kości. – Odchodzę. Możesz z nim zostać. Zostań z nim, pieprz się z nim, kiedy tylko zechcesz. Rób wszystko, na co, do diabła, masz ochotę.

Podszedł do komody. Malcolm na łóżku trzymał się za nos i mamrotał. Edmond otworzył dwie górne szuflady, wyjął zapasowy zegarek, polisy ubezpieczeniowe i spinki do mankietów. W końcu, tracąc resztki cierpliwości i wewnętrznej dyscypliny, wyciągnął po kolei wszystkie szuflady i rzucił je przez pokój, rozsypując chusteczki, bieliznę, skarpetki i koszule.

– Edmond, ty głupi, nieczuły skurwysynu! – wrzasnął Malcolm, któremu krew z nosa spływała na piersi.

Edmond rozejrzał się po pokoju. Razem z Christy dzielili tu miłość lub tak mu się przynajmniej wydawało; dzielili wzruszenia; dzielili nadzieje. Nigdy tu nie wróci. Bez względu na to co ich łączyło – a musiało ich łączyć – minęło na zawsze.

Wyszedł z pokoju jak automat, zbiegł szybko po schodach, przeciął hali i opuścił dom. Zanim się zorientował, pędził z powrotem do Concord. Odruchowo sprawdził puls – zbyt szybki, zbyt wściekły, zbyt oszalały. Christy i Malcolm! Miał ochotę wjechać prosto do rzeki Merrimack – lekarz rzuca się w wir śmierci. Przynajmniej dzięki temu przestałaby dręczyć go myśl o białym, tłustym brzuchu leżącym na Christy przez te wszystkie lata. Przynajmniej nie musiałyby myśleć o palcach Christy, wplecionych w gęste, czarne włosy na ciele brata.

Gdy minął zjazd z autostrady przy Fon Eddy, w samochodzie cicho zabrzęczał radiotelefon. Zignorował go. Dopiero gdy sygnał rozległ się ponownie, podniósł słuchawkę i powiedział:

– Tu doktor Chandler.

– Doktor Chandler? Mówi Lara. Mamy następny wypadek przy Hazen Drive: rodzina Flanderów, numer jednaście dziewięćset sześć.

Edmond z początku nic nie powiedział i Lara rzekła:

– Doktorze Chandler? Czy pan mnie słyszy?

– Tak, słyszę. Już tam jadę.

– Dobrze się pan czuje, doktorze Chandler? Dzwoniłam do pana do domu i pani Chandler powiedziała, że nie wie, gdzie pan jest.

– To prawda, Laro – odparł Edmond. – Nie wie.

Dużo później tego wieczoru, dwadzieścia minut przed północą, Edmond siedział w zajeździe Brick Tower przy South Main Street i dzwonił do domu doktora Bryce'a. Restaurację w Brick Tower zamknięto o 20.15, ale kierownik przyniósł mu kanapkę klubową – z kurczakiem, indykiem i szynką, sałatą, pomidorami i majonezem – orzeszki oraz dwie puszki piwa. W rogu pokoju cicho grał telewizor.

Telefon długo dzwonił, zanim odebrał go rozespany i zirytowany doktor Bryce.

– Doktor Bryce? Mówi Edmond Chandler z kliniki Merrimack.

– Czy nie za późno, doktorze Chandler? Nie może pan zadzwonić jutro rano?

– Przykro mi, sir, obawiam się, że nie. Chodź wirusa polio. Pracowałem z Oscarem Fordem i naprawdę wydaje mi się, że...

– Przykro mi, doktorze Chandler – przerwał mu Bryce – ale zrobiłem wszystko, co w tym konkretnym przypadku było konieczne i możliwe do zrobienia, i nie chcę już na ten temat dyskutować, przynajmniej nie w tej chwili.

– A pan Eldridge? Co powiedział?

– Pan Eldridge sporządził szczegółowy raport dla Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, biura gubernatora i senatora Reynarda Kelly’ego. Tak samo jak ja, wyraził pewne zaniepokojenie wybuchem epidemii. Zwrócił się z prośbą o objęcie kwarantanną całego okręgu i podjęcie dalszych działań, w tym przeprowadzenie szczepień oraz testów krwi.

– I?

– Jak już powiedziałem, nie chcę tego teraz omawiać – opierał się Bryce. – Jeśli nie sprawi panu różnicy...

– Ale co ma pan zamiar w związku z tym zrobić? – spytał Edmond. – Omówił pan tę sprawę, doszedł do wniosku, że stanowi problem, ale co faktycznie ma pan zamiar zrobić?

– Na razie nic – odpowiedział Bryce. – Obserwować i czekać.

– Proszę posłuchać – nalegał Edmond. – Właśnie wróciłem z Hazen Drive, numer jedenaście dziewięćset sześć. Rodzina Flanderów, cała czwórka, należała do moich pacjentów. Wszyscy nie żyją. Prawdopodobnie zabił ich wirus.

– Bardzo mi przykro z tego powodu – powiedział Bryce. – Proszę mi wierzyć, że robię wszystko, co w mojej mocy.

– To za mało, doktorze Bryce – nie dawał za wygraną Edmond. – Zmarło szesnaście osób, mężczyźni, kobiety, dzieci, w ciągu jednego dnia. Jutro będzie jeszcze gorzej. Do końca tygodnia zginie połowa ludności New Hampshire.

– Chyba pan troszkę przesadza, nieprawdaż, doktorze Chandler? Jestem pewien, że panujemy nad sytuacją.

– Już teraz wymyka nam się z rąk. Nie widział pan raportów z sekcji zwłok: wirus staje się groźniejszy z każdą replikacją.

– To tylko osobiste zdanie doktora Corninga.

– Dobrze, a jakie jest pańskie osobiste zdanie? – spytał Edmond. – Czy takie, że połowie mieszkańców powinniśmy pozwolić się udusić z powodu paraliżu mięśni układu oddechowego? Czy to, pana zdaniem, powinniśmy zrobić?

– Doktorze Chandler, jest późno, jestem zmęczony i nie mam teraz ochoty dyskutować na ten temat. Robię, co mogę, ale ręce mam związane przez Ministerstwo Bezpieczeństwa oraz Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, nie mówiąc już o tym, czego życzy sobie senator Reynard Kelly.

– Ach tak? A co senator Kelly mówi na ten temat?

Doktor Bryce zawahał się. Po chwili powiedział cicho i niezwykle poufale:

– Pan Eldridge trzykrotnie rozmawiał z senatorem Kellym. Za każdym razem senator stał na stanowisku, że dla dobra New Hampshire nie należy sprawie nadawać rozgłosu. Trzeba opanować epidemię, zidentyfikować wirusa i wykorzeńić go bez wywoływania paniki.

– A co pan o tym sądzi? – spytał ostrożnie Edmond.

– Co ja sądzę? W tym szczególnym przypadku i w tym szczególnym okresie powstrzymam się od komentarzy.

– Doktorze Bryce...



- Proszę posłuchać, doktorze Chandler. Znam pana i wiem co nieco o pańskiej przeszłości. Na pana miejscu natychmiast bym się wycofał. Tu chodzi o coś więcej, niż się wydaje.
- Na przykład? – spytał Edmond. Ale Bryce miał już dość pytań.
- Powiedziałem panu, co zamierzam zrobić, i radzę odsunąć się od tej sprawy. Informacje przekazane przez doktora Forda nie są mi obojętne, doceniam także skalę zagrożenia, ale mówimy tu zarówno o medycynie, jak i realiach politycznych: jedno idzie w parze z drugim.
- Tego już się nauczyłem – stwierdził gorzko Edmond.
- Zatem czegoś się pan nauczył – powiedział Bryce i odłożył słuchawkę.

Edmond nie spał tej nocy. Patrzył przez okno, obserwując stację przetokową Boston & Main, nawet wtedy, kiedy niebo zaczęło wyłaniać się z ciemności jak materiał oczyszczony z atramentowej plamy i pokazało się dzieńne światło. O szóstej trzydzieści wziął prysznic i ogolił się; o siódmej siedział w sali restauracyjnej zajazdu, czekając na śniadanie. Czytał „Concord Journal”.

Na trzeciej kolumnie po lewej stronie była relacja o „Zmarłej rodzinie znalezionej przy Hazen Drive”. Edmond przeczytał ją dwukrotnie, po czym zwinął gazetę i wypił kawę.



## Trzynaście

Kiedy przybyli do Raggaroen, sypał tam gęsty śnieg – niewyraźne białe płatki wirowały i tańczyły, po czym natychmiast roztopiały się w morzu. Ciągący się z lewej strony Bałtyk był ciemnozielonoszary, a widoczność nie przekraczała stu stóp. Humphrey miał wrażenie, że znaleźli się w pobliżu Walhalli, krainy nordyckich bogów, lub przynajmniej w sąsiedztwie pałacu Królowej Śniegu. W ciągu ostatnich trzech dni zupełnie stracił poczucie rzeczywistości. Derbyshire wydawało się tylko wspomnieniem. Siedemdziesiąt dwie godziny temu miał odlecieć do Anglii i spodziewał się, że siostra zawiadomiła już policję. O ile, oczywiście, Bill Bennett nie załatwił dyskretnie jego zniknięcia. Znajac Billa Bennetta, było to całkiem możliwe.

Wczoraj rano, gdy siedzieli przy śniadaniu na farmie w pobliżu Edebo, jedząc szynkę i popijając piwo, Humphrey spytał Billa:

– Co będzie, jeśli nigdy go nie znajdziemy? Co wtedy zrobimy?

Ale Bill uśmiechnął się tylko i odkroił następny kawałek ementalera, jakby cała ta wyprawa była jedynie zabawą zorganizowaną dla jego własnej rozrywki.

Nie znaleźli Klause Hermanna w Lingslaetoe. Z początku Bill wątpił, czy Hermann kiedykolwiek tam był, ale po dokładnym przeszukaniu małej rybackiej chaty, która, jak powiedziała Angelika, była sowiecką kryjówką, znaleźli ślady popiołu z papierosów i białą plastikową nakrętkę od tubki z kremem, którego Hermann używał przeciwko hemoroidom.

Humphrey nie brał udziału w przetrząsaniu chaty, czekał na Billa na zewnątrz. Poranek był mglisty, niemal tajemniczy; fale Bałtyku jednostajnie uderzały o brzeg. Zastanawiał się, czy nie lepiej wziąć nogi za pas, ale natychmiast wyobraził sobie, jak dysząc, biegnie w swym ciężkim płaszczu, potyka się na skałach, a Bill Bennett wolno podnosi trzydziestkę ósemkę i strzela do niego. W rezultacie nie ruszył się z miejsca. Stał ze splecionymi rękami w szarych rękawiczkach z dzianiny, w wypolerowanych butach, które zdarły się i zmatowiały po wędrówce brzegiem morza, starając się z godnością pogodzić z wiekiem i własną słabością.

Bill wynurzył się z chaty i zawołał:

– Był tutaj i poszedł! Angelika mówi, że próbuje uciekać wybrzeżem.

Za Billem pojawiła się Angelika Rangstroen. Była blada, sprawiała wrażenie zziębniętej i wyczerpanej. Bill wziął ją za rękę i poprowadził do samochodu tak szybko i z takim entuzjazmem, jakby była jego serdeczną przyjaciółką. Humphrey ruszył za nimi, zachowując pewien dystans. Szedł jednak na tyle blisko, by nie wzbudzać podejrzeń Billa. Może wcześniej czy później nadarzy się szansa ucieczki i wtedy będzie musiał działać przez zaskoczenie. Teraz za wszelką cenę chciał zdobyć zaufanie Billa.

Pojechali na północny zachód, najpierw autostradą 76, później gwałtownie skręcili na wschód, do małego rybackiego portu w Hargshamn, potem znów na północny zachód do Osthammaer. Bill sprawdzał każdą boczną ulicę, każdą leśną dróżkę i każdą błotnistą fermę. Zadawał pytania po szwedzku, rozdawał papierosy i pieniądze, uśmiechał się, gawędził, obejmował pulchne, jasnowłose żony rybaków i siwych bezzębnych rolników. I zawsze zadawał to samo pytanie: „Widzieliście dwóch mężczyzn, jeden stary z siwymi włosami, drugi młodszy?” Przez cały czas wiał silny północno – zachodni wiatr od Gavleborgs Lan i robiło się coraz zimniej.

Bill zapewnił Humphreya, że Hermann znalazł się w potrzasku, że szwedzka straż wybrzeża będzie obserwowała wszystkie porty. Teraz należało tylko przetrząsnąć okolicę i ustalić, gdzie się ukrywa. Angelika siedziała z tyłu i nuciła piosenkę „Abby”; Humphrey patrzył na ciągnące się bez

końca lasy. Było jak we śnie: drzewa, drewniane domy, ciemność, postrzępiony horyzont. A teraz, kiedy przyjechali do Raggeroen – śnieg.

Zatrzymali się przed drewnianą chatą rybacką z rzeźbioną werandą.

– Zostańcie tutaj – powiedział Bill i odwrócił się, by wziąć kapelusz z tylnego siedzenia. Teraz, gdy wycieraczki przestały pracować, na szybie zaczął się zbierać śnieg i Humphrey miał wrażenie, że zostali żywcem pogrzebani. Angelika zapaliła papierosa i ze zwykłą sobie egzaltacją zaciągnęła się dymem.

Kiedy Bill otworzył drzwi, do samochodu wdarł się ostry powiew wiatru. Humphrey i Angelika patrzyli, jak Bill, walcząc z zadymką, toruje sobie drogę do chaty. Jak zwykle pamiętał, by zabrać ze sobą kluczyki. Humphrey wiedział, że można uruchomić silnik metodą „na drut”, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić. Parę płatków śniegu, które Bill wpuścił do samochodu, roztopiło się na siedzeniu.

– Szukamy igły w stogu siana, nie sądzi pan? – spytała Angelika.

Humphrey wzruszył ramionami.

– To wszystko dla jednego starca – powiedziała. – I jaki będzie z niego pożytek, kiedy go znajdziemy?

– Sądzi pani, że w końcu go złapiemy?

– Pański przyjaciel, pan Bennett, wydaje się bardzo zdeterminowany.

– Determinacja to nie wszystko.

– Nie – zgodziła się Angelika – ale jest także bezwzględny... w uprzejmy sposób.

– Cóż, taki jest amerykański wywiad: zawsze uprzejmy. Ale jak dla mnie zbyt beztrosko pociąga za spust.

– Nie zapomniałam, że pan Bennett zabił moją przyjaciółkę. Humphrey spojrzał na nią i ze współczuciem poklepał ją po ręce.

– Wiem, stała się straszna rzecz, zupełnie niepotrzebnie. Nie było ku temu powodu. Niech się pani nie martwi, już niedługo odpowie za to.

Zapadła długa cisza. Śnieg miękkim puchem okrywał szyby samochodu i wkrótce nic już nie mogli przez nie zobaczyć. Angelika zgmiotła papierosa i zaczęła przetrząsać torebkę.

– Ma pan scyzoryk? – spytała. – Włożyłam nici do torebki i całe się poplątały.

Humphrey sięgnął do kieszeni i wyjął brzytwę w chromowanej oprawce.

– Chyba wystarczy, prawda? Używam jej do przecinania linki, kiedy jestem na rybach.

– Dziękuję – powiedziała.

Czekali jeszcze pięć minut, aż Bill gwałtownie otworzył drzwi samochodu i wskoczył na siedzenie. Kapelusz miał pokryty grubą warstwą śniegu, a całe ramiona przemoczone.

– Nie zaprosił mnie do środka – poskarżył się, ściągając rękawiczki i wyjmując kluczyki. – Chyba mu się wydaje, że jest dość ciepło jak na tę porę roku.

– Dowiedziałeś się czegoś? – spytał Humphrey. Bill uruchomił silnik.

– Na szczęście tak. Trzy godziny temu jacyś dwaj mężczyźni jechali tędy niebieskim volvem; skierowali się na drugi koniec wyspy. Jest tam mała zatoka.

– Trzy godziny temu? – spytał Humphrey. – Jeśli czekała na nich łódź, dawno już odpłynęli. Nie znajdziemy ich.

– Rozejrzyjmy się jeszcze, dobrze? – zaproponował Bill, skręcając grand prix na drugą stronę ulicy; opony ślizgały się na świeżym śniegu. – Przy takiej pogodzie trudno przeprowadzić łódkę między wyspami, szczególnie gdy straż wybrzeża postawiono w stan pogotowia. Nigdy nic nie wiadomo.

Jechali między obitymi drewnem domkami, z których większość, sądząc po szczelnie

zamkniętych okiennicach, była opuszczona. Kiedy droga skończyła się i dotarli do miejsca, w którym duża skała wystawała z morza, Bill wyłączył silnik. Grand prix przejechał jeszcze kawałek, aż w końcu zatrzymał się cicho.

– Chodźmy – powiedział. – Rozejrzemy się po okolicy.

– Nigdzie nie idę – oznajmiła Angelika. – Już ledwo żyję.

Bill wahał się przez chwilę, w końcu powiedział:

– W porządku, ale żadnych sztuczek, rozumiesz? Zostań tu i siedź cicho.

– *Ich verstande, mein fuehrer* – odpowiedziała uszczypliwie Angelika.

– Ja chyba też zostanę – odezwał się Humphrey. – Ta pogoda jest nie do zniesienia.

– Nie ma mowy, idziesz ze mną – powiedział Bill. – Tylko ty jeden możesz zidentyfikować Hermanna, zapomniałeś? Nie ufam zbytnio Frau Rangstroen, choć bardzo bym chciał.

Humphrey chciał zaprotestować, ale Angelika położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała:

– Niech pan idzie. Wie pan, że to konieczne.

– Dobrze – zgodził się Humphrey. – Ale nie będę ukrywał, że zupełnie mi się to nie podoba.

Wysiadając z samochodu, pośliznął się na śniegu i niemal przewrócił. W ostatniej chwili udało mu się uchwycić otwartych drzwi auta i odzyskać równowagę, ale przy tym boleśnie wykręcił sobie ramię.

– Nie jestem stworzony do takich rzeczy – poskarżył się Billowi, mrugając oczami, by strącić z powiek płatki śniegu.

– Nie moja wina. Jesteś zawodowcem – powiedział Bill. – No chodź, zobaczymy, co jest za tymi skałami.

Północno-zachodni wiatr dmuchnął w kierunku Bałtyku gęstym śniegiem, który natychmiast rozpuszczał się w wodzie. Morze było tak ciemne, że niemal niewidoczne; gdyby Humphrey nie słyszał fal bezlitośnie walących o skały, pomyślałby, iż znaleźli się na kraju świata, że dalej nie ma już nic, tylko ciemność, błakające się bez celu dusze i wyrzeźbione przez wiatr pomniki dawno zapomnianych scen z nordyckich rzezi.

– Tędy – rozkazał Bill. – I proszę cię, zachowuj się tak cicho, jak możesz.

– Postaram się – powiedział Humphrey, wchodząc na ogromną skałę osadową. – O, do diabła, obtarłem sobie rękę.

Wspinali się w głąb półwyspu, aż w końcu weszli na ogromną skałę, z której widać było całą zatokę. Bill rozejrzał się dookoła, osłaniając oczy przed sypiącym obficie śniegiem. Niemal natychmiast wyciągnął rewolwer i machnięciem ręki kazał się Humphreyowi schować.

– Są tam? – wysapał Humphrey.

– Schył się – rzucił mu zirytowany Bill. – Jeśli cię zobaczą, uciekną. Na miłość boską, schył głowę. Głowę!

Humphrey przykucnął w niewygodnej pozycji. Bill przywarł do skały i podczołgał się do krawędzi. Po czym ruchem rewolweru przywołał Humphreya.

– Tam – pokazał Bill. – Teraz mi powiedz, że Hermann jest nieważny.

Humphrey wyteżył w mroku wzrok, by cokolwiek zobaczyć przez wirujące płatki śniegu. Na brzegu, który odcinał się od wody tylko dzięki jasnym, postrzępionym plamom morskiej piany, dostrzegł skulonych z zimna i przemęczenia dwóch mężczyzn. Po lewej stronie stało jasnoniebieskie volvo z włączonymi światłami. Sypiący śnieg okrywał teren niczym opadająca bez końca kurtyna, nadając tej scenerii teatralny charakter.

– Spójrz na zatokę – powiedział Bill. – No... co widzisz?

– Na morzu?

– Właśnie. Patrz, teraz widać.

Humphrey wyjął chusteczkę i wytarł mokry śnieg z twarzy. Spojrzał na morze i w odległości pięciuset, może sześciuset stóp od brzegu zobaczył dziwny, ciemny kształt, przypominający płetwę wieloryba. Między płetwą a brzegiem podskakiwał na falach mały, czarny ponton, sunący wolno w kierunku skał.

– Płyną pod wiatr. To dobrze – stwierdził Bill. Odbezpieczył trzydziestkę ósemkę i podniósł lufę, jakby przygotowywał się do potężnej strzelaniny.

– Nie zabijaj go – nalegał Humphrey.

– Zobaczymy.

– Złożę na ciebie raport, jeśli zaczniesz strzelać bez zastanowienia.

– Humphrey – powiedział Bill – nigdy niczego nie robię na łapu-capu.

– To ty tak uważasz, ale...

– Nigdy. Rozumiesz?

Humphrey odwrócił głowę, policzki miał oblepione śniegiem. Był zaniepokojony i oburzony, a jednocześnie niezwykle podniecony. Po raz pierwszy w życiu został wciągnięty w coś poważnego. Nie mógł uwierzyć, że leży w tę śnieżną noc we wschodniej Szwecji, obok faceta z załadowanym rewolwerem. Tym bardziej nie mógł uwierzyć, że razem z Billem złapią skulonych na brzegu uciekinierów.

– To chyba łódź podwodna – powiedział Humphrey, wskazując na wystającą z wody płetwę.

– Zgadza się. Sowiecki okręt klasy *Sierpuchow* o napędzie dieslowskim. To podobne do Rosjan, żeby okrętowi podwodnemu dać nazwę miasta leżącego dwieście mil od morza.

Humphreyowi nie odpowiadały co prawda metody Billa, ale za nic w świecie nie chciał, żeby Hermann dostał się na ponton i łodzią podwodną został bezpiecznie przetransportowany do Związku Radzieckiego. Hermann, nazistowski zbrodniarz wojenny, przez ponad czterdzieści lat działał na szkodę Zachodu, pomagając Rosji stworzyć nowe rodzaje broni chemicznej i bakteriologicznej. Humphrey wciąż pamiętał ojca, który siedząc w fotelu obok okna salonu przy Cavendish Street 49, opowiadał o atakach gazowych na Ypres w 1915 roku: „Ten gaz palił wszystko na swojej drodze, ludzi i rośliny. Słyszałem, jak Ronald, mój szkolny przyjaciel, krzyczał, choć miał wypalone gardło i spopielone płuca”.

– Chodź ze mną – powiedział Bill. – I proszę cię, Humphrey, zachowaj się cicho. Nie należy ich alarmować aż do ostatniej chwili.

Zgięty w pół, z pochyloną głową, Bill szybko posuwał się w dół po lewej stronie skał. Okrążywszy je, znalazł się w odległości dwudziestu, trzydziestu stóp od stojących na brzegu mężczyzn. Humphrey szedł tuż za nim, tak zwawo, jak było go na to stać, ale dwukrotnie otarł sobie łydkę o skałę i rozerwał spodnie. Gdy dotarł na kamienistą plażę zatoki, był obolały, posiniaczony i gotów dać za wygraną.

Obserwując sytuację z nowego miejsca, mieli wrażenie, iż ponton znajduje się bliżej brzegu, chociaż pod wiatr posuwał się bardzo powoli, natomiast mostek radzieckiej łodzi podwodnej zdawał się majaczyć o wiele wyżej na pocętkowanym śniegiem morzu.

– Czy to Hermann? – spytał Bill. – Ten z lewej strony? Humphrey, na litość boską, spójrz na niego. Powiedz mi, że to Hermann.

Humphrey chrząknął.

– Trudno to stwierdzić z absolutną pewnością.

– Spójrz na niego! Czy to jest Hermann, czy nie?

Humphrey wiedział. Wiedział, że to Hermann. Poznał go po kształcie głowy i budowie ciała.

Znał na pamięć liczne podobizny tego człowieka – szkice sporządzone przez więźniów Herbstwaldu, fotografie wykonane przez żydowskich działaczy ruchu oporu i portrety namalowane jeszcze przed wojną przez studentów w Heidelbergu. Każda z tych podobizn posłużyła do stworzenia w jego pamięci holograficznego obrazu współczesnego wyglądu Hermanna; podobieństwo okazało się wstrząsająco dokładne, w rzeczywistości był tylko nieco wyższy i miał bardziej owalną twarz.

– Tak – powiedział Humphrey. – Uważam, że to Hermann.

Bill podniósł rewolwer obiema rękami, ale zanim wycelował, powiedział:

– Jeżeli mnie popchniesz, dotkniesz lub spróbujesz mnie powstrzymać, to przysięgam, że cię zastrzelę. Traktuj to jak ostrzeżenie.

Sypał na nich gęsty śnieg. Bill pewnie trzymał rewolwer i mrużąc oczy, celował dokładnie. Wydawało się, że nigdy nie strzeli. W końcu rozległy się dwa szybkie, ogłuszająco głośne strzały. Z pontonu, jeden za drugim, runęli do morza obaj mężczyźni.

Hermann i jego rosyjski strażnik natychmiast przysiedli.

Bill cofnął się i wciąż zgięty wpół, obszedł skały, aż znalazł się blisko brzegu, z lewej strony Humphreya, kompletnie niewidoczny w ciemnościach i śnieżnej zadymce. Humphrey poczuł się samotny i dezorientowany. Powoli zaczął się wycofywać, usiłując trzymać głowę poza linią strzałów. Boże, pomyślał, wakacje w Szwecji. Ale wakacje.

Przycupnął za wystającą skałą. Po trzech, może czterech minutach usłyszał donośny głos Billa:

– Hermann! Klaus Hermann! Nazywam się Bennett. Jestem przedstawicielem rządu Stanów Zjednoczonych. Wiem, kim jesteś. Wychodź stamtąd z rękami na głowie. Jeśli nie wyjdiesz, liczę do pięciu i strzelam.

Zapadła cisza. Po chwili ktoś zawołał z niemieckim akcentem:

– Popełnia pan błąd! Ten głupi Anglik... – Rozpoznał pana, Hermann! – odkrzyknął Bill. – On jest ekspertem, zajmuje się wyłapywaniem nazistów! – Absolutnie zaprzeczam, nie jestem Klausem Hermannem.

– Angelika jest innego zdania.

– Angelika?

– Tak, jest tutaj z nami. Czeka na pana w samochodzie. Lepiej niech się pan podda, jeśli chce się pan z nią jeszcze zobaczyć.

– Myli się pan – powtórzył Hermann ochryłym z zimna i wyczerpania głosem. – Nie jestem tym, kogo szukacie.

W tym momencie od strony morza doszedł ich głośny metaliczny dźwięk. W śniegu mignęły iskrzące ognie i Humphrey zrozumiał, że otworzono ogień z ciężkiego karabinu maszynowego znajdującego się na radzieckiej łodzi podwodnej. Pociski z wyciem stukwały o skały, rozdzierając ciszę mroźnej nocy.

– Nie wpadaj w panikę! – krzyknął do niego Bill. – Nie mogą bliżej podплыnąć! Strzelają na oślep!

– Co za różnica, jak strzelają, jeśli nas trafiają! – zaprotestował Humphrey.

Bill podniósł się bez słowa i strzelił w ciemność. Odpowiedziały mu pojedyncze strzały. Bill wypalił jeszcze raz, ale tym razem odpowiedziała mu cisza. Starł śnieg z oczu i popatrzył uważnie przed siebie. W końcu zawołał:

– Chyba go mam! Widzę Hermanna, jest w dole na brzegu!

Humphrey odczekał chwilę, po czym wdrapał się na skały i dołączył do Billa.

– Może to nie Hermann – powiedział.

– Na litość boską, oczywiście, że Hermann.

– Jeśli jesteś taki pewien, to po co mnie ciągniesz ze sobą?

Bill nie odpowiedział, tylko wprawnym ruchem załadował trzydziestkę ósemkę. Gdyby nie broń w jego ręce, klęczałby dokładnie w takiej samej pozycji jak jeden z adorujących Trzech Króli.

– Przypuszczam, że chcesz go teraz zabić – powiedział Humphrey.

– Zależy.

– Ja w każdym razie umyłam od tego wszystkiego ręce.

– Schył się! – krzyknął Bill.

Humphrey natychmiast opuścił głowę. I niemal jednocześnie silny snop światła, rzucony przez reflektor łodzi podwodnej, omiół linię brzegową i zapuścił się między skały.

W tym samym momencie usłyszeli krzyk Hermanna:

– *Na pomoszcz! Na pomoszcz! Iditie sjuda!*

Bill mrugnął porozumiewawczo do Humphreya.

– Woła o pomoc. Żałosne, prawda? Oni nie mogą się do niego zbliżyć.

Humphrey ostrożnie podniósł głowę.

– Chyba nie będzie próbował podplynać do nich?

Bill natychmiast spojrzał na brzeg.

– Mam nadzieję, że nie. Woda jest przeraźliwie zimna, facet w jego wieku nie wytrzyma dłużej niż dwie, trzy minuty.

Ale Hermann wszedł już po kolana do lodowatej wody i brnął w kierunku rosyjskiego okrętu podwodnego. Wciąż miał na sobie gruby płaszcz, a ręce unosił w błagalnym geście. Nagle z łodzi podwodnej skierowano na niego silny snop światła, w którym białe włosy Hermanna zaśniły niczym korona.

– *Stoj! Stoj! Opasno!* – zaryczał megafon z łodzi.

Bill powiedział do Humphreya:

– Poczekaj tutaj – i przeskoczył przez skały. W świetle reflektorów Humphrey widział jego sylwetkę, kiedy z opuszczonymi ramionami mknął przez plażę prosto do wody. Rosjanie nie strzelali do niego – bali się trafić Hermanna. Światło reflektora padało jednak na nich obu, kiedy Bill, stojąc po pas w wodzie, chwycił Hermanna, zanim tamten zdążył rzucić się żabką w fale.

– *Na pomoszcz!* – zaskrzeczał Hermann.

Bill złapał go za kołnierz płaszcza i pociągnął z powrotem do brzegu. Wśród bryzgów wody Hermann próbował okładać napastnika pięściami, lecz Bill wykręcił mu rękę i pół pchając, pół niosąc, zaciągnął z powrotem na skały.

Humphrey nie ruszył się z miejsca. Bał się, że rozgoryczeni Rosjanie zaczną do niego strzelać. Jednak po paru minutach pojawili się Bill i Hermann. Dysząc i szarpiąc się, okrążyli skałę i opadli obok siebie na ziemię, obaj drżący i przemoczeni.

– No, no, to znowu pan – odezwał się Hermann. – Mogłem się domyślić. Nauczyłem się na wojnie, że Anglikom nie można wierzyć”.

– Ma pan szczęście, że uszedł z życiem – odpowiedział rozdrażniony Humphrey. – Gdyby ten człowiek nie zastrzelił pana, na pewno by się pan utopił.

– Rozumiem – powiedział, szczękając zębami, przeraźliwie blady Hermann. – Powiniennem chyba wam obu podziękowań za uratowanie mi życia.

– Ma pan siedzieć cicho i robić to, co każemy – stwierdził Bill i spojrzał ponad skały, by się upewnić, czy Rosjanie nie spuścili następnego pontonu. – Chcę, by jak najszybciej wrócił pan do Sztokholmu, zanim pańscy rosyjscy przyjaciele naprawdę zrozumieją, co się tu dzieje.

– Chyba zdajecie sobie sprawę, że popełniacie absurdalną pomyłkę – powiedział Hermann. –



Nabrałem tego angielskiego dżentelmena, udając, że jestem niebezpieczny. Ale co byście zrobili, gdyby ktoś was śledził? I oczywiście on teraz uważa, że nie jestem sobą, tylko kimś innym. Naturalnie słyszałem o Hermannie, ale daję wam najświętsze słowo honoru, że nim nie jestem.

Bill schował rewolwer i wydmuchał z nosa morską wodę.

– Jak myślisz, Humphrey – spytał. – Czy to jest człowiek, którego szukamy? Bo jeśli nie, to rozwałę mu głowę i wystawię rachunek za czyszczenie płaszcza.

Humphrey przyjrzał się badawczo Niemcowi. Nie było wątpliwości; od początku ich nie miał. Nos, czaszka, układ szczęk – to były znaki szczególne Hermanna, tak charakterystyczne, jakby nosił plaketkę z napisem „Klaus Hermann, nazistowski zbrodniarz wojenny”.

– Tak, to Klaus Hermann – powiedział nieszczęśliwy Humphrey. – Nie ma mowy o pomyłce. Nalegam jednak, byś pozostawił go przy życiu.

– Próbował uciekać – odparł Bill z uśmiechem.

– Mimo to nalegam – powtórzył Humphrey. – Może zachowywać się jak potwór, ale musi stanąć przed sądem.

– Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe. W Stanach jest zbyt wielu wpływowych ludzi, którzy są przeciwni temu procesowi.

– I przez wzgląd na tych wpływowych ludzi z zimną krwią zabijesz człowieka? Złożę na ciebie raport, zobaczysz.

– W takim razie będę musiał załatwić i ciebie.

– Nie odważysz się! – krzyknął przerażony Humphrey.

– Tak sądzisz?

– Tak – powiedział wolno Humphrey. – Tak sędzę. Będzie tu wystarczająco dużo zamieszania i bez zastrzelonego obywatela brytyjskiego. Szczególnie odkąd major Milner wie, co się tutaj dzieje.

– Panowie – przerwał im Hermann – umieram z zimna. Może byśmy przeszli do samochodu.

Bill Bennett zerknął na brzeg i powiedział:

– W porządku. Będę musiał skonsultować się w tej sprawie. Na razie wracamy, w górę po skałę i wzdłuż występu. Rosjanie będą mieli nas na oku.

– Mógłby mi pan pomóc? – Hermann wyciągnął rękę do Humphreya. – Skostniałem z zimna.

Humphrey spojrział na Billa i ponownie na Hermanna.

– Nie – powiedział krótko Bill.

Humphrey, walcząc z zadymką, zaczął niepewnie wspinać się po skałach, raniąc sobie przy tym rękę. Był zmęczony i zniechęcony, miał dosyć wszystkiego, co historia zrobiła ludziom i co ludzie sami zrobili. Słyszał, jak z tyłu Bill i Hermann rozmawiają szybko po niemiecku. Gdy dotarł do krawędzi, zobaczył Hermanna, który popychany przez Billa wspinał się z trudem po skałach.

Byli już prawie poza zatoką, kiedy usłyszeli głośny, klekoczący dźwięk. Humphrey odwrócił się zdziwiony. Przez chwilę pomyślał, że znów zaczęli do nich strzelać z radzieckiej łodzi podwodnej, ale Bill wskazał ręką na północ i Humphrey zobaczył zbliżający się helikopter. Leciał od strony zatoki Ormoen, rozjaśniając morze białym, oślepiającym światłem. Był to SH-2 *Seasprite* szwedzkiej marynarki wojennej, do którego błyskawicznie dołączyły dwa inne. Wszystkie trzy maszyny zawisły nad radziecką łodzią podwodną, oświetlając ją tak rzęsiście, iż przypominała model skonstruowany dla potrzeb sceny. Cała zatoka błyszczała w światłach jak teatralna dekoracja.

– Jesteś świadkiem międzynarodowego incydentu – Bill uśmiechnął się – do którego doszło dzięki obecnemu tu panu Hermannowi.

– Nie jestem Hermannem – upierał się starzec. – Błagam was, chodźmy, umieram z zimna.

– Co oni robią? – zainteresował się Humphrey.

– Szwedzi? – spytał Bill. – To zależy od nich. Ale to już druga w ciągu czterech tygodni łódź podwodna naruszająca szwedzkie wody terytorialne.

Ruszyli w kierunku samochodu, pozostawiając za sobą łódź podwodną i kołujące nad nią helikoptery. Nagle rozległ się ogłuszający huk, jakby zatrzaśnięto olbrzymie drzwi – to rakietą *Sidewinder* wystrzelona z helikoptera uderzyła prosto w mostek radzieckiej łodzi podwodnej.

– Czas się ewakuować – stwierdził Bill, ponaglając do ucieczki. W szybkim tempie opuścili zatokę i znaleźli się w pobliżu samochodu.

Za nimi nastąpiła silna eksplozja. Humphrey poczuł ją na tyle głowy – najpierw uderzenie sprężonego powietrza, potem falę gorącą.

– Chodź – ponaglił go Bill, ale Humphrey musiał się odwrócić i spojrzeć na wirujące w płatkach śniegu kawałki rozgrzanego metalu, tańczące płomienie ognia i w końcu na wybuchy amunicji, chrapliwie eksplodującej setkami pocisków.

– Jutro to będzie na pierwszych stronach gazet – powiedział Bill. – Pospiesz się, Humphrey, musimy się stąd natychmiast wydostać.

Helikoptery w dalszym ciągu huczały na niebie, gdy Bill wykręcił grand prix i pomknął z powrotem przez Raggaroen. Bill wepchnął Hermanna na przednie siedzenie, a Humphrey wgramolił się z tyłu obok Angeliki.

– To jest *ein Alpdruecken* – wybąkał Hermann. – Nie jestem tym, kogo szukacie.

Niebo wciąż rozjaśniała pomarańczowa luna, gdy przejeżdżali przez groblę na wyspę Tvaerno. Angelika chyba zasnęła – kiwała się i wpadała na Humphreya przy każdym wyboju. Znow zapadła ciemność, przez okna widzieli tylko śnieg i niewyraźny zarys drogi, ale Bill jechał przez zamieć, mocno przyciskając pedał gazu, prześlizgując się przez zakręty i wiraże, aż wjechali na ląd przez ostatni most, z powrotem do Sztokholmu.

Humphrey trochę się odprężył. Teraz, gdy polowanie na Hermanna dobiegło końca, czuł się dziwnie wyczerpany. Wracając myślą do tego, co się stało, zrozumiał, że niezwykle podniecił się tą niebezpieczną wyprawą na obcej ziemi. Miał chęć jechać do Gavleborgs, Laen i Vaesternorrlands Laen i w końcu do Laponii. Zamiast tego śnieżną nocą odbywał nudną trzygodzinną podróż samochodem z milczącym Amerykaninem, podstarzałym Niemcem i szwedzką aktorką, która za wszelką cenę chciała przespać całą drogę. Atak z helikopterów był podniecający, ale skończył się zbyt szybko: pociski, wybuchy – to wszystko trwało ułamki sekund. Humphrey nie mógł uwierzyć, że naprawdę brał w tym udział.

– *Ein Alpdruecken* – powtórzył Hermann.

– Co to znaczy? – spytał Humphrey.

– Koszmarny sen – przetłumaczył Bill.

– Aha. Kiedy będziemy w Sztokholmie?

– Za dwie, trzy godziny, zależy od pogody.

Humphrey wyjrzał przez okno, ale było widać jedynie ośnieżone pola i ciemne rzędy drzew.

– Myślisz, że zatopili tę łódź podwodną? – spytał.

– Wątpię, raczej ją uszkodzili. Na tyle, by mogła utrzymać się na powierzchni, gdy składali oficjalny protest w ambasadzie sowieckiej.

– Rozumiem. Wyglądało to bardzo dramatycznie.

– To było dramatyczne. Prawdopodobnie był to początek trzeciej wojny światowej.

Hermann odwrócił się i spojrzał na Angelikę, potem na Humphreya.

– Ona śpi?

– Jest wyczerpana – wyjaśnił Humphrey.

– To moja wina – stwierdził Hermann. – Przeze mnie przeżyła piekło.

– To jest pańskim życiowym powołaniem – skomentował Bill.

Przejechali przez Brollstę. Hermann zdrzemnął się, głowa opadła mu na piersi. Humphrey nie był w stanie się odprężyć, pamięć podrzucała coraz to nowe obrazy, zupełnie jak w dziecięcym kalejdoskopie. – Wiesz, kompletnie cię nie rozumiem – powiedział do Billa.

– Koniecznie chcesz mnie zrozumieć?

– Nie wiem, trochę się tego boję.

– Jestem zawodowym czyścicielem, i tyle – powiedział Bill. – Międzynarodowym dozorcą.

– Nie, wcale nim nie jesteś. Nie mogę dojść, czy lubisz to, co robisz. Jesteś inteligentny, czasami nawet dowcipny, ale strzelasz do ludzi jak do kaczek.

Przez dłuższy czas jechali w milczeniu. W końcu Bill powiedział:

– Zapominasz, że walczyłem w Wietnamie.

– Naprawdę było tam tak okropnie?

– Dla niektórych tak. Niemal na wszystkich wycisnął swoje piętno. Wietnam ujawnił nam wszystkim nasze wrodzone okrucieństwo. Problem polega na tym – spojrział w lusterko, mierząc Humphreya spokojnym spojrzeniem – że jeśli raz odkryjesz w sobie Mr. Hyde'a, to już nie możesz o nim zapomnieć.

– Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

– Uczono mnie zabijać ludzi i rzeczywiście zabijałem ich w ramach obowiązków służbowych. Lecz zabijanie ludzi należy do tych dziwnych rzeczy, w których można zasmakować. I między innymi dlatego zdecydowałem się na taką pracę – jeżeli ogarnia mnie żądza krwi, przynajmniej zabijam z oficjalnym pozwoleniem. Lepiej uśmiercić sowieckiego agenta niż niewinnego gapia.

– Nie sądzisz, że ta kobieta, Birgitta, była niewinnym gapiem? – spytał Humphrey.

– Była w to zamieszana.

– I to wystarczyło, żeby ją zabić?

Bill znowu spojrział na drogę.

– Powinieneś być wdzięczny, że nie wszedłem na dach wieżowca i nie zacząłem strzelać do przypadkowych przechodniów.

– Wdzięczny? – Humphrey zupełnie nie mógł pojąć rozumowania Billa.

– Zabijanie jest jak narkotyk – skomentował Bill. – A ja, niestety, jestem nałogowcem.

W tym momencie Angelika Rangstroem przechyliła się na bok i uderzyła głową o kolano Humphreya. Spróbował ją podnieść, ale spostrzegł, że jest bardzo zimna i bardzo ciężka – z trudem udało mu się posadzić ją z powrotem. Dopiero kiedy z tym się uporał, odkrył, że ręce ma powalane zimną, lepką, ciemną mazią.

– Mój Boże – powiedział.

– Co się stało? – spytał Bill.

– Na miłość boską, ona nie żyje!

– Jak to, nie żyje?

– Na litość boską, zatrzymaj samochód, ona nie żyje, podcięła sobie żyły. Cały samochód zalany jest krwią.

Bill zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Hermann obudził się i podniósł głowę.

– *Was ist lost?* – powiedział. Spojrział pytająco na Billa, po czym odwrócił się i popatrzył na Humphreya, który trzymał w górze ręce szkarłatne od krwi.

– *Seine Haenden* – zmarszczył brwi Hermann. – *Sie Haben roten Haenden.*

– To Frau Rangstroem – wyjaśnił straszliwie zdenerwowany Humphrey. – Zdarzył się wypadek.

Nie mieli wyboru, musieli wezwać policję. Krew wsiąkała w obicia foteli i w dziennym świetle samochód przypominałby rzeźnię. W śnieżnej zadymce zatrzymali się na poboczu i włączyli światła awaryjne. Położyli Angelikę na dywaniku w śniegu, a Klaus Hermann stanął nad nią, łkając.

Od czasu do czasu wydawał przeciągły, drżący szloch.

Bill, zrezygowany, chodził spokojnie tam i z powrotem. Przed laty przekonał się, że ten świat daleki jest od doskonałości.



## Czternaście

Kiedy zadzwonił telefon, Natalia Vanspronsen przepisywała na maszynie notatki dotyczące kampanii, która miała w przyszłym tygodniu rozpocząć się w środkach masowego przekazu stanu Connecticut. Podniosła słuchawkę, wcisnęła ją pod brodę i pisała dalej.

– Chciałbym mówić z senatorem Reynardem Kellym – odezwał się męski głos.

– Przykro mi, nie ma senatora. Mówi Natalia Vanspronsen z biura prasowego. Może ja mogłabym panu pomóc?

– Chyba nie, muszę osobiście pomówić z senatorem. Wie pani, gdzie mogę go złapać?

– Państwo Kelly są właśnie w drodze do Waszyngtonu. Może spróbuje pan zadzwonić do jego biura w senacie? Zna pan numer?

– Cholera – powiedział mężczyzna. I zaraz dodał: – Przepraszam, miałem nadzieję pomówić z nim w cztery oczy.

– Teraz jest bardzo zajęty. Chyba pan wie, że wysunął swoją kandydaturę na prezydenta.

– Czytałem o tym w prasie. Proszę mi powiedzieć, czy ma asystenta; kogoś, z kim mógłbym omówić ważną sprawę.

Natalia przestała pisać na maszynie i wzięła słuchawkę do ręki.

– Zależy, co to za sprawa – powiedziała. Coś w głosie mężczyzny wzbudziło jej czujność, siódmym zmysłem wyczuła, że zanoszą się na kłopoty. – Czy może się pan przedstawić? Spróbuję panu pomóc.

– Doktor Edmond Chandler, jestem pediatrą w klinice Merrimack. Sprawa przedstawia się następująco: moim zdaniem w Concord zaczęła się epidemia heinemedyny, a robi się wszystko, żeby to ukryć. Nie porównuję tego, rzecz jasna, do Watergate, ale odniosłem wrażenie, że senator Kelly z nie znanego mi powodu zarządził, by wszyscy trzymali to w tajemnicy.

Natalia spojrzała w stronę okna. Owocowy sad Colonnades skąpany był w jesiennym słońcu; grusze, z których liście już dawno opadły, obcięte ze zbędnych gałęzi, przygotowane były do zimy.

– Chciałabym wiedzieć, kto zrobił na panu takie wrażenie? – spytała. I dodała: – Epidemia heinemedyny? W wiadomościach nie było najmniejszej wzmianki na ten temat. Żadna taka informacja nie wpłynęła do biura senatora.

– Proszę mi wierzyć, senator wie o tym. Inspektor sanitarny przesłał mu notatkę w tej sprawie, podobnie jak pełnomocnik wydziału zdrowia i opieki społecznej.

– Ach, tak. Jak poważna jest sytuacja?

– Do tej pory zmarło dziewiętnaście osób. Czy nie sądzi pani, że jest wystarczająco poważna? Godzinę temu zmarł jeden z moich pacjentów, dlatego dzwonię. Jeżeli nie mogę porozmawiać z senatorem i dowiedzieć się, o co tutaj chodzi, to przekazuję sprawę prasie.

– Rozmawiał pan z inspektorem sanitarnym? – spytała zaniepokojona Natalia, pospiesznie robiąc notatki.

– Żadnej reakcji. Mówi, że zdaje sobie sprawę z sytuacji i będzie miał na nią oko; to wszystko, co może zrobić. Coś pani powiem: to nie wystarczy. Jest tu jakaś zмова milczenia i jeśli nie zdołam jej przełamać, zamierzam nadać temu rozgłos.

– Doktorze Chandler – powiedziała niezwykle uprzejmie Natalia, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. – Chciałabym pana prosić, by nie kontaktował się pan z prasą, dopóki nie sprawdzimy tej informacji. Wprost nie mogę uwierzyć, żeby ktoś, a szczególnie senator Kelly, chciał ukryć coś tak poważnego jak epidemia heinemedyny. Wie pan zapewne, że senator jest zwolennikiem państwowej

służby zdrowia.

– Nie mam zamiaru czekać przez cały dzień – powiedział Edmond. – Moi pacjenci umierają. Chcę, by zaczęto działać.

– Proszę, niech pan się wstrzyma z informacją dla prasy, przynajmniej dopóki nie porozumiem się z senatorem. Może istnieje ważny powód, dla którego nie mówi się głośno o epidemii, i jeśli na własną rękę powiadomi pan mass media, może to przynieść negatywny rezultat. Na przykład wybuchnie panika albo ludzie zaczną stąd wyjeżdżać i roznosić chorobę po kraju.

– Wiem bez biura prasowego, co może się stać, jeśli ta epidemia wymknie nam się spod kontroli – powiedział gniewnie Edmond. – No dobrze, ile czasu pani potrzebuje?

– Natychmiast skontaktuję się z senatorem.

– A co potem?

– No, cóż... gdzie można pana znaleźć?

– W klinice Merrimack albo w gabinecie w East Concord, albo w zajeździe Brick Tower. Teraz jestem w klinice.

– Zajazd Brick Tower? – spytała Natalia, unosząc brew.

– Właśnie. South Main Street 2249565.

– Zadzwoń do pana.

Natalia odłożyła słuchawkę i natychmiast wykręcała numer Lena Gievesa. Nie odpowiadał. Wyjechał już pewnie do Stamford. Próbowwała się też porozumieć z Dickiem Elmwoodem, ale on także wyszedł. Nerwowo odrzuciła do tyłu włosy i zaczęła szukać numeru Reynarda w Waszyngtonie. Wykręciła go właśnie, gdy rozległo się pukanie i Walt Seabrook wsadził głowę do środka.

– Cześć. O, przepraszam, nie wiedziałem, że telefonujesz.

– Nie szkodzi. Wejdz.

Walt podszedł do okna i spojrzał na sad.

– Jest tu trochę miejsca, prawda? Można by tu urządzić wspaniałe tereny rekreacyjne.

Natalia połączyła się z Waszyngtonem. Osobista sekretarka Reynarda powiedziała przez nos:

– Przykro mi, senator nie przybył jeszcze do biura.

– Proszę mu powtórzyć, że dzwoniła Natalia Vanspronsen i że grozi nam kryzys.

– Kryzys? – spytał Walt, gdy Natalia odłożyła słuchawkę.

– Jeszcze nie mam pewności – wyjaśniła, wstając. – Powiedz mi, Walt, jesteś przecież lekarzem... Czy wiesz cokolwiek o epidemii heinemediny w Concord?

– O epidemii polio? – Walt zmarszczył brwi. – Absolutnie nic. Chyba nie mówisz poważnie? Daj spokój, we wschodnich stanach nie było epidemii polio od 1954 roku. W selektywnych statystykach śmiertelności heinemediny nie zalicza się obecnie nawet do grupowych przyczyn śmierci. Podpada pod „inne choroby”.

– Rozmawiałam właśnie przez telefon z lekarzem, który mówi, że w Concord zaczęła się epidemia polio, umarło już dziewiętnaście osób. A co gorsza, on sugeruje, że Reynard wie o tym, ale próbuje utrzymać to w tajemnicy.

Walt patrzył zdumiony na Natalię.

– Reynard wie o epidemii i nikomu o niej nie powiedział?

– Tak mówi ten lekarz.

– Kto to jest?

– Edmond Chandler, pediatra z kliniki Merrimack.

– Wiesz, lepiej porozmawiajmy z tym człowiekiem. Jeśli mam zostać wiceministrem zdrowia, nie mogę mieć na swoim koncie zatajonej epidemii.

– Najpierw powinniśmy pomówić z Reynardem.

– Reynard będzie w Waszyngtonie za trzy, cztery godziny. Musimy pogadać z tym facetem, zanim zacznie rzucać kolejne oskarżenia.

Natalia zastanowiła się, a po chwili powiedziała:

– W porządku. Wezmę zakiet.

– Epidemia heinemediny – powtórzył Walt. – Słuchaj, to chyba jakiś żart.

– Nie sądzę, żeby on żartował – stwierdziła Natalia, wkładając tweedowy zakiet. Wsunęła okulary we włosy i schowała notes do torebki.

– Nie zawiadomił jeszcze prasy? – spytał Walt.

– Do tej pory nie, ale mówi, że to robi, jeśli nie podejmiemy konkretnych działań.

– Tylko tego mi trzeba. Miałem dziś zagrać w golfa z dyrektorem szpitala. Nie graliśmy razem od sześciu lat.

– Martwisz się golfem? Jeśli to wszystko okaże się prawdą, będziesz się martwił o przyszłość ludzkości.

Ramię w ramię schodzili po szerokich, starannie zamiecionych schodach.

– Wiesz, Greta ma rację – powiedział gniewnie Walt. – On niczego nie potrafi zrobić uczciwie, jest urodzonym krętaczem. Nie rozpoznałby prawdy, nawet gdyby podeszła i walnęła go w nos.

Gdy zeszli na dół, w hallu spotkali Eunice.

– Wychodzi pani, panno Vanspronsen? I pan, doktorze Seabrook?

– Mniej więcej za godzinę powinniśmy być z powrotem.

– Co mam przekazać, jeśli będą jakieś telefony?

– Proszę powiedzieć, że jesteśmy w klinice Merrimack, dobrze? Na spotkaniu z doktorem Chandlerem.

Przeszli przez podjazd do starych, pomalowanych na biało stajni, w których obecnie garażowały samochody. Dzień był chłodny i słoneczny. Natalia aż po horyzont widziała wzgórza i pola mieniące się kolorami jesieni – czerwone klony, żółte modrzewie i brzozy jak deszcz złotych monet. Wsiedli do jej srebrzystego bmw i ruszyli w kierunku Concord.

Gdy mijali bramę Colonnades, Walt wyznał:

– Wiesz co? Mam złe przeczucia.

Denzil Forbes siedział przy stoliku w barze hotelu Marquette w Wauwatosi, kiedy podeszła doń kelnerka w czerwonym kaftaniku i podając telefon, spytała:

– Pan Hope?

– Tak, dzięki – odrzekł Denzil i sięgnął do portfela. Wsunął dziewczynie dolara i podniósł słuchawkę. – Tu Hope – powiedział. Ledwo słyszał niewyraźne słowa, przerywane trzaskami na linii.

Denzil był jednym z ostatnich gości, większość ławek wyściełanych czarnym winylem świeciła pustką; nic dziwnego – zbliżała się północ. Jednak z szafy grającej wciąż dochodziła głośna muzyka i Denzil musiał zatkać ucho, by wytłumić Bee Geesów.

– Otrzymałem pańską wiadomość – usłyszał. – Rozmawiałem z szefami, są bardzo zainteresowani. Mają jednak zastrzeżenia co do ceny; uważają ją za wygórowaną.

– Tak myślą? Cóż, to przykre.

– Najpierw chcą zobaczyć towar, potem dostarczą pieniądze.

– Przykro mi, panie Billings. Najpierw forsa, albo nie mamy o czym mówić. Wie pan, to nie jest coś, co się zdarza dwa razy.



W słuchawce zapadła cisza. Po czym mężczyzna spytał:

– To pana ostatnie słowo? Milion?

– Taka jest cena. Niech pan da spokój, panie Billings, przecież chodzi o Chiffon Trent.

Widzieliście przeźrocza. Wiecie, że to uczciwy interes.

– Ale ogromnie ryzykowny.

– Mnie pan to mówi? No, więc albo to bierzecie, albo idę do Chińczyka. Chcecie, żebym do niego poszedł?

– Oczywiście, że nie, ale w grę wchodzi olbrzymia forsa. Szefowie boją się, że pan zwieje.

Z taką gotówką może pan zniknąć i nigdy się już nie pojawić.

Denzil kiwnął na kelnerkę, by przyniosła mu jeszcze jednego drinka.

– Zgłupieliście czy co? Mam piętnastoprocentowy udział w zyskach: mój milion pomnoży się z pięćdziesiąt razy. Po co miałbym zwiewać?

Milczenie. W końcu:

– Zgoda... ale chcę wiedzieć, jak pan ma zamiar to zrobić. Nie przesłał pan nawet szkicu.

– Myśli pan, że robimy *Wojnę i pokój*?

– Panie Hope, oni prawdopodobnie dostarczą pieniądze, ale chcę wiedzieć, jak pan zamierza to zrobić.

– Dobra – zgodził się zniecierpliwiony Denzil. – Z grubsza wygląda to tak: w ciągu następnych trzech dni zrobimy sześć normalnych godzinnych filmów wideo, a później do końcowej sceny tortur zaangażujemy czterech, może pięciu facetów.

– Szefowie nie chcą udawania.

– Toteż nie dostaną żadnej lipy. Będą mieli dokładnie to, co chcą.

Nastąpiła dłuższa przerwa.

– Dzwoni pan z miasta?

– Niech się pan nie boi. Jestem w barze. Nigdy w nim nie byłem i nigdy więcej tu nie przyjdę.

– Nie nagrywa pan tej rozmowy?

– Panie Billings, chce pan, żebym odłożył słuchawkę?

– Jesteśmy po prostu ostrożni. Mamy wrażenie, że pan nie jest zbyt ostrożny.

– Jestem wystarczająco ostrożny. Chcecie, żebym chodził zamaskowany i mówił przez chusteczkę? Pamiętajcie, że ta dziewczyna oficjalnie już nie żyje, została pochowana. Nikt jej nie szuka.

– W porządku – odpowiedział z ociąganiem mężczyzna i zamienił z kimś parę słów. W końcu zwrócił się do Denzila: – Chcę jeszcze wiedzieć, jak zamierza pan to zrobić. Chodzi o zakończenie.

– Mogą wybierać. Ja proponuję spalenie. Wydaje mi się odpowiednie w tych okolicznościach.

Parominutowa cisza. Denzil czekał cierpliwie, oglądając paznokcie i uśmiechając się do kelnerki, która przyniosła mu koktajl z rumu, soku cytrynowego i lodu.

– Interesy, interesy, interesy – powiedział do – niej. Odpowiedziała mu uśmiechem.

W końcu odezwał się Billings:

– Podoba im się ten pomysł. A co to będzie, benzyna?

– Mam magazyn, w którym mogę to zrobić.

– Zatem w porządku. Zostawią pieniądze tam, gdzie pan prosił, najpóźniej jutro po południu.

– Wolałbym wcześniej: nie nakręcę ani metra, dopóki ich nie dostanę.

– Zgoda, panie Hope. Chyba się rozumiemy? Chodzi o to, że za milion dolarów moi szefowie spodziewają się czegoś ekstra, jasne?

– To, co dostaną, będzie dokładnie tyle warte. Ani grosza więcej, ani grosza mniej.

– Dobranoc, panie Hope.

– Dobranoc, panie Billings.

Denzil długo siedział, popijając koktajl, zanim przywołał kelnerkę.

– Jak masz na imię, skarbie?

– Sally, sir. Dlaczego?

Kiedy Reynard i Greta przybyli z lotniska do Georgetown, w mieszkaniu Lincolna, młodszego brata Reynarda, trwało hałaśliwe, naprędce zorganizowane przyjęcie. Był szampan Dom Perignon, irański kawior i pięć czy sześć olśniewających, seksownych dziewczyn, które zawsze kręciły się wokół Lincolna jak chmara motyli. Nazywał je swoimi „wodzirejkami”. Jego żona – „masażystkami jaźni”.

Obecny był senator Willard Pearson z Alabamy, gruby i potężny przewodniczący komitetu do spraw finansów, gospodarki mieszkaniowej i urbanizacji. Przybył także senator Pete Kolaski, trzeźwo myślący demokrat z Północy. Reynard zastanawiał się, czy nie desygnować go na stanowisko prokuratora generalnego. Największa wrzawa panowała wokół Roberta Trumpa – liberalnego powieściopisarza, i Phila Westona – młodego aktora filmowego, który zrobił *Wszystkie nasze dni*, kontrowersyjny film o pokoleniu, które przeżyło Wietnam.

Podszedł Lincoln. Uścisnął Reynarda i poklepał go po plecach. Rozległy się owacyjne okrzyki.

– Cóż za przemówienie programowe! – powiedział z entuzjazmem. – Właśnie takie, jakie być powinno: doskonale rozłożone w czasie, trafne, pełne godności i ciepła. Widziałeś reakcję przeciwników?

Reynard uśmiechnął się przebiegle.

– Chyba nie można ich za to winić.

– Witaj, Greto, jak się miewasz? Strasznie dawno cię nie widziałem – powiedział, całując ją w oba policzki.

Greta wyglądała niezwykle elegancko w szarym kostiumie od Billa Blassa, ozdobionym olbrzymią, wysadzoną brylantami broszką. Lincoln wziął ją pod rękę i poprowadził do wyłożonego białymi dywanami pokoju, w którym politycy, zwolennicy Reynarda, i dziennikarze leżeli rozwaleni na obitych białą skórą kanapach, siedzieli na schodach z białą balustradą lub byli pogrążeni w rozmowie na obitej na biało sofie.

Reynard przywitał się ze znajomymi, przyjął kilka gratulacji, poświęcił parę minut na rozmowę z senatorem Pearsonem o finansach kampanii; w końcu przeprosił wszystkich i odwołał na bok Lincolna.

– Słuchaj – powiedział. – Coś się wydarzyło. Jak czkawka.

– Czkawka? – spytał Lincoln. Uśmiechnął się i podniósł kieliszek z szampanem, pozdrawiając znajomego, który właśnie ich mijał. Lincoln był szczuplejszy niż Reynard, mimo że miał więcej siwych włosów, a jego twarz była zawsze ciemnopomarańczowa od zbyt intensywnego naświetlania kwarcówką – Lincoln uważnie spojrzał na brata i spytał:

– Co masz na myśli, mówiąc o czkawce?

– Chodźmy do gabinetu – powiedział Reynard.

– Mamy opuścić przyjęcie?

– Tylko na chwilę.

– No dobrze. A nie podoba ci się ta ruda w kącie? Ta w niebieskim? Wyobraź sobie, trafiłem na nią w Macon w Georgii. Głosuje swoim biustem.

Reynard niecierpliwie pociągnął Lincolna do gabinetu, który był tak samo ponury: białe z włoskimi lampami z nierdzewnej stali i skórzanymi fotelami, wyglądającymi jak ogromne, białe

rękawice do baseballu.

– Myślałem, że machina ruszyła – oznajmił Lincoln. – Dziś rano zadzwonił Dick Elmwood i powiedział, że na pewno wygrasz w Nowej Anglii, bo New Hampshire to twoje rodzinne strony i głosuje pierwsze.

– Coś się wydarzyło – stwierdził zdenerwowany Reynard. – Wybuchła epidemia.

– Epidemia? Chodzi ci o epidemię w sensie politycznym czy o chorobę?

– Chorobę, odmianę heinemediny.

– Gdzie? Nic o tym nie słyszałem.

– W Concord. Do tej pory zmarło piętnaście czy dwadzieścia osób, sam dokładnie nie wiem.

Lincoln wypił szampana i podszedł do barku.

– Sądziłem, że niemal wszyscy są szczepieni na heinemedinę.

– Nie na tę odmianę. Ten wirus jest bardzo szybki, rozwija się w piorunującym tempie, może zabić w ciągu paru godzin. Najwyraźniej paraliżuje układ oddechowy i doprowadza do uduszenia.

Lincoln zaczął wyciągać korek z wąskiej szyjki butelki Dom Perignon.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się martwisz. Mógłbyś przecież to wykorzystać, czyż nie? Kandydat na prezydenta domaga się przedsięwzięcia stanowczych działań w celu zapobieżenia epidemii. Mogliby zrobić parę zdjęć, jak płaczesz przy łóżku jakiegoś dziecka. Myślisz, że udałoby ci się wycisnąć prawdziwe łzy? – W końcu korek wystrzelił i Lincoln ponownie napełnił kieliszki, cały czas nie spuszczać wzroku z Reynarda. – Pokaż mass mediom – powiedział – że potrafisz sobie radzić w trudnych sytuacjach. W styczniu kampania będzie bardzo zaawansowana i żaden z twoich przeciwników nie dotrzyma ci już kroku.

– Nie słuchasz mnie, Linc – powiedział Reynard. – Ta epidemia jest bardzo, bardzo poważna. Wirusa właściwie nie można powstrzymać: do końca przyszłego tygodnia wszyscy mieszkańcy okręgu Merrimack mogą umrzeć lub znaleźć się na progu śmierci. Ten wirus odradza się z coraz większą siłą. Jeszcze miesiąc, i w Nowej Anglii już nikt nie będzie mógł na mnie głosować.

Lincoln nie odezwał się. Usiadł, założył nogę na nogę i obrzucił Reynarda przenikliwym spojrzeniem.

– Chodzi o coś więcej, prawda? Mam rację? To nie epidemią tak się martwisz.

– Masz rację, chodzi o to, że choroba rozwinęła się na mojej ziemi. Przeniosła się z mojej posiadłości, w jakimś sensie jestem więc za nią odpowiedzialny. A później większość ludzi stwierdzi, że ponoszę całkowitą odpowiedzialność.

– Choroba rozwinęła się na twojej ziemi? W jaki sposób? O czym ty mówisz?

– Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, Linc. Ale wierz mi, jeśli to wyjdzie na jaw, jesteśmy skończeni.

– Jesteśmy skończeni.

Reynard odwrócił się i z gwałtownością ulicznego rozrabiaki dźgnął brata palcem.

– Nie zapominaj, kim jesteś i dlaczego odnosisz takie sukcesy w polityce.

– Straszysz mnie czy co? – spytał Lincoln. – Najpierw wyjeżdżasz z jakąś bezsensowną historią o epidemii...

– To żaden bezsens, zapewniam cię – przerwał mu Reynard. – Tę szczególną epidemię spowodowało coś, co robiliśmy na terenie naszej posiadłości podczas wojny. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

– Co to było? Jakiś eksperyment? Nikt mi o tym nigdy nie „jawił”. Jezus Maria, Reynard!

– Byłeś za młody, nie zrozumiałbyś. Poza tym musieliśmy zachować absolutną tajemnicę.

– Wiesz, prosisz mnie o pomoc, a nie chcesz powiedzieć, o co chodzi. W takim razie posłuchaj:

dopóki dokładnie nie wyjaśnisz, czego tak cholernie się boisz, nie licz na moją pomoc ani teraz, ani nigdy. Odkąd odrosłem od ziemi, mój ważny brat ciągle mi powtarzał: „Wiem lepiej niż ty”. Mam już tego dosyć.

Reynard chciał się odgryźć, ale zacisnął zęby i wziął głęboki oddech, starając się zapanować nad sobą. W rzeczywistości wpadł w straszliwą panikę. Udało mu się uciszyć Eldridge’a, przynajmniej na jakiś czas, ale wiedział, że Eldridge jest zdecydowanym i odpowiedzialnym człowiekiem, który nie będzie milczał, o ile Reynard nie poda mu szybko jakichś naprawdę ważnych powodów. Wiedział także, iż każdy lekarz czy patolog z Concorde, który zetknął się z epidemią, mógł wpaść na pomysł powiadomienia prasy lub telewizji. Miał co prawda haka na stanowego prokuratora generalnego, ale gdyby posłużył się tym małym, wstrętnym skandalikiem, zyskałby co najwyżej parę dni – a może tylko godzin – w konsekwencji zaś straciłby na zawsze poparcie kilku wpływowych urzędników państwowych z New Hampshire.

Zazwyczaj Reynard potrafił bezbłędnie układać plany gry politycznej, które pozwalały mu wybrnąć z każdej trudnej sytuacji. Jednak teraz znalazł się w matni: jeśli w dalszym ciągu będzie próbował ukryć wybuch epidemii, zostanie oskarżony o rozmyślne bagatelizowanie niebezpiecznej choroby w imię ochrony interesów rodzinnego miasta; z drugiej strony, jeżeli publicznie oświadczy, iż wybuchła epidemia, nastąpi zamieszanie, wzajemne obwinianie i masowa panika – odpowiedzialność za to wszystko spadnie na niego.

Co gorsza, Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej szybko przyśle swoich specjalistów – i jak długo mogą szukać, zanim jeden z nich odkryje źródło wirusa? A kiedy to się stanie...

Reynard miał wrażenie, że znalazł się na skraju przepaści. Cała jego czterdziestoczteroletnia kariera polityka, cały dorobek jego życia wisiały na włosku. Pamiętał wydarzenia tamtej nocy w 1944 roku, jakby działy się wczoraj. By zapewnić sobie alibi, jadł wtedy obiad i tańczył z Lydią Jennings, piękną żoną kongresmana Richarda Jenningsa, w klubie PeeWee na Manhattanie. To typowe dla sposobu myślenia Reynarda, że stworzył sobie alibi, które jako takie było lekkim skandalem – gdyby zeznał, że miał randkę z czyjąś żoną, musieliby mu uwierzyć.

Ktoś inny powiedziałaby, że odwiedził matkę, poszedł do spowiedzi lub czytał chorym w Havenwood.

Barman zawołał go wtedy do telefonu. W słuchawce rozległ się skrzeczący głos Teda Peale’a:

– Czy w Nowym Jorku jest burza?

– Chyba nie – odpowiedział Reynard. – Od trzech godzin nie byłem na dworze, a czemu? U was pada?

– Tu jest piekło, dosłownie piekło.

– I co?

– Cóż, myślimy, że przyleciał.

– Myślicie, że przyleciał? Co to ma znaczyć: „Myślimy, że przyleciał”?

– Nie wiem, może go słyszeliśmy, a może nie. Robert przysięgał, że przeleciał tuż nad głową, ale ja nie wiem. Nie mamy żadnej łączności radiowej, moim zdaniem spadł na Snap Town lub Penacook.

– Chcesz powiedzieć, że się rozbił?

– Naprawdę tak to wygląda.

– Jezus Maria...

Przez resztę wieczoru tańczył z Lydią Jennings, policzek przy policzku, starając się nie pocić, nie okazywać zdenerwowania, cały czas czekając na telefon, który nigdy nie zadzwonił, a który miał go utwierdzić w przekonaniu, że wszystko jest w porządku, że kondor znajduje się na ziemi i nie ma

już powodu do zmartwienia.

A orkiestra grała *Smutną dziewczynę*:

*Smutna dziewczyno, nie mów, że masz chandrę,  
Powiedz, że zawsze ze mną będziesz.*

Lincoln odezwał się znacznie spokojniejszym głosem:

– Reynard, jeśli to naprawdę jest poważna...

Reynard podszedł do okna i spojrzał ponad szarą wodę Potomaku na niewyraźne kontury wyspy Theodora Roosevelta.

– Wiesz co? – powiedział. – Świat się zmienia i nastroje społeczne zmieniają się co parę miesięcy. Jeżeli naprawdę w coś mocno wierzysz i jesteś wytrwały, na pewno to osiągniesz – wiesz, zupełnie niespodziewanie. Podczas wojny wszystko wyglądało inaczej. Oczywiście dzisiaj podajemy wyidealizowaną wersję tamtych wydarzeń. Opowiadamy, jak wszyscy popierali tę wojnę, jak pragnęliśmy rozgromić Hitlera. Ale to nieprawda: w czterdziestym trzecim, czterdziestym czwartym miliony Amerykanów wierzyły w to, co robili Niemcy. Silna, zjednoczona Europa stanowiłaby potężną przeciwwagę dla amerykańskiej gospodarki, pomogłaby nam przezwyciężyć wewnętrzne trudności. Nie mielibyśmy żadnych kryzysów, całego tego zamieszania z NATO, nie wykazalibyśmy słabości wobec Sowietów.

– Go chcesz przez to powiedzieć, Reynard? – spytał Lincoln. – Nie rozumiem.

– Cóż, teraz ja także tego nie rozumiem. Koło historii potoczyło się inaczej, ale nie musiało. Wyobraź sobie tylko, jak świat by dziś wyglądał, gdyby Europą rządził Hitler. Taki sposób myślenia jest dziś niepopularny, prawda? Ale w tamtych czasach mnóstwo młodych amerykańskich polityków wierzyło w Hitlera.

– W Oświęcim? Bergen-Belsen? W to wierzyłeś?

– Nie wiedzieliśmy o tym, Linc. Po prostu nie wiedzieliśmy. I jeżeli Hitler zostałby u władzy, to kto wie? Wszystko z czasem by się ułożyło. Mnóstwo ludzi umarło w czasie wojny, Linc. Prawie trzysta tysięcy Amerykanów zginęło w walce. To była ogólnoświatowa wojna, wynik gospodarczego i społecznego zamieszania. Świat się rozwija, zmienia; ludzie stają się ofiarami. Ale spytaj dziś kogokolwiek, czy zamieniłby świat, w którym teraz żyje, na świat, jaki miał w 1942 roku. Ręczę, że nikt by tego nie pragnął.

– Reynard – upomniał go łagodnie Lincoln. – Strasznie gładzisz. Nie wiem dlaczego, ale gładzisz.

– Próbuję ci wytłumaczyć, Linc. Chcę, żebyś rozumiał, dlaczego to zrobiliśmy.

– Co zrobiliście, Reynard? Czy to wszystko ma coś wspólnego z tym wirusem? Spreparowaliście go w czterdziestym czwartym? Po co? Co zrobiliście? Nie mogę ci pomóc, dopóki mi nie powiesz.

Reynard usiadł i wolno masował twarz rękami.

– Będziesz mnie sądził, Lincoln. Będziesz mnie oceniał i dojdiesz do wniosku, że niejednego mi brakuje. – Podniósł głowę. – Jestem bohaterem, wiesz o tym? Jednym z największych bohaterów XX wieku. Kiedy zaczną opisywać polityczną historię lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych naszego stulecia, moje nazwisko znajdzie się wśród najlepszych. Reynard Kelly – człowiek, który kontynuował dzieło Johna Kennedy’ego w latach osiemdziesiątych, a później – człowiek, który dotrzymał słowa. – Przez chwilę milczał, potem powiedział błagalnie: – Chodzi o to, że musisz mi pomóc, Linc, w przeciwnym razie ten rząd będzie skończony, zanim zaczniesz działać. Mam wszelkie

dane, by zostać prezydentem, ale musisz mi pomóc.

Lincoln dolał sobie szampana. To był już szósty kieliszek i chociaż jego twarz stała się jeszcze bardziej pomarańczowa, w dalszym ciągu był całkowicie trzeźwy. Nigdy nie widział brata w takim stanie, nigdy nie słyszał, by mówił w taki sposób, nawet gdy był kompletnie pijany.

– Muszę dźwigać ten krzyż od czterdziestu czterech lat – oznajmił Reynard. – Może wzniesiemy toast: czterdzieści cztery lata, mój krzyż i ja. Skol!

– Reynard... – powiedział Lincoln.

– Nie, nie, nie. Nie mów do mnie tak protekcyjnie, Linc, bez względu na to, co zrobisz. Wiosną czterdziestego czwartego wybrałem się z dziewczyną na przejażdżkę łódką po jeziorze Massebesic. Kiedy wróciłem, podszedł do mnie mężczyzna i powiedział, że nazywa się Johnson. Jeszcze dziś bym go rozpoznał: małe okulary, duży nos i komiczny śmiech. Ten człowiek, Johnson, powiedział, że gdybym chciał, mógłbym pomóc zakończyć tę wojnę; oczywiście słuchałem tego, co mówił.

– Po wycieczce łódką podszedł do ciebie jakiś mężczyzna i powiedział, że mógłbyś pomóc zakończyć wojnę? I ty mu uwierzyłeś?

Reynard podniósł rękę.

– Czasy wtedy były bardziej niewinne, człowieka oceniało się po wyrazie twarzy. Większości ludzi to wystarczało.

– To musiały być wspaniałe czasy – stwierdził ironicznie Lincoln.

– Możesz się naśmiewać, ale naprawdę były – odpowiedział Reynard. – Czy kiedykolwiek poznałeś smak jazdy przez Minę La Motte w Missouri kabrioletem chrysler saratoga, dwuletnim oczywiście, bo w czterdziestym drugim zaprzestaliśmy produkcji samochodów. Wiesz, co się wtedy czuło? Ty tego nie pamiętasz, ale to były wspaniałe czasy.

– Reynard – powiedział zaniepokojony Lincoln. – Reynard, może napijesz się kawy? Chodźmy stąd, to nie ma sensu, naprawdę.

Reynard długo wpatrywał się w podłogę.

– Boże, Linc – odezwał się w końcu. – Nie wiem, co robić. To... Nie mogę sobie z tym poradzić. Musimy to omówić, doprowadzić do porządku, zanim dorwą się do tego mass media. Dwadzieścia osób już nie żyje, dwadzieścia. I ja ponoszę odpowiedzialność za śmierć tych ludzi.

– Zatem jakiś wirus ulotnił się z twojej posiadłości? Czy ktoś go ukradł? O to chodzi, ktoś go ukradł? Był w probówce? Jak możesz się oskarżać? Jak ktokolwiek może cię oskarżać? To nie była twoja wina; możemy przedstawić niepodważalny dowód.

– Wówczas odkryją, kiedy i w jaki sposób został wyhodowany ten wirus – odrzekł ponuro Reynard. – Widziałeś wyposażenie zakładu medycyny sądowej? Czytałem już wstępne raporty wirusologa z ministerstwa zdrowia. Połowy nie zrozumiałem, ale z tego, co twierdzi, jasno wynika, iż wirus ten został sztucznie wyhodowany i za każdym razem, gdy kogoś zaraża, staje się coraz silniejszy, i że do tej pory nie znaleziono przeciw niemu antidotum.

– Lepiej już opowiedz mi wszystko, Reynard – powiedział Lincoln. – W przeciwnym razie nie będę mógł ci pomóc.

Reynard wypił ostatni łyk szampana i spojrzał na dno kieliszka.

– Nie jestem pijany – odpowiedział.

– Wiem, mów dalej, opowiedz, co się stało.

– No, cóż – zaczął znużony Reynard – nie wiem, czy słyszałeś o tym, że podczas wojny Niemcy mieli samolot, który mógł bez lądowania przelecieć Atlantyk. To był Focke-Wulf 200, używany przede wszystkim do nękania floty handlowej, która po Dunkierce zaopatrywała Wielką Brytanię

w żywność i broń. Wspaniałą samolot, o niebo lepszy od innych maszyn tego okresu. Churchill nazywał go plagą Atlantyku. Wycofano go w czterdziestym czwartym, ponieważ w zasadzie był to samolot pasażerski, nie przystosowany do wymogów lotów bojowych czy odpierania ataków brytyjskich samolotów patrolowych. Dla zademonstrowania potęgi Niemiec Hitler kilkakrotnie rozważał możliwość zbombardowania Nowego Jorku przez samolot tego typu. Rzeczywiście jedna z takich maszyn przeleciała Atlantyki i zrzuciła bomby na Głazy Bay w Nowej Szkocji, tylko po to, by udowodnić, że atak na Nowy Jork jest możliwy do przeprowadzenia.

Lincoln nie odpowiedział. Nabral właśnie przekonania, że przygotowania do kampanii wyczerpały brata aż do granic załamania nerwowego i będzie musiał dyskretnie wyprosić wszystkich z przyjęcia, a potem wezwać doktora Lansinga.

Ale Reynard był zbyt zaabsorbowany zdarzeniami z przeszłości, by zorientować się, że brat powątpiewa w jego zdrowy rozsądek. Chodził tam i z powrotem, popijając szampana i chaotycznie opowiadając historię, jaka kryła się za sześcioma szklanymi fiolkami, które Michael Osman znalazł w lasach przy Conant's Acre.

– Spotkałem się z tym Johnsonem w Parkway Motel przy Mancher Street. Powiedział mi, że Hitler opracował już plan inwazji na Stany Zjednoczone. Fuehrer zdecydowanie odrzucił możliwość zmasowanego ataku wojskowego. Wtedy nie miał już pieniędzy ani możliwości, by otwarcie zaatakować Stany. Poza tym wiedział, że w Ameryce ma miliony sympatyków i wystarczy jedno zdecydowane posunięcie, by zmusić Stany Zjednoczone do zawieszenia broni. Sześć banków z Wall Street zobowiązało się udzielić mu poparcia, jeśli tego dokona a lista poważnych przemysłowców, którzy obiecali mu współpracę, byłaby dziś warta fortunę.

– Uwierzyłeś w to wszystko? – spytał nieco rozdrażniony Lincoln.

– Johnson pokazał mi swoje listy uwierzytelniające. Dokumenty, kopie listów, wizytówki od amerykańskich finansistów. Tak naprawdę przekonał mnie list od Henry'ego Weidmana. Rozpoznałem jego pismo.

– Przecież nie byłeś nazistą – stwierdził Lincoln. – Dlaczego w ogóle słuchałeś tego Johnsona?

– Patrzysz na to z dzisiejszego punktu widzenia – odparł Reynard. – W tamtych czasach, zanim wiedzieliśmy, jaki będzie wynik wojny, mnóstwo Amerykanów uważało, że walcząc z Niemcami, walczymy z naszymi przyjaciółmi. Co nas obchodziła walka o władzę w Europie? Chcieliśmy, by zwyciężyło najlepsze państwo i żeby wreszcie był spokój. Amerykanie nie byli wtedy tak zainteresowani sprawami międzynarodowymi, Linc. Poza tym możesz mówić, co chcesz, ale nie wiedzieliśmy o Oświęcimiu czy Ravensbrueck. Po prostu nie wiedzieliśmy.

– Ale jako polityk nie byłeś nazistą.

– Byłem nacjonalistą, w dalszym ciągu nim jestem. Popierałem niektóre idee nazistów, mnóstwo ludzi z nimi sympatyzowało. Zmieniłem się oczywiście od tamtej pory... wojna, bomba atomowa, lata pięćdziesiąte zmieniły nas wszystkich. Ja przeszedłem wewnętrzną metamorfozę, gdy dowiedziałem się o holocauście. Byłem w stanie zrozumieć prześladowania, szczególnie wtedy, gdy Niemcy walczyły o przetrwanie, lecz nigdy nie mogłem pojąć ludobójstwa.

– Ale jaki ma to związek z samolotem? – spytał Lincoln. – Z tym Focke-Wulfem 200, czy jak go nazwałeś? I co epidemia ma z tym wszystkim wspólnego?

Po chwili milczenia Reynard usiadł i rozluźnił krawat:

– Nie sądź mnie, dobrze? Pamiętaj, że czasy były inne, bardziej niepewne. Myślałem o przyszłości rodziny. Nigdy nie Przepuszczałem... tak, nigdy nie przepuszczałem, nie mówmy o tym więcej.

– Szampana? – spytał Lincoln, ale Reynard nie zwrócił na niego uwagi.

Wolno, z większym już opanowaniem, kontynuował swoją opowieść:

– Trzy razy widziałem się z Johnsonem. Na trzecim spotkaniu zapewnił mnie, że odegram politycznie ważną rolę w podpisaniu traktatu między Niemcami i Stanami Zjednoczonymi. Chyba uwierzyłem, że robię coś wielkiego, coś o międzynarodowym znaczeniu. W każdym razie plan polegał na tym, że Niemcy dostarczą samolotem do Stanów sześć flakoników udoskonalonego wirusa, niezwykle skutecznej broni mikrobiologicznej, którą jeden z czołowych niemieckich lekarzy wyhodował w latach trzydziestych. Samolot miał wylądować w Colonnades, które było w jego zasięgu, jeżeli startował z Paryża. Johnson oraz jego agenci mieli zabrać fiołki z wirusem i pięć z nich podłożyć w bazach wojskowych na terenie całego kraju: w San Francisco, Fort Mead, Fort Rucker i dwóch innych miejscach, których już nie pamiętam.

– Zamierzałeś doprowadzić do wybuchu epidemii w amerykańskich siłach zbrojnych? – spytał z niedowierzaniem Lincoln.

Reynard potrząsnął głową.

– Tak naprawdę nikt nie miał zamiaru wypuszczać wirusa. Kiedy fiołki zostałyby już rozproszone po Stanach, mieliśmy po prostu poinformować prezydenta Roosevelta i jego gabinet o tym, że Hitler jest zainteresowany zawarciem rozejmu i ze strony prezydenta byłoby o wiele rozsądniej przyjąć tę propozycję, niż kontynuować walkę. Focke-Wulf miał być pokazany prezydentowi na dowód, że misja została wypełniona, a ostatnia, szósta fiołka przekazana do Pentagonu w celu przeprowadzenia analiz, pozwalających im w pełni zrozumieć presję, pod jaką się znaleźli.

– Byłeś gotów szantażować cały kraj? Swoją ojczyznę, której przysięgałeś wierność i posłuszeństwo? Właściwie byłeś gotów zostać zdrajcą. Jezus Maria, Reynard, o czym wtedy, do diabła, myślałeś?!

– Cały czas ci powtarzam, że wtedy inaczej to wyglądało – warknął Reynard. – Gdyby wszystko przebiegło zgodnie z planem, nasza rodzina byłaby najzamożniejszą i najbardziej wpływową dynastią w Ameryce. Do tego stopnia nie wierzysz w Kellych?

– Sam wiem, do cholery, w co wierzyć.

– Tak czy inaczej – powiedział Reynard, oddychając ciężko – to już nieważne. Samolot przyleciał do New Hampshire podczas silnej burzy i tuż przed lądowaniem straciliśmy z nim kontakt. Gdzieś się rozbił, szukaliśmy go, ale nigdy nie odnaleźliśmy. Wiesz, jak gęste są tu lasy. Nawet olbrzymi samolot może w nich zniknąć, a ja, oczywiście, bałem się wysłać na poszukiwania kogoś, kto nie brał udziału w akcji.

– Ile osób o tym wiedziało? – spytał Lincoln. – Ściślej biorąc, ile z nich jeszcze żyje?

– Trzy, łącznie ze mną. I oczywiście Niemcy. Robert Rearden, nasz robotnik, i Ted Peale. Rearden zmarł jakiś czas temu, ale Peale wciąż żyje, mieszka na Florydzie.

– Myślisz, że może puścić farbę?

Reynard rzucił bratu dziwne spojrzenie.

– Nie sędzę.

– I oprócz mnie nigdy nikomu o tym nie mówiłeś?

Reynard potrząsnął głową.

– Kiedyś powiedziałem Chiffon Trent, że podczas wojny kontaktowałem się z nazistami.

– Dlaczego, do cholery, to zrobiłeś?

– Nie wiem. W telewizji był program o Hitlerze i Chiffon chciała dowiedzieć się czegoś o wojnie. Była tak młoda, że żaden z ówczesnych polityków nie wydawał się jej prawdziwy. Zdumiała się, gdy jej opowiedziałem o spotkaniu z Churchillem. Później pytała mnie, czy znałem



jakiegoś prawdziwego nazistę. Nie wiem, dlaczego jej powiedziałem, nigdy przedtem nikomu się nie zwierzałem. Ale teraz to już nie ma znaczenia, prawda? Skoro ona nie żyje...

– Módlmy się, aby się nie okazało, że przekazała komuś tę informację.

– Chiffon? – Reynard nagle posmutniał. Po chwili wypił łyk Dom Perignon, potrząsnął głową i powiedział: – Nie, nie Chiffon. Była zbyt lojalna. Nie powiedziałyby.

– W porządku – stwierdził Lincoln. – Jeżeli tylko ty i Ted Peale wiecie, skąd pochodzi ten wirus, to czym się tak martwisz?

– Trafiają na jego ślad, Linc. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja... Jeśli ten wirus został uwolniony, to znaczy że ktoś znalazł sześć fiolek, a skoro je znalazł, znajdzie też samolot lub jego szczątki. Boję się wszczynać poszukiwania na własną rękę: to by wzbudziło zbyt dużo podejrzeń. A jeśli Departament Zdrowia pierwszy znajdzie samolot i zorientuje się, że ja też go szukam? Natychmiast zostanę postawiony w stan oskarżenia.

– Tak, tak – powiedział Lincoln. – Nazistowska plama na honorze Reynarda. A ja uważałem za skandal aferę z toksycznymi odpadami!

– Musisz mi pomóc, Linc. Musisz znaleźć jakieś wyjście.

– Przede wszystkim – rzekł Lincoln – powinieneś kategorycznie zaprzeczyć, że cokolwiek o tym wiedziałeś... gdyby znaleźli samolot, rzecz jasna.

– Ale przez ten czas wszyscy poumierają. Im dłużej będę milczał, tym więcej ludzi umrze... Linc, dzieci umierają. A jak myślisz, co się ze mną stanie, kiedy w końcu dojdą do tego, co zrobiłem, zwłaszcza jeśli epidemia pochłonie kilka tysięcy ofiar? I tak mam już dwadzieścia na sumieniu.

– Nigdy nie miałeś zbyt wrażliwego sumienia.

– Nie bądź okrutny.

– Jezus Maria, Reynard, czego się u diabła spodziewasz? Będiesz bezlitosny, czy nie? Jeśli nie potrafisz być bezwzględny, nie nadajesz się na prezydenta. Nie możemy mieć w Białym Domu człowieka, który będzie się wahał, czy przycisnąć guzik bomby atomowej, gdyż miałby za dużo ludzi na sumieniu.

Reynard wpadł w gniew.

– Wojna atomowa jest fantazją, czystą teorią, a ci ludzie naprawdę nie żyją.

– Co masz na myśli, mówiąc, że wojna atomowa jest wymysłem?

– Czy ty naprawdę wierzysz, że wiedząc, jakie byłyby skutki takiej wojny, użylibyśmy tej broni?

– Reynard – powiedział Lincoln – lepiej sprowadzę ci lekarza.

– Nie potrzebuję lekarza.

– Tracisz zmysły! Najpierw opowiadasz mi te bzdury o nazistach, a później zachowujesz się jak zdziwaczały pacyfista.

– Zabiłem ludzi, Linc. Nie możesz tego zrozumieć? Ludzi z New Hampshire, ludzi z Concord. A jest jeszcze coś gorszego. – Reynard uniósł głowę; miał łzy w oczach. Nie były to prawdziwe łzy żalu, do takich nie był zdolny, ale łzy smutku i goryczy, że jest taki, jaki jest. – Zabiłem także Chiffon.

Lincoln długo patrzył na brata, potem podniósł słuchawkę i powiedział:

– Dean? Jesteś mi tutaj potrzebny, natychmiast. Tak, w bibliotece. Coś się stało.

Dean Farber wszedł, trzymając szklanekę soku pomarańczowego; jego blada twarz była obojętna i niewinna jak twarz dziecka. Gdy otworzył drzwi, z salonu doszedł śmiech oraz gwar rozmów.

Reynard siedział, zasłaniając twarz rękami, Lincoln był odwrócony plecami do drzwi. Uśmiech powoli zniknął z ust Farbera.

– Czy coś nie w porządku? – spytał ostrożnie.

– Tak – odrzekł Lincoln. – Reynard ogłasza natychmiastowe wycofanie się z wyścigu

o prezydenturę. Lekarz powiedział mu właśnie, że dalszy udział będzie szkodliwy dla jego zdrowia.

– Lekarz? – spytał zdziwiony Dean Farber. – Jaki lekarz?

– Doktor Śmierć – powiedział Reynard chrapliwym głosem. – Linc, nalej mi jeszcze szampana.

Tego ranka, w pobliżu Anama City na Florydzie, Ted Peale siedział na werandzie w jasnej hawajskiej koszuli i luźnych bermudach. Czyścił i naprawiał przybory wędkarskie, kiedy żona zawołała:

– Ted, telefon do ciebie!

Odłożył sprzęt i wolno wszedł do domu. Żona piekła ciasto i w powietrzu unosił się zapach szarlotki. Podniósł słuchawkę i spytał:

– Tak, kto mówi?

– Przyjaciel, panie Peale – wyszeptał ochrypły głos z meksykańskim akcentem. – Przysłał mnie ktoś z New Hampshire.

– Ale powiedziałem mojemu przyjacielowi, że nie dam rady pojechać do New Hampshire. Przykro mi.

– Pański przyjaciel to rozumie, ale mówi, że może zapłaciłby panu trochę... po prostu, by się upewnić, że nie piśnie pan nikomu słowa o tym, co razem zrobiliście.

Ted Peale pociągnął nosem.

– Chce mi dać pieniądze?

– Trochę, żeby pomóc panu w kłopotach.

– Cóż, może to zrobić, jeśli chce.

– Niestety nie w pana domu, panie Peale, to byłoby zbyt podejrzane. Za piętnaście minut niech pan przyjedzie na skrzyżowanie George i St. Andrews i zaparkuje za zielonym chevy z tablicami rejestracyjnymi Florydy. Niech pan wsiądzie do niego z tyłu – tam dam panu pieniądze.

– Ile? – spytał ostrożnie Ted Peale.

– Chyba jakieś dwadzieścia pięć.

– Dwadzieścia pięć tysięcy?

– Tak mi się zdaje.

– Zobaczymy się za piętnaście minut.

W oślepiającym blasku południowego słońca Ted Peale wyjechał swoją impalą 66 z wybetonowanego miejsca parkingowego z tyłu parterowego domku, żegnając żonę sygnałem klaksonu. Poprosiła go, by przywiózł cynamon, skoro i tak wychodzi. Ted założył zielony daszek, osłaniający oczy przed oślepiającym słońcem. Mógłby uchodzić za pierwszego lepszego staruszka z Florydy, który jedzie na targ po zakupy, dzięki czemu ma trochę zajęcia.

Zaparkował nieprzepisowo za zardzewiałym zielonym chevroletem. Zostawiwszy silnik na chodzie, zbliżył się do stojącego przed nim samochodu i pochylił się. W środku zobaczył dwóch młodych Meksykanów w odbłaskowych okularach słonecznych i różowych koszulach w kwieciste wzory. Jeden z nich rozwalił się, uśmiechnięty, w fotelu kierowcy, szczupła dłoń z błyszczącym złotym zegarkiem spoczywała niedbale na kierownicy; drugi siedział z tyłu, trzymając na kolanach dużą paczkę owiniętą w brązowy papier.

– Jak leci, dziadku? Wsiadaj – powiedział ten z tyłu.

– Nie może mi pan tego podać przez okno?

– Ludzie zobaczą – nalegał chłopak.

– No dobrze – rzekł Ted Peale. Otworzył tylne drzwi samochodu i opadł na lepkie siedzenie z zielonego winylu.

– Nie ma się co martwić – wyszczerzył zęby chłopak. – Wszystko jest tutaj, dwadzieścia pięć kawałków.

– Jak to się stało, że mój przyjaciel was przysłał? Nie jesteście w jego guście.

– Inna robota, inny styl – odezwał się młodzieniec za kierownicą. – Do tej roboty potrzebował kogoś naprawdę czarującego. – I piskliwie zachichotał.

– Podoba mi się twoja koszula, stary – powiedział drugi chłopak, wskazując palcem na rękaw hawajskiego stroju Teda Peale’a. – Coś dla mnie, w ananasy.

Ted Peale niespokojnie kiwnął głową.

– Nie chcecie pokwitowania ani nic w tym rodzaju? – spytał. – No to wezmę pieniądze i pójdę.

– Och, poczekaj chwilę, stary – powiedział siedzący obok niego chłopak i aż po rękojęść wepchnął w brzuch Teda Peale’a długi na stopę bagnet.

Ted Peale stracił oddech z przerażenia, gdy przeszła go zimna stal. Spojrzał na chłopaka, potem na rączkę bagnetu i znów na chłopaka.

– Po co to zrobiłeś? – spytał.

– Tak człowieku, po co to zrobiłeś? – małpował chłopak siedzący za kierownicą. – Tylko zniszczyłeś tę cholerną koszulę.

Ted Peale miał już otworzyć usta i krzyknąć, ale szok był zbyt silny. Serce przestało bić i umarł w ciągu paru sekund.

– Jedźmy – odezwał się chłopak z tylnego siedzenia.

– Czy staruszek Freiburg jest przygotowany?

– Jasne.

Chevrolet oderwał się od krawężnika i ruszył w długą drogę do Bonita Springs w okręgu Lee, tuż na zachód od Rezerwatu Bagien w Corkscrew. Tam, w Ogrodzie Cudów i Hodowli Aligatorów, ciało Teda Peale’a, jak wiele innych przed nim, zostanie poćwiartowane i rzucone na pożarcie trzydziestu dorosłym aligatorom starego Freiburga. Aligatory starego Freiburga to wielka atrakcja turystyczna, chociaż kilku jego sąsiadów nigdy nie mogło zrozumieć, jak udaje mu się tak świetnie prosperować, pobierając dwa i pół dolara za wstęp.

– Co to za koniec, ha? – spytał retorycznie jeden z Meksykanów. – Krokodyle gównno. – Trącił łokciem ciało Teda Peale’a i powiedział:

– Słyszysz, dziadku? Krokodyle gównno.



## Piętnaście

W O'Connor Theatre Piotr przebierał się w trykot i elastyczne rajstopy, kiedy wszedł Billy Manzanetti, niosąc wielką torbę wypełnioną kiełbaskami, serem oraz świeżymi owocami i paląc śmierdzącego francuskiego papierosa. Piotr występował z Billym w teatrzyku off-off Broadway w programie rozrywkowym składającym się głównie z dowcipów o pryszczach.

– Jak leci, Rasputin? – spytał Billy.

– Cześć, Billy. W gruncie rzeczy nieźle, przynajmniej pracuję. A co u ciebie?

– Raz gorzej, raz lepiej; to tu, to tam; raz na wozie, raz pod wozem. Wiesz, jak jest. Chcesz jabłko?

– Owszem, dzięki.

– A może kiełbaskę? Jest z mięsa wieprzowego, wołowego i cielęcego; takie są najlepsze.

– Hm, nie, dzięki. Całe moje dzieciństwo było kiełbasą, pamiętasz? Morzem kiełbasy. Jak się miewa Trixi?

– Pixi? Och, raz lepiej, raz gorzej, sam wiesz. Obecnie, szczerze mówiąc, nijak:

Piotr ugryzł jabłko.

– Martwisz się czymś?

Bill kiwnął głową, wypuścił dym prawą stroną ust i odkaszlnął lewą.

– Pamiętasz, mówiłem ci, że znam faceta, który jest grubą rybą w filmowym przemyśle porno.

Piotr spojrzał nagiego podejrzliwie.

– Pamiętam.

– Otóż, najwyraźniej... dowiedziałem się o tym od samego Jacka Bigelowa, wiesz, faceta, którego nazywają Potężnym Salami... najwyraźniej jest realizowany jakiś naprawdę ważny film. Chodzą słuchy, że będzie to dzieło wszech czasów. Płacą ogromne pieniądze za właściwych facetów, którzy mogą pieprzyć jak muły i trzymać gęby na kłódkę. Chodzi o dużą forszę.

– Po co mi to mówisz? – spytał Piotr.

– Cóż, jako sławny młody emigrant masz wielką szansę wejścia w filmowy pornobiznes. Proponują dwadzieścia kawałków za każdą męską rolę, świadomie mówię: rolę.

– Billy – zaprotestował Piotr. – Jestem poważnym aktorem.

– Mnóstwo aktorów traktuje swój zawód poważnie, a mimo to kręcą porno. Daj spokój, co masz do stracenia? Dwadzieścia kawałków, wszystko w gotówce, bez podatku.

– Mówisz, jakbyś mnie werbował – rzekł Piotr.

– Bo to robię, naprawdę. Mam wybrać pięciu facetów, wszyscy powinni być wyjątkowi. Dostają dziesięć procent prowizji.

– Hm – powiedział Piotr. Musiał przyznać, że dwadzieścia tysięcy brzmiało kusząco. W teatrze nie płacili mu już od dwóch tygodni i od miesiąca zalegał z czynszem. Dla jego radzieckiego umysłu pornografia była rzeczą wyklętą, najwulgarniejszą z wulgarnych, ale w końcu teraz był wolnym obywatelem. Jeśli chce grać w filmie porno, nikt go nie powstrzyma, a jego agent nie musi o tym wiedzieć; taki przyzwoity człowiek jak on prawdopodobnie nigdy tego nie zobaczy.

– Możesz zdradzić jakieś szczegóły? – spytał Piotr, starając się, by zabrzmiało to bezceremonialnie.

– Zaczynają kręcić w poniedziałek; najpierw zrobią parę filmów na wideo, a później rozpocznie się produkcja wielkiego s-i-m.

– S-i-m?

– Spaghetti i mielone.

– Co takiego?

– Żartuję, to znaczy sadomasochizm. Wiesz, przywiązuje się dziewczynę, udaje, że się ją gwałci i tego typu rzeczy. Spodoba ci się.

– Nie dadzą tego filmu do szerokiego rozpowszechniania?

– Och nie, nic z tych rzeczy. Będzie wyłącznie w prywatnym obiegu: kluby, prywatne przyjęcia, sprzedaż na zamówienie pocztowe. Nikt, kto go zobaczy, nie będzie nawet wiedział, że to ty. Nawet jeśli zgadną, nie sądzę, by pamiętali, jeśli sam się nie zdradzisz.

– Nie wiem – odpowiedział z ociąganiem Piotr.

– Cóż, zdecyduj się do jutra i zadzwoń do mnie. Nie do domu, tylko pod ten numer. Musisz się zdecydować do jutra, ponieważ film kręcają poza miastem i muszę zarezerwować bilety.

– Jak daleko od miasta? – spytał Piotr. – Nie w New Jersey? Raz tam byłem i więcej już nie chcę.

Billy wyciągnął niedopałek spomiędzy warg i wypluł resztki tytoniu.

– Nie, słyszałeś kiedyś o Wisconsin?

– Wisconsin? Ale to nie jest blisko miasta, to Środkowy Zachód!

Billy mrugnął.

– Wiedziałem, że spodoba ci się ten pomysł. Zadzwoń do mnie jutro. I pamiętaj: dwadzieścia kawałków, cała forsa dla ciebie.

Po wyjściu Billa Piotr siedział jeszcze w garderobie pięć, może dziesięć minut. Musiał przyznać, że pomysł pokazania się w filmie porno dość go podniecił. Kochać się z dziewczyną w obecności ludzi i jeszcze dostawać za to pieniądze... Jeśli pierwszy film okaże się dobry, mogą być inne. Będzie w stanie zapewnić sobie stały dochód umożliwiający mu staranie się o większe i odpowiadające jego oczekiwaniom role w teatrze.

To ma sens, powiedział do siebie... I co właściwie jest w tym niemoralnego, jeśli dziewczynie także za to płacą?

Edmond towarzyszył Natalii Vanspronsen i Waltowi Seabrookowi w drodze z kliniki Merrimack do kawiarni po drugiej stronie ulicy. Nagle zrobiło się pochmurno i z północnego zachodu zaczął dmuchać zimny wiatr, rozwiewając po chodniku żółte i czerwone liście. Znaleźli narożny stolik i zamówili kawę. Edmond poprosił o ciasto cytrynowe, gdyż nie jadł jeszcze śniadania.

– Mogę państwu powiedzieć, dlaczego mieszkam w Brick Tower – oznajmił. – Właśnie rozstałem się z żoną.

– Przykro mi – rzekła Natalia.

– Niech się pan nie martwi – wtrącił Walt. – Bez niej będzie się panu lepiej powodziło. Ja opuściłem żonę w szóstą rocznicę ślubu. Powiedziałem jej: „Przez sześć lat słuchałem, jak gadasz o sprawach, o których nie miałaś zielonego pojęcia; przez sześć lat zastanawiałem się, czy powinienem ci powiedzieć, że twój widok przyprawia mnie o chroniczną niestrawność. To wszystko. Teraz zamierzam żyć w ciszy i spokoju, ze zdrowym żołądkiem”.

Zaśmiali się, ale szybko spoważnieli. Dla każdego z nich epidemia i jej skutki miały ogromne znaczenie.

– Od rana nie miałem nowych doniesień o hiperpolio – powiedział Edmond. – Ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że epidemia będzie się szerzyła. W ostatnich paru przypadkach, które leczylimy, śmierć rzeczywiście następowała bardzo szybko. Chociaż nie jesteśmy w stanie ustalić, w jaki sposób ani dlaczego zaczęła się ta epidemia, zaczynamy teraz odtwarzać łańcuszek

przenoszenia się choroby od jednej rodziny do drugiej. Najbardziej jednak niepokojące jest to, że wirus potrzebuje coraz mniej czasu, by zarazić nowego żywiciela. Innymi słowy, zwiększa się zarówno tempo zarażenia, jak i szybkość, z jaką zabija.

– Nie chcę zmieniać tematu, doktorze Chandler – odezwała się Natalia – ale, jak pan myśli, dlaczego senatorowi Kelly’emu miałyby zależeć na utrzymaniu epidemii w tajemnicy? Czy z medycznego punktu widzenia istnieje jakiś powód?

– Pani jest w jego sztabie, więc raczej od pani spodziewałem się odpowiedzi na to pytanie – oznajmił Edmond.

Walt Seabrook uśmiechnął się kwaśno.

– Cóż... doktorze Chandler... taki polityk jak senator Kelly nie zawsze zwierza się każdemu ze swoich tajemnic. Teraz próbujemy tylko ustalić, jak poważna może być ta epidemia i jaki, pana zdaniem, jest najskuteczniejszy sposób uporania się z nią.

Edmond wodził wzrokiem od Natalii do Walta. Tego ranka był wypoczęty i opanowany. Ze zdziwieniem stwierdził, że od lat nie spał tak dobrze jak teraz w zajeździe; przy goleniu zastanawiał się, czyjego małżeństwo z Christy nie zaczęło się rozpadać w momencie wyjścia z kościoła episkopalnego w Stan – ford. W różnych okresach życia myślał, że kocha ją z całego serca, ale tego ranka doszedł do wniosku, że tak naprawdę kochał tylko te kobiety, które były dla niego nieosiągalne. Teraz, kiedy opuścił Christy, poczuł głęboką ulgę i wewnętrzną siłę. Wiedział co prawda, że może to być tylko chwilowa euforia, która zazwyczaj ogarnia człowieka po przełomowych wydarzeniach w jego życiu, czuł jednak, że chodzi tu o coś więcej.

– Jako lekarz nie widzę żadnego powodu tłumienia informacji o epidemii – powiedział Natalii. – Może chodzi o względy administracyjne: może senator Kelly nie chce dopuścić do powszechnej paniki i exodusu, podczas którego jeszcze więcej osób mogłoby umrzeć lub odnieść rany. W końcu Concord zamieszkuje trzydzieści tysięcy ludzi. Gdyby wszyscy próbowali jednocześnie stąd wyjechać...

Walt wskazał głową w kierunku pliku raportów, który Edmond położył na stole.

– To są protokoły z sekcji zwłok?

– Tak. Niech pan je przejrzy, jeśli ma pan ochotę. Wnioski doktora Corninga są wymowne: mamy tu do czynienia z szybko odnawiającym się, bardzo zaraźliwym wirusem heinemedyny o niezwykłych cechach RNA. Jest bardzo niebezpieczny. Już kilka dni temu uważałem, że należy zawiadomić prasę, chociaż nie wszyscy koledzy się ze mną zgadzają. Niektórzy z nich sądzą, że, formalnie rzecz biorąc, nie jest to jeszcze epidemia, że w dalszym ciągu powinniśmy przeprowadzić ogromną liczbę badań szczegółowych; uważają, że jeśli rozproszymy społeczeństwo, siejąc panikę, stracimy szansę odkrycia sposobu, w jaki rozprzestrzenia się ten wirus.

– A jakie są pańskie kontrargumenty? – spytała Natalia, patrząc uważnie na Elmwooda. Mimo powagi sytuacji nie mogła nie zauważyć, że jest atrakcyjnym mężczyzną.

– Moje kontrargumenty są bardzo proste: wirus, rozprzestrzeniając się, za każdym razem kogoś zabija; jeśli nie zaalarmujemy społeczeństwa, będziemy winni tego, że traktujemy ludzi jak doświadczalne świnki morskie; może nawet będziemy winni czegoś więcej.

– A co sądzi o tym Carroll Bryce? – spytał Walt.

– Zna pan doktora Bryce’a?

– Oczywiście, gramy razem w golfa. Jaka jest jego opinia? Rzecz jasna, później z nim porozmawiam, ale najpierw chcę się dowiedzieć, jaką odpowiedź wy, chłopcy z pierwszej linii, otrzymujecie od kwatery głównej.

– Cóż... niejasną – powiedział Edmond. – Odnoszę wrażenie, że doktor Bryce jest bardzo

zaniepokojony sytuacją, a jednocześnie wydaje mi się, że robi to, co mu polecono. Jak państwo wiedzą, zawsze postępuje zgodnie z protokołem. Nie należy więc oczekiwać, że przeciwstawi się bezpośrednim instrukcjom z góry.

– Od senatora Kelly’ego? – podsunął Walt.

– W przyszłym roku senator Kelly może być prezydentem – zauważył Edmond.

– No właśnie – powiedziała Natalia.

W tym momencie rozległ się brzęczyk pagera Edmonda. Powiedział „przepraszam” i poszedł do telefonu w kawiarni. Wrócił i oświadczył:

– Są następni: rodzina zamieszkała przy Swenson Avenue. Obawiam się, że będę musiał państwa opuścić. Może zapłacimy za kawę?

– Niech pan już nie czeka – powiedział Walt.

Kiedy Edmond odszedł, Natalia i Walt spojrzeli na siebie pytająco.

– Coś tu nie gra – powiedziała. – Śmierdzi mi ta epidemia i nie jest to tylko smród trupiarni.

– Myślę to samo – przyznał Walt. – W razie wybuchu jakiegokolwiek niebezpiecznej choroby zakaźnej, jednym z pierwszych kroków winno być natychmiastowe poinformowanie o tym miejscowej ludności przez środki przekazu. Od pierwszego przypadku hiperpolio mija już prawie tydzień, a do tej pory nikt nie pisał słowa. Doktor Chandler jest gotów powiedzieć, co naprawdę myśli, ale odnoszę wrażenie, że zachowuje pewną rezerwę. Carroll Bryce jest zazwyczaj szczerzy; jestem pewien, że do tej pory wydałby oficjalny komunikat.

Poza tym w Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej w New Hampshire jest Eldridge. Dlaczego on nie złożył oświadczenia?

– Reynard poprosił ich, by tego nie robili. Och, nie tylko prosił – jestem pewna, że wymusił to na nich. Ale dlaczego?

– Natalio – powiedział Walt – jeżeli Reynard uważa za celowe ukrywanie epidemii, to powód może być tylko jeden: w jakiś sposób musi być w nią zamieszany.

– Jak to możliwe, by miał coś wspólnego z tą chorobą?

– Jeszcze nie wiedzą, skąd się wzięła, prawda? A założmy, że bydło należące do Reynarda jest chore i ludzie dostawali skażone mleko... po prostu dlatego, że Reynard nie przestrzegał właściwego sposobu pasteryzacji. Albo pękły rury kanalizacyjne na terenie jego posiadłości i nieczystości przedostały się do źródeł wody pitnej Concord. To bardzo prawdopodobne: wirus heinemediny jest zazwyczaj przenoszony razem z odchodami.

– Ale jak rozwiązać tę zagadkę?

– Możemy spytać Reynarda.

– A jeśli rzeczywiście o to chodzi? O chore bydło lub coś takiego? To dla Reynarda może oznaczać utratę szans w walce o prezydenturę. Dziewiętnaście osób zmarło tylko dlatego, że należycie nie zadbał o posiadłość lub bydło?

Walt zapłacił rachunek i wyszli na Pleasant Street. Jesienny wiatr rozwiewał włosy Natalii.

– Nie wiem, jak tobie, Natalio – powiedział Walt – ale mnie ogromnie zależy na tym, żeby Reynard Kelly został prezydentem.

Natalia spojrzała na niego badawczo.

– Jestem wspaniałym lekarzem administratorem – powiedział. Jestem przewodniczącym zarządu szpitala, starszym konsultantem w dziedzinie ginekologii; zebrań dotyczących finansowania i zarządzania służbą zdrowia mam więcej, niż jest dni w tygodniu. Popieram Reynarda, ponieważ jestem, można tak powiedzieć, przyjacielem rodziny, ale co ważniejsze, popieram go, ponieważ chcę zostać wiceministrem zdrowia. Nigdy już nie trafi mi się taka okazja. To jest mój życiowy cel, do



którego dążę zarówno jako lekarz, jak i polityk. Chcę wnieść swój wkład do służby zdrowia w tym kraju.

Podeszli do porsche Natalii. Wyjęła z torebki kluczyki i otworzyła drzwi.

– A ty? – spytał ją Walt. – Dlaczego tu jesteś?

– Jestem tutaj, ponieważ to moja praca – oznajmiła, nie patrząc na niego. – Jestem tutaj, ponieważ mnie o to poproszono.

– I to wszystko? Natalia zapuściła silnik.

– Oczywiście, że nie, do diabła. Jestem tutaj, ponieważ taka okazja trafia się tylko raz w życiu i trzeba być szalonym, żeby z niej nie skorzystać.

Ręka Natalii spoczywała na drążku zmiany biegów. Walt przykrył ją swoją dłonią i spojrzał badawczo na Natalię.

– Zgadząmy się zatem, że oboje jesteśmy ambitni, prawda? Zgadząmy się, że jeśli w tym, co mówił doktor Chandler, jest choć ziarno prawdy, to Reynard może się znaleźć w opałach. Zgadząmy się więc, że należy zadzwonić do Reynarda i zobaczyć, co możemy zrobić.

Natalia, milcząc, siedziała bez ruchu, dopóki Walt nie zabrał ręki. Dopiero wtedy gwałtownie wrzuciła bieg i porsche z piskiem opon oderwał się od krawężnika.

Greta wyraziła już swą opinię o decyzji Reynarda wycofania się z wyścigu o prezydenturę, ciskając o ścianę kieliszek z szampanem.

– Myślałam, że jesteś odważny, cholera! Nie podejrzewałam cię o nic więcej. Sądziłam, że może masz jakąś zwierzęcą charyzmę, może jakąś dandysową melodramatyczną męskość na pokaz, ale na pewno odwagę.

– Problem nie polega na braku odwagi, Greto. Ma raczej podłoże polityczne, związane jeszcze z okresem wojny, i może doprowadzić do ruiny całą naszą rodzinę, nie wyłączając ciebie – próbował tłumaczyć Lincoln.

– Wprost nie mogę w to uwierzyć – warknęła Greta. – W czterdziestym czwartym zrobiłeś z Niemcami jakiś brudny interes, za który nawet ci nie zapłacili...

– Mylisz się – przerwał jej Reynard.

– O czym ty mówisz? Niemcy ci zapłacili? – spytał Dean Farber, blednąc jeszcze bardziej.

Reynard kiwnął głową.

– Sześć milionów dolarów w złocie. Cóż, dostałem tylko połowę. Resztę miałem otrzymać po zrealizowaniu umowy.

Lincoln przycisnął dłonie do czoła i westchnął, kompletnie zrezygnowany.

– O to chodzi? No to już koniec. Hitlerowcy zapłacili ci trzy miliony dolarów za szantażowanie Roosevelta? I ty się zgodziłeś? Złożyłeś je w banku?

– Zostały w całości zdeponowane w banku w Szwajcarii. Po zakończeniu wojny wciąż tam były. Jak myślisz, dzięki czemu nasza rodzina żyła w takim dobrobycie, podczas gdy pozostałym doskwierała bieda? Jak ci się wydaje, skąd braliśmy pieniądze na utrzymanie Colonnades na tak wysokim poziomie?

– Czy ojciec coś o tym wiedział? – spytał Lincoln.

– Nie. Powiedziałem mu, że pieniądze pochodzą z pewnego interesu, który zrobiłem w Ameryce Południowej.

– Cóż, Bogu niech będą dzięki za tę odrobinę łaski. Przynajmniej umarł, wierząc, że jesteś uczciwy.

Greta pstryknęła palcami na Deana Farbera.

– Niech mi pan jeszcze przyniesie szampana, dobrze? Nie mogę nawet o tym myśleć, dopóki się nie napiję. Przestańmy jęczeć i moralizować, dobrze, Lincoln? Jakież to, u licha, ma znaczenie, czy twój ojciec wiedział, czy nie? Teraz przede wszystkim musimy zdecydować, w jaki sposób wybrnąć z tej sytuacji. Parę ważnych okoliczności przemawia na naszą korzyść: najistotniejsze jest to, iż do tej pory nikt nie skojarzył epidemii z tymi szklanymi fiolkami, zakładając nawet, że ktoś je znalazł. Wydaje się bardziej prawdopodobne, że znalazca już je wyrzucił. A poza tym, jeżeli wybuch epidemii zostanie nawet powiązany z twoją posiadłością, przedstawiciele służby zdrowia zaczną ją badać, to rzeczywiście myślisz, że na coś natrafia? Wpadasz w panikę, Reynard. Jeśli ty nie znalazłeś tego samolotu przez czterdzieści cztery lata, to naprawdę jesteś w stanie uwierzyć w to, że może się na niego nadziać paru policjantów po służbie?

– Ale on musi gdzieś tam być – powiedział Reynard. – Kilka pierwszych ofiar epidemii mieszkało wokół południowej części posiadłości: Connant's Acre i Middle Meadow. Logicznie rzecz biorąc, to tam z pewnością znaleziono flakoniki. Kazałem odgrodzić to miejsce drutem i sam pobieżnie je obejrzałem, ale problem polega na tym, że każdy z moich robotników może puścić farbę, jeśli go znajdzie.

– Dobry Boże, Reynard, przecież możesz się bronić absolutną nieznajomością całej sprawy – wtrąciła Greta.

– Podczas gdy coraz więcej osób będzie umierało, ja mam udawać, że o niczym nie wiem? To proponujesz?

– Wtedy, kiedy ten samolot tu przyleciał, byłeś w Nowym Jorku, prawda? – upierała się Greta. – A jak wspominałeś, jeszcze tylko dwie osoby o tym wiedziały, przy czym jedna z nich już nie żyje. Tego drugiego faceta można przekupić, no nie? Albo... sama nie wiem... zastosować metodę łagodnej, przyjacielskiej perswazji? A jeśli przedstawiciele służby zdrowia wpadną na ślad fiolek i znajdą samolot, to musisz udawać kompletne zaskoczenie.

Reynard wstał i poszedł nalać sobie jeszcze szampana. Lincoln ruszył, by go powstrzymać, ale Reynard pochylił głowę w znany Lincolnowi od dzieciństwa sposób, który oznaczał, że brat jest nieugięty w swym postanowieniu.

– Może masz rację, Greto – powiedział Reynard z wystudiowaną gracją. – Może rzeczywiście wpadłem w panikę, ale sądzę, że wszyscy wiecie, co oznaczają dla mnie i dla mojej rodziny starania o prezydenturę; muszą się powieść w stu procentach. To moja ostatnia szansa na Biały Dom i jeżeli coś się nie uda lub mogłoby się nie udać, wolałbym się wycofać. Musimy także myśleć o dobrym imieniu Kellych. Mówisz, że nie zanosz się na to, żeby ktoś wpadł na ślad tych fiolek lub skojarzył je ze mną. Cóż, może się tak zdarzyć, ale nie mamy pewności, a wiercie mi, że w miarę nasilania się epidemii, a będzie się nasilała, badania podjęte przez wydział zdrowia w celu ustalenia źródła choroby staną się bardziej intensywne i dokładniejsze. Jeżeli samolot tam się znajduje, a wierzę, że tak jest, to w końcu go znajdą.

– Ale, na litość boską, wystarczy, że wytrzeszczysz oczy ze zdumienia, jakbyś go nigdy przedtem nie widział – zaprotestowała Greta.

– Greto – powiedział łagodnie Reynard – żyjesz w nierealnym świecie. Jak myślisz, co by się stało, gdyby Focke-Wulf *Kondor* z 1944 roku został odnaleziony w New Hampshire na terenie posiadłości jednego z czołowych kandydatów na prezydenta, ubiegającego się o nominację z ramienia Partii Demokratycznej? To byłaby jedna z sensacji tego stulecia: polityczna, historyczna, aeronautyczna. Samolot zostałby rozebrany do ostatniego nitu, ponownie złożony, sfotografowany i zidentyfikowany, a historycy z całego świata interesujący się choć trochę drugą wojną światową chcieliby wiedzieć, co on tam robi.

W końcu po paru tygodniach, może miesiącach odkryliby prawdę. Niemcy skrupulatnie zapisywali w dzienniku pokładowym wszystkie loty; chyba nie sądzicie, że ten specjalny lot pozostał nie odnotowany? Kiedy odkopali tak zwane dzienniki Hitlera, straciłem dość nerwów z obawy, że jest w nich jakaś wzmianka o tym kondorze. Gdzieś musi być jakaś notatka na ten temat, wierzcie mi.

Zadzwoił telefon. Odebrał Dean Farber.

– Mieszkanie senatora Kelly’ego. – I po chwili: – Chciał pan mówić z senatorem? Proszę chwilę poczekać, zobaczę, czy jeszcze tu jest. O co chodzi? Rozumiem. Dobrze, proszę poczekać.

Zakrył słuchawkę ręką i zwrócił się do Reynarda:

– To pan Eldridge z Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w New Hampshire. Chce z panem porozmawiać.

– Jasne, że chce ze mną porozmawiać. Co ma mi do powiedzenia?

– Chce pana poinformować, że w ciągu ostatnich dwóch godzin odnotowano kolejnych dwadzieścia sześć przypadków zachorowań na hiperpolio i że zamierza wprowadzić kwarantannę w okręgu Merrimack, bez względu na konsekwencje, jakie w związku z tym może ponieść.

– Daj mi słuchawkę – rzekł Reynard. Głos Eldridge’a brzmiał spokojnie.

– Domyślam się – powiedział – że pański asystent przekazał panu wiadomość. Od tej chwili oficjalnie mamy tu epidemię.

– Panie Eldridge – powiedział Reynard – wyraźnie prosiłem pana o utrzymanie tego w tajemnicy, prawda? Przez wzgląd na mieszkańców New Hampshire. Ten wybuch zachorowań nie osiągnął jeszcze rozmiarów prawdziwej epidemii, prawda? Wywołuje pan powszechną panikę bez żadnego uzasadnionego powodu.

– To mój obowiązek – odpowiedział krótko Eldridge. – Jeśli się mylę, gotów jestem ponieść konsekwencje. Już parę razy w życiu brałem na siebie odpowiedzialność i nie boję się teraz tego zrobić. Ludzie tu umierają, senatorze, i muszę przyznać, że dziwi mnie pańska postawa. Zapewniam, że nie będę na pana głosował.

Reynardowi przyszyły do głowy rozmaite stwierdzenia, którymi mógł go utemperować, w rodzaju: „Zniszczę cię, Eldridge” albo „Już nigdy nie będziesz w rządzie”, ale powiedział po prostu:

– W porządku, panie Eldridge, jeśli tak pan uważa – i odłożył słuchawkę.

Wszyscy patrzyli na niego, a na ich twarzach malowała się powaga. Greta, Lincoln, Dean Farber mogliby być żałobnikami na pogrzebie dziecka.

– Otóż to – powiedział Reynard. – Lincoln ma rację. Będę się musiał wycofać. Tylko wtedy wyjdziemy z tego bez uszczerbku dla reputacji, ale i wówczas będziemy musieli odpowiedzieć na mnóstwo kłopotliwych pytań.

– Nie wycofasz się – powiedziała Greta. – Weźmiesz udział w wyścigu i wygrasz go.

– To zbyt ryzykowne, Greto, za dużo ludzi już umarło. Kiedyś musimy położyć temu kres. Poza tym pomyśl, jakie reperkusje międzynarodowe mogłaby wywołać ta sprawa, gdyby się wydała, kiedy będę już prezydentem.

– Pomyśl, jakie reperkusje wywoła moje oświadczenie dla prasy, z którego wszyscy się dowiedzą, że od paru miesięcy żyjemy w separacji, a ty przekupiłeś mnie, abym udawała, iż wciąż jesteśmy szczęśliwą parą małżeńską.

Lincoln i Dean Farber wymienili spojrzenia.

– Czy to prawda? – spytał Lincoln. – Wiedziałem, że nie widywaliście się zbyt często, ale to typowe dla wszystkich kongresmanów i ich żon. Reynard, czy dobrze rozumiem to, co mówi Greta?

– Przeżywaliśmy chwilowy kryzys małżeński, to wszystko – zbył ich Reynard. – Ale już się

z nim uporaliśmy.

– Powiem wam, jak chwilowe to było – odcięła się Greta z chytrym uśmiechem. – Wszystkie moje ubrania przewieziono do Newport, Reynard płaci mi oddzielną pensję. I w moim życiu pojawił się inny mężczyzna, przy którym Reynard wygląda jak Attyla, wódz Hunów. Och, przepraszam, zapomniałam, że nie należy do dobrego tonu wspominać tu o Niemcach.

Lincoln podniósł obie ręce.

– Teraz dowiedziałem się wszystkiego – powiedział. – Chryste, Reynard, czy ty wiesz, ile pieniędzy włożyliśmy w tę kampanię? Jak ciężko harowali ludzie, by zorganizować trasy przedwyborcze, występy w radiu i telewizji, wiecie? A ty przez cały czas miałaś hitlerowski samolot w ogrodzie za domem, majątek zбитy na nazistowskim złocie i przyszłą Pierwszą Damę, która nawet cię nie lubi, nie mówiąc już o życiu z tobą.

Reynard odchrząknął i zabębnił palcami po oparciu jednego z foteli w kształcie rękawicy baseballowej.

– Wygląda na to, że się przeliczyłem, prawda?

– Powiedzenie, że się przeliczyłeś, jest zaskakującym niedomówieniem – rzekł Lincoln. – Wiesz co, Reynard, zawsze uważałem, że jesteś silny i pewny siebie, ale cała ta siła, ta pewność siebie... wiesz, co to było? Maską, którą przywdziewałeś, by ukryć swój prawdziwy charakter człowieka kompletnie wyzbytego jakichkolwiek zasad moralnych.

Po chwili dodał:

– Jeśli może to być jakaś pociecha, myślę, że stanowisz idealny materiał na prezydenta.

Dean Farber robił zapiski w swym notatniku. Podniósł rękę, jakby był w klasie na lekcji, i powiedział:

– Przepraszam, chyba o czymś tu zapominamy. O czymś istotnym, o epidemii.

– O co chodzi? – warknął Reynard. – Teraz już nic nie możemy zrobić, Eldridge ma zamiar ogłosić kwarantannę.

– Ale powiedział pan, że tej epidemii nie da się powstrzymać i nie można leczyć tej choroby. To oznacza, że jeśli nikt nie znajdzie antidotum lub przynajmniej jakiegoś sposobu zapobiegania tej chorobie, to wszyscy mieszkańcy okręgu Merrimack mogą umrzeć. Dane z ostatniego spisu ludności tego okręgu, jakimi tu dysponują, mówią o ponad osiemdziesięciu pięciu tysiącach ludzi. I z całym prawdopodobieństwem epidemia rozszerzy się jeszcze bardziej. Niektórzy mogli przenieść już wirusa poza granicę stanu.

Reynard rozejrzał się po pokoju.

– Cóż – powiedział w końcu – była jakaś metoda leczenia... o ile mi wiadomo. Johnson powiedział, że lekarze, którzy udoskonalili wirusa, wynaleźli także sposób, by zahamować jego rozwój. Ale to było czterdzieści cztery lata temu; oni pewnie już nie żyją. Trzeba by stracić parę miesięcy, żeby ustalić, kim byli i czy zostawili jakieś notatki na ten temat.

– Chcę powiedzieć, że niezależnie od naszych kłopotów politycznych i osobistych, w dalszym ciągu mamy do czynienia z epidemią.

– Wiemy o tym – powiedziała beznamiętnie Greta.

– Nie rozumiecie, o co mi chodzi.

– Nie wiedziałam, że panu w ogóle o coś chodzi – odpowiedziała Greta.

Farber ostrożnie położył swój notatnik na biurku, jakby stanowił on sedno sprawy.

– Chodzi mi o to, że jeśli człowiek znajdzie się w niekorzystnej sytuacji, to zamiast chować głowę w piasek, powinien wziąć sprawy w swoje ręce. Obecne poczynania senatora Kelly’ego jedynie ściągają na niego podejrzenia. Powinien zadzwonić do pana Eldridge’a i nie zważając na to,

że tamten ogłosił już kwarantannę w okręgu Merrimack, zażądać, by ją tam wprowadził; potem oznajmić oficjalnie, że Concord zaatakowała tajemnicza choroba, i... proszę, pozwólcie mi skończyć... i jednocześnie zobowiązać się do wyasygnowania tysiący dolarów z własnych funduszy na stworzenie laboratorium badawczego, które zajmie się poszukiwaniem źródła wirusa.

W ten sposób nie tylko odzyska polityczną inicjatywę i związane z tym uznanie, ale także całkowitą kontrolę nad wszelkimi testami laboratoryjnymi, które trzeba będzie wykonać.

Najważniejsze, że odwróci podejrzenia od swych posiadłości oraz od własnej osoby, którą tak niefortunnie wciągnięto w to wszystko. Może na tak długo, że kilku z nas wznowi poszukiwania, odnajdzie ten samolot i zniszczy go.

Reynard spojrział na Lincoln, który stał w drugim końcu pokoju.

– Gdzie wynalazłeś tego faceta? – spytał Lincoln. – Jest niezły -

– Może to on powinien kandydować na prezydenta – powiedziała lodowato Greta. – Myślę, że osobiście byłabym spokojniejsza o przyszłość świata.

Jeszcze tego dnia we wszystkich wiadomościach telewizyjnych podano, że w stolicy New Hampshire – Concord – wybuchła epidemia choroby nazwanej „hiperpolio”, na którą zmarło już trzydzieści osób. Tak naprawdę ofiar było blisko pięćdziesiąt, ale nie wszystkie jeszcze odkryto; nie uwzględniono także tych, które czekały w prosektorjach na badania.

Edmond zawsze będzie pamiętał ten dzień, w którym wybuchło zamieszanie. Bezpośrednio po spotkaniu z Natalią Vanspronsen i Waltem Seabrookiem udał się do domu młodego małżeństwa, które wraz ze swymi dziećmi zmarło w okolicznościach jakby żywcem wyjętych z „Saturday Evening Post”: mama w kuchni, w trakcie posypywania ciasta cukrem; tata i jeden z młodszych chłopców na podwórku zwinięci w kłębek na liściach, które zgrabili, a w sypialni mała, zaledwie półtoraroczna dziewczynka wciąż ściskająca pluszowego misia. Młody sanitariusz, który widział tego dnia pięć innych śmiertelnych przypadków, odwrócił się i zapłakał. Przez całe popołudnie i wieczór epidemia rozszerzała się coraz bardziej, jak ogień przenoszący się w lesie z drzewa na drzewo. Ale zamiast pożogi, szerzył się strach i niepewność; ryk ruszających samochodów załadowanych ludźmi i dobytkiem; trzask żaluzji, zamykanych na klucz domów i drzwi garaży. Na skoszonych w połowie podmiejskich trawnikach stały porzucone kosiarki.

Przez sześć czy siedem godzin szosy prowadzące z Concord do Keene, Manchesteru i Laconii były zablokowane sznurami samochodów. Niektórzy ludzie, ci bardziej śmiali, wybrali skomplikowane objazdy, ale wszystkie szosy i wiejskie dróżki były zatarasowane przez policję i opatrzone znakami głoszącymi: „Teren kwarantanny”. Samochody osobowe, ciężarówki i furgony utknęły w takim korku, że wielu kierowców zgasiło silniki, wrzuciło jałowy bieg i drzemało, budząc się tylko po to, by poniosła ich ze sobą wolno przepływająca fala pojazdów.

Nadano wiadomości: o piątej po południu senator Reynard Kelly złożył oficjalne oświadczenie w dzienniku telewizyjnym, sprawiając wrażenie poważnego i zatroskanego – nowy kandydat do prezydenckiej nominacji z ramienia demokratów, który wysforował się przed wszystkich konkurentów.

– Ta epidemia jest tragiczna i zatrważająca zarazem. Opłakuję śmierć tych, których już zabrała, i łączę się w bólu z tymi, których osierociła. Nie wiemy jeszcze, co ją spowodowało, ale zamierzamy to wyjaśnić. Osobiście finansuję utworzenie laboratorium, w którym badania będzie prowadziło kilku najwybitniejszych neurologów i wirusologów z całego kraju, a także zespół lekarzy naukowców z Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w New Hampshire – wszyscy skoncentrują swoje wysiłki na opanowaniu tej straszliwej epidemii.

Z całego kraju – Los Angeles, Denver, Seattle – napływały informacje o nowych zachorowaniach, gdyż goście opuszczający New Hampshire nieświadomie zabierali ze sobą wirusa. Nazajutrz wczesnym rankiem, podczas przyjęcia w Lincoln w stanie Nebraska, zmarło piętnastu studentów Uniwersytetu Wesleyan; w South Portland, w stanie Maine, w domowym basenie znaleziono trzyosobową rodzinę, którą zadusiło hiperpolio; w Atlancie, w stanie Georgia, jakaś para zmarła przy stoliku w restauracji.

Jednak zachorowania były jeszcze sporadyczne, a ponieważ wielu przypadków z początku nie rozpoznano – dwoje ludzi z restauracji przez dwadzieścia cztery godziny uważano za ofiary udławienia się – nie stwierdzono bezpośredniego związku między epidemią w Concord a nagłymi przypadkami uduszeń w całym kraju. Okazało się, że od Maine po Kalifornię lekarze sądowi i patolodzy pracowali przez całą noc. To była już tylko kwestia godzin, żeby Ministerstwo Zdrowia w Waszyngtonie uświadomiło sobie, iż stoi w obliczu epidemii, która zagraża całemu narodowi.

Zanim nastał wtorkowy świt, Edmonda wzywano do kolejnych jedenastu przypadków. Po masowej ucieczce, do której doszło wczorajszego wieczoru, Concord było teraz nienaturalnie ciche; większość samochodów poruszających się po ulicach należała do policji, która poszukiwała domniemanych szabrowników. Nad Politechniką Stanową w New Hampshire unosił się wielki ogień – olbrzymie mętnopomarańczowe płomienie z cienką smugą czarnego dymu. Gdzieś dalej na zachód widoczny był inny, gwałtowniejszy płomień, jakby palił się samochód lub mały samolot.

Kiedy Edmond przyjechał do dziesiątego z kolei przypadku, tym razem przy Shawmut Avenue w East Concord, był już tam Oscar Ford. Sprawiał wrażenie zmęczonego i spoconego; głośno wytarł nos, gdy dwóch sanitariuszy wyniosło z domu pierwszą ofiarę.

– Dobrze ich znałeś? – spytał Oscar. Edmond kiwnął głową.

– Miła rodzina, dzieci dobrze wychowane.

– Wygląda na to, że padają mili ludzie – powiedział Oscar. – Mili ludzie z dobrze wychowanymi dziećmi.

– Przyjęcie z niespodzianką, co?

Oscar poklepał go po ręce.

– To jest właśnie to, co w telewizji nazywają katastrofą, E.C. Wiesz, kiedy pokazują te filmy o pożarach, trzęsieniach ziemi i podobnych klęskach. Cóż, tym razem przeżywamy to naprawdę.

– Zdajesz sobie sprawę, że następną ofiarą może być któryś z nas, albo nawet my obaj?

Oscar skrzywił się.

– My, patologowie, nie zastanawiamy się nad takimi rzeczami. Kiedy całymi dniami musisz badać na wpół zgniłych sztywniaków, nie dopuszczasz do siebie myśli, iż pewnego dnia sam będziesz sztywny.

– Co to? Najnowsza maksyma doktora Forda? Oscar popukał się w czoło.

– Po prostu sposób na utrzymanie się przy życiu, tutaj, w środku tego wszystkiego.

Sanitariusze wynieśli ostatnią ofiarę, sześciolatniego chłopca. Czerwony koc niezbyt dokładnie zakrywał jego zmierzwiłone włosy i Oscar zrobił krok do przodu, by mu go naciągnąć na głowę.

– Przy okazji – powiedział do Edmonda, sięgając do kieszeni – co ty na to?

Podał Edmondowi celofanową kopertę, zawierającą pustą szklaną fiolkę. Edmond odwrócił w palcach kopertę, po czym podniósł ją pod światło reflektora zainstalowanego na dachu karetki. Na dnie fiolki znajdowała się odrobina bezbarwnego płynu, a dookoła jej szyjki widniały białawe przezroczyste plamki, jakby kiedyś była zaplombowana woskiem.

– Gdzie to znalazłeś? – spytał.

– W tym domu, w zagłębieniu kanapy. Zawsze wsadzam ręce w szpary między oparciami kanap.

Zdziwiłbyś się, co tam można znaleźć. To chyba siła przyzwyczajenia. Kiedyś w zagłębieniu kanapy mojej teściowej znalazłem banknot dziesięciodolarowy; uznałem to za skromną rekompensatę za jej twarde jak kość ciasteczka, które musiałem jeść.

– To niemieckie – powiedział Edmond. – Spójrz, z boku jest wygrawerowana niemiecka nazwa.

Oscar pochylił się i spojrzął z ukosa na kopertę.

– Nie mam okularów – powiedział. – Jeśli chcesz, możesz wyjąć fiolkę, ale trzymaj ją za oba końce; chcę, by po moim powrocie sprawdzono, czy nie ma na niej odcisków palców.

Edmond otworzył kopertę i ostrożnie wyjął z niej flakonik. W torbie w samochodzie miał szkło powiększające; obejrzał pod nim dokładnie buteleczkę. Oscar czekał obok niego z rękami w kieszeniach, pociągając od czasu do czasu nosem.

– Założę się, że złapałem katar od tego durnia Morrettiego – rzekł.

– Tutaj widać zupełnie wyraźnie – powiedział Edmond. – „Oberhausen Glasfabrik” i numer seryjny.

– Może w środku znajdowało się jakieś lekarstwo? – zasugerował Oscar.

– Wkrótce się dowiemy, prawda? Na dnie zostało dość płynu, żeby przeprowadzić analizy. Chciałbym wiedzieć, co to jest.

– Cóż, dam to Limowi Kimowi. On jest naszym ekspertem od tajemniczych substancji. Do tej pory pomylił się jedynie przy analizie ingrediencji ciasteczek mojej teściowej: obaj zgadzamy się, że podstawowym składnikiem jest cement, ale wciąż spieramy się o granit i wilczą jagodę.

Edmond wiedział, że Oscar żartuje tylko dlatego, iż jest przerażony. Oddał mu fiolkę, klepnął go po plecach i powiedział:

– Mam nadzieję, że widzimy się dzisiaj po raz ostatni.

– To już czterdziesta siódma ofiara – rzekł Oscar.

– Przynajmniej Eldridge zarządził kwarantannę.

– Bryce powiedział, że powinni zrobić to wcześniej. Dużo wcześniej – wtedy, gdy po raz pierwszy to proponowaliśmy.

– Bryce tak powiedział?

– Bryce może mieć fioła na punkcie protokołu, ale jest dobrym lekarzem.

Odjechali w różne strony – Oscar do szpitala za karetką pogotowia, Edmond do zajazdu Brick Tower. Edmond był wyczerpany i lepił się od potu, pragnął jedynie wziąć gorący prysznic, wypić filiżankę kawy i przespać się z godzinkę. Niemal świtało; smuga szarego światła rozszerzała się na horyzoncie za pociemniałymi wierzchołkami lasu Taylor. Radio nadawało wiadomości, ale jedyną wzmianką o epidemii był komunikat przekazany przez gubernatora, który Edmond słyszał już dwukrotnie, z apelem do mieszkańców Concord i okręgu Merrimack, by „zachowali spokój, nie wpadali w panikę i poddali się kwarantannie”. Gubernator podał jeszcze pięć numerów, pod które w każdej chwili można zadzwonić, gdyby tylko „ktoś poczuł się niedobrze lub miał nieoczekiwane trudności z oddychaniem”. Jeden z tych numerów należał do Edmonda. Spodziewał się, że w klinice Lara staje na głowie, próbując odebrać wszystkie telefony. Cholera, gubernator powinien podać własny numer.

Edmond wjechał właśnie na autostradę Fredericka E. Everetta, gdy w samochodzie rozległ się krótki, urywany sygnał telefonu. Podniósł słuchawkę i powiedział:

– Jak leci, Laro? Wielkie zamieszanie?

– Mam wrażenie, że centralka za chwilę się roztopi – powiedziała. – Ale ze mną wszystko w porządku. Pomaga mi koleżanka, zmieniamy się; każda odbiera po dwadzieścia telefonów.

– Chciałbym mieć godzinkę dla siebie, żeby się przespać i wypić filiżankę kawy – powiedział

Edmond. – Nie mamy więcej nagłych przypadków, prawda?

– Tylko jeden, doktor Pryor się nim zajmuje.

– Niech Bóg błogosławi doktora Pryora. Coś jeszcze?

– Tak, jeśli w dalszym ciągu jest pan w pobliżu East Concord. Mieliśmy telefon od rodziny Mayerów... zna pan Berniego Mayera? Najwyraźniej Bernie nie czuje się zbyt dobrze, chociaż nie sądzę, by faktycznie nabawił się hiperpolio.

– Powiedz im, żeby mu dali aspirynę i posłali do łóżka – rzekł Edmond.

– Dobrze – westchnęła Lara.

Edmond potarł oczy. O Boże, był taki zmęczony. Ale jeśli młody Bernie zaraził się hiperpolio?

– Po namyśle zdecydowałem się tam pojechać – powiedział Larze. – Może uda mi się trafić na kogoś, kto właśnie zachorował. Do tej pory oglądałem tylko zwłoki.

– Jak pan uważa, doktorze.

Zjechał z autostrady ślimakiem przy Fort Eddy. Ogień na politechnice już wygasł, choć wciąż powlekał ją czarny gęsty dym, przez który dogasające płomienie mrugały niczym światła prehistorycznego obozowiska. W połowie zjazdu do Sugar Ball stał samochód policyjny. Funkcjonariusz machnął Edmondowi, żeby zjechał na bok, ale gdy zobaczył legitymację lekarza, pozwolił mu jechać dalej.

– Wie pan, czatujemy na rabusiów. Złapaliśmy rodzinę, która przejeżdżała tędy z bagażnikiem wyładowanym meblami ogrodowymi. Ludzie umierają, a oni myślą tylko o meblach ogrodowych.

Edmond zatrzymał się przed domem Mayerów i zaparkował samochód. Było już widno. Samotny ptak ćwierkał i trzepotał skrzydłami na niewielkim drzewie pośrodku trawnika. Pani Mayer otworzyła drzwi frontowe, gdy Edmond był jeszcze w połowie ścieżki, i zaprosiła go do środka.

– Wiem, że przez tę epidemię jest pan bardzo zajęty, doktorze, ale Bernie jest w okropnym stanie. Nie chce z nami rozmawiać, nie chce jeść, przez cały czas płacze. A jeśli pytamy go jak się czuje, mówi nam, że i tak nie zrozumiemy. – Witam, doktorze – powiedział pan Mayer, wychodząc kuchni. – Przepraszam, że wezwaliśmy pana, ale martwimy się. Szczególnie po tym, co przytrafiło się Michaelowi.

– Może napiłby się pan kawy? – spytała pani Mayer. – O niczym innym nie marzę – odpowiedział Edmond. Poszedł na górę do sypialni Berniego. Zastłony były wciąż zaciągnięte, Bernie w piżamie kulił się w kącie, zasłaniając twarz rękami. Edmond przyciągnął krzesło i usiadł na nim okrakiem. Patrzył długo na Berniego, zanim się odezwał:

– Twoi rodzice powiedzieli mi, że nie czujesz się najlepiej. Bernie nie odpowiedział.

– Mówią, że nie odzywasz się, nie jesz, przez cały czas płaczesz.

Bernie wciąż nie odpowiadał, ale rozsunął nieco palce i Edmond zobaczył błyszczące oko, które uważnie mu się przyglądało.

Edmond przeciągnął palcami po włosach.

– Czy ma to coś wspólnego z Michaeliem? – spytał. – Mówiłem ci przedtem, że będziesz go bardzo żałował.

– Nie – zachrypiał Bernie.

– Nie chodzi o Michaela?

– To była wina Michaela.

– Czym Michael zawinił? Tym, że umarł, czy że cię zostawił?

– Uh-uh. To wina Michaela, że ci wszyscy ludzie się rozchorowali.

Edmond zmarszczył brwi.

– To nie była jego wina, Bernie, on także zachorował. To po prostu jedna z tych tragedii, które



się czasami zdarzają.

– To nie przeze mnie, nie wiedziałem, co w nich jest. Teraz wszyscy pomyślą, że to moja wina, a nie Michaela. To wcale nie przeze mnie, przysięgam. Mam nadzieję, że umrę. Nie wiedziałem.

Edmond wstał, podszedł do łóżka i usiadłszy na brzegu, położył rękę na kolanie Berniego.

– Posłuchaj, Bernie, nic z tego nie rozumiem. Co nie było twoją winą?

Bernie drżał. Chociaż trzymał ręce przyciśnięte do twarzy, błyszcząca łza przedostała się przez palce i stoczyła na pierś.

– Bernie – przekonywał go Edmond – jestem lekarzem. Wiesz, co to znaczy? Bez względu na to, co mi powiesz, bez względu na to, co zrobiłeś, nie wolno mi nikomu o tym opowiedzieć, jeżeli sam nie będziesz tego chciał. Kiedy zostałem lekarzem, musiałem złożyć przysięgę, że dochowam tajemnicy zawodowej, i nigdy jej nie złamałem.

Bernie rozszerzył nieco palce.

– Naprawdę? Nigdy pan nic nikomu nie powtórzył? A co by się stało, gdybym powiedział, że jestem mordercą?

– Pewnie próbowałbym cię przekonać, byś się oddał w ręce policji, ale nie poszedłbym na posterunek.

– To nie była moja wina – powtórzył Bernie. – Naprawdę, słowo daję.

Edmond milczał przez chwilę. Wreszcie powiedział łagodnie:

– Opowiedz mi wszystko.

– To chyba te butelki.

– Butelki?

Bernie odjął ręce od czerwonej, zalanej łzami twarzy i rozszerzył palec wskazujący oraz kciuk na mniej więcej cztery cale.

– Sześć buteleczek w skórzanej walizeczce. Znalazłem je w naszej tajnej skrytce w garażu Michaela. Nie wiedziałem, co w nich jest. Czulem do nich... nie wiem... coś w rodzaju złości, ponieważ Michael nie żył i nie mógł mi nic powiedzieć. W końcu miałem dosyć wyjmowania i oglądania tych buteleczek, zaniósłem je więc do szkoły i sprzedałem. Każdemu mówiłem, że jest to tajemny napój posłuszeństwa i jeśli da się go trochę mamie czy tacie, to oni spełnią wszystkie życzenia.

Edmond odezwał się cichym, opanowanym głosem:

– Pamiętasz nazwiska kolegów, którym je sprzedałeś?

Bernie kiwnął głową.

– Powiem ci, o kogo chodzi – rzekł Edmond; wymienił nazwiska sześciu rodzin, dodając na końcu nazwisko rodziny z Shawmut Avenue, której dom właśnie opuścił.

Bernie patrzył na niego zdumiony. Jego rzęsy zlepione były łzami.

– Skąd pan wie? – spytał.

– Ponieważ każda z tych rodzin miała dziecko w twojej szkole, Bernie. Teraz wszyscy nie żyją.

Bernie spojrział na narzutę. Następnie dwie łzy spłynęły mu po policzkach.

– Zamkną mnie w więzieniu? – spytał.

Edmond objął go ramieniem.

– Nie, Bernie. Może powinieneś wcześniej o tym opowiedzieć, ale sądzę, że wszyscy zrozumieją, dlaczego tego nie zrobiłeś. To wymaga ogromnej odwagi, by się przyznać, że było się głupcem, szczególnie gdy konsekwencje są tak poważne, jak w tym przypadku. Ludzie dużo starsi od ciebie, którzy nie popełnili aż tak tragicznych w skutkach czynów, bali się do nich przyznać.

Bernie przywarł mocno do Edmonda i załkał. Edmond pogłaskał go po plecach, próbując

uspokoić. W końcu powiedział:

– Domyślasz się, gdzie Michael mógł znaleźć te buteleczki? Bernie pociągnął nosem i kiwnął głową.

– Chyba tak. Tamtego dnia, kiedy byłem na lekcji muzyki, poszedł na Conant's Acre, tuż obok Webster Crescent, i chyba był w lesie na końcu tego pola. Sam tam poszedłem i na jednym z drzew zobaczyłem znak zrobiony przez Michaela. Dla oznaczenia drogi wycinaliśmy tylko sobie znane znaki na drzewach, ale nie mogłem sprawdzić, dokąd prowadziły te ślady, gdyż nadszedł jakiś mężczyzna i kazał mi się stamtąd wynosić.

Edmond wstał.

– Posłuchaj, Bernie – powiedział. – Skorzystam z telefonu twojej mamy. Chciałbym, żebyś się ubrał, kiedy będę telefonował. Załóż dzinsy i sweter, coś ciepłego. Później powinienesz mnie chyba zabrać na Conant's Acre i pokazać, gdzie zobaczyłeś znak wycięty przez Michaela. Myślisz, że możesz to zrobić?

– Tak, proszę pana.

– No, to w porządku. A teraz się pospiesz, rozumiesz?

Edmond zszedł na dół. Państwo Mayer czekali na niego w korytarzu.

– Czy stało mu się coś złego? – spytała pani Mayer. – Nie zachorował na heinemedinę, prawda?

Edmond potrząsnął głową.

– Fizycznie ma się świetnie.

– Chce nam pan powiedzieć, że umyślowo nie? – spytał pan Mayer.

– On po prostu trochę się martwi, ale sądzę, że szybko to wyjaśnimy. Czy mogę skorzystać z telefonu?

– Bardzo proszę – powiedział pan Mayer, wyraźnie zdezorientowany.

Edmond połączył się z doktorem Oscarem Fordem, który dotarł właśnie do biura. Sądząc po głosie w słuchawce, był zmęczony i podenerwowany.

– Oscar, tu Edmond. Dowiedziałem się o czymś, co może mieć dla nas przełomowe znaczenie. Chcę, żebyś jak najszybciej przyjechał do East Concord.

– E.C., to niemożliwe. Wszystko jest wypchane zwłokami aż po parking; jest siódma trzydzieści; nie spałem przez całą noc! I muszę przeprowadzić jeszcze dziewięć sekcji zwłok, zanim pójdę spać, dziewięć, E.C., więc mnie nie prosz.

– Oscar, chyba jestem bliski odkrycia, skąd wziął się ten wirus.

Oscar zastanawiał się długo.

– Jesteś pewien?

– O ile to możliwe. Szklana fiolka, którą znalazłeś w domu Harringtonów, jest jedną z sześciu. Bernie Mayer znalazł je w tajemnej skrytce w domu Osmanów po śmierci Michaela. Trzymał je przez jakiś czas, po czym sprzedał kilku szkolnym kolegom. Nazwiska tych kolegów zgadzają się z listą zmarłych rodzin.

– Na litość boską! – powiedział Oscar. – Skąd Michael je wziął?

– Bernie sądzi, że mógł je znaleźć gdzieś na Conant's Acre. Poszedł tam parę dni temu i zobaczył znaki, które Michael wyciął na paru drzewach. Nie mógł iść ich tropem, ponieważ jeden z ludzi senatora Kelly'ego kazał mu zwiewać stamtąd, ale jest prawie pewien, że Michael musiał znaleźć fiolki gdzieś w pobliżu. Ci dwaj chłopcy byli serdecznymi przyjaciółmi i zawsze sobie wszystko mówili. Jeśli zatem Michael wyciął znaki na drzewach dla oznaczenia drogi, musiał to zrobić tamtego popołudnia, kiedy nie było z nim Berniego – tamtego dnia, kiedy umarł. Nie miał już okazji powiedzieć Berniemu, co znalazł.

– Posłałem już fiolkę Limowi Kimowi do analizy. Myślę, że nie pojawi się w laboratorium przed dziewiątą trzydzieści; niektóre wyniki powinniśmy otrzymać przed lunchem.

– Oscar, przyjeźdź tu, dobrze? Zostawmy na razie zmarłych.

Oscar zakrył na chwilę ręką słuchawkę. Edmond słyszał, jak mówi coś stłumionym głosem. W końcu powiedział:

– W porządku, E.C. Będę za dziesięć minut. Podaj mi adres, dobrze?



## Szesnaście

Niemal w tym samym czasie Chiffon Trent dostała próbkę filmowej twórczości Denzila.

Obudził ją o świcie, wrzeszcząc jej do ucha na całe gardło. W odpowiedzi krzyknęła przerażona, próbując uwolnić się z więzów. Denzil stał z rękami w kieszeniach i uśmiechał się do niej. Miał na sobie elegancki, perłowo-szary garnitur w stylu lat czterdziestych i szeroki krawat, na którym namalowana była purpurowa palma.

– Przestraszyłem cię? Już świta.

– Świta? – spytała oszołomiona.

– Nie mówiłem ci, że wszyscy wielcy reżyserzy wstają o świcie? Wtedy właśnie gwiazdy filmowe są najbardziej wypoczęte i czułe. Ty, kochanie, wyglądasz na wyjątkowo czułą.

– Nie zamierzasz... nie zamierzasz chyba kręcić filmu? Nie teraz...

– Teraz, prędko, niezwłocznie.

– Oszalałeś. Nie mam zamiaru...

Denzil roześmiał się niezbyt wesoło, jak wdzięczący się kłown lub wędrowny grajek.

– Nie żyjesz, pamiętasz? Taka tragedia. To tym bardziej tragiczne, że nie masz prawa mieć własnego zdania, skoro nie żyjesz. Jak możesz nazywać mnie szalonym, jeśli nie żyjesz? Jak możesz nie zgodzić się na zagranie głównych ról w paru filmikach, jeśli nie żyjesz? Nie żyjesz, panno Trent, umarłaś na amen. Zatem jeśli coś ci się przytrafi... wiesz, gdyby przyszło ci do głowy, żeby się sprzeciwić... pamiętaj, że nikt nie ma zamiaru cię szukać i nikogo to nie wzruszy. Jesteś zdana na siebie, kochanie. Zrozum mnie, młoda damo, pożałujesz, jeśli nie zrobisz tego, co ci każę, naprawdę pożałujesz.

Szybko rozwiązał szaliki, którymi była skrupowana, i naga wyprowadził na korytarz; bosymi stopami sunęła po miękkim dywanie, po wąskim, wyłożonym chodnikiem podeście, i następnym korytarzem, którego ściany pokrywały oprawione ryciny P. Buckleya Mossa – wysocy, chudzi ludzie wśród wydłużonych krajobrazów – dopóki z trzaskiem nie otworzył drzwi, za którymi znajdowało się studio. Jaskrawo oświetlone, ogromne i wysokie pomieszczenie służyło kiedyś jako warsztat naprawy karoserii. Denzil pomalował ceglane ściany czarną matową farbą i w jednym końcu hali ustawił z trzech stron gipsowe ścianki ozdobione tapetą w złote wzory i obwieszone obrazami w stylu Regencji – odpowiednie rokokowe tło dla ozdobnego, stojącego pośrodku sceny olbrzymiego łóżka przeznaczonego do orgii seksualnych; było starannie posłane, z nastroszonymi poduszkami i dokładnie odwiniętymi prześcieradłami.

Jednak nie łóżko przyciągnęło najpierw uwagę Chiffon, ale widok dwóch nagich mężczyzn, którzy stali po przeciwnej stronie studia, paląc na spółkę trawkę. Jeden z nich był czarny, drugi biały; każdy miał ponad sześć stóp wzrostu i budowę ciała piłkarza – masywną pierś, wąską talię i uda żylaste jak szynka z Kentucky. Rozmawiali od niechcienia, mówiąc, co im ślina na język przyniesie, jakby czekali na pracę w Illinois, w fabryce paczkującej mięso – ot, faceci, którzy przyszli tu świadczyć usługi, bez względu na to, jakie dziewczyny im zamówiono.

– Oglądałeś baseball wczoraj wieczorem? A widziałeś to zagranie? Było okropne.

– Oto ona, chłopcy – powiedział Denzil. – Nasza gwiazda. Mężczyźni rzucili okiem na Chiffon i znów odwrócili się do siebie. Chiffon miała wrażenie, że byli niemal zakłopotani, patrząc na nią, choć nie miała pojęcia dlaczego. Jeśli grali w filmach porno, to czemu mieliby być skrupowani?

– Chodźcie tutaj – powiedział Denzil. – Przedstawcie się. Pójdę zobaczyć, co się dzieje z Rossim.

Chiffon, która stała tuż obok łóżka, nie ruszyła się z miejsca. Mężczyźni wzruszyli porozumiewawczo ramionami, po czym przeszli przez pokój i stanęli po obu jej stronach, zakładając na piersiach swe muskularne ręce.

Murzyn przewyższał Chiffon o głowę. Był kompletnie łysy, jego czaszka połyskiwała niczym lśniące jabłuszko.

– Możesz mnie nazywać Pisco – odezwał się. – Tak mówią do mnie przyjaciele.

Biały mężczyzna był blondynem ze splątanymi lokami i jasnym, skąpym wąsikiem. Uśmiechnął się nieśmiało i powiedział:

– Jestem John, jak się masz?

– Nigdy nic takiego nie robiłam – stwierdziła Chiffon.

– Jasne, każdy musi gdzieś zacząć – powiedział poważnie John. – Wiesz, chyba ci się to spodoba. Niezła forsa za łatwą robotę. To znaczy łatwiejszą dla dziewczyny niż dla faceta. Wiesz, facetowi musi cały czas stać, a to wymaga szczególnego talentu. Musisz myśleć o czymś innym, na przykład o cenach używanych samochodów. Sam zarabiam na używanych samochodach, kiedy nie robię tego. Wysokiej Klasy Stare Graty Johna.

– Zamknij się, człowieku – wtrącił Pisco. Cmoknął na karalucha, zanim rozgniół go palcami.

Właśnie wtedy wrócił Denzil w towarzystwie Mae-Beth, kroczącej tuż za nim w różowo – łososiowej, zrobionej szydełkiem sukience mini, i operatora – Eugene’a Rossiego, który włókł się parę kroków w tyle z ciężkim statywem. Rossi miał na sobie czerwoną baseballową czapkę i trampki, które kłapały tak, jakby były o trzy numery za duże. Nie spojrzał nawet na Chiffon, kiedy ustawiał kamerę wideo.

Mae-Beth podeszła do Chiffon i otoczywszy ją ramieniem, powiedziała:

– Nie martw się, kochanie. To zwykły półgodzinny por – nos. – Uśmiechnęła się, pocałowała Chiffon w policzek i oznajmiła: – Znam tych dwóch facetów. Dobrze się z tobą obejdą, obiecuję. Prawda, chłopcy?

– Jasne, Mae-Beth – odpowiedział lakonicznie Pisco. – Jakby była ze złota.

Denzil zakaszłał i powiedział:

– Zabierzmy się wreszcie do tego. Połóżcie się na łóżko, Chiffon w środku. Zaczynamy od intensywnej gry miłosnej, okay?

Chiffon położyła się między nimi, czując olej kokosowy od Pisca i wyraźny zapach potu od Johna. Drżała na wpół z przerażenia, na wpół z podniecenia. Najbardziej niepokoiła ją świadomość, że przestała być panią samej siebie, że nie istnieje jako człowiek. Była tylko naga, anonimową kobietą, którą każdy mężczyzna może w dowolny sposób wykorzystać. Nikt nie przyjdzie jej nigdy z pomocą, a jedyną szansą przetrwania jest robienie dokładnie tego, czego od niej żądają.

– Chiffon, to ma być fantastyczny kawałek, rozumiesz – powiedział Denzil, rozpierając się przed kamerą, z rękami w kieszeniach. – Później wstawimy go do dłuższego filmu, ale zamierzamy to również sprzedać jako samodzielny kawałek na wideo. Zasnęłaś, przyśniło ci się tych dwóch chłopców; nagle zaczynasz wierzyć, że przeżywasz to na jawie.

Chiffon cała drżała. Zduszonym głosem spytała Denzila:

– Co mam robić?

– Po prostu bądź czuła, okay? Wiesz, jak to robić, prawda?

– Nie wiem, czy potrafię.

– Na litość boską, będziesz musiała.

– Nie wiem. Nie wiem. Nie mogę.

Ale wtedy Pisco odwrócił się i powiedział do niej półgłosem:

– Nie panikuj! Rozumiesz? Nie skrzywdzimy cię, nie denerwuj się. Zapanuj nad sobą, zamknij oczy i pomyśl o kimś, kogo kochasz. To możesz zrobić, prawda?

Chiffon przełknęła ślinę i skinęła głową. Następne mniej więcej dwadzieścia minut zdawało się trwać całe życie – jej strach i poczucie wstydu widocznie dały taki efekt, jakiego oczekiwał Denzil, gdyż cały czas nie zwracał na nią uwagi, dyrygując jedynie jej partnerami. Później pamiętała tylko fragment tego, co się wydarzyło. Pamiętała ich obu wsuwających się w nią jednocześnie – dwa gładkie, muskularne, spocone ciała, jedno pod nią, drugie walące się na nią z góry.

Denzil, nie mrugnawszy nawet okiem, patrzył, paląc papierosa, jak powtórzyło się to więcej niż dwadzieścia, może trzydzieści razy. Widział to już przedtem dziesiątki razy i dziesiątki razy jeszcze to zobaczy. Czysta pornografia. Stopniowe odzieranie kobiety z dumy, tożsamości, poczucia własnej wartości, dopóki nie nabierze ochoty, by zrobić wszystko dla każdego, nie dbając o to, czy jej za to płacą lub nawet czy oznacza to różnicę między życiem i umieraniem. Kiedy kręcono końcowe sceny – strzelanie, duszenie czy cokolwiek innego, czego życzył sobie klient – dziewczęta były niemal zawsze gotowe do ostatnich oczyszczających katuszy, do seksualnego męczeństwa. Zwykli ludzie nie rozumieli tego. To ich przerażało. Denzil jednak wiedział, że tkwi to w zwykłych mężczyznach i kobietach, dlatego zupełnie go to nie przerażało. Gwałtowny orgazm i gwałtowna śmierć składają się z tych samych elementów.

– Dwie minuty – rzucił Rossiemu, obserwując z całkowitą obojętnością, jak Pisco efektownie szczytuje.

– To skandal, wiesz – powiedziała Mae-Beth.

– Życie jest skandalem – odrzekł Denzil.

Rossi odsunął się od łóżka pod kątem czterdziestu pięciu stopni, żeby sfilmować orgazm Johna, potem podniósł raptownie kamerę i powiedział:

– No, dobra. – Wszystko skończyło się tak nagle, jak się zaczęło.

Chiffon wciąż leżała w tym samym miejscu, wpatrując się w pomalowany na czarno sufit. Mae-Beth podeszła z pudełkiem chusteczek higienicznych i usiadła na brzegu łóżka.

– Dobrze się czujesz, kochanie?

Chiffon spojrzała na nią niewidzącym wzrokiem, jakby nie rozumiała, co się dzieje. Mae-Beth otarła ją delikatnie chusteczką i powiedziała:

– To wszystko jest oburzające, ale cóż możemy zrobić? Podaż i popyt, rozumiesz? Ludzie czegoś chcą, a inni są gotowi wyłożyć na to duże pieniądze, tak to wygląda.

– W porządku, Mae-Beth – powiedział Denzil chłodno. – Zabierz ją z powrotem do pokoju, dobrze?

Prowadziła Chiffon jak zahipnotyzowaną. Tymczasem Pisco wciągnął czarną skórzaną przepaskę i otworzył puszkę V-8; John usiadł nago ze złączonymi kolanami na brzegu łóżka i starannie zwinął kolejnego skręta; Denzil chodził dookoła, gasząc światła, i w studiu robiło się coraz ciemniej.

Otworzyły się boczne drzwi i do środka weszło trzech młodych ludzi. Jeden z nich podszedł prosto do Denzila i wyciągnął doń rękę.

– Halo, panie Forbes! Co słychać? – zagadnął.

– Och, to ty – powiedział Denzil, nie zamieniając uścisku. – Kim są ci faceci?

– Dwoma najlepszymi ogierami w branży, a także aktorami, zawodowymi aktorami.

– Macie jakieś doświadczenie? – spytał Denzil.

– Jakieś tak – powiedział wyglądający jak chuligan młodzieniec w żółtych džinsach.

– A ty? – spytał Denzil drugiego.

– Jak powiedział pan Manzanetti, jestem zawodowym aktorem. Pan chce, żebym coś zrobił, i ja to zrobię.

– Kim jesteś? Polakiem?

– Rosjaninem – odpowiedział młody mężczyzna.

– Rosjaninem? No, no. *Raz paznakomitsja.*

– Zna pan rosyjski? – spytał ostrożnie Piotr.

– Och, chłopcze, znam mnóstwo rzeczy. – Denzil uśmiechnął się. – Wytrzymaj tak długo, jak sowieckie stacje kosmiczne, a ubijemy interes. Rzuciłeś okiem na ostatnią sesję, jaką skręciliśmy. Czy ta dziewczyna nie jest lepsza niż inne? Właśnie z nią będziesz pracował.

Piotr kiwnął głową i próbował się uśmiechnąć, ale nic nie powiedział. Wciąż był zszokowany tym, co właśnie zobaczył z górnego balkonu studia. Chiffon! Chiffon, której tak żałował, żywa, wyzywająca jak zawsze – i kręcąca filmy porno na Środkowym Zachodzie. Na jej widok poczuł tak nagły przypływ uczuć, że nie wiedział, co powiedzieć ani nawet, co myśleć. Czuł ulgę, że zobaczył ją żywą, ale i gwałtowną niechęć, że ujrzał ją sfilmowaną z dwoma obcymi mężczyznami, a w końcu gniew, że wystrychnęła go na dudka. Musiała się zdecydować na zerwanie z nim, z Reynardem, z nieudaną karierą filmową – i zacząć od nowa jako królowa porno. A co potem? Nowe życie pod nowym nazwiskiem? Piotr nie wiedział tego ani nie chciał się tym interesować. I tak niełatwo mu było zdecydować się na przyjazd do Milwaukee po to, by zarabiać jako wynajęty ogier. A teraz dowiedział się, że dziewczyna, którą lubił najbardziej ze wszystkich w Stanach Zjednoczonych, przybyła tu wcześniej i kręci filmy pornograficzne. Poczuł żółć w ustach i zaczął go dusić gorący zapach filmowych świateł i elektrycznego sprzętu.

– Muszę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza – powiedział Billowi Manzanettiemu.

– Kiepsko się czujesz? Jakoś blado wyglądasz.

– Nie, wszystko w porządku, po prostu jestem trochę zmęczony.

– Lepiej nie choruj. Nie możesz grać w pornosach, jeśli jesteś chory.

– Nie jestem chory, rozumiesz? Potrzebuję tylko trochę świeżego powietrza.

Billy Manzanetti sięgnął do kieszeni dzinsów i wyciągnął kluczyki zawieszony na biało – czerwonym plastikowym breloczku.

– Weź samochód, pojedź do tego sklepu, który widzieliśmy na rogu, i kup nam parę butelek chardonnay. Potrzebujesz forsy?

– Dam sobie radę. Za dziesięć minut będę z powrotem. Piotr opuścił duży, obskurnie wyglądający budynek przy West Good Hope Road i wyszedł na parking. Białe pinto, które wynajęli na lotnisku, było zaparkowane obok olbrzymiego, przepastnego imperiała le barona Denzila. Dochodziła ósma rano, niebo było jasne, z lekką pokrywą chmur, w powietrzu wyczuwało się chłód – typowy jesienny poranek w pobliżu jeziora Michigan. Piotr zatarł ręce dla rozgrzewki; z jakiegoś powodu, po raz pierwszy od lat, poczuł się jak Rosjanin – obcy, skompromitowany człowiek w bezkompromisowym kraju.

Podjechał pod sklep na rogu, wyskoczył z samochodu i minąwszy sklepową witrynę, podszedł do ulicznego telefonu. Podniósł słuchawkę i powiedział jednym tchem:

– Chciałbym zamówić rozmowę płatną przez numer w Nowym Jorku.

Minęły niemal trzy minuty, zanim uzyskał połączenie.

– Tak? Tu Czerenkow – odezwał się ostry głos.

– Jestem w Milwaukee – powiedział Piotr.

– Tak, zrozumiałem. Pamiętaj, że to ja płacę za rozmowę.

– Słuchaj, znalazłem tę dziewczynę. Ona żyje.



– Jaką dziewczynę?

– Chiffon Trent. To musiał być jakiś podstęp. Chiffon Trent żyje i jest tutaj. Sama może opowiedzieć ci wszystko, co chcesz wiedzieć o Reynardzie Kellym. Wie więcej niż ja.

– Daj mi swój adres.

– Nie, dopóki mi nie przyrzekniesz, że zostawicie moją matkę w spokoju.

– Och, przestań, Piotr, mogłeś to wszystko zmyślić. Prasa pisała, że ta dziewczyna umarła, a teraz tyją znowu ożywiłeś?

– To prawda.

Czerenkow milczał chwilę. W końcu powiedział:

– Może jakoś dojdziemy do porozumienia, jeśli to naprawdę ona.

– Naprawdę.

– Cóż, to bardzo podejrzan.

– Czerenkow, to prawda. Sam nie mogę w to uwierzyć. W jednej chwili jesteśmy kochankami, w następnej ona odchodzi, a później słyszę, że została zabita; teraz przyjeżdżam do Milwaukee i zupełnie przypadkowo dowiaduję się, że ona tu jest. To prawda.

– Nie wiem, Piotrze. Twoja matka winna jest popełnienia wielu poważnych przestępstw.

– Dajcie jej spokój, Czerenkow, a powiem ci, gdzie możesz znaleźć Chiffon Trent. Nie idę na żaden inny układ.

– Hmm – mruknął Czerenkow.

Zimny podmuch wiatru przywiał na parking środkową część „The Milwaukee Journal”, a za nią stronę tytułową z wielkim nagłówkiem: „Tajemnicze polio uderza w Milwaukee?”

W końcu Czerenkow powiedział:

– W porządku. Chyba ci wierzę. Ręczę, że przekażę Moskwie polecenie, by wypuścili twoją matkę. Teraz powiedz mi, gdzie jesteś.

Piotr powiedział mu. Potem odwiesił słuchawkę i przez chwilę stał na wietrze z rękami skrzyżowanymi na piersi, jakby był chory. Wreszcie z wysiłkiem wszedł do sklepu i rozejrzał się w poszukiwaniu działu z napojami alkoholowymi.



## Siedemnaście

Edmond pożyczył nożyce do cięcia drutu od ojca Berniego; w ciągu zaledwie trzech lub czterech minut pocięli drut kolczasty na tyle, żeby zrobić przejście.

– Mam nadzieję – powiedział Oscar – że wiesz, co robisz, E.C. Senator Kelly nie słynie z poczucia humoru.

Oscar nie mówił tego poważnie; w ten sposób chciał po prostu ukryć swoje zdenerwowanie. Padał ze zmęczenia: całą noc był na nogach i, jak każdy w szpitalu, czuł się wyczerpany, rozdrażniony, niemal bliski załamania. Edmond odciągnął ostatni kawałek drutu kolczastego i powiedział:

– Nie chciałem nikogo rozśmieszyć, Oscar, broń Boże! – Niedaleko stał Bernie z matką. – Jest tam, na tym dużym drzewie. To trójkąt z kółkiem w środku.

Edmond spojrzał znacząco na Oscara, chociaż ten nie zrozumiał dlaczego. Po raz pierwszy w życiu Bernie wyjawiał znane tylko sobie i Michaelowi tajemne znaki. Edmond pomyślał: Dzięki Bogu, że ludzie wciąż jeszcze dochowują tajemnicy, a najskrytsze sekrety są nadal bezpieczne. Biedny Bernie tak wiele wycierpiał z powodu więzi z Michałem, mocnej nawet po śmierci przyjaciela. Edmond miał nadzieję, że Bóg i wszyscy aniołowie stróże ochronią chłopca przed hiperpolio.

– Dalej pójdziemy sami – powiedział Edmond. – Tak będzie rozsądniej. Jeśli coś znajdziemy, natychmiast was zawiadomimy.

– Zgoda – rzekł Bernie.

– To wszystko, co masz do powiedzenia? – spytała matka.

– Dziękuję – Bernie zwrócił się do Edmonda. Był zakłopotany, ale Edmond wiedział, że mówił poważnie.

– Nie ma o czym mówić – uznał Edmond. – Gdybym miał syna, chciałbym, żeby był taki jak ty. Rozumiesz? To wszystko. A teraz, tajny agencie X-17, odmaszerować.

Bernie włączył się do gry i zasalutował. Oscar skrzywił się i spytał:

– Co to? Gang supermanów?

– Nie chwał się, że jesteś taki stary – odpowiedział Edmond.

Wraz z Oscarem weszli na płot i zeskoczyli ciężko na zaoraną ziemię Conant's Acre. W oddali, ponad drzewami, stado kruków wzbilo się w poranne niebo jak rozrzucone goździki. Ranek był chłodny: zbliżała się zima. Brnęli przez bruzdy, z cichym chrzęstem rozgniatając butami ziemię.

– Wiesz, czego szukamy? – spytał Oscar, pociągając nosem.

– A ty? – spytał Edmond. – Skąd mogła się wziąć skórzana walizeczka pełna skażonego wirusem płynu? Szkło wyprodukowano w Niemczech, ale to o niczym nie świadczy.

– Lim Kim powiedział, że fiolka wygląda staromodnie, od dwudziestu lat takiej nie widział.

– Dokonał wstępnej analizy tego płynu?

– Ma zamiar przeprowadzić wszelkie znane na świecie testy. Wiesz, co powiedział? Jest stare chińskie powiedzenie: „Prawdę trzyma się w butelkach, ale ze starych butelek wychodzą stare prawdy”. Niezłe, co?

Edmond chusteczką otarł pot z czoła.

– Chyba nigdy nie wierzyłem w stare powiedzenia, z wyjątkiem: „Nigdy nie wierz kobiecie” i „Miej się na baczności”.

Kiedy byli niemal w połowie pola, Oscar zapytał:

– W dalszym ciągu mieszkasz poza domem?

– Co byś zrobił, gdybyś nakrył rodzonego brata na pieprzeniu własnej żony?

Oscar wyjął chusteczkę i wytarł nos.

– Chyba uściskałbym mu rękę i przedstawił do Kongresowego Medalu Honoru.

Edmond uśmiechnął się krzywo, a potem roześmiał.

– Głupi skurwiel z ciebie – powiedział z uczuciem.

Doszli do lasu. Z początku nie mogli znaleźć na drzewach znaków wyciętych przez Michaela; szukali wszędzie w promieniu pięćdziesięciu jardów, zarówno w kierunku północnym, jak i południowym.

– Mam nadzieję – zawołał Oscar – że Bernie mówił prawdę! Nie mogę myśleć, że gimnastykuję się na darmo! – Nagle powiedział: – Jest. Czy to trójkąt z kółkiem w środku?

Z hałasem przeszli przez leśne poszycie i uważnie przyjrzeni się znakowi wyciętemu w korze drzewa. Edmond dotknął go koniuszkami palców. Gdyby tylko Michael wiedział, co go czeka, kiedy nacinał ten znak.

– Tak, to ten. – Kiwnął głową Oscarowi i ruszyli w głąb lasu, szukając dalszych śladów na drzewach.

Znaleźli następny i jeszcze jeden. Czwarty był nieco z prawej.

– Moim zdaniem gdzieś tutaj się przestraszył, nie chciał się zapuszczać zbyt daleko – skomentował Oscar.

Edmond wsłuchiwał się w ciszę lasu: wyczuwało się coś niezwykłego. Suche liście opadały bezszelestnie na kruchy kobierzec. Chmury wisiały nieruchomo jak namalowane. Powietrze stało.

– Tu jest kolejny znak – powiedział Oscar.

Na kondora natknęli się całkiem zwyczajnie, niemal się tego spodziewając, jakby to dziwne widmo było niechybnym źródłem złowrogiej choroby, takiej jak hiperpolio. Wykop był dokładnie w takim stanie, w jakim pozostawił go Michael. Edmond i Oscar z lękiem zbliżyli się do samolotu; żadnego z nich nie przeraził widok zwłok, ale obaj zamilkli, widząc nietkniętą kabinę pilota samolotu pasażerskiego, zakopanego w liściach i gliniastej glebie lasu w New Hampshire.

– O Chryste! – powiedział Oscar, kucając.

Edmond ostrożnie prześlizgnął się po brzegu wykopu i oczyścił dach samolotu z grudek ziemi i liści. Przez wybitą szybę zajrzał do środka i powiedział:

– Tam są dwa ciała, a ściślej to, co z nich zostało.

– Spójrz na tę kurtkę lotniczą. Wygląda jak strój z lat pięćdziesiątych albo jeszcze wcześniejszych. Widziałeś kiedyś coś takiego?

– Musimy się jakoś dostać do kabiny pilota – powiedział Edmond. – Może z tyłu kadłuba jest wejście.

– Ale jak on się tu znalazł? – spytał Oscar. – W jaki sposób ktoś zakopał w lesie cały samolot pasażerski? Wprost nie mogę uwierzyć własnym oczom.

Edmond wstał, zasłonił oczy przed szarym porannym blaskiem i wskazując na północny zachód, powiedział:

– A jeśli chciał awaryjnie lądować na Conant's Acre... to znaczy, Conant's Acre mogło stanowić w miarę odpowiednie lotnisko dla tak dużego samolotu.

– A zatem?

– Cóż, przypuśćmy, że pilot źle ocenił odległość od ziemi. Mógł uderzyć w skarpe z drugiej strony lasu i zaryć się w nią. Ziemia jest tu wszędzie rozmiękła i grząska, a tam niżej nawet jeszcze bardziej rozmiękła.

– Żartujesz?

– Wcale nie. Sześć czy siedem miesięcy temu ukazał się artykuł o angielskim towarzystwie historycznym, którego członkowie jeżdżą po całym kraju, lokalizując oraz wykopując myśliwce i bombowce zestrzelone w bitwie o Anglię: bombowe dornierey zagrzebane na polach Kentu, spitfire'y, hurricany i co tylko chcesz, zachowane w całości, łącznie z pilotem w środku. Niektóre na głębokości dwudziestu stóp. Wykopali także cały bombowiec B-17.

Oscar oparł ręce na biodrach i spojrzał na wpół zakopaną kabinę pilota kondora.

– Ale tutaj? – spytał. – Myślisz, że ten samolot uderzył w podnóże skarpy i wbił się aż tutaj pod drzewa?

– Nie wyobrażam sobie, jak inaczej mógłby się tu znaleźć. Nie został zakopany rozmyślnie. Spójrz, jak opłotły go korzenie drzew, a większość z nich musi być dużo starsza niż samolot.

– Pokopmy jeszcze trochę – powiedział Oscar – zobaczymy, czy uda nam się odszukać drzwi.

Znaleźli dwa grube kije i zaczęli rozkopywać wilgotną, kruszącą się ziemię. Po mniej więcej pięciu minutach Oscar zdjął płaszcz i podwinął rękawy. Kopali w milczeniu. Obaj mieli wrażenie, że to wszystko jest nierealne, czuli się tak, jakby trwali w koszmarnym śnie, a wrażenie nierealności potęgowała jeszcze cisza lasu. Z górnej gałęzi pobliskiego drzewa obserwowała ich wiewiórka, a podekscytowane ptaki ćwierkały, ilekroć aluminiowa konstrukcja samolotu rozbrzmiewała uderzeniem.

W końcu, parę stóp od okien kabiny pilota, odkryli krawędź drzwi. Aluminiowa powłoka samolotu była zniekształcona i zimna jak metalowa trumna. Edmond końcem kija oczyścił z brudu boki drzwi i usunął kulisty kawał gliny, którym zalepiona była rączka.

– Tu jest wytłoczony jakiś napis – powiedział Oscar, wycierając aluminium ręką.

Edmond spojrzał. Litery wymalowane były na czarno, porysowane i wyblakłe, ale łatwe do rozpoznania. *Hier oeffnen.*

– Po niemiecku – powiedział cicho. – To niemiecki bombowiec z czasów wojny.

– Niemożliwe.

– Nie wiem, czy to możliwe, ale tak jest – stwierdził Edmond.

– Czy naziści mieli samoloty, którymi można było przelecieć Atlantyk?

– Nie wiem. Musieli mieć. Przecież jest tutaj. QED\* [\*QED – (łac.) quod erat demonstrandum – co należało udowodnić.].

– Może to samolot pasażerski z lat trzydziestych wyprodukowany w Niemczech? – zasugerował Oscar.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Pomóż mi otworzyć te drzwi.

– Może powinniśmy wrócić i komuś o tym powiedzieć, zanim zaczniemy się do niego dobierać. Przecież nie mamy zamiaru niczego uszkodzić, zatrzeć śladów czy coś takiego.

– Oscar, nie mamy czasu. Jeśli wirus wydostał się z tego samolotu, chcę wiedzieć, w jaki sposób i dlaczego. Najszybszą metodą zidentyfikowania tego wirusa jest ustalenie, kto go syntetyzował. Jeśli nam się to uda, może dowiemy się, jak szczepić ludzi.

– To niemiecki bombowiec, E.C.; facet, który dokonał syntezy, prawdopodobnie już od dawna nie żyje.

– Spróbujmy otworzyć te drzwi.

Na zmianę mocowali się ze skorodowaną klamką. Złamali trzy kije, próbując przesunąć ją w dół, i byli już bliscy rezygnacji, kiedy Edmond podniósł kamień, którym Michael wybił szybę w kabine pilota, i wałnął nim mocno w klamkę sześć czy siedem razy. Stopniowo, o milimetry, klamka opuszczała się, aż wreszcie Edmond odrzucił kamień. Szarpnął po raz ostatni i drzwi kondora

otworzyły się ze zgrzytem.

Ostrożnie wdrapali się do środka. Wnętrze wypełniał duszący zapach ziemi i zgnilizny. Przez wybitą szybę w kabinie pilota przedostawało się nagle światło, które rozjaśniało wewnętrzny korytarz, ale w głównej części kadłuba zalegały nieprzeniknione ciemności.

– Najpierw chcę zajrzeć do kabiny pilota – powiedział Edmond.

Torowali sobie drogę między szarymi aluminiowymi ścianami, ociekającymi wilgocią i łuszczącymi się wskutek korozji. Najpierw znaleźli nawigatora – pozbawioną głowy kupę kości w czarnej lotniczej kurtce, pochyloną nad pulpitem nawigacyjnym. Leżąca przed nim mapa była spleśniała i pokryta wilgotnymi plamami, ale nie mieli wątpliwości, że jest to złożona na pół mapa Nowej Anglii i Nowej Szkocji, z wektorami skierowanymi na Concord w New Hampshire. Widniała na niej sygnatura „Nordostliche Vereinigte Staaten (Hamburg, 1942)”. Gdy Edmond wyciągnął ją ostrożnie spod szkieletu ręki, Oscar przesunął się nieco do przodu, kopiąc niechcący coś, co leżało na podłodze, a co w rezultacie potoczyło się z hałasem przez ciemny kadłub.

– Cóż to było, u diabła? – spytał Edmond, gdy przedmiot z głuchym łoskotem przeturlał się w niewidoczny koniec samolotu.

– Przepraszam, czaszka nawigatora – odparł Oscar. – Facet był na tyle nieostrożny, że zostawił ją na podłodze; nic dziwnego, że wywiódł swoich kolegów w te lasy.

Poszli dalej, do głównej części kabiny pilotów. Znaleźli tam przechylnego na bok pilota, którego głowa częściowo wystawała przez wybite okno, i drugiego pilota, siedzącego sztywno i zmumifikowanego nad sterownicą. Za siedzeniem pierwszego pilota, skulony w pozycji embrionalnej, jakby przygotowując się do zderzenia z ziemią, znajdował się półszkielet o żółtej skórze w zielonym deszczowym płaszczu. Miał na sobie filcowy staromodny kapelusz i okrągłe okulary w rogowej oprawce, a pośród rozsypanych kości lewej ręki widoczna była złota obrączka ślubna.

Edmond rozchylił ze wstrętem płaszcz kościotrupa i sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Palcem wskazującym i kciukiem chwycił brązowy skórzany portfel i, wyciągnąwszy go delikatnie, położył na pulpicie nawigatora.

W środku było pięćset dolarów amerykańskich w banknotach; złożony kwit z pralni: „Zur Wascherin, 71 Neukirchstrasse, Minden”; niewielka czarno-biała fotografia siedzącej na motocyklu bladej kobiety ze splecionymi ciemnymi włosami; dwa przedarte bilety teatralne, każdy po dwie marki niemieckie; legitymacja wywiadu, wydana przez OKW (Naczelne Dowództwo Wehrmacht), nazywająca mumię w filcowym kapeluszu doktorem Wilhelmem Eckhardtem. Widniała na niej fotografia pucułowatego mężczyzny z krótkimi ciemnymi włosami.

– Co o tym myślisz? – spytał Oscar.

– Nie wiem. Nie wiem, co myślisz, ale to naprawdę jest niemiecki samolot, który z jakiegoś powodu przyleciał do New Hampshire w czasie wojny. Myślę, że pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku – spójrz na datę na tym rachunku z pralni. Oni z pewnością zamierzali przylecieć właśnie do Concord, gdyż cały lot zaznaczony jest na mapie. W gruncie rzeczy zamierzali lądować dokładnie tutaj, na polach Conant's Acre.

– Ale raczej na ziemi, a nie w ziemi – skomentował Oscar. – I cóż, u diabła, mieli tu robić?

– Może przywieźli wirusa, by zarazić ludność Stanów Zjednoczonych – zasugerował Edmond. – Może sądzili, że nigdy nie wygrają wojny siłami wojskowymi, a zatem postanowili spróbować czegoś bardziej subtelnego.

– Nie uważam, by hiperpolio było subtelne – powiedział szorstko Oscar.

Pomyszkowali jeszcze po kabinie pilota, ale z wyjątkiem książki szyfrów i map lotniczych nie

znaleźli nic interesującego.

– Co teraz zrobimy? – spytał Oscar.

– To, co powinniśmy byli zrobić na samym początku: zwrócimy się do prasy, radia i telewizji i opowiemy o naszym odkryciu – Pokażemy im mapy, portfel, skórzaną walizeczkę i tyle szklanych fiolek, ile uda się odnaleźć. Przedstawimy publicznie całą tę sprawę i miejmy nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto zna historię drugiej wojny światowej na tyle, by nam pomóc, i to szybko.

– Zdenerwujesz wszystkich, nie wyłączając niektórych naszych przyjaciół. Wiesz, źle oceniłem Bryce'a – naprawdę popierał nas w tej sprawie, dlaczego by więc nie pójść z tym wszystkim do niego?

– Ponieważ jest za późno na przestrzeżenie drogi służbowej, Oscar. Coś jeszcze chodzi mi po głowie. Dlaczego senator Kelly próbował utrzymać tę epidemię w tajemnicy? Myślisz, że mógł wiedzieć o samolocie i o tym, co w nim było?

Oscar pierwszy ruszył z powrotem samolotowym korytarzem i mrużąc, opuścił luk.

– Nie rozumiem, skąd mógłby o tym wiedzieć. Gdyby wiedział i chciał utrzymać to w tajemnicy, mógł go po prostu zniszczyć. I wirusa także, jeżeli to jest wirus. Musimy poczekać i zobaczyć, co na to powie laboratorium.

Edmond wy dostał się z luku i wspiał na brzeg wykopu, przytrzymując się korzeni drzew.

– Jak myślisz, co to jest?

– Sądzę, że wirus, ale wolałbym mieć pewność.

– Jak długo to potrwa?

– Parę godzin. A może już wiedzą. Edmond otrzepał mapy i portfel.

– W porządku, wrócimy do szpitala i poczekamy, dopóki laboratorium nie potwierdzi naszych przypuszczeń, a wtedy pójdziemy prosto do „Concord Journal” i do radia.

Wrócili lasem i przeszli przez Conant's Acre, aż dotarli do ogrodzenia. Edmond tak połączył kombinerkami pocięty drut kolczasty, że na pierwszy rzut oka nie było widać, iż ktoś się przezeń przedarł.

Oscar spojrział za siebie, na koniec pola.

– Wiesz co? – powiedział. – Właściwie chciałbym, żebyśmy tego nigdy nie znaleźli.

– Nie rozumiem dlaczego. Jeśli to nam pomoże ocalić ludzkie życie...

– Och, wiem, ale nie sądzę, by jeszcze kiedyś latanie sprawiło mi przyjemność.

Kiedy Edmond otworzył drzwi samochodu, rozległ się krótki, urywany sygnał telefonu. Usiadłszy bokiem na siedzeniu, podniósł słuchawkę i powiedział:

– Tu doktor Chandler.

Odezwała się Lara:

– Zgłoszono nam siedem kolejnych przypadków, doktorze. W tym jeden szczególnie.

– Szczególny? Cóż to się stało?

Nastąpiła długa przerwa i trzaski na linii, w końcu Lara powiedziała z napięciem:

– Chodzi o panią Chandler, doktorze.

Siedzieli w pustym, pomalowanym na kremowo pokoju ambasady amerykańskiej w sztokholmskiej Diplomatstaden, wyglądając na podwórko przez okratowane drzwi balkonowe. Popołudnie niespodziewanie było jasne i słoneczne; promienie słońca spływały przez kraty, rzucając ich cienie na twarz i ramiona Klausa Hermanna.

Bill Bennett stał z założonymi rękami, obserwując Niemca okiem właściciela. Miał na sobie starannie odprasowane szare spodnie i czerwoną trykotową koszulkę z napisem „Monta – na State

University”.

Humphrey siedział w rogu na krześle z metalowych rurek. Szwedzkie władze pozwoliły mu wrócić do hotelu i odebrać ubrania, które zostały niedbale wepchnięte do walizki i pozostawione w szafce ze znalezionymi rzeczami. Teraz chcieli, by pozostał w Sztokholmie jeszcze przez dwa czy trzy dni, aby zakończyć formalną identyfikację Klausa Hermanna i pomóc w przeprowadzeniu szczegółowego śledztwa w sprawie okoliczności jego pojmania. Ponieważ zmarło przy tym kilka osób, szwedzkiej policji i służbom wywiadowczym zależało na tym, by dopełnić wszelkich formalności.

Klaus Hermann sprawiał wrażenie nieco smutnego, nieco zmęczonego, ale pogodzonego z losem. Powiedział Humphreyowi:

– Tamten dzień, kiedy usiadł pan w kawiarni obok mnie, był mi nieuchronnie sądzony, prawda?

Humphrey wzruszył ramionami i powiedział:

– Tak, przypuszczam, że tak.

Dzisiaj zapoznali się pobieżnie z relacją Hermanna o tym, co robił od 1945 roku. Twierdził, że pracował jako urzędnik w zakładach chemicznych we Wsiew Wołodowsku, nic więcej. Sądzicie, że Niemcowi i naziście powierzyliby bardziej odpowiedzialną funkcję?” – Jednak ani Bill, ani Humphrey nie wierzyli mu nawet przez chwilę, a z jego monotonnego głosu jasno wynikało, że wcale tego od nich nie oczekuje. Po prostu dawał im wyraźnie do zrozumienia, że nic więcej z niego nie wyciągną.

– Niech mi pan coś opowie o Angelice Rangstroem – powiedział Bill.

– Cóż mogę opowiedzieć? – spytał Hermann. – Ona nie żyje.

– Wciąż to samo.

– Kochałem ją, umarła przeze mnie, cóż jeszcze chce pan wiedzieć?

– Czy kiedykolwiek odwiedziła pana w Rosji? Czy sympatyzowała ze Związkiem Sowieckim?

– Sympatyzowała? Cóż za pytanie! – powiedział Hermann. – Jak można sympatyzować ze Związkiem Sowieckim? To nie jest sympatyczne państwo; nigdy takiego nie udawało. Sentymentalne tak, ponure i wspaniałe owszem, ale nie sympatyczne.

Znów siedzieli w milczeniu. Humphrey nie bardzo wiedział, jaki jest cel tych spotkań ani dlaczego Bill Bennett oczekuje od niego, że będzie w nich uczestniczył. Formalnie zidentyfikował Hermanna już sześć razy przed sześcioma różnymi urzędnikami, wliczając w to małomównego pułkownika szwedzkich służb bezpieczeństwa i młodą kobietę z Izraela. Wydawało się, że tak naprawdę Bill nie stara się przesłuchać Hermanna. Dość często siedzieli razem, nie odzywając się przez ponad dwadzieścia minut.

– Czy nie sądzisz, że moglibyśmy napić się herbaty? – powiedział po chwili Humphrey.

– Herbaty? – spytał Bill. – Tak, oczywiście. Klaus Hermann poprawił się na krześle.

– Wiecie, że to dzięki herbacie Brytyjczycy wygrali wojnę? Jeżeli w 1945 roku istniała jakaś tajna broń, to najgroźniejszą z nich była herbata. Doktor Mengele mawiał, że Anglik znieśie wszystko, każdą torturę, każdy niedostatek, dopóki codziennie będzie dostawał dziewięć filiżanek herbaty z cukrem. Wiecie, Josef miał dość duże poczucie humoru.

Bill wyszedł z pokoju, by zawołać sekretarza ambasady, który został odkomenderowany do opieki nad nimi, zostawił uchylone drzwi.

– Okazuje się, że to naprawdę trwa strasznie długo – powiedział Humphrey.

Klaus Hermann wzruszył ramionami.

– Każda wielka machina biurokratyczna rozkręca się niesłychanie wolno. Pewnie przekona się pan, że przeprowadzane są wszelkiego rodzaju pertraktacje w sprawie mojej ekstradycji. Oczywiście



kilka różnych państw będzie sobie rościło prawo do osądzenia i powieszenia mnie. Nie mam zamiaru się tym przejmować, dopóki nie wpadnę w ręce Żydów z Izraela.

– Nie boi się pan?

– Nie wiem, może trochę. Każdy powie, że jeśli podczas wojny zabiłem bez skrępowania tylu niewinnych ludzi, to nie mam prawa bać się o własne życie, ale boję się, tak samo jak ci wszyscy nieszczęśliwi Żydzi.

Humphrey długo przyglądał się Hermannowi. W końcu spytał:

– Czuje się pan winny? Czy kiedykolwiek czuł się pan winny?

– Trudno mi opisać, co czuję. Żal na nic by się nie zdał, ofiar było zbyt wiele. Nie czułem żalu, ale gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych, mniej więcej dziesięć lat po zakończeniu tego wszystkiego, miałem dziwne uczucie, że jestem prześladowany; jakby duchy tych wszystkich Żydów wlokły się za mną niczym niewidzialny płaszcz, który z upływem lat stawał się coraz cięższy. Doszedłem do wniosku, że bez względu na to, czy człowiek czuje się winny, czy nie, dusze ludzi, których zabił, trwają przy nim i nigdy go nie opuszczają.

Humphrey wstał i podszedł do okna. Słońce skryło się za zwałami czarnych chmur i znikły cienie krat.

– Wierzę w przeznaczenie – powiedział. – Przyjechałem do Szwecji, ponieważ los tak chciał. To moje pierwsze samotne wakacje od bardzo wielu lat. I musiałem spotkać pana.

– Cóż... – rzekł Klaus Hermann z zadumą. Po chwili dodał niespodziewanie: – Słyszeliście wiadomości z Ameryki?

– Dziś rano słuchałem radia, w moim pokoju na górze jest odbiornik. Podali, że w Ameryce wybuchła epidemia.

– Podobno tak, w dodatku całkiem poważna. Rząd brytyjski nalega, żeby wszystkich przyjeżdżających z Ameryki szczepić przeciwko heinemedinie.

– Możliwe. Humphrey odwrócił się.

– Skąd przyszło to panu do głowy?

– Proszę?

– Ta epidemia właśnie teraz. Skąd takie skojarzenia?

– Cóż – powiedział Hermann, zacierając ręce – naprowadziły mnie na nią otwarte drzwi. Czy też raczej myśl o możliwości wyjścia przez otwarte drzwi.

– Nie rozumiem.

– Pozwoli więc pan, że wyjaśnię, panie Browne. Wie pan, to delikatna sprawa. Muszę wyrażać się precyzyjnie, żeby dobrze mnie pan zrozumiał. Sądzę, że jest pan uczciwym człowiekiem, zupełnie innym niż pański przyjaciel, pan Bennett.

– On nie jest moim przyjacielem, nie pojechałem z nim dobrowolnie, nie jestem tutaj z własnej woli, nawet teraz.

– Rozumiem – powiedział Hermann. – Niemniej jednak jest pan potrzebny panu Bennettowi, gdyż uwierzytelnia pan niejako jego poczynania. On za wszelką cenę chce zobaczyć mnie martwego, ale musi uważać.

– Co epidemia ma z tym wspólnego?

– Wierzę, choć nie mam jeszcze całkowitej pewności, że wybuchła przeze mnie.

– Przez pana? W jaki sposób?

Hermann spojrzał na podłogę. Mówił cicho i szybko, jakby czytał z książki:

– Podczas wojny zlecono mi wyhodowanie takiego szczepu wirusa, który mógłby zdziesiątkować ludność Stanów Zjednoczonych. Hitler ciągle powtarzał, że bogactwo i siła Ameryki

doprowadzą go do klęski, jeśli nie znajdzie się jakiegos sposobu na przekonanie Roosevelta, by nie udzielał już pomocy Wielkiej Brytanii, lub na sparaliżowanie Stanów Zjednoczonych tak, by musiały się wycofać z udziału w walce.

– Wojna bakteriologiczna; taka była odpowiedź, prawda? Hermann wzruszył ramionami.

– Nie tak to nazywaliśmy. *Biokrieg*, takiego określenia używaliśmy w laboratorium w Herbstwaldzie. Było nas dwudziestu dziewięciu, najlepszych w kraju naukowców: chemików, biofizyków i wirusologów, i ja miałem nad wszystkimi pieczę. Dostaliśmy nieograniczoną ilość pieniędzy, stworzono nam wspaniałe warunki, o jakich można tylko marzyć; do dyspozycji mieliśmy również ludzi, na których, jak na świnkach morskich, mogliśmy testować nasze rozmaite preparaty.

Zrobiliśmy ogromne postępy w biochemii i biofizyce, nawet według dzisiejszych kryteriów. Odkrywaliśmy tak dużo, że czasami cieszyliśmy się tak głośno w laboratorium, jakbyśmy byli pijani. I wówczas, latem 1943 roku, pewnego upalnego popołudnia dokonaliśmy przełomowego odkrycia, pozwalającego rozwinąć szczep wirusa heinemedyny, który był całkowicie niewrażliwy na standardowe szczepionki i terapię. Poza tym wirus ten, przenosząc się z człowieka na człowieka, stawał się coraz silniejszy i bardziej złośliwy, tak że w kilka tygodni mógł uśmiercić miliony osób.

– Nie wiem, czy panu wierzyć – powiedział Humphrey. – To straszne.

– Tak, straszne! To właściwe słowo. Nazwaliśmy go Dżumą-91, po prostu dlatego, że taki był numer hodowli, w której po raz pierwszy się rozwinął. Oczywiście był straszny i bardzo trudny do wyhodowania oraz przeniesienia. W końcu udało się nam zawiesić wirusa w roztworze, który powinien był, jak mieliśmy nadzieję, zakonserwować go na kilka miesięcy. Ale do czasu proponowanego przez Hitlera ataku bakteriologicznego na Stany Zjednoczone mogliśmy wyprodukować zaledwie sześć małych fiolek tego płynu.

Hermann wyjął chusteczkę, głośno wytarł nos, po czym, składając ją ponownie, powiedział:

– Plan polegał na tym, że jeden z członków naszego zespołu miał polecieć do Ameryki samolotem typu Focke-Wulf *Kondor*. Była to nasza jedyna maszyna, którą można było przelecieć Atlantyk bez dodatkowego tankowania. Po wylądowaniu nasz człowiek miał się skontaktować z paroma Amerykanami, którzy sympatyzowali z ideologią nazistowską – w tym wypadku można mówić o sympatyzowaniu! – i niemieccy agenci rozrzućeni po całych Stanach mieli otrzymać pięć fiolek. Szóstą, podobnie jak samolot, zamierzano zademonstrować amerykańskiemu rządowi. Rooseveltowi chciano zagrozić uwolnieniem wirusa i śmiercią milionów osób, jeśliby natychmiast nie wycofał się z europejskiej sceny wojennej.

– Nigdy o tym nie słyszałem – powiedział Humphrey. – Pan zmyśla.

– Nie, drogi panie Browne! Żałuję, ale nie. Teraz mogę mówić o żalu! *Kondor* wyleciał do Stanów i zaginął. Pewnie wpadł do morza, nie wiemy. Nasi przyjaciele w Ameryce przysięgają, że słyszeli, jak leciał nad lądowiskiem; w każdym razie zniknął bez śladu. Oczywiście na pokładzie było sześć fiolek z Dżumą-91. W radiu nazywają to hiperpolio.

– Dlaczego pan mi to mówi? – spytał Humphrey. – Nie rozumiem.

– Z tego powodu, panie Humphrey, że jest pan jedyną osobą, która może mnie ocalić. Jedyną osobą, która zechce się zastanowić nad umożliwieniem mi ucieczki.

– Nic takiego nie zrobię! To, że przez cały czas utrzymywałem, iż taki facet jak pan zasługuje na uczciwy proces, wcale, na Boga, nie oznacza, że mam zamiar pomóc panu w ucieczce! Jest pan ludobójcą, właściwie sam pan się do tego przyznał. I co gorsza, jeśli ta opowieść o epidemii jest prawdziwa... dobry Boże, wciąż zabija pan ludzi, nawet dzisiaj!

– Niech pan posłucha – nalegał Hermann. – Amerykanie chcą zmusić mnie do milczenia. Po wojnie, kiedy po raz pierwszy pracowałem dla Rosjan, byłem wpłątany w liczne transakcje,

zawierane między zakładami zbrojeniowymi i dostawcami leków zarówno w Ameryce, jak i w Związku Sowieckim. Za dużo wiem, żeby wielu amerykańskich przemysłowców mogło spokojnie spać. Słyszał pan o Walterze Ridgefieldzie, o ropie naftowej Ridgefielda? Tak, jest jednym z tych czcigodnych dżentelmenów, którzy zrobią wszystko, żeby się mnie pozbyć, a jest ich wielu. Pamięta pan, jaki kłopot zacnym mieszkańcom Lyonu sprawił Klaus Barbie? Jeśli przeżyję, mogę spowodować o wiele większe spustoszenie, ale oczywiście pański przyjaciel, pan Bennett, chce mieć pewność, że nie przeżyję.

– Ale ten wirus...

– Ten wirus, drogi panie Browne, jest moim jedynym kluczem do wolności. Wszyscy moi koledzy z czasów wojny nie żyją, cała moja dokumentacja jest schowana w bezpiecznym miejscu w Związku Sowieckim. Jestem jedyną osobą na półkuli zachodniej, która wie, jak powstrzymać tego wirusa, by do Bożego Narodzenia nie zgładził sześćdziesięciu procent ludności Stanów Zjednoczonych.

– Czy istnieje jakieś antidotum?

– Och, tak, ale absolutnie nietypowe. Jeżeli jakiemuś amerykańskiemu naukowcowi uda się je odkryć tak szybko, że zdąży uratować pozostałe przy życiu kilka procent rodaków, uznam to za cud.

– Teraz pana rozumiem – powiedział oburzony Humphrey. – Teraz rozumiem, kim pan jest. Nazista zawsze pozostanie nazistą.

Na twarzy Hermanna pojawił się ledwo widoczny, ponury uśmiech.

– Pewnie ma pan rację, panie Browne. Hitler wpoił nam głęboką, dozgonną nienawiść, która już nigdy nie opuści naszego umysłu czy ciała. Zwykł mawiać, że wolność można osiągnąć jedynie przez dumę, siłę woli, nienawiść, nienawiść i jeszcze raz nienawiść.

– Lepiej niech pan powie panu Bennettowi – rzekł Humphrey – jakie jest antidotum, żeby mógł to przekazać władzom.

– Oszalał pan, panie Browne?

Humphrey zaczerwienił się.

– Nie może pan pozwolić, żeby umierały tysiące ludzi, skoro wie pan, jak ich uratować!

– Och, mogę. Dlaczego miałbym się tym przejmować? Jestem stary, i tak niedługo umrę, jeśli naturalnie pan Bennett nie rozwali mi wcześniej głowy.

– To szaleństwo.

– Nie, panie Browne, to po prostu bezlitosne targowanie się o życie starszego człowieka. Teraz niech pan posłucha. Wkrótce mnie stąd zabiorą i zlikwidują. Już nie będzie pan miał wiele okazji pomóc mi w ucieczce. Musi pan porozmawiać z człowiekiem, który nazywa się Bendix, ma dom przy Ostermalmsgaten. Niech mu pan powie, gdzie jestem i co mi grozi, a także, że spróbuje pan wyprowadzić mnie z ambasady w dzień lub w nocy. Przez cały czas ma trzymać w pogotowiu człowieka, który mógłby błyskawicznie mnie stąd zabrać.

– Herr Hermann, to absurd, pilnują pana. Nigdy nie uda mi się stąd pana wyprowadzić.

– Tak pan sądzi? Cóż, to może być trudne, ale jeśli pójdzie pan pogadać z Bendixem, zrobię wszystko, żeby wymyślić jakiś sposób.

– I w zamian za odzyskanie wolności powie pan Bennettowi, jakie jest antidotum przeciw temu wirusowi?

Hermann potrząsnął głową.

– Powiem panu. Napiszę to dzisiaj i oddam, kiedy wyprowadzi mnie pan z budynku. Jeśli nie dotrzymam umowy, zdąży pan wezwać pomoc, żeby mnie złapać, a zatem ma pan pewną gwarancję.

– A jeśli napisze pan coś zupełnie bezwartościowego? Poza tym skąd mogę wiedzieć, że na tego

wirusa naprawdę istnieje jakieś antidotum?

– Panie Browne, jeśli ucieknę, to nie bardzo chciałbym mieszkać na planecie, na której szaleje Dżuma-91. Daję słowo, że istnieje antidotum, i powiem panu jakie, kiedy tylko odzyskam wolność.

– Mam wielką ochotę natychmiast powtórzyć to wszystko panu Bennettowi – powiedział Humphrey.

– I na cóż to się panu zda? Wszystkiemu zaprzeczę. Mogę jeszcze zapewnić, że nawet poddany torturom nie wyjawię antidotum. Jeśli mnie zranicie lub zabijecie, wszyscy pójdziecie ze mną do piekła: pan, Bennett i ludność całego świata.

Oczy Klausa Hermanna wpatrywały się w niego z takim fanatyzmem, że Humphrey mimo woli zadrżał.

– Muszę to wszystko przemyśleć – powiedział poważnie. – Wie pan, nie jestem zdrajcą. W czasie wojny robiłem wszystko, żeby łapać takich jak pan. Pańska propozycja jest sprzeczna z moim postępowaniem.

Do pokoju wszedł Bill Bennett, paląc papierosa.

– Herbata będzie za parę minut – oznajmił, wypuszczając dym nosem. Powrócił na swe miejsce w rogu pokoju, gdzie spędził niemal całe przedpołudnie.

– Może zagramy w karty? – zaproponował Hermann. Bill spojrzał na niego bez słowa.

– To była tylko propozycja, pomyśl na spędzenie czasu.

– Nie mają żadnych herbatników? – spytał Humphrey. – Okropnie burczy mi w brzuchu.

Bill nie odpowiedział, znów zapadła cisza. Humphrey podszedł do swego krzesła z metalowych rurek i usiadł.

Nie śmiał patrzeć na Hermanna, ale jego propozycja nie dawała mu spokoju. Nikt nie musiałby wiedzieć, że to on uwolnił Hermanna: zawsze mógłby udawać, że Hermann zmusił go do tego nożem, a może wyszczerbioną butelką. Wystarczy pomyśleć o sławie i uznaniu, jakie zdobyłby po wskazaniu antidotum przeciw wirusowi – byłyby pięćdziesiąt razy większe niż zaszczyt, jaki przyniosłaby mu identyfikacja byłego nazisty. Uważano by go za człowieka, który ocalił świat, przebywałby w towarzystwie rodziny królewskiej, gwiazd filmowych i głów państwa.

– Martwisz się czymś, Humphrey? – ostro odezwał się Bill.

– Co? Och, nie, niczym szczególnym. Zastanawiałem się po prostu, czy dziś po południu będę mógł wyjść po zakupy.

– Będziesz mi potrzebny o czwartej. Przyjedzie dwóch facetów z Finlandii.

– Jasne. Wrócę, o której będziesz chciał.

– Cóż za nagła chęć do współpracy. Humphrey próbował się uśmiechnąć.

– Jesteśmy po tej samej stronie, prawda? Zawodowa zależność i tak dalej. I teraz, kiedy złapaliśmy Hermanna, nie ma się już czym martwić, nieprawdaż?

– Skoro tak uważasz.

Malcolm był w salonie na dole, nieźle już podpity. Edmond wszedł i stanął, przyglądając mu się bez słowa.

– Nie myślałem, że może zdarzyć się to tak nagle – odezwał się Malcolm zachrypniętym głosem.

– W pewnym momencie powiedziała, że ma kłopoty z oddychaniem, a po chwili...

– Zdajesz sobie sprawę, że mogłeś się zarazić? – spytał Edmond.

– Co? – rzekł Malcolm. – Tak, myślałem o tym.

– O ile nam wiadomo, wirus ten, podobnie jak typowy wirus polio, dostaje się przez przewód pokarmowy. Ponieważ z Christy łączył cię seks, możliwość zarażenia się była stosunkowo duża.

Malcolm otworzył usta, po chwili je zamknął. Edmond mówił dalej:

– Do tej pory nie wiemy, w jaki sposób to leczyć. Jeśli zaraziłeś się, to umrzesz.

– Rozumiem – powiedział Malcolm i zaśmiał się chrapliwie. – Gniew Boga, co? Za to, że cudzołożyłem z żoną brata?

– Może.

– Och, „może”. Posłuchaj, ty pedantyczny sukinsynu. Przeleciałeś więcej kobiet niż jakikolwiek mój znajomy. A teraz ja mam ponieść karę? Kto ukarał ciebie?

– Ty – odpowiedział cicho Edmond. – Ty mnie ukarałeś, śpiąc z Christy. Jaja kochałem. Nie wiesz, co znaczy to słowo. Napij się jeszcze. – Nie odczujesz tego tak boleśnie, jeśli się upijesz.

Malcolm zatoczył się i gwałtownie usiadł na poręczu kanapy, rozlewając whisky na rękę.

– Mówisz poważnie? – spytał. – Naprawdę nie macie na to żadnego lekarstwa?

– Słyszałeś wiadomości? Epidemia wybuchła już w całym kraju i nikt nie może nic zrobić, aby ją powstrzymać. Jutro rano rząd wyśle do nas specjalny zespół biofizyków z Uniwersytetu Kalifornijskiego i pułk doborowych specjalistów ze wszystkich ośrodków broni bakteriologicznej w kraju. Tysiąc osiemset osób już nie żyje.

– Edmond, jeśli naprawdę się zaraziłem... – Nagle oczy Malcolma napełniły się łzami.

– Nie prosz mnie, Malcolm – powiedział Edmond. – Gdybym miał lekarstwo, dałbym ci je. Ale nie prosz mnie, gdyż takiego nie ma. I, na litość boską, nie mów, że jest ci przykro.

Malcolm podniósł ręce w geście rozpaczony. Po policzkach spłynęły mu łzy.

– No, dalej, skończ butelkę – rzekł Edmond. – Znając twoje szczęście, pewnie się nie zaraziłeś.

Zostawił Malcolma i poszedł na górę do sypialni. Christy leżała na łóżku w turkusowym, wełnianym kostiumie, jej twarz była przeraźliwie blada. Edmond wolno podszedł do łóżka i patrzył na nią, jakby się spodziewał, że lada moment otworzy oczy i uśmiechnie się do niego. Było mu niemal głupio, że się z nią nie przywitał.

A więc taki jest koniec, pomyślał, tych wszystkich wspólnie przeżytych lat, tych kłótni, kłopotów, miłosnych pieścizot. Po to się spotkaliśmy, flirtowaliśmy ze sobą i pobraliśmy się, po to pojechaliśmy na wakacje do Karoliny Południowej. Spojrzał na białe drzwi szafy z ukośnymi, jak w żaluzjach, listewkami i zaczął się zastanawiać, czy warto wyjmować jej ubrania i porządkować biżuterię. Po co? – pomyślał. To skończone. Wszystko, co posiadała, jest tak samo martwe jak ona.

To dziwne, pomyślał, ale nie mam ochoty płakać.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Na progu stał Oscar.

– Dobrze się czujesz, E.C.?

Edmond skinął głową.

– Chyba tak, szok może nastąpić później.

– Wciąż zamierzasz powiadomić prasę?

– Tak. I to zaraz.

– Zawiozę cię tam. Stacey i Killigan zajmą się Christy, a ja sprawdzę, czy zamknęli dom.

– Nie zwracaj sobie tym głowy, mój brat jest tutaj.

– Masz na myśli tego bruneta, który popchnął mnie w hallu? Nie ma go, wyskoczył z domu jak zając.

Edmond zerknął na Christy.

– Mógł się zarazić hiperpolio.

– Powiedziałaś mu o tym? – spytał Oscar.

– Tak.

– A zatem – powiedział Oscar – w końcu odplaciłeś mu pięknym za nadobne, prawda?

Wczesnym popołudniem prezydent ogłosił, że w całym kraju wprowadza stan wyjątkowy. W każdym stanie zmobilizowano Gwardię Narodową i wysłano kontyngenty zawodowych żołnierzy do pilnowania wszystkich szpitali, klinik i magazynów z lekami. W całej policji, z wyjątkiem Alaski, nie udzielano urlopów. Wszędzie od siódmej wieczorem wprowadzono godzinę policyjną, obowiązującą wszystkich z wyjątkiem osób pełniących niezbędne służby.

– Mogę być oskarżony o przesadę – powiedział prezydent w wystąpieniu emitowanym na wszystkich kanałach telewizyjnych – ale nie wolno mi lekceważyć tego, że ponad dwa tysiące Amerykanów zmarło wskutek zarażenia się hiperpolio, i do tej pory nic nie wskazuje na to, by epidemia wygasła. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby zmniejszyć rozwój tej śmiertelnej choroby, która zbiera takie żniwo. Proszę was, byście zachowali spokój, unikali podróży, o ile to możliwe, i cały czas byli czujni. Zapewniam was, że setki najlepszych naukowców przystąpiły już do pracy nad jak najszybszym odkryciem lekarstwa na hiperpolio, co wkrótce powinno dać rezultaty. Powstaje specjalny fundusz rządowy, z którego sfinansuje się szczepienia wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci w Stanach Zjednoczonych, kiedy tylko odkryte zostanie antidotum powstrzymujące pochod hiperpolio. Pokonamy tę chorobę, ale potrzebujemy waszej pomocy. Zatem zostańcie w domach, miejcie się na baczności i uważajcie na siebie.

Konieczność utrzymania sprawnej gospodarki państwa nie pozwoliła rządowi wprowadzić całkowitego zakazu podróżowania, ale studentów medycyny ze szpitali i uczelni skierowano do badania pasażerów na lotniskach, w portach, na dworcach kolejowych i autobusowych – kazano im zwracać uwagę & takie symptomy u podróżnych, jak zaczerwienienie gardła, krótki oddech, skurcze, odrętwienia i dreszcze.

W kraju było wyjątkowo cicho i spokojnie. Reporter prasowy napisał, że jadąc z Salinas do Ventury, przez całą drogę nie minął nawet jednego samochodu. Doszło do sporadycznych wybuchów hysterii: setki niedoszłych emigrantów starły się z kanadyjskimi celnikami na przejściu granicznym w Blaine w stanie Washington; śmiertelnie postrzelono tam starszego mężczyznę, kiedy swoją furgonetką próbował staranować zaporę. Jego dwuletnią wnuczkę znaleziono skuloną na tylnym siedzeniu. Kamery CBS News zarejestrowały wstrząsające sceny, jak meksykańscy policjanci i celnicy gumowymi pałkami oraz kolbami karabinów odpychają dziesiątki wrzeszczących uciekinierów z Kalifornii, z których wielu wymachuje diamentowymi naszyjnikami i studolarowymi banknotami, a nawet cennymi obrazami, żeby pozwolono im uciec ze Stanów Zjednoczonych i udać się na południe, do Brazylii lub Urugwaju.

Zastrzelono pięcioosobową rodzinę, gdy tylko przekroczyła granicę w Sasabe w Arizonie; przez trzy godziny ciała leżały na słońcu, a krew wysychała w tumanach kurzu, zanim pozwolono amerykańskim urzędnikom przejść i zabrać je stamtąd.

Ale na ogół w całej Ameryce, od wybrzeża Kill Dewil Hills po plażę w Punta Gorda, od przedmieść Baltimore i Chicago po kreolską dzielnicę Nowego Orleanu, panowała niezwykle cisza i spokój, jakby cały naród przestał oddychać, obawiając się, że wszędzie może być skażone powietrze.

Reynard Kelly siedział w swoim domu w English Village w stanie Maryland, zbudowanym w stylu kolonialnym; z kamiennym wyrazem twarzy obejrzał wystąpienie prezydenta. Pilotem wyłączył telewizor, po czym wyprostował się w ogromnym, ozdobionym guzikami fotelu, ściskając jedną ręką kieliszek białego wina, a drugą zasłaniając twarz.

Całe popołudnie rozmyślał o okresie, który przed wojną spędził w Niemczech. Marzył o Ilse i tamtych tańcach, w których mężczyzn można było odróżnić od kobiet wyłącznie dzięki temu, że byli na ogół pokaźniejsi. Dziwne, gwałtowne, pełne perwersji dni; tak samo nęcące w jego

wspomnieniach jak w rzeczywistości. I nawet teraz niemal słyszał wilgotne, miękkie mlaśnięcie warg Ilse, rozchylających się, by go pocałować.

Wtedy był zakochany, ale teraz jego miłość wróciła, by go zniszczyć. Może mężczyźni, pomyślał, którzy gonią za karierą polityczną, nigdy nie powinni się zakochiwać. Przerażliwie jasno pamiętał sposób, w jaki Goebbels uściśnął mu dłoń, kiwnął głową i powiedział:

– Ma pan twarz marzyciela, panie Kelly.

Z przeciwległego końca pokoju obserwowała go Natalia Vanspronsen. Miała na sobie białe, wyprasowane na kant spodnie i ciemnoniebieską płócienną bluzkę. Jej postać odbijała się w starannie wypolerowanej dębowej podłodze: biały i niepokalany wizerunek zawodowej kobiecości.

– A zatem? – spytała.

Reynard nawet na nią nie spojrział. Doszedł do wniosku, że odtąd przyjechała z Waszyngtonu, przestał ją lubić. Pewnie dlatego, że wyraźnie dała mu do zrozumienia – zresztą nie tylko jemu, ale i wszystkim pozostałym – iż nie pójdzie z nim do łóżka. Nie mógł nawet udawać, że są kochankami. Było to dla Reynarda czymś w rodzaju drobnej klęski.

– Cóż – powiedział, odchrząknawszy – na pewno znajdą jakieś antidotum. Muszą. Jak długo mogą na tym pracować dziesiątki najlepszych naukowców z całych Stanów Zjednoczonych? Tydzień, może dwa, nie dłużej.

– Myślisz, że cię to uwolni? – spytała.

– Uwolni? Od czego? – Przesunął się teraz, żeby ją widzieć.

– Od poczucia winy. Odpowiedzialności. Ostatecznie to ty sprowadziłeś wirusa do kraju, w końcowym rozrachunku ponosisz więc odpowiedzialność za każdą z tych dwóch tysięcy śmierci. A może nie zgadzasz się ze mną?

– Czy płacę ci za to, żebyś mnie prowokowała? – spytał.

– Ty mi w ogóle nie płacisz, honorarium dostaję od demokratów, którzy finansują Reynarda Kelly'ego.

– Ale to ja jestem Reynard Kelly.

– Tak, ale przypuszczam, że w tej chwili wolałbyś nim nie być.

Reynard wypił wino. Spojrział na Natalię, na jej twarz o delikatnie zarysowanych kościach policzkowych.

– Kawał dziwki z ciebie – stwierdził.

– Dlatego zostałam wybrana, żeby cię reprezentować. A może o tym nie wiedziałeś?

– Ty i moja żona, obie dziwki, jedna w drugą.

– Och, dla ciebie możemy nimi być – rzuciła beztrąsko Natalia.

– Powtórz raz jeszcze swoją propozycję – powiedział Reynard, zmieniając raptownie temat. Nie był w nastroju do słownej szermierki, szczególnie z kobietą, której umysł był tak wyrafinowany jak wygląd. Radził sobie z atrakcyjnymi seksualnie kobietami, które gruchały, flirtowały, wiły się wokół niego, ale istoty takie jak Natalia Vanspronsen czyniły go nieszczęśliwym, był za stary na cięte krytyki i błyskotliwe talenty. Chciał być otoczony kobietami, które przypominałyby mu o tym, że wciąż promienieje nieodpartym charyzmatem, które łechtałyby jego próżność – jeśli nie penis.

– Mówiłam po prostu, że najlepszą formą obrony jest atak – powiedziała Natalia. – Dean Farber zasadniczo ma rację: powinieneś zaprzeczyć, że cokolwiek wiedziałeś o wirusie i samolocie, którym go tu sprowadzono. I co się stanie, jeśli naprawdę znajdą go na terenie twojej posiadłości? Poza nami i twoją rodziną, bezpośrednio związaną z polityką, nikt więcej o tym nie wie. A jeśli utworzyłeś już laboratorium badawcze, możesz posunąć całą sprawę o krok naprzód i zacząć działać

według scenariusza, który w drodze do domu opracowaliśmy razem z Waltem Seabrookiem. Laboratorium może „odkryć”, że wirus pochodzi z rzeki Merrimack: w skażonej w nie wyjaśniony sposób wodzie zupełnie przez przypadek zaraził się chłopiec, później wirus przenosił się z człowieka na człowieka, za każdym razem stając się coraz bardziej agresywny.

– Niby w jaki sposób laboratorium ma zamiar to „odkryć”? – spytał zimno Reynard.

– Bardzo prosto. Walt pobierze szczep wirusa od jednej z ofiar hiperpolio i wstrzyknie go do wody pobranej z rzeki Merrimack.

– Naprawdę aż do tego stopnia jesteś pozbawiona skrupułów?

– A ty nie?

– Nie jestem pewien – powiedział.

– Nie jesteś pewien? Słuchaj, senatorze, zmarło już ponad dwa tysiące ludzi. Musisz mieć pewność, w przeciwnym razie jesteśmy politycznie skończeni.

Reynard spojrział na nią badawczo.

– Nie wierzę, żebyś mówiła to szczerze.

– Nie sądziłeś, że kobieta może zaproponować coś tak okrutnego?

– Nie wierzę w twoją szczerłość, to wszystko. Nie ufam ci. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

– A ty co proponujesz? Siedzieć tu i trząść się jak galareta, mając nadzieję, że coś się zmieni?

– Wyrzucam cię.

– Nie bądź śmieszny. Nie możesz mnie teraz wylać: zanim się obejrzyś, pójdę prosto do „Washington Post”.

– Szantaż?

– Wzajemność.

– Wzajemność, akurat – warknął Reynard. Napił się wina. Nie był taki wściekły, na jakiego wyglądał, ale miał okropne poczucie, iż w polityce przesładuje go pech, podsuwając myśl o Makbecie lub królu Lirze. Nie mógł się z tego otrząsnąć. Pomimo inteligentnych i nieuczciwych propozycji Natalii Vanspronsen, w dalszym ciągu czuł, że jego los jest przesądzony. Dawno temu przekonał się, że oszustwo zawsze mści się z nawiązką. Najlepszym przykładem jest kondor – po czterdziestu czterech latach widmo przeszłości podniosło się z ziemi i niszczy jego przyszłość. Za późno, by dać zadośćuczynienie.

Umarło już ponad dwa tysiące Amerykanów; jeszcze tysiące pójdą niechybnie w ich ślady. I Chiffon, na litość boską. Zarządził jej śmierć, jak człowiek zamawiający posiłek. I to go w końcu załamało, uzmysłowiło, jaki jest w istocie.

– Mówisz, że Walt Seabrook może spreparować próbkę ze skażoną wodą? – spytał bezceremonialnie.

– Tak twierdzi.

– Tak bardzo chce zostać wiceministrem zdrowia, co?

Natalia kiwnęła głową.

– Chyba tak.

– I ty chcesz tam być, kiedy wybiorą mnie na prezydenta?

– Wzajemność – powiedziała.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi, do pokoju pospiesznie wszedł Dick Elmwood.

– Panie senatorze – odezwał się uprzejmie. Bez słów podniósł pilota leżącego obok krzesła Reynarda i włączył telewizor. Najpierw usłyszeli głos – głos, który Natalia natychmiast rozpoznała. Po czym zobaczyli twarz Edmonda Chandlera z doktorem Oscarem Fordem w tle.



– ...z hitlerowskiego bombowca?

– Zgadza się. Znaleźliśmy go w lesie; zarył się w ziemię w pobliżu Conant's Acre, które znajduje się w południowej części posiadłości senatora Reynarda Kelly'ego.

– Chce pan powiedzieć, że hitlerowski bombowiec rozbił się na terenie posiadłości senatora Kelly'ego podczas drugiej wojny światowej?

– Tak, właśnie tak. Nie wszyscy o tym wiedzą, ale samolot, kiedy spada, szczególnie z dużej wysokości, może zaryć się głęboko w ziemię i niemal zniknąć bez śladu.

– I sądzicie panowie, że wirus hiperpolio został przewieziony tym bombowcem w latach wojny?

– Mamy co do tego pewność.

– Nasza ekipa filmowa, która wyruszyła w teren, by przeprowadzić śledztwo, dotarła już do Conant's Acre i... chwileczkę, tak, oto nasz pierwszy raport. Halo, Marcus, trafiliście już na coś?

– Halo, Dave. Tak, znaleźliśmy to i spieszę donieść, że jest to sensacyjne odkrycie. Zlokalizowaliśmy przednią część ogromnego, zakopanego tu samolotu i... co najbardziej makabryczne w tym wszystkim... jeśli spojrzycie państwo tutaj, to zobaczycie w oknie czaszkę pilota, który przyleciał tym samolotem w latach czterdziestych; wciąż ma na sobie hełm lotniczy i czarną, skórzaną kurtkę lotniczą. Nie ulega wątpliwości, że jest to autentyczne odkrycie. Cały samolot wrył się w ziemię, tu w lesie, i został opleciony korzeniami drzew; jest z nami specjalista do spraw lotnictwa, Kenny Freo. Kenny, pracujesz w Smithsonian Institution, zgadza się? Jak sądzisz, cóż to za samolot?

– Hm, nie mam co do niego wątpliwości, Marcus. Jest to dziób samolotu typu Focke-Wulf 200 *Kondor*, który zbudowano pod koniec lat trzydziestych, by latał bez międzylądowania z Berlina do Nowego Jorku, ale później, ze względu na jego wyjątkowo długi zasięg, wykorzystywano go do atakowania brytyjskich konwojów płynących przez Atlantyk.

– A jakbyś ocenił odnalezienie po tylu latach jednego z tych kondorów w lasach New Hampshire?

– Cóż, to doniosłe wydarzenie, tylko tak można to określić. Sądzono, że podczas wojny taki kondor zbombardował Nową Szkocję, nigdy jednak tego nie udowodniono; tutaj mamy kompletny samolot, który ostatecznie potwierdza fakt, iż podczas drugiej wojny naziści za wszelką cenę próbowali dotrzeć do Stanów Zjednoczonych i nawet im się to udało. Teraz na własne oczy możemy się przekonać, jak niewiele brakowało, by ta wojna toczyła się na naszej ziemi.

– Obecny w naszym studiu doktor Edmond Chandler z Concord w New Hampshire uważa, że wojna w istocie dogoniła nas, przybierając postać epidemii hiperpolio, przewalającej się przez kraj ze wschodu na zachód...

Reynard wyłączył telewizor i siedział napięty i zgarbiony, nie mówiąc ani słowa.

– To był ten sam lekarz, który rozmawiał z nami w Concord – powiedziała Natalia.

– On? – spytał Dick Elmwood. – Edward Chandler?

– Edmond, Edmond Chandler.

– Jak ci ludzie dostali się na teren mojej posiadłości? – tępo spytał Reynard.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – rzekła Natalia.

– Oczywiście, że nie – powiedział Reynard. – Na tym polega cały problem w dzisiejszym świecie. Każdy uważa, że ma prawo wdzierać się nieproszony, każdy myśli, że może wejść, gdzie chce, nie zważając na to, iż jest to czyjaś własność. Znaleźli go, cholera, ten cholerny samolot był zakopany. Zakopany! Jak, do diabła, go znaleźli?! Czterdzieści cztery lata szukałem tego samolotu!

– Senatorze – powiedział uspokajająco Dick Elmwood – denerwowanie się nic nie pomoże.

– W ogóle już nic nie pomoże – rzekł Reynard. – Znaleźli ten przeklęty samolot. Wysil swe

szare komórki, Dick. Nie uważasz, że na pokładzie były mapy wskazujące miejsce lądowania? A dziennik pokładowy nawigatora? Może nawet instrukcja Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu...

– Niech pan temu zaprzeczy – nalegał Dick. – Niech pan zaprzeczy, że wie cokolwiek. Nigdy w życiu nie widział pan tego samolotu ani nie słyszał o nim.

– Ale, na litość boską, Dick, znaleźli go na mojej ziemi. Ponad dwa tysiące ludzi zmarło z powodu tego samolotu. Myślisz, że mogę z tym żyć? Myślisz, że tego chcę?

– Senatorze – ostrzegł go Dick. – I tak musi pan stawić temu czoło, w ten czy inny sposób. Jakie ma pan możliwości wyboru? W czasie wojny był pan związany z nazistami? Jakże może to mieć dla pana konsekwencje? Wziął pan pieniądze od reżimu hitlerowskiego? I jeszcze Greta powie, że wynajął ją pan do odegrania roli Pierwszej Damy, choć się rozstaliście, a ona żyła z innym mężczyzną? Mówimy tu o zakończeniu, senatorze, prawdopodobnie o karze więzienia. Watergate w porównaniu z tym będzie niczym. A jak pan sądzi, jakie jeszcze tajemnice zostaną ujawnione, kiedy paru pańskich wiernych pomocników zacznie się bronić, walcząc o życie? Chiffon Trent? Ted Peale? Musi pan działać, senatorze, w przeciwnym razie jest pan stracony.

Reynard zakrył twarz rękami i przesiedział tak długie minuty. W końcu podniósł oczy i powiedział:

– Co mogę zrobić? Powiedz mi, co mogę zrobić?

– Przede wszystkim musi pan zachować spokój – powiedział Dick. – Nie wolno panu dłużej poczuwać się do winy. Musi pan sobie powiedzieć, że ta epidemia była nieszczęśliwym wypadkiem, ponieważ tak było, prawda? Nie chciał pan, aby tak się stało, to po pierwsze. Następnie musi pan sobie powiedzieć: ten doktor Chandler pewnie mści się już na samym początku mojej kampanii; trzeba trafu, że natknął się na stary niemiecki samolot zakopany w moim lesie, samolot, o którym nic nie wiedziałem, i w jakiś absurdalny sposób próbuje połączyć go z epidemią. Jak mogłoby się to ze sobą łączyć? To wszystko bzdura. Hitlerowcy odbyli kilka próbnych lotów do Ameryki; zdarzyło się, że jeden z tych samolotów zablądził i rozbił się na terenie mojej posiadłości. To nie moja wina. Poza tym wydałem już tysiące dolarów z moich własnych pieniędzy na utworzenie instytutu badawczego po to, by ustalić, w jaki sposób można zwalczyć tę epidemię. No i co pan na to powie?

– To na nic się nie zda – rzekł Reynard – wiesz o tym, Dick.

– Na nic się nie zda, ponieważ jest pan przygnębiony i czuje się winny. Na litość boską, niech pan nabierze trochę pewności siebie. Musi pan tylko wszystkiemu zaprzeczać, wypierać się do ostatka, w końcu panu uwierzą. A jeżeli pański instytut trafi jeszcze na jakieś antidotum, będzie pan górą.

Właśnie wtedy wszedł Walt Seabrook.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedział – ale rozmawiałem z paroma osobami ze służby zdrowia w Concord. Oczywiście są wściekli, ponieważ Chandler porozumiał się z prasą poza ich plecami. Najbardziej wściekły jest Harold Bunyan z Komisji Zdrowia.

– Bo? – spytał Reynard.

– Bo wydaje się, że groźny doktor Chandler nie cieszy się dobrą opinią. Przeniósł się do Concord z Manhattanu, ponieważ zabił swoją przyjaciółkę, próbując przeprowadzić tracheotomię nożem do krajania mięsa, wziętym z restauracji. Towarzystwo lekarskie najwidoczniej chciało go wyrzucić, ale porozumiał się z kilkoma wpływowymi osobami, w tym z Hroldem Bunyanem, i w końcu pozwolili mu rozpocząć praktykę w pobliżu Concord, przydzielając go do kliniki Merrimack.

Reynard wyprostował się.

– Co pan mówi, doktorze Seabrook? On jest zabójcą?

– Podciął gardło swojej dziewczynie.

- Powiedziałyby pan to wszystko w telewizji?
- Przecież to prawda. Dlaczego miałbym tego nie powiedzieć?

Reynard klasnął w dłonie.

– Zatem go mamy! Jeśli jest zabójcą, to go mamy! Kto uwierzy słowom zabójcy? Lekarzowi, który podcina ludziom gardła?

– Zniszczysz go – powiedziała Natalia – wiesz o tym?

– Moja droga, na tym to polega. Jak myślisz, co on próbuje ze mną zrobić?

– Nie wiem, mam wrażenie, że stara się położyć kres tej epidemii.

– Dajmy pierwszeństwo sprawom najważniejszym. A najważniejsze jest to, żeby doktor Seabrook wystąpił w telewizji i otwarcie oskarżył doktora Chandlera o zabójstwo i szarlatanerię.

– Wiesz co? – powiedziała Natalia. – Przyszłam tu dzisiaj gotowa pomóc ci wydostać się z trudnej i niebezpiecznej sytuacji. Wiedziałam, że źle postąpiłeś, ale sądziłam, że to jedna z tych dawno zapomnianych spraw, które nie mają już większego znaczenia. Teraz widzę, że popełniłam błąd. Podczas wojny popierałeś nazistów i niezależnie od tego wszystkiego, co mówisz o opiece lekarskiej, dzieleniu się bogactwem i pomaganiu biednym, w gruncie rzeczy się nie zmieniłeś, prawda? Do diabła, senatorze Kelly, w twoim sercu kryje się jedynie pogarda dla wszystkiego, co cię otacza; nic dziwnego, że popierałeś Hitlera. Jesteś próżnym, aroganckim, nierozważnym i brutalnym mężczyzną. A co najgorsze: masz czelność siedzieć tutaj i oskarżać człowieka, który naprawdę się niepokoi.

Dick Elmwood popatrzył na Reynarda w sposób, który oznaczał tylko jedno: „Co z nią zrobimy?”

Ale Reynard sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał – Natalii.

– Załatw wszystko w telewizji, dobrze? – powiedział Dickowi. – Niech doktor Seabrook wystąpi dziś wieczorem w głównym wydaniu wiadomości. Niech ludzie zobaczą, co sobą reprezentujemy.

– Ślimak, ślimak, pokaż rogi... – powiedziała Natalia. Zgarnęła torebkę oraz notatki i dostojnym krokiem wyszła z pokoju.

– Pozwolisz jej odejść? – spytał Dick. – Zna prawdę o kondorze. Może wszystko zepsuć.

Lewe oko Reynarda mimowolnie drgnęło.

– Tak, masz rację. Upewnij się... po prostu mi o tym nie mów. Ale upewnij się. Nie chcę żadnych reperkusji, biorąc pod uwagę, że już tamto mamy na głowie. A więc, doktorze Seabrook, co mówił pan o tym lekarzu? Co zrobił? Podciął komuś gardło?

Walt Seabrook wyglądał na zaniepokojonego.

– Chyba nie zamierza pan zrobić krzywdy Natalii, prawda? To znaczy odniosłem wrażenie, że myśli pan...

– O czym? – spytał Reynard. Wpatrywał się w Walta, jakby był pijany, raz jednym okiem, raz drugim. – Odniosł pan wrażenie, że o czym myślimy?

– Nie wiem – powiedział Walt niespokojnie. Właśnie wtedy po raz pierwszy zrozumiał, że odstąpił od swych reguł gry i znalazł się wśród zawodników, którzy gotowi są raczej wszystko poświęcić, niż przegrać. Którzy zabijają, by wygrać. – Nie wiem – powtórzył. – Musiałem źle zrozumieć.



## Osiemnaście

Natalia przeżyła dzięki temu, że działała szybko. Zamiast wracać do pokoju po swój neseser, natychmiast opuściła dom; przeszedłszy przez wybrukowane podwórko, wsiadła do wynajętego zephyra i z piskiem opon wyjechała przez bramę domu Reynarda. Przy bramie stał jeden z ludzi Reynarda, ale Dick Elmwood nie zdążył go jeszcze ostrzec, uśmiechnął się zatem i zsalutował, gdy przemknęła obok niego. Przejechała przez English Village i zdążyła na północny wschód w kierunku Wisconsin Boulevard; przy Checy Chase skręciła na południowy wschód i w końcu dotarła na przedmieścia Waszyngtonu. Była przerażona i prowadząc samochód, bez przerwy zerknęła w tylne lustro, by sprawdzić, czy z domu Reynarda nie ruszył za nią w pościg jakiś samochód.

Na dworze panował zmrok, chociaż było dopiero popołudnie. Z zachodu nasunęły się zwały ciężkich chmur i choć niebo nad samym miastem było wciąż jasne, a Kapitol lśnił jak jakiś orientalny pałac, prawie wszystkie pojazdy jechały z zapalonymi światłami. Natalia włączyła się w anonimową rzekę samochodów płynącą przez Massachusetts Avenue do centrum miasta.

Nie była pewna, dlaczego poczuła tak nagłą chęć ucieczki z domu Reynarda, ale przez całe życie niezwykle łatwo wyczuwała nastroje, atmosferę strachu, a kiedy po raz pierwszy przybyli tam z Walterem Seabrookiem, niemal natychmiast się zorientowała, że coś jest nie tak. Powiedziała Waltowi, że w tym domu daje się wyczuć niesamowite napięcie, jak w bunkrze Hitlera albo w Białym Domu w ostatnich dniach afery Watergate. Panowała tam zagęszczona, histeryczna atmosfera; personel biegał w kółko, coraz bardziej bezsensownie, a w epicentrum tragedii spoczywał bezwładnie niegdyś wielki wódz – nieskłonny i niezdolny do dalszych działań.

Przyjechali do Waszyngtonu, żeby przedstawić Reynardowi ich plan obarczenia winą za epidemię rzeki Merrimack, której skażenie, jak wyjaśniła, zostałyby sfabrykowane. Jednak zanim jeszcze zaczęli to omawiać, zdała sobie sprawę, że jest już za późno – epidemia szerzyła się o wiele szybciej, niż przewidywał to Walt Seabrook, a rezygnacja Reynarda wydawała się faktem nieodwracalnym. W powietrzu wisiało morderstwo prawdziwe, krwawe morderstwo, i Natalia chciała się stamtąd wydostać jak najszybciej.

Znow zerknęła w lustro. Z lewej strony trzymał się jej ciemnoniebieski thunderbird z brązowym dachem, ale w wieczornym mroku trudno było stwierdzić, czy to ten sam samochód, który stał przed domem Reynarda. Zmieniła pas ruchu, thunderbird zrobił to samo. Może kierowca skorzystał po prostu z wolnego miejsca, jakie pozostawiła w strumieniu jadących samochodów, a może ją śledził.

Kiedy po raz pierwszy znalazła się w domu Reynarda, przyjrzała się ważniejszym osobistościom z jego personelu – Dickowi Elmwoodowi, Deanowi Farberowi oraz wszystkim innym – i zrozumiała, dlaczego Greta nazwała ich kiedyś kłębowiskiem żmij. Dokądkolwiek poszła, jeden z nich zdawał się również tam być, obserwując ją zimno, obrzucając jadowitym uśmiechem, który niepokoił bardziej niż jego brak.

Greta większość dnia spędzała zamknięta w sypialni, rozmawiając przez telefon ze swoimi prawnikami, zarządcami nieruchomości i wszystkimi przyjaciółmi w Nowej Anglii, których zastała w domu. Kiedy Natalia zobaczyła ją podczas lunchu, sprawiała wrażenie oszołomionej, niemal zastraszonej, chociaż później, po spędzeniu pewnego czasu z Waltem Seabrookiem, jej nastrój nieco się poprawił. Natalia podejrzewała, że albo pili, albo się kochali, albo robili jedno i drugie.

Niemniej jednak było to niezwykle i wstrząsające, kiedy się widziało, jak wielu ludzi z otoczenia Reynarda Kelly'ego zdaje się wypalać i wadliwie funkcjonować, jakby byli automatami

działającymi dzięki sile Reynarda. W pewnym sensie Natalia to rozumiała. Reynard był potężny. Miał pieniądze, wpływy, pozycję – dopóki temu wszystkiemu nie zagroził kondor.

Reynard dłużej już nie mógł uchylać się od poniesienia konsekwencji: ciężar odpowiedzialności, który musiał dźwigać, był zbyt przygniatający, nawet dla kogoś tak pozbawionego skrupułów jak on. Nadzieje Natalii na zdobycie sławy i zaszczytów przysły w chwili, gdy zobaczyła dzisiaj twarz Reynarda, szarą i jakoś dziwnie nabrzmiąłą, jakby wszystkie kiedykolwiek wypowiedziane przez niego kłamstwa zaczęły się w nim rozkładać.

Z Massachusetts Avenue gwałtownie skręciła w prawo, jadąc Dwudziestą Trzecią Ulicą na południe. Dwa samochody pojechały za nią, ale niebieski thunderbird pomknął dalej prosto. Zjechała na pobocze i poczekała, aż minie ją przynajmniej tuzin samochodów. Po czym znów włączyła się do ruchu i pojechała dalej na południe, przecinając Potomac mostem Arlington Memorial i udając się na lotnisko autostradą Mt. Vernon Memorial. Ponad głowami huczały startujące samoloty z zapalonymi światłami, chwytając w skrzydła ostatnie promienie słońca.

Zbliżała się godzina policyjna i bez pozwolenia, które pozostawiła w pokoju w domu Reynarda, Natalia mogła mieć kłopoty z dalszą jazdą. Ale przynajmniej w skrytce zephyra wciąż leżały bilety lotnicze, które zostawiła tam przez roztargnienie. Podziękowała Bogu za swoją największą wadę – brak zamiłowania do porządku.

Zaparkowała samochód przed budynkiem terminalu. Pomyślała, że dużo czasu upłynie, zanim tu wróci, jeżeli kiedykolwiek się na to zdecyduje. Na pewno nie przyjedzie, dopóki będzie żył Reynard Kelly. Teraz poszła wprost do stanowiska, gdzie odprawiano pasażerów lotów wahadłowych, i dowiedziała się, że ostatni samolot do Bostonu odlatuje za dziesięć minut. Dziewczyna wypisująca bilet nie poprosiła jej nawet o dowód.

Podeszła do telefonu i zamówiła rozmowę z doktorem Edmondem Chandlerem w Concord, na jego koszt. Czekając na połączenie, nie spuszczała oka z wejścia do terminalu, na wypadek gdyby zobaczyła kogoś znanego jej z otoczenia Reynarda. Ostatnie, na co miałaby ochotę, to zakończyć życie w budce telefonicznej na dworcu lotniczym.

– Edmond Chandler – odezwał się znajomy głos w chwili, gdy miała już zrezygnować i pobiec do samolotu.

– Doktorze Chandler, tu Natalia Vanspronsen. Nie mam dużo czasu, spieszę się na samolot. Lecę z powrotem do New Hampshire i wieczorem zobaczę się z panem. Teraz chciałam tylko powiedzieć, że Walt Seabrook prawdopodobnie zamierza przedstawić pana jako oszusta w wieczornych wiadomościach telewizyjnych. Chodzi o przeprowadzoną kiedyś przez pana tracheotomię, która doprowadziła do czyjejś śmierci. Mniejsza o to. Chcę, żeby pan wiedział, co zamierzają zrobić. I żeby pan uważał. Reynard Kelly jest doprowadzony do rozpacz i obawiam się, że zrobi wszystko, by utrzymać sprawę w tajemnicy.

– Mam wrażenie, że jest pani zdenerwowana. Czy wszystko w porządku? – spytał Edmond.

– No, powiedzmy, że wywinełam się z paskudnej historii.

– Proszę do mnie zadzwonić, gdy tylko znajdzie się pani na lotnisku w Concord. Przyjadę po panią.

– Zobaczymy się później, doktorze Chandler.

– Niech pani uważa, panno Vanspronsen.

Natalia odwiesiła słuchawkę. Pasażerów odlatujących do Bostonu proszono już do odprawy. Przeszła szybko przez halę dworcową i bramkę.

Denzil Forbes zapalił – jedno po drugim – światła w magazynie. Było to ogromne, suche,

przewiewne pomieszczenie, wykorzystywane kiedyś do składowania zboża i cukru. Teraz jednak służyło jako specjalne studio, w którym filmował to, co najbardziej wyuzdane w seksie i najstraszniejsze w ludzkiej agonii. Na środku podłogi leżał ogromny dywan, zasypany tuzinami poduszek i poduszeczek, a wokół tych naprędce przygotowanych dekoracji rozstawiono światła i dwie kamery wideo na statywach.

Nie było tylko widać kanistra z benzyną, którą Denzil zamierzał wykorzystać w końcowych momentach kręcenia filmu, a także gaśnicy, dzięki której będzie mógł do woli przedłużać agonię, wciąż gasząc i ponownie zapalając ogień. Pięciu mężczyzn, którzy weszli do magazynu za Denzilem, było bosych i odzianych w najprzeróżniejsze szlafroki i ręczniki; wyglądali jak nędzne zgromadzenie kąpielowiczów z taniego hoteliku na wschodnim wybrzeżu. Piotra nie było między nimi: wymówił się poirytowanemu Billowi Manzanettiemu chorym żołądkiem i pożyczył pieniądze na powrót do Nowego Jorku. Denzil, poprawiając krawat, przyjrzał się młodym mężczyznom i powiedział:

– Nie jest to najwspanialsze stado ogierów, jakie kiedykolwiek widziały moje oczy, ale nie ma na to rady.

– Hej, jest szansa dostać coś do jedzenia? – spytał jeden z młodzieńców. – Umieram z głodu.

– Później pošlemy po hamburgery – powiedział Denzil.

– Spalone na węgiel, co? – zachichotał nerwowo któryś z nich.

Denzil obrzucił go spojrzeniem, które mogłoby zmrozić jezioro Michigan. Sam był ogromnie spięty, ale kiedy znajdował się w takim stanie, wolał się nie rozluźniać, dopóki nie zakończy wszystkiego. Nie lubił takich żartów.

– Chcę powiedzieć tylko jedno – rzekł Denzil. – Wiecie, chłopcy, co my tutaj robimy. Zapłacono wam duże pieniądze, żebyście zrobili, co wam każą, i nie pisnęli słowa, kiedy będzie po wszystkim. Cały czas musicie pamiętać, że macie do czynienia nie z jakąś bandą przygłupów z Hollywood, próbującą zarobić parę kawałków ekstra, lecz z grubymi rybami, z ludźmi, którzy wszędzie, bez względu na to, dokąd pojedziecie, mogą was dostać w swoje ręce. Zatem dajcie mi dzisiaj pierwszorzędne przedstawienie, a później wynoście się stąd i na zawsze o tym zapomnijcie. Zrozumieliście? *Comprendo?*

W odległym końcu magazynu otworzyły się drzwi i weszła Mae-Beth, prowadząc za rękę Chiffon.

– Hej, ona jest ładna! – powiedział jeden z młodzieniaszków.

– O Jezu – powiedział drugi, myśląc z podnieceniem i przerażeniem o tym, co mają jej zrobić.

Chiffon posłusznie weszła na stertę poduszek, gdzie Mae-Beth pomogła jej zdjąć luźny, biały kaftan. Stała tam, nie ruszając się, patrząc obojętnie. W ciągu trzech dni był to jej siódmy film i w którymś momencie podczas kręcenia jej świadomość wyłączyła się; nie robiła już nic więcej, tylko jadła, spała, budziła się i wykonywała polecenia. Denzil odebrał jej wolną wolę, zastępując ją zbiorem rozkazów, które musiała wykonywać, by przeżyć. Przynajmniej tak powiedział: przeżyje, jeśli będzie posłuszną, a ona mu uwierzyła po prostu dlatego, że nie pozostało jej nic, w co mogłaby wierzyć.

Wszedł operator Denzila, wycierając mokre ręce o dzinsy.

– Nie masz ręczników w ubikacji? – spytał i dokończył wycierać ręce we flanelowy szlafrok jednego z chłopców. – Czy jest gotowa? – spytał.

Chiffon stała przed kamerami potulna i naga, ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt, znajdujący się gdzieś między nieskończonością a całkowitym zapomnieniem. Tego ranka była wstrząsająco piękna, bez względu na to, co się z nią działo, i mimo jej niewidzącego spojrzenia.

– Bierzmy się do roboty – zaproponował operator, nieświadomie powtarzając słowa Gary'ego

Gilmore'a z celi skazańców. Włączył reflektory i stopy poduszek zamieniły się w jasno oświetloną arenę.

– Wyskakujcie z szlafroków, *muchachos* – powiedział Denzil. Celowo chciał zirytować jednego z Latynosów, chłopaka o żółtej cerze i czarnym puszcującym się wąsiku. Młodzi mężczyźni zrzucili szlafroki i z zażenowaniem przestępowali z nogi na nogę.

Filmowali przez godzinę; z początku młodzieńcy byli niezdarni i zawstydzeni, ale im cieplej robiło się od reflektorów, a Chiffon odpowiadała im westchnieniami, jękami i spazmami, jakich żądał od niej Denzil, stawali się coraz bardziej lubieżni i gwałtowni, pasjonując się całkowitym przyzwoleniem na to, by gwałcić tę śliczną dziewczynę w taki sposób, na jaki przyjdzie im ochota.

Gdy minęła godzina, Denzil położył rękę na plecach operatora, co było dla niego sygnałem, by przestał kręcić; nadszedł czas, żeby przygotować scenę kulminacyjną – końcowe tortury i pożar.

– Teraz krótka przerwa – powiedział Denzil. – Musimy nabrać sił przed wielkim finałem.

Spoceni i zdyszani chłopcy podnieśli się z poduszek. Denzil odszedł, lecz usłyszawszy, że gdzieś po przeciwnej stronie magazynu otworzyły się drzwi, zaczął zawracać. Rozległ się szurgot i szuranie, jakby czyjeś stopy w trampkach pędem przebiegły po betonowej podłodze, potem ostry trzask.

Ku zdumieniu wszystkich ktoś rozwalil Denzilowi głowę. Jego szara, elegancka marynarka od garnituru nagle pociemniała, złana krwią, a on opadł na poduszki tak gwałtownie, jakby był olbrzymią marionetką, od której ktoś postanowił odciąć sznurki.

Pięciu młodych ludzi kręciło się w oszołomieniu tam i z powrotem. Dopiero gdy rozległ się terkot pistoletu maszynowego, zrozumieli, co się dzieje.

– O Boże! – krzyknął jeden z nich, ale nikt więcej nie zdążył się odezwać. Mae-Beth upadła na podłogę, pokrytą czerwonymi śladami, po czym rozległa się długa seria, która położyła trzech z pięciu młodych mężczyzn. Latynosowi prawie udało się dotrzeć do drzwi, zanim dostał w plecy, raz i jeszcze raz, i jeszcze raz – aż jego ciało zostało rozerwane na strzępy.

Operator Denzila, bardziej doświadczony w szybkich ucieczkach, uchylił się, uskoczył i przeturlał na drugą stronę magazynu. Seria sześciu lub siedmiu kul wbiła się w przepierzenie z tyłu i odłamek trafił go w mięsień przedramienia, ale zdążył się skulić za skrzynią po herbacie, pełną rupieci oraz trocin, i następny grad kul, który posypał się za nim, nie zdołał jej przebić. Ostrożnie podniósł głowę i zdążył zobaczyć mężczyznę w szarozielonym mundurze polowym i szarej kominiarce, biegnącego szybko przez magazyn.

– Słuchajcie! – krzyknął. – Pasuję, okay? Poddaję się. Nie mam z tym nic wspólnego. Po prostu mnie wynajęli, żebym zrobił zdjęcia. Nawet nie wiedziałem, o co im chodzi.

Słychać było coraz więcej cicho biegnących stóp. Operator domyślił się, że próbują go okrążyć.

– Poddaję się, okay? – zawołał ponownie.

– *Idi sjuda* – polecił ktoś w pobliżu, choć operator nie miał pewności, czy mówią do niego.

Zerknął w lewo i zobaczył drzwi prowadzące na parking. Gdyby tylko udało mu się je otworzyć i przeturlać się na zewnątrz, miałby szansę. Problem polegał na tym, że od drzwi dzieliły go cztery, pięć stóp pustej przestrzeni. Zastrzelą go, gdy tylko wyłoni się z ukrycia.

Spojrzał zatem w prawo i zobaczył kanister z benzyną, który Denzil przyniósł tu, by wzniecić pożar do końcowej sceny filmu. Był metalowy, prawdopodobnie wystarczająco mocny, by zmienić tor lotu kul. Gdyby mógł utrzymać kanister przed sobą, byłby w stanie wyjść, zanim go trafią. Przynajmniej było to lepsze niż kulenie się na podłodze i czekanie, aż ruszą i go zabiją.

Przesuwał się do tyłu, dopóki plecami nie dotknął dużego zimnego kanistra. Wówczas wyciągnął za siebie rękę i chwyciwszy go za uchwyt, powoli przyciągnął do siebie. Teraz musiał



tylko trzymać bańkę w ramionach, jakby była zbyt dużym i zbyt ciężkim dzieckiem, schować za nią pochyloną głowę i dać nura do drzwi.

– Stój – odezwał się inny głos, tym razem jeszcze bliżej. Ale operator podniósł się na jedno kolano, objął kanister rękami i uniółszy go trochę wyżej, by zasłonić głowę, gwałtownie rzucił się do drzwi. Rozległ się huk strzałów. Grad kul ze świstem uderzył w bok bańki i rykoszetem roztrzaskał małą szybkę w środku drzwi. Operator stracił prawie równowagę i zatoczył się na ścianę, ale udało mu się wyciągnąć rękę, chwycić gałkę i gwałtownie nią przekręcając, otworzyć drzwi.

Gdy próbował dać przez nią nurka, rozległ się głośniejszy strzał – z AK-47 wystrzelono pocisk, którego początkowa prędkość osiągała siedemset metrów na sekundę. Pocisk trafił w kanister, który eksplodował z przerażającym, przeciągłym szumem!

Kanister upadł. Operator wrzasnął i przez chwilę stał w drzwiach – z jego głowy i ramion buchały płomienie, włosy skwierczały, ręce miał uniesione jak pochodnie. W końcu upadł na bok i zniknął z pola widzenia.

Jeden z mężczyzn w mundurze polowym ostrożnie wysunął się do przodu z podniesionym w lewej ręce skorpionem, czechosłowackim pistoletem maszynowym. Przez chwilę patrzył na płonącego operatora, potem odwrócił się do swoich trzech kolegów i powiedział:

– *Prinisietie mnie dziewczku.*

Drżącą, zszokowaną Chiffon przeniesiono przez magazyn, okrywając jej nagie ciało jednym z aksamitnych szlafroków. Spojrzała na mężczyznę nieprzytomnym wzrokiem.

– Zostałaś uratowana – powiedział wyraźnie i wolno. – Rozumiesz? Uwolniliśmy cię od tych ludzi.

Chiffon popatrzyła na jego ukrytą pod kominiarką twarz i minąwszy go, podeszła do drzwi, przy których, niczym oleista świeca, wciąż topiło się ciało operatora.

– Pójdiesz z nami; damy ci ubranie i zapewnimy opiekę lekarską – powiedział mężczyzna.

– Mówi pan jak Piotr – rzekła słabym głosem Chiffon.

– Mówię tak, ponieważ jestem Rosjaninem. Rozumiesz? Teraz jesteś bezpieczna.

Chiffon niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową.

– Tak – powtórzyła. – Tak, rozumiem... jestem bezpieczna.

Zegar w holu ambasady wybił trzecią, gdy Humphrey otworzył drzwi i ostrożnie się rozejrzał. Korytarz był pusty; dokładnie wypolerowane białe – czarne kafle odbijały światło zimnego szwedzkiego dnia. Serce waliło mu jak młotem, a dłonie pociły się, lecz zdecydował się zrobić to, co uważał za słuszne.

– Tędy – powiedział do Klausego Hermanna, który, szary na twarzy, stał tuż za nim.

Na palcach przeszli przez korytarz – dwóch starych mężczyzn w skrzypiących butach i ze skrzypiącymi stawami. Humphrey otworzył drzwi do kuchni, przez chwilę nasłuchiwał, w końcu wyszeptał:

– Chodźmy.

Weszli i Humphrey zamknął drzwi.

– Teraz niech pan idzie za mną – powiedział. – I, na litość boską, jeśli ktoś nas zaskoczy, proszę po prostu powiedzieć, że źle się pan poczuł, że chciałem dać panu szklanekę wody.

– W porządku, rozumiem.

Przeszli przez olbrzymią staromodną kuchnię, urządzonej na białe i niebiesko, wyłożoną błyszczącymi kafelkami. Wzdłuż ściany na kołkach wisiał rząd ogromnych lśniących noży do krajania mięsa, a we wszystkich, przeszklonych z przodu, kredensach błyszczały imbryki, rondle i garnki do gotowania szparagów na parze.

Humphrey otworzył tylne drzwi i owionęło ich ostre powietrze ogrodów ambasady.

– Szkoda, że nie wziąłem ze sobą płaszcza – powiedział Hermann z wymuszonym uśmiechem. –

Jest zimno.

Obeszli budynek, trzymając się blisko ściany, gdy mijali okna dyżurki; potem przeszli przez bramę z kutego żelaza, prowadzącą na podwórko ambasady.

– Ta biała skoda po drugiej stronie jezdni – rzekł szybko Humphrey. – Musi pan tylko przejść przez ulicę, zapukać w okno i kierowca wpuści pana do środka.

Hermann wziął Humphreya za rękę.

– Trudno mi wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny za to, co pan dla mnie zrobił – powiedział. – Wiem, że nie było łatwo panu podjąć tę decyzję. Podczas wojny zawsze uważałem, że Brytyjczycy są... jak oni to nazywali?... *pukka*.

– Tak, tak, *pukka*, świetni – potwierdził niespokojnie Humphrey.

– Teraz chciałbym dopełnić umowy ze swej strony – zwrócił się do niego Hermann. Zza mankietu wyciągnął zwinięty kawałek papieru, który wyrwał z notatnika należącego do ambasady. Karteczka pokryta była drobnym, starannym pismem w języku niemieckim i trzema chemicznymi wzorami. Drżącą ręką podsunął ją Humphreyowi.

– Chcę, by pan przyrzekł, że jest prawdziwa – zażądał Humphrey.

Hermann kiwnął głową.

– Myślę, że znalazłszy się po raz pierwszy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zrozumiałem, iż życie jest czymś drogocennym – powiedział. – Zabiłem już zbyt wielu ludzi; nie chcę więcej ofiar. – Zbliżył się do Humphreya i uściśnął go:

– *Auf wiedersehen*, panie Browne. W innych okolicznościach może zostalibyśmy serdecznymi przyjaciółmi.

Humphrey patrzył, jak Hermann wytrwale kuśtyka w kierunku bramy ambasady. Umundurowany strażnik popatrzył na niego obojętnie i wrócił do oglądania Strandvaegen – przyzwyczajony był do tego, żeby uniemożliwiać wchodzenie nieproszonym gościom, a nie przeszkadzać ludziom w wychodzeniu. Zanim sobie uświadomi, że minął go Klaus Hermann, będzie już za późno. Za bramą ambasady obowiązywał immunitet dyplomatyczny.

Hermann doszedł do bramy. Minął ją. Teraz stał na chodniku na Strandvaegen, rozglądając się to w lewo, to w prawo, by przejść przez jezdnię. Kierowca białej skody uruchomił silnik. Humphrey widział, jak Hermann dotarł do krawężnika, i w napięciu zacisnął pięści. Skoda podjechała i kierowca otworzył tylne drzwi.

Właśnie w tej chwili zza drzewa w Nobelpark, po drugiej stronie Strandvaegen, wyszedł czekający tam Bill Bennett. Klaus Hermann nawet go nie zauważył – był zbyt przejęty tym, że ma wsiąść do skody – ale dostrzegł go Humphrey. Patrzył w hipnotycznym zafascynowaniu, jak Bill podnosi ręce i oddaje do Hermanna trzy ciche strzały. Jeden trafił go w twarz, drugi w pierś, a trzeci, gdy Niemiec już padał, w biodro.

Kierowca skody dodał gazu i samochód zaczął się oddalać, ale Bill Bennett obrócił się tylko z wyciągniętymi rękami i oddał jeszcze jeden strzał; kula roztrzaskała tylne okno samochodu i utkwiała w karku kierowcy. Samochód skręcił w bok, uderzył w krawężnik i silnik przestał pracować.

Humphrey wyszedł powoli na jezdnię.

– Masz tę receptę? – spytał Bill, wpychając rewolwer z powrotem do szarej wiatrówki.

– Tak – powiedział ochryplym głosem Humphrey. Odchrząknął i powtórzył: – Tak.

Bill spojrział na Klause Hermanna, który z otwartymi ustami leżał rozwalony na czerwonym asfalcie jezdni.

– Wiesz, że i tak miał zginąć, w ten czy w inny sposób?

– Chyba tak.

– Dobrze zrobiłeś, oszczędziłeś mu trochę męczarni. Usłyszeli ryk syren szwedzkich wozów policyjnych. Krew Hermanna zaczęła sączyć się na ulicę, spływając zagłębieniami nawierzchni. Humphrey nie mógł oderwać od niego wzroku. Pomyśleć, że jeszcze przed paroma sekundami obejmował tego mężczyznę, przyciskał go do siebie.

Odwrócił głowę i przez drzewa Nobelpark spojrział na ciemnoszarą wodę Djuergardsbrunnsviken. Oczy zaszyły mu łzami na wietrze i pomyślał, że musiał się zestarzeć. Siostra na pewno upiecze tort, by uczcić jego powrót.

– Recepta? – spytał Bill.

Humphrey podał mu ją.

– Zostaniesz za to wynagrodzony – powiedział Bill. – Wiele osobistości w Stanach Zjednoczonych będzie ci wdzięcznych za to, co się tu dzisiaj wydarzyło.

Humphrey znowu odchrząknął.

– Myślę, że nie potrzebuję żadnej nagrody, dziękuję.

Natalia obudziła się, gdy poczuła czyjąś rękę na swym ramieniu. Otworzywszy oczy, zobaczyła Edmonda, który przyglądał się jej poważnie, trzymając w drugiej ręce filiżankę kawy. W pokoju panował mrok; mimo zaciągniętych zasłon, w odległym kącie widoczna była rozjaśniona słońcem szpara. Natalia wiedziała już, że zanoszą się na jeden z tych pogodnych dni w New Hampshire, kiedy niebo jest tak niebieskie jak malowane, a drzewa jaskrawe jak złoto.

– Która godzina? – spytała. Pod kocem była naga, naciągnęła go więc aż po szyję.

– Ósma.

– O Boże, chciałam wstać o szóstej.

– To przez ten tapczan. Jest wygodniejszy, niż na to wygląda. Poza tym pewnie potrzebowałaś snu.

– Słyszałaś już wiadomości? – spytała.

– Epidemia nasila się – powiedział. Przyciągnął krzesło tak, że mógł postawić na nim filiżankę z kawą. – W samym okręgu Merrimack jest ponad dwieście ofiar.

– A w całym kraju?

Podszedł do okna i rozsunął zasłony. Natalia zakryła oczy przed światłem.

– Sześć, może siedem tysięcy. I wydaje się, że przez cały przenosi się coraz szybciej, jak przepowiedział to doktor Corning.

– Nie jedziesz do kliniki?

Potrząsnął głową.

– Twój przyjaciel Walt Seabrook rozpoczął dzisiejszy dzień od złożenia oświadczenia. Jako nowo mianowany szef powołanego przez senatora Reynarda Kelly'ego zespołu prowadzącego badania nad hiperpolio stwierdził publicznie, że oszczerstwem z mojej strony było sugerowanie, iż wirus pochodzi z niemieckiego samolotu znajdującego się obecnie na terenie posiadłości senatora, który był tak samo jak inni zaskoczony jego odnalezieniem. Powiedział, że to czysty przypadek. Jak stwierdził, podczas drugiej wojny światowej Niemcy kilkakrotnie próbowali lądować w Ameryce i za którymś razem rozbili się na terenach należących do senatora. To wszystko. Czy możesz w to uwierzyć?

– Wiem przecież, jak bardzo wplątany jest w tę całą aferę, na samą myśl o tym robi się niedobrze.

– Poczekaj – rzekł Edmond – po tym, co ci teraz powiem, poczujesz się jeszcze gorzej: Reynard otoczył już kordonem swoją posiadłość, by nie mogli się do niej zbliżyć ciekawscy i reporterzy. Potem oświadczył, że wydobycie tego samolotu ma zamiar zlecić specjalnej ekipie. To, mówi, może potrwać tygodnie, a nawet miesiące. Przez cały czas ludzie będą umierali na hiperpolio tylko po to, by ocalić jego głowę, a nawet mniej: jego cholerną karierę.

Natalia w milczeniu popijała kawę. Edmond mówił dalej:

– Mnie też dołożyli: doktor Seabrook poinformował, że jestem niebezpiecznym szarlatanem; przedstawił świadectwa lekarskie, by udowodnić, że przeprowadziłem nieudaną tracheotomię w restauracji w Nowym Jorku. Pokazał także zdjęcia zrobione przez lekarza sądowego, na których widać było poranioną szyję dziewczyny, co miało rozwiać wątpliwości tych, którzy wcześniej nie zorientowali się, o co chodzi. Mniej więcej godzinę temu zadzwonił do mnie pan Eldridge z miejscowego Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej, mówiąc mi, bym nie zawracał sobie więcej głowy praktyką lekarską w New Hampshire, czy coś w tym sensie.

Natalia usiadła, owijając się dokładnie kocem.

– Ależ to zbrodnia!

– Jasne, ale to, że senator Kelly pozwala umierać tysiącom niewinnych ludzi tylko dlatego, że pragnie dalej kandydować do Białego Domu, jest jeszcze większą zbrodnią.

– Sądzę, że on już sam nie wie, co robi – powiedziała Natalia. – Na każdym spotkaniu, na które zjeżdżali do Waszyngtonu, wszystko było takie nierealne: Reynard, Dick Elmwood i pozostali cały czas mówili o „dobrze ludzi”, jakby mieli zamiar zamordować połowę zajmujących się polityką mieszkańców okręgu Columbia.

– Naprawdę myślisz, że próbowaliby cię zabić? Odstawiła filiżankę.

– Nie miałam zamiaru tkwić tam, by się o tym przekonać. Dobra kawa.

– Blue mountain.

Natalia przeciągnęła ręką po włosach.

– Zamierzam dalej walczyć. Przekażę wszystko, co wiem, prasie, radiu i telewizji.

– Kelly oczywiście wszystkiemu zaprzeczy – powiedział Edmond. – Jeśli ukrywasz jakieś tajemnice rodzinne, on dokopie się do nich i będzie próbował cię zniszczyć. Ale jeśli możesz to znieść...

– Zniosę wszystko, by ludzie przestali umierać. Kiedyś przerwałam ciążę. To chyba najgorsze, co mam na sumieniu.

– Nie musiałaś mi o tym mówić. Nie zmuszałam cię do zwierzeń.

– Nie wstydzę się tego.

Edmond podszedł i usiadł obok niej.

– Mam nadzieję, że to przetrzymamy – powiedział. – Oboje. A kiedy ten koszmar się skończy...

– Nie wiem, czy jest pan odpowiednim mężczyzną do zawierania bliższej znajomości, doktorze Chandler. Jedna dama pańskiego serca zmarła podczas operacji, druga wskutek choroby.

Gdyby nie powiedziała tego tak zalotnym tonem, uwaga ta byłaby niesmaczna i ordynarna. Ale sposób, w jaki na niego patrzyła i w jaki przechyliła lekko głowę w prowokującym i pytającym geście, z uśmiechem ledwo widocznym w kącikach ust – wszystko to nadało jej słowom zgoła inne, pełne intymności znaczenie. O wiele bardziej lubiła mężczyzn, którzy gotowi byli stanąć w obronie tego, w co wierzyli, niż zwycięzców. Może dlatego jej współpraca z Reynardem Kellym nigdy nie ułożyłaby się dobrze, nawet gdyby nie wypłynęła sprawa kondora. Reynard był zwycięzcą, ale w nic nie wierzył.

– Każdy ma prawo do jednego czy dwóch błędów – stwierdził Edmond.

Natalia delikatnie pogłaskała jego dłoń, prosząc tym gestem o przebaczenie.

– Zabolalo cię to, prawda?

– Tylko siebie mogę za to winić. Kiedy kochasz ludzi tak bardzo, że są dla ciebie wszystkim, i ranisz ich, i okazuje się, że nie potrafisz przestać ich ranić, bez względu na to, jak bardzo się starasz... to wtedy zaczynasz się zastanawiać, czy w ogóle umiesz kochać.

Natalia nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Nie wiesz, że to się zdarza każdemu? Jesteś lekarzem, powinienes o tym wiedzieć.

– Nie jestem specjalistą od ratowania złamanych serc.

– Nie wymagaj od siebie za dużo – powiedziała. – Nie możesz być doskonały; nie możesz brać na siebie całej winy za wszystko.

Zadzwoił telefon. Edmond wyciągnął rękę przez tapczan i odebrał go.

– Doktor Chandler – odezwał się, przytrzymując słuchawkę policzkiem.

Był to Oscar. Sprawiał wrażenie zmęczonego, mówił chrapliwym głosem.

– Wybacz mi, E.C., ale mam dla ciebie złe nowiny.

– Malcolm – domyślił się Edmond.

– Przykro mi – powiedział Oscar. Natalia położyła rękę na ramieniu Edmonda.

– Co się stało? – spytała. Oscar mówił dalej:

– Spadł z mostu, mniej więcej godzinę temu. Dokładnie z Manchester Street do rzeki. Policja mówi, że jechał z szybkością siedemdziesięciu pięciu, może osiemdziesięciu mil na godzinę.

Edmond wyjął słuchawkę spod policzka i trzymał ją teraz w ręce.

– Zginął na miejscu?

– Na pewno. Złamał sobie kark, gdy tylko uderzył o powierzchnię wody.

– O Boże.

– Nie obwiniaj się o to – powiedział Oscar. – Przeprowadziłem test, który wyraźnie wykazał wystąpienie u niego objawów hiperpolio. Umarłby tak czy inaczej.

– Nie mówisz tego po prostu po to, bym czuł się mniej winny?

– Przyjedź i sam zobacz wyniki sekcji zwłok. Myślisz, że zrobiłbym cokolwiek, żeby taki szarlatan jak ty czuł się mniej winny?

– W porządku, Oscar, dzięki.

– Wpadnę, kiedy będę mógł. Tymczasem trzymaj się.

Edmond odłożył słuchawkę.

– Chcesz o tym pogadać? – spytała Natalia.

– Nie wiem – odpowiedział. – Za chwilę. Chyba najpierw muszę się napić.

Telefon w domu Reynarda Kelly'ego zadzwonił o szóstej wieczorem. Do tego czasu epidemia ogarnęła już tak ogromne połacie Stanów Zjednoczonych i zmarło tak dużo ludzi, że prezydent zastanawiał się nad wprowadzeniem kwarantanny na całym kontynencie. Specjalnej rządowej grupie biochemików po raz kolejny nie udało się osłabić żywotności wirusa, chociaż próbowali wszystkich rozpuszczalników lipidowych, od eteru po termazyne, i bombardowali go promieniami rentgenowskimi i ultrafioletowymi.

Reynard Kelly siedział przed telewizorem w salonie, przy zaciągniętych zasłonach i przyćmionym świetle, słuchając co godzina wiadomości. Nie przyjmował nikogo, z wyjątkiem Dicka Elmwooda oraz członków swego najbliższego personelu. Odbierał jedynie najpilniejsze telefony. Nie chciał rozmawiać z Gretą, lecz nie zgodził się także, by opuściła dom; spędziła zatem z Waltem Seabrookiem wieczór w bibliotece, spięta i podniecona, ponieważ dzisiaj nie zażyła

narkotyków.

Dick Elmwood wszedł bezszelestnie do pokoju i pochylił się nad Reynardem, jakby chciał mu przekazać największy sekret.

– Telefon do pana, senatorze.

– Nie przyjmuję już dzisiaj żadnych telefonów, Dick. Jak na jeden dzień było ich chyba wystarczająco dużo. Mam dosyć.

– Sądzę, sir, że ten telefon powinien pan odebrać.

Reynard podniósł głowę. W jego oczach odbijało się migocące światło telewizyjnego ekranu.

– Dlaczego? – spytał.

– Osoba, która dzwoni, twierdzi, że ma dowody na to, iż doktor Chandler powiedział w telewizji prawdę.

– Ktoś pewnie rozmawiał z tą dziwką, Natalią. Na litość boską, pozwoliłeś jej odejść, a ona teraz opowiada o tym każdemu, kto chce słuchać.

– Wiemy, gdzie jest, sir. U Chandlera w Concord. Ale nie sądzimy, żeby z kimś rozmawiała, przynajmniej na razie. Ani w prasie, ani w telewizji nie było żadnych nowych informacji o kondorze.

Reynard wskazał głową telefon.

– Zatem kto dzwoni?

– Nie wiem, sir, ale wydaje się, że mówi prawdę.

– Przełącz się na telefon wewnętrzny i słuchaj – polecił Reynard, po czym podniósł słuchawkę i powiedział niecierpliwie: – Tu senator Kelly. Kto mówi?

Nastąpiła krótka przerwa wypełniona trzaskami, zanim ktoś, wyraźnie akcentując słowa, powiedział:

– Dobry wieczór, senatorze. Mam dla pana dobre wieści.

– O czym pan mówi? Kim pan jest?

– Nazywam się Czerenkow; dzwonię z Nowego Jorku. Cieszę się, że pierwszy mogę powiadomić pana, iż pańska przyjaciółka wciąż żyje. Trzeba przyznać, że nie najlepiej, ale żyje.

– O czym, do diabła, pan mówi? – spytał Reynard. – To chyba jakiś żart?

– Skądże, sir. Na pewno pamięta pan pannę Chiffon Trent.

– Jak, do cholery, może pan okazywać taki brak szacunku! Panna Trent była moją bliską przyjaciółką, ale już nie żyje.

– Och nie, senatorze, Chiffon Trent nie umarła. Jest teraz ze mną, przy Pięćdziesiątej Piątej Madison Avenue. Nie wiem, kto zginął w tym wraku samochodu, ale nie była to ona. Znaleźliśmy ją w Milwaukee, w stanie Wisconsin, gdzie kazano jej grać w czymś, co wy, Amerykanie, nazywacie „trupim kinem”. Na szczęście zdążyliśmy przyjechać, zanim wykitowała.

Dick Elmwood zerknął niespokojnie na Reynarda. Ten – szary jak popiół – ścisnął słuchawkę tak mocno, że pobielały mu kłykcie.

– Czego pan chce? – spytał Reynard.

– Chcę? Mój drogi senatorze, my niczego nie chcemy. Może jedynie poinformować pana, że Chiffon Trent w każdej chwili jest gotowa potwierdzić to, co mówił jej pan o swojej współpracy z nazistami podczas wojny. Jeżeli będzie pan miał wystarczająco dużo szczęścia, żeby przetrwać obecny skandal, a wydaje się to prawdopodobne, wówczas my zawsze będziemy gotowi złożyć pewne oświadczenie, jeśli tylko okaże się pan tak napastliwy i niechętny do współpracy ze Związkiem Radzieckim, jak niektórzy pańscy poprzednicy. Oczywiście nie jestem upoważniony, by powiedzieć, o co możemy pana później prosić, ale równie dobrze może to mieć coś wspólnego z wycofaniem pocisków *Cruise* z Europy, jak też ze zmniejszeniem waszej ingerencji w sprawę

Ameryki Środkowej.

Reynard bez uprzedzenia trzasnął aparatem. Potem znów go podniósł, wyrwał ze ściany i rzuciwszy na dywan, deptał po nim, dopóki go nie zniszczył.

– Senatorze Kelly – odezwał się Dick – chciałem powiedzieć, że nie miałem pojęcia, iż panna Trent wciąż żyje. Miałem wszelkie podstawy uważać, że ludzie, których wynająłem, są godni zaufania... ta wiadomość spadła na mnie tak samo niespodziewanie jak na pana.

Reynard wpatrywał się w niego, twarz mu drżała, z ust spływała ślina.

– To kondor – wściekał się. – Wszystko zaczęło się od tego cholernego samolotu; to jest ich jedyny niezbity dowód. Gdybyśmy raz na zawsze pozbyli się tego cholerstwa, wówczas, na Boga, w żaden sposób nie mogliby udowodnić, co się stało, absolutnie w żaden sposób. Powiem ci zatem, co zrobimy. Polecimy wieczorem do Concord, Dick, oto co zrobimy, i wysadzimy w powietrze ten przeklęty samolot, później rozwalimy go na małe kawałeczki, a potem te kawałeczki na jeszcze mniejsze...

– Niech pan posłucha, senatorze...

– Nie mów mi, żebyś słuchał! – wrzasnął Reynard. – Słuchałem wystarczająco długo! To wszystko by się nie wydarzyło, gdyby nie ty i reszta tych kretynów, którzy tylko wyciągają ode mnie pieniądze, przywłaszczają sobie moje pomysły i traktują całą tę cholerną kampanię jak karnawał! Chcę materiałów wybuchowych, tego właśnie chcę. Gdzie możemy dostać materiały wybuchowe?

– Senatorze, proszę...

– Gdzie możemy dostać materiały wybuchowe?! – wrzasnął na niego Reynard. – Gdzie?! Chcę materiałów wybuchowych!

– No cóż, sir, w Waszyngtonie jest przedsiębiorca zajmujący się burzeniem domów, którego można by przekonać, aby nam pomógł. To przyjaciel kogoś, kogo znałem w Seattle, i...

– Nie obchodzi mnie, do cholery, historia twego życia – wściekał się Reynard. – Chcę materiałów wybuchowych, rozumiesz? I chcę mieć człowieka, który wie, jak się nimi posługiwać, jasne? Pojmujesz to, Dick? I chcę tego teraz. Polecimy z nimi do Concord i zrobimy...

– Senatorze, będziemy musieli wynająć odrzutowiec. Nie uda nam się zabrać materiałów wybuchowych na pokład zwykłego samolotu pasażerskiego.

– Cholera, mam własny odrzutowiec.

– Ale w Concord, sir, przechodzi...

– To wynajmij jakiś, na litość boską. Czy sam muszę myśleć o każdym kretyńskim drobiazgu?!

– Nie, sir.

– Chcę dzisiaj wylecieć. Lecisz ze mną? Dziś wieczorem.

– Obowiązuje godzina policyjna, sir.

– Do diabła z nią, Dick, jestem Reynard Kelly. Jestem człowiekiem, który wywołał tę cholerną chorobę! To przede wszystkim z mojego powodu muszą przestrzegać godziny policyjnej.

– Tak, sir.

– „Tak, sir” – przedrzeźnił go Reynard.

Dick Elmwood wyszedł z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Kiedy Reynard spojrzął na nie zirytowany, nagle zrozumiał, dlaczego. W szmaragdowozielonej koktajlowej sukni stała w nich Greta. Jej sylwetka rysowała się na tle światła padającego z hallu. Włosy jej błyszczały; miała na sobie diamenty. Nawet z drugiego końca pokoju czuł jej perfumy „Źródło radości”. Też mi uciecha, pomyślał.

– Czego chcesz? – zapytał z nie ukrywaną irytacją.

– Chciałam cię po prostu zobaczyć – powiedziała cicho.

– Jestem zajęty. Nie mam teraz czasu na rozmowy.

– Nie chcę z tobą rozmawiać. Chciałam cię po prostu zobaczyć. Chciałam po prostu zobaczyć, jak wielki człowiek może się doprowadzić do kompletnej ruiny jedynie dlatego, że nie znał potrzeb i oczekiwań otaczających go ludzi. Nikt nie osiągnie sukcesu w pojedynkę, Reynardzie. Mógłbyś być wielki, gdybyś baczniej przyglądał się ludziom i traktował ich nieco mniej egoistycznie. Ale ty tego nie potrafiłeś, prawda? Zaburzenia osobowości. Wiesz, dla niektórych ludzi egoizm jest nieszczęściem; ty uczyniłeś z niego sposób na życie.

Reynard odwrócił się do niej plecami, patrząc na ozdobione draperią okno.

– Napatrzyłeś się już na mnie? – spytała.

– Niezupełnie, nie wiem, czy kiedykolwiek mi się to uda – rzekł. Nienawidził złośliwego rozbawienia w jej głosie. – Lecę z powrotem do Concord – powiedział. – Wracam tam dokonać czegoś, co powinienem zrobić wcześniej. Zamierzam zniszczyć ten samolot, wysadzić go w powietrze.

– Oszalałeś? To niczego nie rozwiąże. Jak myślisz, co powie prasa, jeśli to zrobisz?

– Nie obchodzi mnie, co powie. To jest ich jedyny namacalny dowód.

– Ależ, Reynardzie...

Obrócił się na pięcie i rzucił jej pełne wściekłości spojrzenie.

– Wszyscy jesteście tacy sami: pełni kiepskich, nietaktownych i beznadziejnych rad. Przez te wszystkie lata byłem na tyle głupi, by ich słuchać, i naginałem do nich swoje postępowanie; zobacz, do diabła, dokąd mnie to zaprowadziło.

– Zdradziłeś swój kraj dużo wcześniej, niż mnie poznałeś.

– Ooo! – krzyknął z niewysłowioną pasją Reynard. Chwycił ją za stanik sukni i zerwał go, zostawiając głębokie zadrapania na jej półnagich piersiach.

– Ty draniu! – wrzasnęła. – Ty tępy draniu!

Chwycił ją ponownie i uderzył mocno w twarz – raz z jednej, potem wierzchem ręki z drugiej strony. Jej perły rozerwały się i posypały na dywan. Reynard rozciął jej wargę i posiniaczył nos, niemal natychmiast spuchło jej prawe oko.

Greta, wrzeszcząc, drapała go paznokciami. Uderzył ją jeszcze raz, potem jeszcze raz, aż upadła na kanapę. Próbowwała się podnieść, ale miał teraz nad nią przewagę i walił ją za każdym razem, ilekroć chciała wstać.

Kiedy w końcu minęła mu złość, odwrócił się do niej plecami, dysząc ciężko.

– Po tych wszystkich latach – powiedział ponuro. Greta mogła tylko płakać. Próbowwała wstać, ale jej się nie udało, „klęczała więc na podłodze i płakała.

– Po tych wszystkich przeklętych latach – powtórzył Reynard.

Edmond spał już prawie, kiedy zaterkotał telefon. Pomacał ręką w ciemności, zanim znalazł i podniósł słuchawkę.

– Doktor Chandler.

– Doktor Edmond Chandler?

– Zgadza się. Kto mówi?

– Greta Kelly, żona Reynarda Kelly'ego.

Edmond usiadł na łóżku i poszukał lampki.

– Jak znalazła pani mój numer? – spytał.

– Jest w książce telefonicznej Concord.

– A zatem w czym mogę pani pomóc? Dobrze się pani czuje? Sprawia pani wrażenie... nie



chciałbym być niedyskretny, ale...

– Mój mąż właśnie mnie pobił, doktorze Chandler. Pobił mnie, po czym opuścił Waszyngton i odleciał do Concord.

– Rozumiem. Chociaż w gruncie rzeczy nie rozumiem, co to ma ze mną wspólnego?

– Doktorze Chandler, on oszalał. Wpadł w histeryczne szaleństwo. Wynajął odrzutowiec i leci do Concord samolotem wyładowanym materiałami wybuchowymi. Mówi, że zamierza wysadzić w powietrze ten nazistowski samolot i tym samym zniszczyć jedyny dowód, jaki mają przeciwko niemu.

Edmond przetarł oczy.

– Zatem moje przypuszczenia co do samolotu są prawdziwe?

– Zasadniczo tak. Musi go pan powstrzymać, doktorze Chandler. Skończy się na tym, że kogoś zabije, jeśli go pan nie powstrzyma.

– Pani Kelly, naprawdę nie wiem, co mógłbym...

– Proszę, doktorze Chandler, niech pan coś zrobi. On będzie w Colonnades za pół godziny.

Natalia podeszła do drzwi sypialni – obudził ją głos Edmonda.

– Coś się stało? – spytała. Edmond odłożył słuchawkę.

– Świat stracił już resztki rozumu – powiedział. – Dzwoniła Greta Kelly, by mi powiedzieć, że twój były szef leci do Concord z zamiarem rozwalenia tego nazistowskiego samolotu w drobny mak.

– Zwariował czy co?

Edmond wciągnął spodnie i wyjął z szafy koszulę.

– Powiedzmy sobie, że napięcie związane z utrzymaniem tej tajemnicy przez czterdzieści cztery lata stało się w końcu dla niego nie do wytrzymania.

– Co zamierzasz zrobić?

– Naprawdę nie wiem, co, do diabła, mogę zrobić. Najpierw zadzwonię do Oscara, a potem... kto wie?

Minęło prawie pięć minut, zanim Oscar odebrał telefon. Kiedy w końcu się odezwał, sprawiał wrażenie, jakby jeszcze spał. Edmond powiedział mu o telefonie od Grety Kelly.

– Wyjście jest proste – rzekł Oscar.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że uniemożliwimy mu lądowanie na terenie jego własnej posiadłości, zmuszając go, by skierował się na lotnisko w Concord albo gdzie indziej. Później natychmiast zaalarmujemy policję, żeby go złapali, bez względu na to, gdzie wyląduje.

– Dlaczego od razu nie wezwać policji, nie powiedzieć, co się dzieje?

– Ponieważ senator Kelly to senator Kelly, mój drogi przyjacielu, i komendant nie zaryzykuje wysłania dwunastu najlepszych policjantów z Concord po to, by wdarli się na teren jego prywatnej posiadłości bez nakazu rewizji i uzasadnionego powodu.

– Jak, do diabła, uniemożliwimy im lądowanie? – spytał zirytowany Edmond.

Learjet świsnął nisko nad rzeką Merrimack i zaczął kierować się ku East Concord. Dochodziła trzecia nad ranem; niebo było czyste i zimne. Reynard wyglądał przez okno, obserwując mijane w dole znajome punkty orientacyjne – rzekę Soucook, Horse Corner, Loudon Road i z lewej strony migocące światła lotniska Concord.

Dick Elmwood siedział obok niego, nerwowo zagryzając wargi. Podejmując współpracę z Reynardem, wziął pod uwagę wszystko, z jednym tylko wyjątkiem: że człowiek ten pewnego dnia się załamie i będzie się zachowywał tak jak dzisiaj. Świadomość, że na pokładzie samolotu

przewożą prawie tysiąc pięćset kostek kruszącego materiału wybuchowego, także nie pomagała mu się odprężyć.

– Proszę zapiąć pasy, senatorze – odezwał się pilot.

Reynard podniósł głowę, zmarszczył brwi i powiedział:

– Co?

– Pasy – powtórzył Dick.

– Aha – rzekł Reynard.

Miejsce z tyłu zajmował posępny mężczyzna z krótko przyciętymi włosami, w kraciastej koszuli, oglądający Concord przez lornetkę. Był to specjalista od materiałów wybuchowych, którego Dickowi udało się przekonać, żeby poleciał z nimi zając się kondorem. Ostatecznie zgodził się nie przespać nocy w zamian za obietnicę dziesięciu tysięcy dolarów gotówką.

Learjet wypuścił podwozie i zniknął za drzewami. Pole startowe w Colonnades znajdowało się z północno-wschodniej strony domu. Kiedy dziewięć lat temu Reynard kupił swój pierwszy odrzutowiec, postarał się, żeby specjalnie osuszono ziemię i zbudowano pas startowy. Porosłe trawą Conant's Acre było zbyt wyboiste dla odrzutowców, a poza tym uprawiane dawało większe zyski.

Reynard widział teraz dom, symetryczny i biały.

– Dom – powiedział do Dicka, który kiwnął głową i mruknął coś niezrozumiale na potwierdzenie.

Czekali do ostatniej chwili; ich wozy stały obok siebie, ukryte w wysokiej trawie porastającej sad. Edmond i Natalia siedzieli w jednym samochodzie, Oscar – w drugim. Utrzymywali ciszę w eterze, żeby w domu nikt nie złapał ich rozmów na krótkofalówce; w zamian porozumiewali się ze sobą za pomocą wcześniej ustalonych sygnałów ręką. Jedno machnięcie znaczyło: „widzę odrzutowiec”, dwa – „ruszamy”, trzy – „wynosimy się stąd”.

Mniej więcej dziesięć minut wcześniej wzdłuż pasa startowego zapalono długie szeregi jasnych świateł i poprzez rzędy grusz zobaczyli, że światła ciągną się aż do domu.

– Możemy się go spodziewać lada moment – powiedziała Natalia. – Służący już się przygotowują na powitanie swego pana powracającego do domu.

Edmond nic nie powiedział. Nie był przekonany, czy uniemożliwienie Reynardowi lądowania jest dobrym pomysłem. Nie był nawet pewien, czy należy powstrzymać go przed wysadzeniem kondora w powietrze. Nie obejrzeni jeszcze dokładnie samolotu, mógł tam więc pozostać jakiś istotny dowód, ale Edmond nie miał wątpliwości, że jeśli Reynard rozwali samolot na kawałki, potwierdzi tym tylko swoją winę. Cóż bowiem zamierzał zrobić z tymi kawałkami? Zakopać je ponownie? Zetrzeć na proch i rozsypać nad morzem?

Pamiętał, co powiedziała Greta. Reynard wpadł w histeryczne szaleństwo i jeżeli się nie myliła, prawdopodobnie był zdolny zrobić wszystko, nawet wysadzić się w powietrze razem z samolotem. Edmondowi wydawało się, że zarówno wobec Reynarda, jak i samego miasta Concord ma ponury obowiązek podjęcia próby ratunku. Wciąż był przecież lekarzem.

Usłyszeli learjeta, zanim go zobaczyli. Z południowego wschodu dochodził cichy świst. Nagle o wiele niżej i z innego, niż oczekiwał Edmond, kierunku zobaczyli migocące światła samolotu. Oscar machnął ręką, włączyli reflektory i oba samochody, ślizgając się na mokrej trawie, z hukiem wypadły z sadu, kierując się na pas startowy.

– O Boże – odezwała się Natalia – mam nadzieję, że samolot zaraz się wzniesie. Wydaje się, że jest nieprawdopodobnie blisko.

Z trzęsącym się zawieszeniem samochód Edmonda wjechał na pas startowy. Edmond skręcił

kierownicę, przycisnął pedał gazu i pojechał wprost na zniżającego się odrzutowca. Samochód Oscara pędził z lewej strony, zaledwie parę stóp za nimi.

– Nie może się wznieść! – krzyknęła Natalia. – Edmond, na litość boską!

Edmond zobaczył światła learjeta, zarys jego skrzydeł. Samolot zdawał się wypełniać całą przednią szybę i w głębi duszy Edmond nie miał wątpliwości, że dojdzie do czołowego zderzenia. Natalia, zbyt przerażona, żeby krzyczeć, zgięła się w pół, zakrywając twarz rękami; cały świat zagłuszył huk silników odrzutowych i przeraźliwy gwizd, od którego zabolowały bębniaki w uszach.

Edmond, słysząc ogłuszający hałas, uświadomił sobie, że samolot wzbił się ponad nich i z pełną szybkością wciąż leci w górę. Dotarli do końca pasa startowego, a learjet wznosił się coraz wyżej i wyżej, sterując w prawo i próbując ominąć wysokie drzewa na końcu łąki.

Z domu wybiegli w ich kierunku ludzie, ale Natalia, Edmond i Oscar zatrzymali samochody i wyskoczywszy z nich, stanęli na wietrze, patrząc, jak learjet leci w górę i zawraca na wschodzie na tle bladego nieba. Słuchali bolesnego dla uszu ryku silników, gdy samolot usiłował nabrać wysokości.

– W porządku – powiedział chrapliwie Edmond. – W porządku, uda mu się.

Niemal w tej samej chwili wibrujący dźwięk silników przeszył żołądek Edmonda i wydawało się, że odrzutowiec przechyliła się na bok. Zobaczyli, jak końcem skrzydła zahaczył o drzewo, potem nagle zawirował i zleciał na ziemię. Rozległo się głucho, dziwnie stłumione uderzenie. Część personelu bez krzyku, bez wołania, w zupełnej ciszy, zaczęła biec w kierunku samolotu. Wówczas nastąpił potężny i przytłaczający wybuch – to eksplodowało półtora tysiąca funtów dynamitu, powodując huk, który wymazał wszelką świadomą myśl i zawył Edmondowi boleśnie w uszach. Niesamowita pomarańczowa kula ognia potoczyła się aż do nieba i zniknęła nagle niczym dżinn z bajki. Po chwili, jedna po drugiej, jak stado ustrzelonych w powietrzu ptaków, zaczęły spadać części samolotu, szeleszcząc w ogrodowych drzewach, stukając o pole startowe. Między nimi były szczątki senatora Reynarda Kelly'ego.

Oscar odwrócił się natychmiast i zaczął wracać do samochodu. Edmond i Natalia nie ruszyli się z miejsca. Edmond nie mógł oderwać wzroku od płonących szczątków samolotu, Natalia przytuliła się do niego i zakryła mu pierś kłapami marynarki, by osłonić go przed zinnem.

Następnego ranka, parę minut po ósmej, Piotr jadł śniadanie, zimną owsiankę i mocną herbatę, kiedy zabrzączał dzwonek. Wycierając usta ręką, podszedł do drzwi i zawołał:

– Kto tam?!

– Chiffon.

Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. W mrocznym korytarzu stała Chiffon; była w czerwonym płaszczu z paskiem i szaliku przewiązanym na głowie. Oczy miała podsiniaczone, a wokół ust i na szyi widniały krwawe ślady. Nosila ciemne, chroniące przed światłem okulary.

– Chiffon – powiedział tak cicho, że z trudem go usłyszała.

– Przyszłam tylko po to, żeby ci podziękować – rzekła. – Powiedzieli mi, że to ty ich wezwałeś. To znaczy Rosjanie, pan Czerenkov.

– Nie zrobili ci nic złego? Potrząsnęła głową.

– Zajęli się mną troskliwie, byłam przecież cennym nabytkiem, jeśli wziąć pod uwagę to wszystko, co wiedziałam o Reynardzie.

– I wypuścili cię?

– Nie słuchałeś dziś porannych wiadomości?

– Nie, oddałem telewizor do naprawy.

– Reynard nie żyje. Leciał z powrotem do New Hampshire i jego samolot się rozbił. Reynard i ta druga kreatura, Dick Elmwood, zginęli.

– Wejść do środka – zaproponował Piotr.

– Nie, nie mogę zostać.

– Napij się przynajmniej herbaty.

– No dobrze... ale tylko na chwilę.

Weszli do jego małego, skąpo umeblowanego mieszkania, ozdobionego surowymi białoczarnymi zdjęciami przedstawiającymi Rosję i oprawionymi w ramki szkicami kostiumów teatralnych. Poranne słońce świeciło na gołą, wyfroterowaną podłogę. Ujął Chiffon delikatnie pod łokieć i, niemal jej nie dotykając, poprowadził do kuchni.

– Uratowałeś mi życie – powiedziała. – Byłam o krok od śmierci.

– Wiesz, co robiłem w Milwaukee?

– Tak, Czerenkow także o tym mi opowiedział. To nie ma znaczenia, za wiele przeżyłam, żeby się martwić takimi rzeczami.

– Jesteś...? – Nie dokończył pytania, gdyż wiedział, że to ponad ich siły. – Boli cię coś? – chciał spytać. – Doznałaś jakichś obrażeń, urazów, szoku?

Nie chciała usiąść. Stała obok stołu, w tym źle dopasowanym czerwonym płaszczu, zwijając końce paska posiniaczonymi i spuchniętymi palcami.

– Od razu zadzwoniłam do doktora Emery’ego – odezwała się. – Z początku nie wierzył, że to ja: myślał oczywiście, że nie żyję. Przekonał się dopiero wtedy, kiedy mu opowiedziałam o ostatniej wizycie u niego. Powiedział, że może będę musiała pójść do szpitala, wiesz, na jakiś czas.

– Rozumiem – rzekł Piotr. Popatrzył na swoje nie dokończone śniadanie. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak mi przykro.

– To nie twoja wina. Zostałam po prostu wciągnięta w coś, co mnie przerastało, tak samo jak ty. Walczące słonie rozdeptują myszy. Kiedyś chyba ktoś to powiedział? Szekspir?

– Nie wiem, nie wydaje mi się, żeby to był Szekspir.

– Nieważne.

– Trudno mi uwierzyć, że Reynard nie żyje – powiedział po chwili Piotr. – Katastrofa samolotowa? Chyba wszystko odbyło się bardzo szybko.

– Szybko, wolno, kogo to obchodzi?

Prawie minutę stali obok siebie w milczeniu. W końcu Chiffon powiedziała:

– Nie będę piła herbaty, jeśli nie sprawi ci to różnicy. Piotr zmarszczył brwi, jakby nigdy nie wspominał o herbacie.

– Ach, tak.

– Wyglądasz strasznie – powiedziała Chiffon. – Zachorowałeś?

– Nie – odrzekł. – Doszły do mnie z opóźnieniem złe nowiny.

– Nie dostałeś roli Olsena?

– Nie, nie. Z Rosji. – Podniósł przesłany pocztą lotniczą list i po chwili znów upuścił go na stół.

– Wiesz, oni cenzurują pocztę i dlatego zawsze to tak strasznie długo trwa, zanim tu dotrze. A ten list został wysłany w Moskwie piątego maja, prawie sześć miesięcy temu.

Chiffon patrzyła na niego w milczeniu. Próbował się uśmiechnąć, lecz mógł tylko wzruszyć obojętnie ramionami.

– Moja matka umarła w kwietniu. W kwietniu! Na zapalenie opłucnej. Dwa dni później spalili jej zwłoki w krematorium – i koniec. Nie zawiadomiono mnie, nie przesłano popiołów, dostałem tylko to. – Delikatnie potrząsnął kopertą, z której wypadł pukiel jasnych włosów przewiązany

wypłowiła niebieską wstążką. – Moje – powiedział ze łzami w oczach. – Pamiętam dzień, w którym matka mi je obcięła. Piekła wtedy paszteciki pożarskie i chleb... pamiętam ten zapach. Kiedy obcięła mi włosy, ktoś na podwórku zaczął zarzynać prosiaka. Te kwiki! Nie uwierzyłybyś.

Chiffon podniosła rękę i dotknęła jego ramienia. Po chwili cofnęła ją.

– Przykro mi – odezwała się – muszę już iść. Na dole czeka na mnie przyjaciel. Przyszłam tylko po to, żeby ci podziękować.

– Nie masz mi za co dziękować. Nasze losy splątały się ze sobą.

Opuściła mieszkanie, a on stał w drzwiach, dopóki nie zeszła szybko po schodach i nie wyszła na ulicę. Usłyszał, jak trzasnęły drzwi i zapadła cisza.

– *Do swidanija* – powiedział cicho.

Prasa czekała już na Gretę, gdy pospiesznie wyszła z domu i skierowała się do długiej, białej limuzyny wyglądającej zbyt świątecznie jak dla kobiety, która zaledwie parę godzin temu została wdową. Nieprzerwanie błyskały flesze, jak jesienna błyskawica, i szumiały elektroniczne aparaty. Czterech tajniaków – wszyscy o kwadratowych ramionach, kamiennych twarzach, w wypchanych marynarkach – chroniło ją przed reporterami i tłoczącymi się gapiami, ale zanim zdążyła wsiąść do samochodu, jednemu z reporterów „Timesa” udało się przepchnąć do przodu i krzyknąć:

– Jak się pani czuje, pani Kelly?!

Greta błysnęła oczami przez czarną koronkę welonu i obrzuciła go spojrzeniem – które raz po raz ukazywać się będzie jako twarz roku – pogrążonej w żałobie wdowy po polityku.

– Jestem zdruzgotana – powiedziała. – Reynard Kelly był ostatnim amerykańskim bohaterem.

Niemal sekundę potem Walt Seabrook wyszedł pospiesznie z domu, zakrywając twarz uniesionym płaszczem przeciwdeszczowym. Usiadł w cadillacu obok Greta i jeden z tajniaków zatrzaskał za nim drzwi.

– O Chryste – odezwał się Walt. – Nie wierzyłem, że mi się uda, widziałaś te tłumy?

Greta położyła mu na przegubie rękę w czarnej rękawiczce.

– Już po wszystkim, tak czy inaczej.

– Hm – powiedział Walt – dopóki ktoś nie zacznie zalegać z czynszem i nie zdecyduje się sprzedać tej całej historii do „Washington Post”.

– Och, tym możemy się zająć; Reynard zawsze tak robił. Czy kiedykolwiek czytałeś w gazetach coś złego o Reynardzie?

– A czytałeś o nim coś dobrego?

– Teraz nie mogą nam zrobić krzywdy – powiedziała Greta, biorąc go za rękę. – Każda pogrążona w żalu wdowa ma prawo szukać pocieszenia.

Walt wyprostował się na siedzeniu, gdy limuzyna wypadła z podjazdu, wolno przejechała wśród tłumu, a potem z piskiem opon raptownie ruszyła w kierunku lotniska.

– Jednego się nauczyłem – zauważył Walt, gdy bulwarem Bradleya mknęli przez Bethesdę.

– Czego?

– Grać w swojej lidze. Reynard reprezentował wagę zbyt ciężką dla mnie. Moją ligą jest stanowe ciało ustawodawcze; Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej. Nie wyżej, nie mam do tego głowy.

– Kiedyś ci się uda – powiedziała Greta. – Czekaj tylko cierpliwie.

– Och, nie. Zostanę przy tym, na czym się znam.

– Czy to, co stało się z Reynardem, spowodowało, że straciłeś ambicję?

Walt, skrzywiony, potrząsnął głową.

– Powiedzmy, że zrozumiałem, kim naprawdę jestem.

– Tchórz – przygadyła mu.

– Nie – odparł – realista.

– Trudno – odezwała się Greta po chwili – może Reynard też powinien to sobie uświadomić.

Z pewnością nie był w lidze Herr Hitlera, z którym po tych wszystkich latach w końcu się zrównał.

– A może – odpowiedział Walt – zrównał się w końcu z sobą.

Obserwowali mijane przedmieścia Waszyngtonu, przypominające spłaszczoną i nieciekawą dioramę. Po chwili Greta, zdradzając oznaki niepokoju, powiedziała:

– Zostajesz ze mną, prawda?

– Myślałaś, że odejdę?

– Nie wiem. Sam mi to powiedz, no dalej, nie dręcz mnie.

– Dobrze, zostanę z tobą.

Ścisnęła jego rękę tak mocno, że przecięła mu skórę diamentowymi pierścionkami.

– Cóż, może się okaże, że oboje jesteśmy słabsi, niż nam się wydawało. Nie ma w tym nic złego, jeśli człowiek zda sobie sprawę z własnych możliwości.

– Denerwuje mnie głupota tego wszystkiego.

– Głupota? Nie powinnaś myśleć, że postępowałaś głupio. Zadzwońska do doktora Chandlera i nie było to głupie.

– Ani bohaterskie.

– Stawanie w obronie tego, w co się wierzy, zawsze jest bohaterstwem, bez względu na to, jak późno się to czyni.

Greta długo się nie odzywała, ale w końcu oparła głowę na jego ramieniu i rzekła:

– Czuję się jak dziecko, Walt. Jak dziecko albo jak bardzo stara kobieta. Pomóż mi przynajmniej teraz przez to przebrnąć.

Potaknął i pocałował ją w głowę; było to wszystko, czego potrzebowała.

Humphrey niezgrabnie wyciągnął z autobusu swoją nową walizkę z zielonego plastyku i postawił ją na mokrym chodniku, wyczyniając cuda, by podnieść kołnierz płaszcza, otworzyć parasol i włożyć rękawiczki z akrylowej włóczki. Drzwi zamknęły się za nim, zgrzytnęły biegi i autobus z rykiem ruszył ulicą Bakewell, wydając ostatnie pneumatyczne sapnięcie, zanim zniknął za stojącymi w nieładzie domami, oblicowanymi kamieniem i rozrośniętymi dębami.

Padający deszcz tworzył miękką, utrzymującą się w powietrzu zasłonę, która jesienią była tak charakterystyczna dla Derbyshire Dales. Nad błyszczącymi dachami cicho przesuwały się na wschód nisko zawieszane szare chmury, niczym procesja przygnębiających i niewyraźnych snów; krople deszczu ryły wgłębienia w ulicznych kałużach.

Po drugiej stronie trójkątnego trawnika, za kamiennym pomnikiem upamiętniającym wojnę, stał rząd tarasowo wzniesionych, przylegających do siebie domów, z których jeden zajmował Humphrey z siostrą. Właśnie temu przyglądał się teraz, stojąc pod parasolem; zdziwił się, widząc, jak bardzo dom się skurczył w ciągu paru zaledwie tygodni i jak bardzo był odrapany. Rynna na froncie budynku wciąż była urwana. Pomyślał o starym domu przy Pilogatan, do którego na samym początku zaprowadził go Klaus Hermann. Brama do ogródka przed domem wciąż wypadła z zawiasów; trawa była błyszcząca i nadmiernie wyrośnięta. Jego siostra nie wyciągała zatem kosiarki, może w głębi duszy zawsze czuła, że on wróci.

Miał już podnieść walizkę, kiedy zobaczył, jak otwierają się drzwi frontowe i z domu wyłania się jego siostra, ubrana w przezroczysty plastikowy kapturek przeciwdeszczowy i kasztanowy

płaszcz nieprzemakalny. Rozłożyła parasolkę, przeszła przez frontową bramę i ruszyła w kierunku sklepu, niosąc jasnożółtą torbę polietylenową na zakupy.

Humphrey obserwował ją ze smutną fascynacją. Zobaczył, jak dotarła do sklepu; niemal usłyszał dźwięk dzwonka, gdy otworzyła drzwi. Stał na deszczu, postukującym o jego parasol, niezdolny się poruszyć, sparaliżowany tym, co zobaczył i przeżył, niezdolny zrobić pierwszego kroku, który umożliwiłyby mu powrót do codziennego życia.

Jak opowiedzieć siostrze o tym, co przydarzyło mu się w Szwecji? Jak jej wytłumaczyć, co czuł, kiedy Bill Bennett zastrzelił Birgitte? Lub kiedy Angelika Rangstroem otworzyła sobie żyły jego brzytwą do przecinania wędkarskich żyłek? Cóż jego siostra może wiedzieć o bólu, krwi i okropnym uścisku, w jakim trzymał go mężczyzna, który zabił trzy tysiące ludzi.

Długo czekał na deszczu. Na zachodzie, nad Longstone Moor, niebo zaczęło się nieco rozjaśniać żółtawą plamą jesienno słońca. Właśnie wtedy na szczycie pagórka, odbijając od dachu słoneczny blask jak znak dany przez anioły, pojawił się autobus do Chesterfield, zdążający w tym samym kierunku, z którego przybył Humphrey. Bez chwili namysłu, ze ściśniętym sercem, Humphrey podniósł walizkę i poszedł do znajdującej się po drugiej stronie ulicy wiaty autobusowej, gdzie stanął za dwoma starszymi mężczyznami w mokrych tweedowych czapkach i młodą rumianą kobietą z krzyczącym dzieckiem w składanym wózku.

Wszedł do autobusu po mokrych brązowych stopniach i wygrzebał z kieszeni płaszcz pieniądze na bilet. Z trudem umieścił walizkę na półce, potem usiadł obok grubej kobiety, która cuchnęła szarym mydłem i cebulą. Nie obejrzał się za siebie. Gdy autobus ruszał spod krawężnika, zobaczył, jak jego siostra wychodzi z narożnego sklepu. Żegnaj, moja droga, pomyślał. Będiesz musiała uwierzyć, że twój brat Humphrey nie żyje, i pewnie wszystko obróci się na dobre. Prowadź swoje szare, skromne życie; ciesz się kościelnymi wentami, aukcjami różnych pożytecznych drobiazgów i miętówkami podczas komunii świętej. Na mnie czeka nowe życie, gdzieś w deszczu, za iglicą wieży w Chesterfield – w szerokim i zdeprawowanym świecie.

Następny przystanek był w Nether End. Autobus zjechał na bok i zmiennik zaczął cierpliwie, aż jakaś staruszka zostanie wprowadzona do autobusu. Drzwi były otwarte i Humphrey czuł zapach deszczu i górskich dolin. Spojrzał na siedzącą obok tłustą kobietę. Odwzajemniła mu spojrzenie, nie uśmiechając się – typowe dla mieszkańców Derbyshire. Podniósł się z miejsca, z wysiłkiem przeszedł do przodu i odnalazł walizkę.

– Wysiada pan, przyjacielu? – spytał kierowca. – Przejazd ma pan opłacony aż do dworca autobusowego w Chesterfield.

– Ja... hm – odpowiedział niewyraźnie Humphrey. Wyniósł walizkę z autobusu i cofnął się, stawiając ponownie kołnierz płaszcz. Wszyscy pasażerowie przyglądali mu się przez okna pokryte kroplami deszczu. Po chwili pojazd zniknął, nie zostawiając za sobą śladu urojonej przyszłości Humphreya, a jedynie ślady opon na błotnistym poboczu i smród spalin z silnika Diesla.

Nagle Humphrey uświadomił sobie, że zostawił w autobusie parasol.

Przełożył walizkę z prawej ręki do lewej i ruszył w długą wędrówkę do domu. Deszcz nie był już tak ulewny, ale wystarczająco duży, by zmoczyć ramiona i zlepiać rzęsy.

Gdy szedł, przypomniał sobie fragment z *Lolity*, który wyjaśniał, dlaczego dwunastoletnia Dolores Haze wśliznęła się z powrotem w ramiona swego blisko pięćdziesięcioletniego kochanka (tak, Humphrey przeczytał potajemnie *Lolite*) – „rozumiecie, ona nie miała absolutnie dokąd pójść”.

Kiedy Humphrey przypomniał sobie te słowa, musiał podnieść walizkę i otrzeć ręką oczy, by nikt się nie zorientował, że jego policzki są mokre od łez, a nie od deszczu.

Bill Bennett siedział w barze hotelu Sheraton, pijąc wytrawne martini i pogryzając fistaszki, gdy

podszedł niski, szczupły mężczyzna w szarym garniturze i usiadł obok niego, choć w barze było mnóstwo wolnych stołków.

– No, no – powiedział Bill, biorąc kolejną, niewielką garść fistaszków. – Ciekaw byłem, kiedy ktoś się ze mną skontaktuje.

Mężczyzna zdjął okulary w rogowej oprawie i przetarł je jedną z papierowych serwetek. Spojrzał na Billa swymi wyłupiastymi, rozbieganymi oczami, po czym znów włożył okulary.

– Nie spotkaliśmy się na Haiti? – spytał. – W 1971 roku, kiedy władzę objął Baby Doc? W hotelu Toussaint?

– Nie ze mną, stary – powiedział Bill. – Postawisz mi drinka?

– Jasne. Nazywam się Welby.

– Miło mi cię poznać.

Welby sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął podłużną białą kopertę, którą podał jak prezent.

– Twój czek – powiedział. – A także nowy przydział.

Bill schował kopertę do kieszeni wiatrówki.

– Nie zamierzasz jej otworzyć? – spytał Welby.

– I pokazać ci, ile zarobiłem?

– Wiem, ile zarobiłeś.

– No to nie muszę jej otwierać, nie?

Welby kiwnął na barmana.

– Proszę o jeszcze jedno martini dla mojego przyjaciela. Dla mnie piwo Laetoe.

– Pijesz takie siuski? – spytał Bill. Welby zignorował pytanie i powiedział:

– Nie chcesz wiedzieć, gdzie dostałeś przydział?

– Po co? Obiecał mi posadę w Stanach Zjednoczonych i jeśli jej nie dostałem, mam zamiar rzucić tę robotę.

– Chyba nie byliby zbyt zadowoleni, gdybyś odszedł.

– Obiecali mi posadę w Stanach, to wszystko; jeśli nie dotrzymają obietnicy, nie będę dla nich pracował.

Welby kaszlnął.

– Wiesz, jak sprawy stoją. Czasy się zmieniły, kurs jest inny.

– Co to znaczy? – spytał Bill.

– To znaczy, że musimy być ostrożni.

– I przez ostrożność nie dadzą mi obiecanej pracy? O to chodzi?

– No cóż... są pewne problemy. Przedstawiciele szwedzkiego bezpieczeństwa wnieśli skargę do Departamentu Stanu. Więc rozumiesz, ktoś musi za to odpowiedzieć.

– Zrobiłem to, co mi kazano – rzucił ostro Bill. – Działiałem zgodnie z poleceniem, w granicach przysługującej mi władzy.

– Tak, wiem – powiedział Welby uspokajająco. – Ale to nie robi różnicy, i tak jesteśmy w nieco kłopotliwym położeniu. Jeśli chodzi o nas, nie mamy ci tego za złe, ale, jak już mówiłem, ktoś musi ponieść odpowiedzialność, i to tak, by nie było wątpliwości.

– Znaczą sieja.

– Cóż, w końcu to ty działałeś w terenie. A bardzo nam zależy na tym, by nie drażnić Szwedów.

Barman przyniósł trunki. Bill nakłuł oliwkę, po czym wyłowił ją i zjadł.

– Dokąd mnie wysyłają? – spytał w końcu.

– Możesz wybrać.



- Co?
- Kostarykę.
- To mogę wybrać? Kostarykę?
- Chcesz czy nie? Podejrzewamy, że przebywa tam Gulderhof.
- Wybór polega na tym – powiedział Bill – że albo jadę na Kostarykę, albo tam nie jadę?
- No, tak.

Wypił łyk martini. Potem zwrócił się do Welby'ego:

- Gulderhof?
  - Dostaliśmy poufne informacje.
- Bill potrząsnął głową.
- Nie chcę jechać do Kostaryki, okey?
  - Masz prawo.
  - I to wszystko?
  - A co jeszcze chcesz?
  - Hm, nie wiem, może jakieś inne zadanie.
  - Przykro mi – powiedział Welby. – W grę wchodzi tylko Kostaryka.
  - Mogę zmienić zdanie? – spytał Bill.
  - Chodzi ci o to, czy możesz zmienić zdanie i zgodzić się?
  - Tak.
  - Jeśli chcesz...

Bill zawahał się, po czym rzekł:

- Nie, chyba nie chcę jechać.
- Ponownie masz do tego prawo.
- A zatem to wszystko? – spytał Bill.
- Wszystko.

Wypili w milczeniu. Potem Bill przeprosił i poszedł na górę do swego pokoju. Stał plecami do drzwi i rozerwał podłużną białą kopertę. Zawierała potwierdzony czek na 62 500 dolarów i notatkę na gładkim papierze zawierającą lakoniczną informację: ODL. ARLANDA 11.00 PRZYL. SAN JOSE 15.45 CZASU MIEJSC.

Zgniół kartkę i rzucił ją na podłogę. Potem wszedł do łazienki i przyjrzał się sobie w lustrze. Więc to tyle? Koniec całej kariery? Zmuszono go do opuszczenia służby jak cynika do uronienia łyżki. Bez hałasu, bez dyskusji. Po prostu zamknięto przed nim świat tajemnic i nagłej śmierci, jakby Bill nigdy nie istniał, jakby tego świata nigdy nie było.

Nagle poczuł się bardzo zwyczajnie, jakby zetknięcie z Humphreym coś mu odebrało, przyćmiło jego urok, zatarło świadomość własnej osobowości. Miał ogromną ochotę zadzwonić i pogadać z nim – krzyknąć na niego wściekle albo powiedzieć mu, że on, Humphrey, miał rację we wszystkim, a szczególnie w poglądach na zdradę.

Odwinął marynarkę i spojrzał na leżącą w kaburze kolbę trzydziestki ósemki. W tym rzecz, pomyślał. Oto narzędzie zdrady. A jeśli zabijanie jest sposobem na życie, może jest także sposobem na złagodzenie bólu. Szybko, ciemno, cicho – czegoż więcej można pragnąć? Zabijanie jest niemal lepsze niż miłość.

Tyle że zbyt wiele w nim było z żołnierza, zbyt wiele z egoisty i w końcowym obrachunku – zbyt wiele z tchórza. Była to najgorsza rzecz, jaką zrobił Humphrey – wykazał mu, że nie jest odważny.

Rozległo się pukanie do drzwi. To pokojówka chciała się dowiedzieć, czy może sprzątnąć pokój.

– Wyjeżdżam – powiedział jej. I była to prawda.

Dwa dni później, dysponując nakazem rewizji wydanym przez Sąd Najwyższy New Hampshire, policja, patalogowie i lekarze sądowi łopatami, kilofami i dźwigami zaczęli wykopywać kadłub samolotu. Cały dzień padał drobny kapuśniaczek, który srebrzył trawę i kroplami czepiał się rond kapeluszy.

Jedno z pierwszych ważnych znalezisk odkryto w tylnej części kadłuba kondora. Nie było przy tym Edmonda ani Oscara, gdyż obu wciąż przesłuchiowano na policji, ale rankiem do Concord przyleciała Greta, do której posłano funkcjonariusza, by spytał, czy chce zobaczyć to miejsce.

Był tam również Bernie, z rowerem i gumą do żucia, nie zauważony przez zmoknięty tłum kopaczy, naukowców i urzędników.

Przykryli znalezisko plastikową płachtą, by jego wyjątkowo kruchej zawartości nie zniszczył deszcz.

Greta przesunęła się do przodu i bardzo długo przyglądała się znalezisku.

Było to z mumifikowane ciało młodej kobiety, ubranej w płaszcz, który kiedyś musiał mieć kasztanowy kolor. Na nogach miała czarne, wykończone futrem buciki, przypuszczalnie dla ochrony przed zimnem podczas długiego lotu, na głowie kapelusz ozdobiony czarnymi piórami. W ramionach wciąż ścisnęła małą, pomarszczoną istotę w wyblakłym i postrzępionym niebieskim ubranku. Była to mumia dziecka, prawdopodobnie cztero – lub pięcioletniego – skurczyło się jednak tak bardzo, że trudno było to ustalić.

W bagażu kobiety znaleźli list od Reynarda Kelly’ego, w którym pisał, że bardzo ją kocha i ma nadzieję znowu się z nią zobaczyć pewnego dnia. Ilse, moja najdroższa.

– Ona była pierwszą kochanką mojego męża – powiedziała Greta do stojącego obok komisarza policji.

Komisarz wyglądał na zakłopotanego; zerknął do tyłu na sierżanta, szukając u niego pomocy. Sierżant wzruszył ramionami. Czy to nie wszystko jedno? Niech sobie gada.

– A to dziecko... – dodała Greta. – Gdyby samolot szczęśliwie wylądował i misja skończyłaby się sukcesem, mogłoby z powodzeniem wyrosnąć na pierwszego fuehrera Stanów Zjednoczonych.

## HIPERPOLIO ZNOKAUTOWANE PRZEZ ROZPUSZCZALNIK K

Hiperpolio można teraz szybko i skutecznie opanować dzięki odkryciu „rozpuszczalnika k”, który likwiduje wirusa ze stuprocentową skutecznością.

Wiceminister zdrowia David R. Snoman powiedział dziś w Waszyngtonie, że rząd federalny sfinansuje pilne i powszechne leczenie ofiar hiperpolio i szczepienie wszystkich osób w dotkniętych epidemią rejonach kraju.

Cudowny przełom jest wynikiem prac badawczych, przeprowadzonych przez specjalny rządowy zespół biochemików, którym pomogła otrzymana z Niemiec informacja o zachowaniu wirusa.

Pan Snoman powiedział:

– Jesteśmy przekonani, że ta straszliwa epidemia wkrótce będzie już tylko koszmarnym wspomnieniem.